Bibljoteka i zbiory
LEOPOLDA MÉYETA.

II 2.015.810

25861

25861

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM DRUGI.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1867.

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM DRUGI.

25861

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM DRUGI.

BIBLIOTEKA LEOPOLDA MÉYET WARSZAWA

25861

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
Z DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierżawcy Alex. Vogla.
1867.

DAR LEOPOLDA MÉYETA

BIBLIOTEKA NARODOWA
II 2.015.810
A

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Druga połowa roku 1837 i cały 1838. — Przybycie do Liworno — kwarantana — smutna wiadomość z domu. — Poeta osiada we Florencyi — przywiązane do miasta tego wspomnienia Danta — towarzyskie stósunki. — Wiersz „Do Księgarza“ — Poema Piasta Dantyszka o piekle — „Podróż na Wschód.“ — Znajomość z księżną Survilliers — mania muzykalna we Włoszech.— Niespodziewany epizod w życiu — p. Aniela M. — Sonety.— Zygmunt Krasiński w Florencyi — korespondencya Słowackiego z matką na czas dłuższy przerwana — wyjazd jego do Francyi. — Na kilka miesięcy przedtém druk Anhellego, jako też Poematu o Piekle. — Rozbior krytyczny Anhellego.

Dnia 17 czerwca 1837 okręt, na którym wracał Słowacki ze Wschodu, zawinął we Włoszech do portu. Był to port miasta Liworno. Stósownie do obowiązujących tam w czasie owym przepisów, podróżni przybywający ze Wschodu zmuszeni byli zaraz po wyjściu z okrętu odbywać kwarantanę. I Słowacki formalności téj przykréj poddać się musiał. Klauzura ta trwała dla niego przeszło 3 tygodnie. Dnia 11 lipca dozwolono mu przenieść się wreszcie do miasta. Wtedy kazał się zawieść do tegoż znowu hotelu, w którym nocował rokiem pierwéj, kiedy spieszył z Genewy do Rzymu powitać krewnych, którzy tam na niego czekali. Dziwnym trafunkiem, dano mu teraz nawet tensam znowu pokoik, który i wtedy zajmował. Chętnie dał się wprowadzić do numeru tego Słowacki. Miło mu było widzieć się przez dni kilka w kąciku, którego wszystkie sprzęty odświeżały mu w pamięci tę przeszłość tyle jeszcze nie dawną, a tak zupełnie jednak różną od chwil obecnych. Przed rokiem miał przed sobą krainę, o któréj

pięknościach mówiła mu wyobraźnia wszystkimi urokami poezyi. Miał zobaczyć Rzym i wszystkie przepychy jego. Wiedział, że w nim oczekuje go i coś droższego jeszcze, aniżeli wszystkie przepychy świata — rodzina, przywiązana do niego. Teraz widział się opuszczonym przez wszystkich swoich — może na zawsze. Wracał z świata poezyi w stósunki znane sobie, powszednie, rzeczywiste, uregulowane aż do przesytu — pełne prozy, tęsknoty, samotności — nawet fizycznie blade i wypłowiałe w porównaniu z tém wszystkiém, z czém się pożegnał...

„Prawda to, co powiadają ludzie wschodni, że kto raz tamtego powietrza zakosztował, to jeżeli może, nazad tam znów powraca pomimo wszystkich niewygód ciągłéj podróży. Tak tam dziwnie lekkie jest życie, że mi teraz Europa ciemną się wydaje. Poczerniały domy — zgęstniało powietrze — na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił szkło... Chciałbym jeszcze raz być na Libanie.“ (z listu z dnia 24 listopada 1837 r.).

Przez cały czas wędrówki swojéj po różnych częściach świata nie miał Słowacki ani jednego listu od matki. Inaczéj to być nie mogło. Matce Juliusza nie było nigdy wiadomo, gdzie syn jéj bawi i jak się długo w którém miejscu zatrzyma. Odbierała listy od niego zawsze znacznie po czasie. Niektóre z nich ginęły nawet po drodze. Nie było zatém możności utrzymywać z nim jakąkolwiek korespondencyą, dopókiby nie powrócił do Europy. Juliusz to pojmował i nie spodziewał się też, dopóki podróż trwała, żadnych wiadomości z Krzemieńca. Lecz teraz — wychodząc z kwarantany — niecierpliwie i z bijącém sercem wyglądał chwili, która mu przyniesie owe listy, jak się spodziewał, czekające już na niego w tém włoskiém portowém mieście. Trwoga go zdejmowała na tę myśl, co w nich wyczyta. Co się tam dzieje w jego kółku rodzinném? czy matka zdrowa? czy wszyscy... Nie śmiał nawet domówić końca tego pytania. A jednak nasuwało mu się ono pomimowolnie i ciągle, jak widmo jakie, przytomne i nurtujące w głębi tajemnych jego myśli. Nadaremnie się opędzał przed ciężkiém jakiémś przeczuciem, które go dręczyło, ilekroć o Krzemieńcu pomyślał.

Piérwszy list, który otrzymał i który w rzeczy saméj już od kilku tygodni na niego czekał, nie zawierał w sobie nic takiego, coby było mogło usprawiedliwić ową trwogę, jakiéj doznawał. Donosiła mu w nim matka, że się powodzenie i zdrowie wszystkich w domu w tymsamym znajduje stanie, co dawniéj. W dni kilka potém doręczono Słowackiemu list drugi — i teraz dopiero nastąpiło, czego się on obawiał i co przeczuciem przewidywał przez cały czas przymusowego pobytu swego w zamknięciu kwarantany. W liście było doniesienie o nowym zgonie w gronie rodziny. Za tylu innemi drogiemi mu osobami, których nie miał biedny nasz tułacz nigdy już w życiu oglądać, poszedł i ojciec jego matki, patryarcha całéj familii.

„Więc już i ten starzec w kontuszu, którego pomarszczone powieki błyszczały łzami przy moim odjeździe, nie przywita mnie wracającego! — Nasza rodzina podobna jest do żórawi, które widziałem na pustyni egipskiéj. Jeden się porwał—wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit — i wkrótce jęku ich słychać nie było.“ (Z listu z dnia 21 sierpnia 1837, pisanego z Florencyi).

— Nie mając powodu dłuższego przebywania w mieście, ważném jako punkt handlowy, ale jak wiadomo bardzo mało posiadającém w swych murach takich warunków, któreby zająć mogły umysł artysty albo poety, po dwóch czy trzech dniach wypoczynku porzucił nasz podróżnik Liworno i pojechał do stolicy Toskanii. Było to w połowie lipca. — Słowacki nie umiał w owym czasie zdać sobie dokładnie sprawy z tego wszystkiego, co względem siebie zamierza na przyszłość. Mianowicie nie wiedział zgoła, które miasto i któryby kraj obrać sobie za miejsce stałego odtąd pobytu. Florencyi, pod tylu najróżniejszymi względami ciekawéj i zdolnéj zająć każdego, kto tylko szuka duchowego pokarmu i wielkich wzorów sztuk pięknych, słynącéj z cudnego położenia w najprzyjemniejszéj części Włoch całych, ojczyzny tylu znakomitych pisarzy i w ogóle kolebki całéj pięknéj literatury włoskiéj— Florencyi mówię nie znał naówczas wcale jeszcze poeta nasz. Owoż właśnie z tego powodu postanowił tam się udać i tam spędzić przynajmniéj kilka najbliższych miesięcy, dopókiby mu oko-

liczności nie pozwoliły powziąć ostatecznych zamiarów nadal co do swego losu na świecie. Był w owych latach we Florencyi osiadły od dość dawnego już czasu malarz Polak, nazwiskiem Zaidler, rodem także z Krzemieńca, dobry znajomy całéj Słowackiego rodziny. Juliusz wiedział o jego tam bytności już przedtém i zaraz za przybyciem swojém do miasta dopytał się o niego. Przy Zaidlera pomocy wyszukał sobie mieszkanie, składające się z dwóch gustownie umeblowanych pokoi, za które płacił miesięcznie 27 franków. Było ono położone na ulicy *Via dei banchi* pod numerem 4216. Późniéj mieszkanie to zamienił na inne — w domu własnym Zaidlera.

Życie Słowackiego we Florencyi, o ile z listów jego wnosić można, nie było połączone z tym pożytkiem i z temi przyjemnościami, z jakiemiby niezawodnie było połączone nie tylko dla innych, lecz nawet i dla niego samego — wśród innych okoliczności. Serce jego było stęsknione. Piękności natury, skarby sztuki już mu nie wystarczały. Raczéj przesycony on już był wrażeniami tego właśnie rodzaju, przeżywszy pod ich wyłącznym wpływem tyle już czasu samotnie. Potrzebował on teraz raczéj towarzystwa ludzi, ludzi znajomych, bliskich, kochających, kochanych. Silniéj niż kiedy, tęsknił do kraju i do rodziny. Przenosząc się myślą daleko, patrzał na to wszystko, co go naokół otaczało, obojętnie. Wśród przepychu rzeczy, które drugich zachwycają, często się nudził.

„O jakżebym chciał usiąść kiedy na trawie przed domkiem Teofila, wtenczas kiedy Ty matko masz przyjechać wieczorem!.. Widzieć na drodze pył przybliżającego się powozu, który mi Ciebie przywozi — potém rzucić się w Twoje objęcie — wypłakać się z wszystkich żalów na Twojém sercu — wyskarżyć się Tobie ze wszystkich zawiedzionych nadziei i uspokoić się nareszcie przed słońca zachodem, aby widzieć, jak ta złota gwiazda zachodzi nad Teofila łanami — cicha — rozpromieniona — podobna jasnemu żywotowi poczciwego człowieka... Za jeden taki spokojny wieczor, za jeden taki zachód słońca oddałbym wszystkie dni zachodnie mojego życia“...

... „Od czterech prawie lat miałem zawsze koło siebie rodzaj familii. Zawsze kilka godzin w dniu przechodziło mi z ludźmi. W podróży nawet zawsze miałem jednę różową i

uśmiechającą się twarz koło siebie. To też teraz często się sam znajdując w mojém samotném mieszkaniu, zadziwiony jestem długością cichych godzin, zwłaszcza wieczorem. Kilka listów z Genewy przyczyniło się do téj niespokojności. Tam przekonani byli, że ja wyszedłszy z kwarantany, zaraz nad jezioro Lemanu polecę. Nie widząc mię, dziwią się — płaczą — nareszcie myśląc, że mi brak pieniędzy przeszkadza, nasłali mi przed kilku dniami jakąś osobę, która chciała mi koniecznie pożyczyć na konto pani Patteg tyle franków, ilebym potrzebował. Ujęło mię to, choć nie przyjąłem pieniędzy. Teraz odbywam z sobą wielkie walki, czy jechać, czy nie, — i chciałbym mieć kogoś, coby mi tę wątpliwość rozwiązał. Nieraz mię wabi mój spokojny kominek w Genewie, moje drzewa i fijołki kwitnące w złotém zimowém słońcu. Nieraz zatrzymuje mię przypomnienie różnych nieprzyjemności, od których wyjazdem do Włoch uwolniłem się"...

...„Nie dziw się, moja droga, że ja niegdyś taki odludek, dzisiaj się lękam samotności. Dawniéj sny moje i złote nadzieje na przyszłość otaczały mię w koło — dawniéj teraźniejszość była dla mnie jakby tylko sienią, prowadzącą do czegoś lepszego. Teraz się to wszystko na wspak obraca. Ale na Boga, jeszcze się nie poddam zniechęceniu, i Ty droga moja, łagodnemi słowy dopomóż mi do tego"... (z listu z dnia 21 sierpnia 1837).

Długie rozmyślanie, gdzie się na dłuższy czas urządzić, czyby pozostać we Florencyi, czy też raczéj powrócić znowu na brzegi genewskiego jeziora, skończyło się wreszcie na tém, że się pierwszeństwo włoskiemu miastu dostało. Przyczyniły się do tego głównie zbyt nalegliwe listy z Genewy, w których go, że tu użyję jego słów własnych, jak niewolnika naglono, aby koniecznie rzucał Florencyą i nad jezioro wracał.

„Sylka (pani Hersylia Januszewska), protektorka Eglantyny, wypchnęłaby mię gwałtem i zapakowała na statek parowy; lecz ja odpisałem tak nareszcie, że mi teraz zupełną wolę zostawują robić, co mi się podoba. Listy między nami rzadsze są teraz. Ona już utraciła nadzieję powrotu mego, a ja nie chcę jéj ożywiać na nowo. Siedzę więc przez zimę tutaj i najmuję mieszkanie w domu Zaidlera"...

„Przepędziwszy tu zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta (Paryż) — z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atra-

mentem, z piórem za uchem — i znów oddać wielki ukłon mojéj królowéj Sławie, jako wierny jéj do śmierci błazen"... (z listu z d. 3 października 1837).

Zamiar wystąpienia po tak długiém milczeniu na nowo w szrankach publicznych i odezwania się jako narodowy poeta — nie teraz dopiero zajmował myśl Słowackiego. Już odsiadując kwarantanę w Liworno rozmyślał on nad szeregiem publikacyi, które zamierzał niebawem przyprowadzić do skutku. Wiersz żartobliwy „Do księgarza", ogłoszony dopiero w zbiorze dzieł Juliusza pozgonnych, zaczynający się od téj strofy:

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima —
Mój Eustachy!

wiersz ten, mówię, właśnie wtedy był napisany. Zamawiał sobie w nim wojażer nasz, przybywszy do Europy, wpół żartem a wpół na seryo przedewszystkiém względy wydawcy pism polskich we Francyi (Eustachego Januszkiewicza), i już naprzód snuły mu się przed oczyma owe rozliczne kłopoty, jakich z konieczności doznawać muszą pisarze, nim płody swoje do rąk publiczności oddadzą.

Lecz ty wyrwiesz mię z latargu,
Ty pomięszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy!
Będę tobie wdzięczny za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy! itd.

Targ księgarski, zniechęcenie, troska, strata i inne tym podobne rzeczy, same przez się bardzo niemiłe, miały więc dla Słowackiego teraz po tak długim wypoczynku prawie powab jakiś — urok nowości.

Nimby się jednak odnowiła z temi wszystkiemi praktykami dawna znajomość, chciał poeta nasz pierwéj napisać koniecznie

coś o podróży swojéj po Wschodzie. Miał to być dług, oddany najbliższéj przeszłości, którą przebył. Podobnéj daniny domagała się od niego także i teraźniejszość, która mu właśnie płynęła, a raczéj miejscowość, w któréj żył. Wszystko we Florencyi przemawiało do niego wspomnieniami wielkiego wieszcza, który się w tém mieście narodził, spędził w niém znaczną część życia, a potém ujrzał się w konieczności pójść na wygnanie i tułać się daleko od niewdzięcznéj ojczyzny — do saméj śmierci.

„Czasem idę do kościoła Santa Croce i staję przed pomnikiem Danta, a posąg jego ponury, patrzący z wysoka na mnie, zdaje mi się mówić jakieś wyrazy natchnienia. Czasem idę do Galeryi i wpatruję się w Wenus Medycejską, chcąc aby piękność jéj przeszła do mojéj duszy"...

...„Ulubionym moim księżycowym spacerem jest jeden bok katedralnego kościoła. Nieraz marzę sobie, że tak chodził po tych kamieniach zamyślony Dante. Wyznam Ci jednak, droga Mamo, że mi często dystrakcyą sprawiają zgrabne i ładne Florentynki. Nigdzie podobnych figurek nie widziałem i wybrałbym łatwo sto dziewcząt, w które gdyby mi Bóg tylko pozwolił włożyć duszę podług mego upodobania, to w każdéj ze stu mógłbym się dziś zakochać szalenie. Takie, jak są, przyciągają oczy, ale nie serce"... (z d. 21 sierpnia 1837).

Pod wpływem takich więc wrażeń — doznając z powodu samego miejsca to roztargnienia, to inspiracyi — pracował Słowacki we Florencyi nad dwoma utworami.

Jeden z nich był mniéj rozległego zakresu i został wykonany w całości: Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa, o Piekle. Pomysł do niego zawdzięczał autor niewątpliwie miejscu, gdzie bawił, i wspomnieniom do niego przywiązanym.

Drugi poemat był zamierzony w daleko rozleglejszych rozmiarach. Miał on objąć w sobie celniejsze wrażenia i przygody zaszłe w ciągu kilkomiesięcznéj podróży autora po Grecyi, Egipcie i Palestynie, opowiedziane tym tonem lekkim jak lot motyla, którego z takiém powodzeniem i Byron także użył niegdyś do złożenia w kształt poematu wspomnień swojéj pierwszéj podróży. Ale nastrój angielskiego poety w poemacie Childe-Harold zdaje się być więcéj smętny... Byłato piérwsza próba Słowackie-

go w tym rodzaju poezyi. Okazuje się tak z téj już pracy, jako i z drugiéj, znacznie późniejszéj, z Beniowskiego, że miał Słowacki szczególny dar do składania tych strof dziwacznych, wypowiadających posłuszeństwo wszelkim utartym prawidłom sztuki, mięszających w jednę gmatwaninę wszystkie żywioły poezyi, wszelkie uczucia człowieka — a jednak zajmujących i porywających każdego w najwyższym stopniu. Czy się czytelnik z autorem zgadza, czy nie; czy przyklaskuje gorzkiéj ironii, z jaką tenże smaga wszystko, co mu się w stósunkach tegoczesnych widzi przewrotném, czy się gorszy jego szyderstw zuchwalstwem: w każdym razie podziwiać musi geniusz pisarza, maczającego pióro w łzach i żółci z taką łatwością i z takim skutkiem. — Całość poematu, o którym mowa, miała się składać z kilkunastu — sądząc z tego, co zostało dokonaném, przynajmniéj z 15 albo 20 pieśni. Praca nad nim przerwała się już na pieśni szóstéj, z niewiadomego powodu. — Trudno jest obecnie o tym poemacie jako całości wyrzéc zdanie stanowcze. Ale zdaje się, że gdyby cały plan tegoż był przeprowadzony do końca, miałaby w nim literatura nasza niewątpliwie jedno z celniejszych dzieł poetyckich, jakkolwiek niektóre ustępy raziłyby może wybredniejsze umysły — i czasem słusznie...

Sześciopieśniowy urywek poematu, o którym tu mówimy, został w całości ogłoszony dopiero w zbiorze pism Słowackiego pośmiertnych. Autor w późniejszych latach do druku wcale już oddawać go nie zamierzał, co widać stąd, że jeden ustęp z niego prawie dosłownie jest wcielony do Beniowskiego. — Pierwotny tytuł był: Podróż z Neapolu do Ziemi Świętéj. Zamieniliśmy to na nieco ogólniejszy napis: „Podróż na Wschód“, z powodu że o Ziemi świętéj nic jeszcze w tych sześciu pieśniach nie ma.—

Wspomniałem wyżéj, że w piérwszych czasach pobytu Słowackiego w Florencyi było jego zamiarem wyjechać do Paryża już z wiosną roku 1838. Do tego nie przyszło. Cały ten rok 1838 przesiedział poeta nasz ciągle jeszcze w Florencyi, tak iż cały czas życia jego w tém miejscu doszedł ostatecznie przeciągu blisko 18 miesięcy. Jednym z głównych powodów tego odraczania

wyjazdu do coraz dalszych miesięcy był właśnie ten o Podróży poemat, a raczéj pewien brak natchnienia i zapału, który ukończenie jego opóźniał i utrudniał. Oto, co o tém znajdujemy w liście z dnia 2 kwietnia 1838 r.

... „Korzystałbym natychmiast z wolnych skrzydełek, aby przelecieć kawałek błękitnego morza, dotknąć piórami szczytu Alp śnieżystych i powędrować jeszcze daléj, gdyby mię nie zatrzymywały tu jeszcze niedokończone moje prace; przyrzekłem bowiem sobie, że z próżną teką nie pojadę do wielkiego miasta piszących waryatów. Doznaję prawie wyrzutów sumienia, żem dotąd nic ani o piramidach ani o grobowcu Chrystusa nie napisał. Ale jak mówi dawna piosneczka: serce nie sługa — nie zna co to pany itd. tak i ja o mojéj imaginacyi powiedzieć mogę. Zrobiłem spostrzeżenie, że dla nas ludzi z pod północnéj gwiazdy niedźwiedzia, Włochy są antyimaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy (?) bawiący tu dawniéj przez lat kilka, nic nie napisał — i dopiero przybywszy między błędne żórawie, zaczął śpiewać i rymy lać obficie. Z tego wnoszę, że imaginacyi potrzebne jest ojczyste, a przynajmniéj zbliżające się do ojczystego powietrze; potrzebna jest także atmosfera napełniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych; potrzeba nareszcie trochę poklasków, trochę cienia drzew niepospolitych i smutnych, jakiemi są laury, a w niedostatku tych, sosny i jodły litewskie. Tego wszystkiego braknie tu. Więc dobranoc marzeniom“...

To niekorzystne pod poetycznym a raczéj kreacyjnym względem mniemanie o Włoszech wypowiadał Słowacki już i przed wyjazdem swoim do Grecyi, jeszcze w listach z Neapolu pisanych. Musiało to zatém być u niego spostrzeżenie przydłuższém doświadczeniem stwierdzone. I teraz, we Florencyi, często w tenże sposób określał swoje usposobienie.

„Cokolwiek bądź (pisał d. 19 maja 1838), muszę się wyrwać z téj dżdżystéj Florencyi, chociaż tu raj prawdziwy dla ludzi ze szczupłym dochodem, ale raj materyalny — prowadzący za sobą dziwne uśpienie władz umysłowych. To dziwnie, że ja, co ze łzami prawie wyjeżdżałem z libańskiego klasztoru, gdziem tylko dni 40 jak na pokucie przesiedział, a takiéj wyjeżdżając doznałem tęsknoty, jak gdyby miło mi było życie z tymi dobrymi mnichami przepędzić, czuję, że z Florencyi bez żadnego żalu wyjadę! Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało mię do siebie, choć

bardzo ładne i poetyczne. Osoby mi przyjazne nie utonęły mi w sercu, słowem, jestto dla mnie dziwny fenomen — ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode być musi. Chciałbym się znów odhartować w jakiéj nauce suchéj i dającéj mi codzień nowe zagadki, jak matematyka. Ten kto doznał przesycenia idealnych marzeń, zrozumie i pojmie tę żądzę. Tęskno mi prawie za najsuchszemi godzinami życia, za moją niegdyś biurową pracą. Zdawaćby się prawie mogło, że władza moich zachceń zwaryowała. Lecz dosyć tego, boję się bowiem, abym pisząc tak, nie zasłużył na te smutne: „a dobrze ci tak!“ „a na co...?“ Skończ sama, droga moja, tę wymówkę, na co poleciałem jak pliszka nad szerokie morze, kiedy dosyć szerokie były dla mnie stawy trzciną obrosłe, i na co się zakochałem w Wenerze Medycejskiéj? na co się zapatrzyłem na posąg Danta stojący w Santa Croce — dla czego pokochałem orły gubiące się w szczelinach lawin szwajcarskich — na co strząsałem owoce Hesperyd na pomarańczach wschodnich rosnące, kiedy mogłem tylko spokojnie iść do Żołobów albo pod Łysą Górę i strząsać sobie przezroczyste wiśnie w naszych rodzinnych ogrodach? Wyszedłem był na szeroki gościniec, i ten mię odprowadził daleko, nie wiedzącego, gdzie idę; a teraz wędruję przy blasku słońca umarłych... Niech mi Twoje błogosławieństwo towarzyszy! Życie jedno stracone jest tak małą rzeczą, że nie warto żałować, kiedy stracone na niczém.“

Tak pisywał w napadach melancholii i zniechęcenia. W innych chwilach inaczéj on sądził jednak o kolejach swego żywota.

...„Jak mię też Bóg wysłuchał! Ja go zawsze dzieckiem prosiłem, aby mi dał poetyczne życie. To też on wszystko tak klei, żeby serce moje napełnił najpoetyczniejszemi wrażeniami. Prowadzi mię po błękitnych morzach, nad brzegami wód spokojnych i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid“...

„O! wiele ja miałem cudownych chwil w życiu! Na co więc ta gorycz, z jaką czasem piszę o stanie mojéj duszy? Gwiazda, co mi świeci, piękniejszą jest od wielu innych“... (z listów z d. 3 października i 21 sierpnia 1837, z Florencyi).

— Dodajmy teraz do tego wewnętrznego wizerunku poety w ciągu jego pobytu we Włoszech, kilka rysów towarzyskiego pożycia, jakie go otaczało.

Oprócz Zaidlera, z którym się we Florencyi dopiero poznał i w domu jego zamieszkał, oprócz Zenona Brzozowskiego, towarzysza podróży, który na czas krótki pojawił się tu znowu, zastał on tu znajomą sobie jeszcze z czasów rzymskich rodzinę hr. Hermanostwa Potockich. Do tego przybyło jeszcze poznajomienie się z hr. Zdzisławem Zamojskim. Z Potockimi robił niekiedy wycieczki w przyległe okolice. Z panem Zdzisławem miewał rozmowy — jak się wyraża — podobne do platońskich. Oprócz tego bywał też czasem w domu księżnéj Survilliers, i u pani Komar, która spędzała tam wtedy zimę z córkami.

O księżnéj Survilliers jest kilka zajmujących szczegółów w listach Słowackiego do matki, które tu przytaczam.

„Księżna Survilliers spotkawszy mię raz na ulicy z Hermanem Potockim, żądała aby mię ten ostatni jéj prezentował, i musiałem więc z nią w karecie siedzącą zrobić znajomość. Jestto córka Józefa (Bonapartego, brata Napoleona I), a wdowa syna Ludwika — mała osóbka — bardzo mała — z twarzą dosyć przyjemną — bardzo bogata — bardzo wielka amatorka sztuk pięknych — dosyć dowcipna, ale czasem nieśmiała w rozmowie, przynajmniéj ze mną. Jestto jedyny dom florencki, gdzie bywam“...

„Co środy znajduję tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia. Jedni rysują szkice, drudzy gadają o literaturze, o sztukach pięknych. Muzyka tylko tam nie wchodzi. Dobrze! Bo gdzie muzyka się wciśnie, zwłaszcza we Włoszech, to zaraz bierze górę i staje się panem zgromadzenia i zamyka usta i głowy zasklepia. U Włochów pierwsza Cantatrice — *c' est un grand homme!* Innéj wielkości nie znają na ziemi, tylko wielkość gardła.“

Daléj Słowacki żartobliwie dodaje:

„Tytuł mój wojażera egipskiego, pielgrzyma do Ziemi świętéj, bardzo mi teraz pomaga w towarzystwie. Mogę czasem poprawiać Lamartina — czasem nadawać sobie trochę kolorytu i postawy rycerzy Tassa — czasem robić się mistyczną anegdotą, rodzajem Giaura — czasem karykaturuję siebie, włażąc na kark wielbłąda — słowem że wyciągam różnymi sposobami korzyść z odbytych wędrówek, które i w samotnych moich godzinach bawią mię, jak sen piękny“... (z listów z d. 24 listopada 1837, z 22 lutego i 2 kwietnia 1838 r.).

Z powyższéj wzmianki o przecenianiu muzyki w Włoszech możnaby wnosić, że Słowacki był jéj nieprzyjacielem. Zapewne, nie był on ani entuzyastą ani też wielkim mistrzem w téj sztuce; niemuzykalnym jednakże nie był, owszem sam nawet pielęgnował muzykę. Miewał w mieszkaniu swojém zawsze najęty fortepian i niejednę szarą godzinę wygrywaniem na nim zapełniał; a jeżeli kiedy, to właśnie w pierwszych miesiącach po powrocie z podróży wschodniéj wiele czasu na to poświęcał.

„Całe godziny teraz gram z nót na fortepianie (donosił np. w liście z d. 3 października 1837) i bardzo w muzyce postępuję. Zacząłem ją lubić i nabrałem cierpliwości. Wziąłem abonament na nóty i coraz nowe przegrywam. Muzyka i moje umysłowe prace zabierają mi dzień i wieczór cały“...

Kilka miesięcy późniéj (d. 2 kwietnia 1838) donosił, że przez ciąg zimy wielkie poczynił postępy w czytaniu nót; dodaje jednak następujące wyrazy:

„Przeklinam Foka (był to niegdyś jego metr muzyki w Wilnie), że mię gamy, prostéj gamy nie nauczył. Biegłości mi płynnéj braknie i dla tego ludzie, którzy się na czuciu nie znają, a tylko sypanie grochu w grze lubią, nic nie pochwalą w moim melodyjnym talencie. Czy znacie koncert z Krakowiaka Chopina? Prześliczny! ale trudny jak dyabeł“...

Ale ażeby wrócić do głównego przedmiotu, t. j. do stósunków Słowackiego z towarzyskim światem florenckim: dodajmy, że chociaż mu tam na znajomych domach nie brakło, w których i często bywał i mile był widziany, rodzaj ten życia wcale jednak mu nie wystarczał.

„Od niejakiegoś czasu — pisał d. 2 stycznia 1838 — dałem się wciągnąć mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co mię męczy i nudzi. Żałuję, żem został na zimę we Florencyi; nic bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych“...

„Braknie mi tu bardzo towarzystwa młodych ludzi. Nie mam z kim żyć po przyjacielsku, a ci, o których wyżéj wspominam, choć są bardzo dobrze ze mną, tyle wad mają i taki niedostatek w uczuciowych skarbach, że zawsze między nami są progi do przejścia i nigdy ich nie przestąpimy.“ (d. 24 listopada 1837).

Niekorzystne to mniemanie o rodakach, którzy z nim mieli znajomość i życzliwi byli dla niego, w tém zdaje mi się miało głównie przyczynę, że mierzył ich wszystkich podług skali najmilszego sobie ze wszystkich swoich przyjaciół, podług skali genialnego Zygmunta. Często się myślą przenosił w czasy, kiedy wspólnie obydwaj bawili w Rzymie. Nie było wtedy Krasińskiego we Włoszech — przepędzał zimę z roku 1837 na 1838 w Wiedniu. Stósunki między nimi były utrzymywane tylko listownie.

„Zenonek czasem mi z Wiednia hieroglifami o swoich zabawach pisze. Z téjże saméj stolicy przychodzą mi milsze listy od przyjaciela niegdyś mojego w Rzymie, który mi przypomina przechadzki po willi róż *), marzenia w Kolizeum i wszystkie inne smutne spacery po ruinach Cezarów.“ (d. 24 listop. 1837).

„Nie mam tu zachęcenia do pracy, nie mam porady. Nie mam nawet jednéj osoby, któréjbym się mógł zapytać, czy moje dziecko głupie jest czy rozumne; albowiem sobie nie wierzę i niespokojny jestem... Nie mam nikogo, coby mię ożywił — i podniósł trochę. Żal mi, że nie mam tu Zygmunta K., którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki“...

...„Serce moje znów się napełnia jakiemiś nieograniczonemi zachceniami (pisał w listach z października i z następnych miesięcy r. 1837); dziwna jakaś, czcza melancholia dręczy mię. — Chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim... Teofilowie już Ci musieli powiedzieć, droga moja, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia! Gadaliśmy z nimi o tém nieraz, siedząc na balkonie domu św. Łucyi w Neapolu, czekając aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez morską zatokę. Otóż znów rok przeszedł cały, a ja się nie kocham... Co to będzie? — Poznałem tu ładną jak anioł Amerykankę, i to był kamień probierczy mojego ostygłego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Niagary — podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem zachwycić ognia z jéj błękitnych oczu: kiedy mię odstręczyła od niéj jéj ciągła wesołość — ciągły prawie uśmiech na rozkwitłych ustach. Włożyłem więc znowu jak ptak głowę pod skrzydło i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne“...

*) Willa Mills na Palatynie.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Snów tych marzących przedmiotem nie była już jednak uwielbiana tyle w Genewie przed kilku laty Marya W. Oddalenie i co do czasu i co do miejsca, ujęło jéj wspomnieniom wiele uroku w wyobraźni Juliusza. A mylne doniesienia, którym on dawał wiarę, zamieniły życzliwość dla niéj nawet w zupełną obojętność. Już więc zdolny był mówić o niéj spokojnie — nawet zimno — prawie powiedziałbym złośliwie!

...„Mówią, że się Chopin z Maryą W., a niegdyś moją Maryą ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie jak dwie krople podobny. Jak to sentymentalnie, pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują się w takiém zdarzeniu — i podług Suedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się jeden anioł po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy. Wolę się do innéj jakiéj światłéj istoty w niebie przylepić. Dla niéj dosyć — Orfeusza! Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki“... (z listu z d. 2 kwietnia 1838).

W parę miesięcy potém ocknęły się znowu w Słowackim nadzieje i uczucia, na brak których w sercu swojém tyle się skarżył. W ciągu lata r. 1838 przybyła do Florencyi zamożna pewna rodzina z Podola czy Ukrainy, złożona z czterech osób, z ojca, matki, córki i jakiéjś już w dojrzalszych latach kuzynki. Córce, która nas tu głównie interesuje, było na imię Panna Aniela. Otóż do niéj to były późniéj napisane owe dwa cierpkie Sonety z napisem: „Do Anieli M.“ drukowane dopiero pomiędzy pośmiertnemi pismami, w tomie I. Jakkolwiek cały ten epizod w życiu Juliusza pozostał bez konsekwencyi, dla samego jednak choćby tylko wyjaśnienia rzeczonych sonetów przywiodę tu ustępy z jego korespondencyi, mające związek z tą rzeczą. Znajomość z państwem M. zrobił Słowacki w czasie, gdzie się już na dobre zabierał do wyjazdu z Florencyi. Wyjazd właśnie w skutek tego znowu się odwlekł. Otóż, co pisał właśnie z tego powodu w liście z d. 21 sierpnia 1838 r.

„Znalazłem ludzi, którzy mię lubią, kochają i chcieli zatrzymać; więc jeszcze na jakiś czas zostanę. Tymi ludźmi przyjaznymi jest dom M....., kuzynów Z. i ta panienka, od któréj on odebrał niegdyś rekuzę, która go w me-

lancholią i w dalekie kraje zagnała. Sam stary M. dobry i wiele gadający człowiek, do tyla mi robił grzeczności, że nareszcie przełamał mój zwyczaj samotnika i przyzwyczaił mię do tego, że co wieczora prawie z nimi na gawędzie czas trawię. Żona jego dla interesów pojechała tu stąd na Ukrainę i chciała bardzo być w Krzemieńcu, aby Ciebie poznać i o mnie Tobie mówić. Czy jéj droga przez nasze miasteczko wypadnie, nie wiem; ale jeszcze kilka dni temu, M. mówił mi, że od Ciebie droga spodziewa się upoważnienia, aby wziął nademną opiekę i rząd samowładny.... Nawet pani M., dla wszystkich dość zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem. Kuzynka ich, panna Helena, w wieku już, nabożna i słaba, także się uśmiecha, kiedy przychodzę. Słowem, jakżem miał wyjechać, kiedy może w Paryżu nie znalazłbym nikogo, coby mi sprzyjał, a tu są tacy, co mię z otwartemi rękami przyjmują?“

O wszystkiém tedy i o wszystkich matce donosił, tylko nie o osobie, którąby była mogła właśnie najwięcéj ją zaciekawić. Uzupełniając rzecz z ulotnych wzmianek, rozrzuconych po innych listach, spróbujemy my z naszéj strony dodać tu wizerunek panny Anieli. Była to panienka zajmująca — nie tyle piękna, ile miła i kształtna — bardzo starannie wykształcona i co nazywają myśląca; ale... że użyjemy słów własnych korespondencyi, „strasznie popsuta“, albowiem była to p a n i w domu, samowładnie rządząca nad ojcem i nad matką. Poecie naszemu okazywało całe jéj mimowolne postępowanie, że musiała ona nim być zajęta. Uważały to i osoby dalsze, bywające w tym domu. Każde jego przyjście sprowadzało rumieniec na lica panienki. Widząc przychylność całego domu ku sobie i tak życzliwe usposobienie w osobie, która i na nim, ile ze wszystkiego wnosić, korzystne od piérwszéj chwili sprawiła wrażenie, zaczął się Juliusz panną Anielą coraz żywiéj zajmować. Że jednak miała ona różne też swoje słabostki, których jako baczny obserwator nie mógł nie widzieć, trzymał więc uczucia i kroki swoje na wodzy, namyślał się, doświadczał, zwłóczył, tak iż postępowanie jego mogło się wydawać chłodném i chwiejném. Mimo wszystkich oznak przywiązania ze strony panny, a grzeczności ze strony rodziców, czegoś on temu wszystkiemu, co niby widział, niezupełnie jeszcze dowierzał, choć powia-

da, że były wyraźne kroki ze strony trzecich osób, które go zachęcały, ażeby jawnie i stanowczo w roli konkurenta wystąpił.

„Może to był sen i przywidzenie z mojéj strony; ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna płonęła, a ja nie wiedziałem, co myśleć“...

Dalszego wątku tych stósunków nie podejmuję się dopowiedzieć czytelnikowi, szczegóły bowiem w listach o tém nie dają dokładnego wyobrażenia. Zdaje się, że wmięszanie się w rzecz nieproszonych przyjaciół, intrygi jakieś, w części może uwięzienie wuja Juliusza, które zaszło na Wołyniu właśnie w ciągu tego stósunku, a przedewszystkiém owo zbyt wyczekujące zachowanie się konkurenta w obec panny z wyobraźnią nieco exaltowaną, pozwoliło przeminąć chwili najsposobniejszéj i nadało myślom p. Anieli taki późniéj kierunek, iż się wszystko między nimi skończyło ostatecznie na niczém. Słowacki wyjechał potém do Paryża; ona z rodzicami pozostała jeszcze na rok następny pod niebem włoskiém i — rzecz dziwna, umarła we Florencyi w kilka miesięcy po wyjeździe Juliusza. —

„Może z mojéj strony było nadto dumy, która się téj panience mogła opieszałością wydawać; gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby dlaczego tak nienatarczywie starałem się o nią. Ona miała miliony, jam nie mógł jéj nic dać nawzajem. Ale to już przeszło. Ona mię teraz widzi z nieba — bo już nie żyje!..

...„Przyznam Ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jéj śmierci dowiedział, cierpiałem. Bo choćby to było u niéj chwilową tylko myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jéj to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jéj dopełniła obrazu. Ileż razy teraz chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jéj cień rumieni i spuszczając oczy przede mną pyta się: dla czegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach“... (Z listu już pisanego z Paryża, d. ? listop. 1839 r.).

Powyższe doniesienia o śmierci p. Anieli przeniosły nas mimowolnie w czasy Słowackiego paryskie. Jeszcześmy jednak do nich nie doszli. Cofnijmyż się zatém myślą teraz o rok cały na-

powrót, ażeby dopełnić wizerunku zajęć jego florenckich, w ciągu roku 1838.

Właśnie w czasie piérwszéj swojéj znajomości z rodziną M., przystąpił był Słowacki do urzeczywistnienia wspomnianego już powyżéj zamiaru, odezwać się wreszcie znowu jako autor publicznie występujący i w szybkiéj kolei wydawać teraz jednę pracę po drugiéj. Od czasu ogłoszenia Kordyana (1834) aż do owéj pory, czytająca publiczność prawie zupełnie go była straciła z oczu. Chodziło o to, żeby złożyć teraz przed nią cały snop plonu usiłowań czteroletnich i nieprzerwanych, choć podejmowanych w ukryciu, i zająć jako pisarz miejsce sobie należne. Słowacki miał wtedy chwilowy zamiar, przenieść się właśnie z tego powodu do Paryża niezwłocznie, i pisał pod wpływem tego postanowienia do matki dnia 10 lipca (1838), co następuje:

„Wyjeżdżam 25 tego miesiąca do Paryża, albowiem wysłałem tam przedemną jedno moje maleńkie dzieciątko, które już w tych dniach musiało się na świecie pokazać. Nie wiem, jaki będzie los jego i bardzo ciekawy jestem, czy mu się powiedzie na świecie, zwłaszcza że mu zamierzam wkrótce za przyjazdem nowych dać braciszków. Piérwszy z tych chłopczyków, którego już puściłem z opieki, nazywa się Anhelli. Melancholiczną i trochę chrystusową ma twarz — wielką prostotę w ubiorze — i niepodobny jest do niczego. Zaczynam więc znów życie mniéj opasłe. Więcéj dla mnie ciekawe będą dni i godziny. Interesują mnie także moi dawni znajomi, których od pięciu lat nie widziałem. Jeżeli źle mi będzie pomiędzy nimi, uciekam znów w góry alpejskie lub pirenejskie, i osiadam w nich na zawsze, jak pustelnik.“

Zapowiedziany wyjazd Słowackiego z Florencyi już w ciągu lipca, nie przyszedł wprawdzie do skutku, z wiadomych nam już przyczyn; nie przeszkodziło to jednakże wyjściu z pod prasy owego dzieła w najbliższym czasie. Imię autora tym razem było wyrażone na tytule. Takowy brzmiał krótko:

„Anhelli — przez Juliusza Słowackiego.“ Paryż, 1838. 12° str. 108. — Przedmowy żadnéj.

Kiedy Słowacki ujrzał przysłany sobie do Florencyi pierwszy exemplarz téj książki, donosił o tém w wyrazach, które żywo

przypominają i radość jego i ową przesadnie szczęśliwą pewność siebie, wzbudzoną w nim za ukazaniem się dwóch pierwszych tomów „Poezyi“, wydanych przed sześciu laty w drukarni panny Kory.

„Przedwczoraj (powiada w liście z d. 21 sierpnia 1838) miałem dzień miły dla mnie. Oto przysłano mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo i o którém zaręczano mi, że mu się dobrze powiedzie. Odebrałem je z rana w niedzielę — więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie; ale mię coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać spiesznie; ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiéj, ciemnéj, pustéj katedry i stanąwszy w pośrodku, zacząłem myślcć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!... Potém poszedłem do M. pochwalić się, i jadłem z nimi obiad, wesoły jak rzadko bywa i dosyć kontent ze świata. — Chrzciny tego nowego dziecka bez żadnego kosztu obeszły się, albowiem uprzednie moje na niego zapracowały — i jeszcze mi coś zostało.“

Już w parę miesięcy potém — w drugiéj listopada połowie — wyprawiony został do Paryża do druku drugi rękopis. Byłto „Poemat o Piekle“, a zatém ostatnie, najświeższe dzieło ze wszystkich, jakie naówczas autor miał w tece. Ofiarował je w przypisaniu „Żałosnéj ludu polskiego Wdowie“, a rozumiał przez te słowa miasto Warszawę. Kilka wierszy stanowiących właśnie tę dedykacyą, na piérwszéj karcie poematu, mają podpis „dnia 15 listopada 1838 r. z Florencyi“. Była to niezawodnie data dnia, w którym rękopis był oddawany na pocztę. Książka została odbita i weszła w obieg księgarski zapewne z końcem jeszcze tegosamego roku, chociaż zwyczajem księgarskim położono na tytule cyfrę roku następnego. Cały tytuł był taki:

Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o Piekle, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. Format 12°.

Zwyczajem moim nie mogę udzielić czytelnikowi o tém dziele żadnéj osobistéj wzmianki autora zaczerpniętéj z jego poufnych zwierzeń. Piérwsza to publikacya, o któréj najgłębsze milczenie w całéj jego korespondencyi. Dzieło samo nie było tego powodem, lecz zdarzenia uboczne. Listy Słowackiego ukazują w tém miejscu przerwę i to nader znaczną. Od 21 sierpnia 1838 aż do 24 czerwca 1839, a zatém przez całe 10 miesięcy, nie odebrała matka poety ani jednego słowa od syna. Powodem tego milczenia była ta okoliczność, że w jesieni 1838 r. brat jéj Teofil dla jakichś podejrzeń o winy polityczne w domu własnym na wsi na Wołyniu został aresztowany, a następnie wyrokiem sądów wojennych wskazany na wygnanie. Jako miejsce wygnania była mu naznaczona Perma w głębokiéj Rosyi. Ściągnęło to, jak się samo rozumie, i wszelkiego rodzaju nieprzyjemności i niemałe straty materyalne na tę całą rodzinę. Pani Becu była z tego powodu trzymana przez 5 miesięcy pod śledztwem w Kijowie, i nie mogła od owéj chwili już utrzymywać stósunków z synem. I Juliusz, któremu wiadomość o tém wszystkiém doniesiono z boku natychmiast, nie śmiał jako wychodziec listami swymi kompromitować matki i zawiesił z tego powodu zupełnie korespondencyą. Tak więc niepodobno mi jest udzielić bliższych szczegółów o stósunkach i krokach mego poety, o ile takowe przypadają na przeciąg rzeczonych 10 miesięcy.

Piérwszym, który mu przywiózł tę smutną z kraju wiadomość, był Zygmunt Krasiński. Przybył on do Florencyi w miesiącu październiku (1838) i pocieszał w téj ciężkiéj niedoli jak mógł, biednego towarzysza swojego, dopóki tenże bawił jeszcze we Włoszech. Ile mu wdzięczny był Juliusz za tę jego serdeczną przyjaźń, o tém najlepiéj przekonywa wiersz wtedy napisany do niego, w chwili kiedy wyjeżdżał już z Florencyi. Wiersz ten, przez niedopatrzenie niezamieszczony w zbiorze pism jego pozgonnych, był następujący:

DO ZYGMUNTA.

„Żegnaj, o! żegnaj archaniele wiary,
Coś przyszedł robić z mojém sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświetlił — by nie poszło w trumnę
Ani spokojne mniéj, ani mniéj dumne.

„Więc gdzieś, daleko, u boskiego celu
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!
A dla mnie pokój dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba — spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą morderce,
Lecz jeśli walka jest: — dałeś mi serce!

Florencya 4 grudnia 1838.“

Na zakończenie rozdziału, w którym chciałbym wyczerpnąć wszystko, co tylko miało związek z pobytem Słowackiego we Florencyi, przejdę od biografii do krytyki. Powiedziało się wyżéj, że na czas ten florencki przypada ogłoszenie dwu tomików, nakładem własnym autora drukowanych w Paryżu. Tu pora zastanowić się nad tém, co się w takowych mieści. Poemat Piasta Dantyszka o Piekle przejdę milczeniem. Nie jestto utwor z liczby celniejszych. Nie daje powodu ani do szczególnych pochwał ani też do ujemnych wywodów takich, którychby każdy czytający sam sobie nie potrafił utworzyć. Poemat ten i w pierwszéj chwili małe sprawił wrażenie i późniéj nie potrafił zjednać sobie rozgłosu. W tym razie zgadzam się i ja najzupełniéj z wyobrażeniami o tém ogółu. To jedno mógłbym chyba dodać do nich, na podstawie bliższego obeznania się z życiem ówczesném Juliusza, że praca, o któréj tu mówimy, była że tak powiem okolicznościowa, wywołana samą miejscowością jego ówczesnego pobytu. Była to rzecz pisana w stanie ducha mniéj podniosłym.

Natchnienie prawdziwe nie dawało tu poecie tych skrzydeł, na których w innych czasach wznosił się nieraz w najwyższe sfery twórczości. Byłto więcéj płód woli i rozmysłu, niż bezpośredniego rzutu fantazyi... To też, właśnie z przyczyn powyższych, nie nastręczają się z okazyi tego poematu do powiedzenia ani nawet takie uwagi, któreby choć ubocznie mogły mieć jakąś ważność przy określeniu kierunku i stanowiska poety w czasie, kiedy to pisał. Inaczéj za to ma się rzecz z drugą jego publikacyą z czasów florenckich, pochodzącą z lat, kiedy przemieszkiwał jeszcze w Genewie. Nad nią warto zastanowić się nieco dłużéj.

Pospolicie spotyka wszystkie Słowackiego utwory zarzut, że są zbyt trudne do rozumienia. Po dokładném rozpoznaniu osobistych okoliczności, dotyczących poety, mniemana niezrozumiałość dzieł jego okaże się przesądem. Prawdziwie uzasadnionym pozostanie powyższy zarzut tylko w obec jednego poematu. Tym poematem jest Anhelli. Nie wiem czy jest, czy był kto dotąd tyle szczęśliwy, żeby się mógł pochwalić, że w nim na wskróś przeniknął cały autora zamiar. Pomimo tego — rzecz dziwna! — nieprzystępność i niejasność w całym Anhellego układzie doznaje w wyjątkowy jakiś sposób szczególnéj pobłażliwości u wszystkich. Cudny język, dziwnéj czystości formy, kilka postaci wymarzonych z niezrównaną poezyą i te ustępy poszczególne, tu i owdzie po całém dziele rozsiane, które już same przez się zostawiają jakiś smętny obraz w myśli czytającego, wystarczyły Anhellemu za przepustkę w charakterze jednéj z najlepszych kreacyi.

Zygmunt Krasiński, kiedy się dowiedział o śmierci Słowackiego, pisał do przyjaciół jego w Paryżu zajętych właśnie pogrzebem: — „Połóżcie mu napis na grobie: Autorowi Anhellego, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe.“ — Ze słów tych widać, że autor Irydyona najwyżéj stawiał Anhellego między wszystkimi utworami zgasłego przyjaciela. A skoro tak wysoko dzieło to cenił, zdawałoby się, że je musiał i doskonale rozumieć. Czy je rzeczywiście rozumiał? o tém zdania mogą być różne. Odzywał on się i w rychlejszych już latach, za życia jeszcze Juliusza, po kilka razy i przy różnych sposobnościach w podobny sposób o tym utworze. W liście

do Romana Z. (Załuskiego?*) wprost nawet dotknął punktu, o który nam tutaj chodzi. — „Na żaden sposób (tak się list rzeczony zaczyna) nie mogę uznać za prawdę i słuszność niesprawiedliwości wyrządzonéj przez publiczność Juliuszowi. Zapytam się: w czém go nie rozumieją? Ty piérwszy powiédz mi, czegoś w nim nie rozumiał?“... I mówiąc w dalszych wyrazach z tego właśnie punktu widzenia o niektórych jego pismach z osobna, mianowicie o „Trzech Poematach“ i Balladynie, tak pisze daléj: — „Teraz o Anhellim. Zaprawdę potrzeba potęgi uroczéj, genialnéj, nadzwykłéj, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się jakby Eden melancholijny. Wiesz że mówią, iż czasem duch samobójstwa niesłychane obiecuje rozkosze, szepce do ucha i łudzi i nęci i porywa. Otóż piekło Sybiru nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem“...

Czy te słowa — zresztą tak poetyczne, przekonywają o tém, że ten co je pisał, wnikał w wewnętrzną myśl Anhellego: o tém sąd pozostawiam czytelnikowi. Podobnie ogólnikowéj tylko treści są i uwagi Krasińskiego o Anhellim wyrzeczone rok późniéj w artykule o Słowackim, danym do Tygodnika**). Więcéj wprawdzie szczegółowe były myśli jego o tém udzielone K. Gaszyńskiemu w roku 1838 z Wenecyi***): jednakże i one żadną miarą nie wystarczają na to, żeby nam dziś wytłómaczyć, dlaczego Krasiński stawiał tak wysoko poemat, z którego, jak widzimy, równie nie byłby umiał zdać sprawy dostatecznéj, jak wszyscy.

Był snać w owém pokoleniu poetów jakiś dziwny pociąg do tajemniczości w artyzmie, tak iż mglista zagadkowość dzieł poe-

*) List ten był pisany w r. 1840 dnia 13 maja w Rzymie. Ogłoszono go w Dodatku Czasu 1859 r. w zeszycie na miesiąc marzec.

**) Tygodnik Literacki poznański, rok 1841, str. 181.

***) Obacz Wyjątki z listów Z. Krasińskiego, strona 43.

tyckich nie była poczytywana za ułomność, lecz raczéj przydawać miała uroku częściom obrazu więcéj wydobytym na światło. Co tonęło w pomroku, choć nie przemawiało do oka, mówiło do wyobraźni. A ta po swojemu — u każdego czytelnika inaczéj — dopełniała tego, co w obrazie było zakrytém. Nie chodziło o to, co poeta zamierzał, ale co się dawało marzyć nad książką, w duszy własnéj. Było to, jak z utworami muzyki, które także wzbudzają myśli w słuchaczach, ale zazwyczaj w każdym inne i aż do pewnéj granicy zupełnie dowolne...

Nie stósuję jednakże tego, co tu mówię, do całéj osnowy Anhellego. Jest w tém dziele dobra połowa szczegółów, w których się mieści świadomy zamiar poety. Spróbujmy, czy nie potrafimy choć tę część poematu odsłonić.

Ażeby to ułatwić, powiedzmy sobie przedewszystkiém, że autorowi bynajmniéj nie chodziło w Anhellim o krainę sybirską, choć z niéj zrobił pozorną scenę swojéj powieści, ani też o stósunki wygnańców i osiedleńców sybirskich. Ktoby to wszystko chciał brać dosłownie, musiałby co krok sprzeczać się z poetą, wytykając mu to nieznajomość przedmiotu, to brak podobieństwa do prawdy. Zaraz na samym początku poematu czytamy, że przyszli wygnańcy w liczbie około 1000 osób na ziemię sybirską i zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać w nim razem w zgodzie i w miłości braterskiéj. A kiedy już dom ów stanął, wtedy każdy zajął się swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli aby ich nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny... Słowacki wprawdzie osobiście nie znał Sybiru; ale równie jak każdemu z nas, nie mogło i jemu nie być wiadomém, że ani pierwsze, ani drugie pomiędzy wygnańcami zasłanymi do téj krainy żadną miarą nie mogłoby być praktykowaném. — Również nie miałaby sensu w znaczeniu dosłownem ta cała scena z dziećmi i popem na tatarskim koniu siedzącym, która jest opisana w rozdziale IIIcim (wydanie lipskie, str. 109). To jest obraz rzeczywistych stósunków, lecz nie pod niebem sybirskiém. — Podobnie nie słyszał też nikt w Sybirze „o turmach i o wtrąconych do nich więźniach, których twarze smutne i blade patrzą się przez kraty

w niebo“ (rozdział IV str. 111). Cały ten ustęp wzięty jest niezawodnie z rzeczywistego życia, lecz do sybirskich stósunków to nie przystaje. — Scena ukrzyżowania trzech fanatyków, z których każdy przez własnych ziomków zostaje przybitym na krzyż za swoje mrzonki (rozdział X str. 126 i 127) — i to są znowu rzeczy, których na Sybirze nawet rozbujała wyobraźnia poety nie będzie śmiała umieszczać, — chyba w allegorycznem znaczeniu, w sensie symbolicznéj przenośni.— W drugiéj połowie XIgo ustępu (str. 131 — 133) ukazuje autor wstającą z grobu w kształcie płomienia postać biskupa, którego kości pogrzebane są w śniegach sybirskich. Ze słów, jakie biskup ten mówi do Anhellego, widzi każdy, że to Sołtyk. Mieliżbyśmy przypuszczać, że to pomyłka poety? Nie miałożby być i Słowackiemu wiadomém, że grób Sołtyka znajduje się na Wawelu, a miejsce wygnania jego było z téj strony Uralu?..

Mógłbym to dowodzenie znacznie przedłużyć; myślę jednak, że i to, co powiedziałem dotąd, wystarcza, ażeby przyjąć za punkt wyjścia w rozbiorze niniejszym przypuszczenie, że w Anhellim przez Sybir i przez wygnańców sybirskich rozumieć koniecznie trzeba co innego, jak to co na razie sam brzęk słowa nasuwa. —

Poeta daje widocznie w dziele obecném wizerunek doli całego narodu, przegląd wszystkich jego stósunków, obraz i cierpień, które znosimy od drugich, i win, jakie sami przeciw sobie popełniamy. Sybirem podobało mu się nazwać całe nasze położenie społeczne. Obejmuje więc w tym wyrazie kraj nasz cały przedewszystkiém, a potém emigracyą z r. 1831, nakoniec i wszelkie strony świata zaludnione wygnańcami polskimi, nie wyłączając zresztą z liczby takowych także i pustyń sybirskich.

Upatrywaćby można w tém wszystkiém coś artystycznie niewłaściwego, coś... że powiem, naciągniętego. Użyty symbol słabo odpowiada podłożonemu sobie znaczeniu. Odnieść to należy na karb osobistych też jedynie okoliczności poety, że użył téj właśnie formy. Anhelli był pisany w Genewie. Stała Słowackiemu wtedy ciągle przed oczyma owa olbrzymia biała góra, o któréj mawiał w listach swoich, że „jest podobna do snycerskiego po-

sągu sybirskiéj krainy". Ten widok codzienny zakutego w lody i śniegi Mont-Blanc, odbity w wyobraźni, przyjął w się zwolna wszystkie medytacye poety o ojczyźnie i o rodzinie, o szczęściu którego nie zaznał, o samotności, na którą był wskazany... Z czasem w duchu jego tak się jedno i drugie zlało, że mu się już czuć nie dawała niepokrewność i nawet sprzeczność między tłem a obrazem, między formą a rzeczą samą. Obydwie strony w fantazyi jego spłynęły w jedność, nierozłącznie spojoną. Owinęło się zaś około téjże jeszcze i coś trzeciego, co także było tylko skutkiem przypadkowych owoczesnych osobistych stósunków: — mówię o stylu biblijnym, jakim jest napisany Anhelli *).

Odnosząc Anhellego w taki sposób do symbolicznego rodzaju poezyi, uważam za potrzebne rzucić tu mimochodem jeszcze tę ogólną uwagę, że symbolika w sztuce może być dwojaka. Mogą w jéj zakresie być same takie tylko przenośnie, które ściśle wyobrażają myśl sobie podłożoną i po za granicę téjże myśli wcale nie przesięgają. W takim razie ruch i kształty użytych form symbolicznych stósują się wiernie i niewolniczo do wewnętrznego swego znaczenia. Wszystko w nich tém znaczeniem przesiąkło, a po za okręg tego znaczenia ani krokiem już daléj pomysł symboliczny nie idzie. To jest symboliczność ścisła — łatwa wprawdzie do odgadywania i przezroczysta, ale skostniała, uboga w artystyczne powaby i jakby spętana tém czémś drugiém, sobie obcém, co w nią włożono. Bywają znowu utwory symboliczne zgoła odmiennéj natury. Figury i znaki w zakresie téj drugiéj symboliki, stworzone pierwotnie na to, żeby coś takiego znaczyły, czém same przez się nie są, wprawdzie z razu przyjmują na się piętno podłożonego sobie znaczenia, ale na tém bynajmniéj nie poprzestają. Zostawszy raz wywołane do życia, jako udzielne twory fantazyi, zatrzymują ruch i nadal w własnym swoim kierunku; skutkiem czego wynikają z nich kształty zewnętrzne i sytuacye takie, które nie mają żadnéj wreszcie wspólności z pierwotném, z głównem znaczeniem. W takim razie

*) W tomie I na stronie 241 wspomnieliśmy, że czytywanie pisma św. było w owych latach codziennym zwyczajem Słowackiego.

allegoryczność mięsza i wikle się ciągle z bezpośrednią dosłownością utworu. Sceny i kształty znaczą rzecz, o wyrażenie któréj z założenia głównie chodziło, ale dają też oprócz tego i więcéj jeszcze, to jest dają i siebie same. Tak powstaje symboliczność swobodna, fantastyczna, będąca nieskończenie trudniejszą do rozumienia, aniżeli tamten jéj rodzaj, ale wolna od téj martwoty i sztywności, na jaką z natury rzeczy wskazane są symboliczne tworzywa poprzedniéj kategoryi. Ten drugi rodzaj symboliczności jest najwłaściwszym w zakresie twórczości poetyckiéj: i do tego jéj rodzaju policzyć też należy i Anhellego.

Względna zatém trudność do rozumienia tego utworu (gdyby się kończyło na takiéj tylko trudności), byłaby prostém tylko następstwem przyjętéj formy, a raczéj rodzaju poezyi, w którym jest wykonany Anhelli. Taka trudność nie byłaby wadą. Ustępy Anhellego jednakże, nadarzające się, jak każdy przyzna, dość często, które się całkiem usuwają z pod możności wykładu, okazują, że autor nieraz zbyt się daleko dawał fantastyczności porywać i przesadzał niekiedy w dobrych chęciach otoczenia symboliczności poezyą i cudownością. W tém więc całe źródło mglistości i wszystkich w ogóle wad Anhellego. —

Przystępuję teraz do szczegółowego przeglądu myśli Słowackiego w dziele niniejszém.

Poeta daje na samym początku wizerunek widocznie emigracyi naszéj ówczesnéj. Exystencyą jéj nienormalną, między obcymi, na tułactwie, zowiąc figurycznie życiem w Sybirze, powiada:

„Przyszli wygnańcy na ziemię sybirską i obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiéj; było ich zaś około tysiąca ludzi z różnego stanu.“ Mieli ci nieszczęśliwi między sobą utrzymywać nadzieję, „bo nadzieja przejdzie z nich do przyszłych pokoleń i ożywi je“. Mieli czuwać nad sobą, „bo byli jak ludzie stojący na podniesieniu“...

I rzeczywiście „przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek; albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą... chyba Bóg zechce —“

Lecz czasy tego porządku i smutku nie były długie. Niektórzy tylko z nich zajęli się swoją pracą. Niebawem znaleźli się między nimi, „którzy chcieli aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności, mówiąc: Oto myślimy o zbawieniu ojczyzny“... I okazało się aż zbyt rychło, że ten zastęp wygnańców był tylko jedną plagą więcéj dla społeczeństwa, z łona którego wyszedł. — „Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieniła w ludzi złych i szkodliwych; albowiem serca ich były słabe. Byli ludem starym, których wskrzesić na duchu cudem jest“...

To więc wizerunek pierwszy stanu społeczeństwa naszego — w latach, w których był pisany Anhelli.

Począwszy od rozdziału III do IX ciągnie się cała galerya podobnych tegoż stanu obrazów. Jestto niejako wędrówka dantejska przez cały obszar stósunków exystencyi owoczesnéj narodu. Figura fantastyczna, Szaman, prowadzi przez to społeczne piekło poetę, jak w Komedyi Boskiéj Wirgili prowadził włoskiego wieszcza. Ci dwaj spotykali na drodze swojéj różne potępione za swoję przeszłość osobistości. Anhelli spotyka się z równie potępionemi, lecz nie indywiduami, ale stósunkami, spotyka się z cierpieniami kolosalnemi narodu, które się już zamieniły w stały obyczaj, w panujący i niezmienny stan rzeczy...

Cała ta część dzieła i najartystyczniéj jest wykonana i najłatwiéj poddaje się wyrozumieniu. Nie ma potrzeby zatrzymywać się tu nad składającymi ją ustępami z osobna. Wszystkie obrazy są wzięte z rzeczywistego życia. Wprawdzie otacza je zawsze pewna ornamentyka fantastyczna, cudowność, która analizy nie znosi. Zrażać się tém nie należy, taki już bowiem jest cały sposób poematu, który mamy przed sobą. A bardzo zmyślnie też postąpił sobie poeta, że ku końcowi tego przeglądu narodowych cierpień i pokut (na str. 126) od niechcenia rzucił słowo, które ten cały szereg obrazów, pod względem ich formy, pozwala uważać za rzeczy ukazane że tak powiem na tle widzenia, za sen. „I przekonany był Anhelli, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.“ —

Na dalszych kartach, od rozdziału dziesiątego począwszy, następuje że tak powiem, wytłómaczenie, dlaczego dziać się mogą pod okiem bożém takie monstrualności społeczne. Autor wraca do owego zastępu tysiąca ludzi mieszkających w wspólnym domie, pozostawionych przy woli własnéj, od których zaczął całe swoje opowiadanie. W obrazach co tylko przeprowadzonych przed oczyma naszemi, odsłonił co naród znosi i cierpi. W scenach, co teraz następują, przychodzi mu okazać, co to społeczeństwo czyni. Ma on tu na oku, jak się już rzekło, przedewszystkiém ówczesną emigracyą. Ale jak emigracya była tylko odblaskiem tego wszystkiego, czém naród cały wtedy był w sobie i co był czynić gotów, gdyby tylko na to pozwalały okoliczności: tak też i całe opowiadanie, które tu poeta daje, nie do samych tylko emigracyjnych stósunków ściągać należy, ale do całéj sumy postępowania i zabiegów w narodzie, o ile takowe nawet w daném położeniu były wynikiem własnych instynktów i jako czyny wolnéj woli stanowiły o doli społeczeństwa w przyszłości. — Cóż się tedy dzieje pośród owéj liczby wygnańców, co mieli mieszkać razem w zgodzie i miłości braterskiéj i czuwać nad sobą, gdyż byli jako ludzie stojący na podniesieniu? — Poeta odsłania jeden rys tylko w ich usposobieniu ówczesném. Czy że nie dostrzegał innych wad, które toczyły i toczą ustrój społeczny nasz, czy że nie chodziło mu, jak tylko o symboliczne naznaczenie tego stanu chorobliwego, ku czemu wystarczała już i ta jedna skazówka: — dość że podnosi tylko samę nieudolność polityczną owych tysiąca ludzi, jako znamię, które cechuje wszystkie ich kroki. Marzycielstwo, fanatyzm, bezmiłość itd. sąto już tylko drugorzędne przymioty i wyniki głównéj winy, jaką odsłania, a którą wedle niego jest ta nieuleczona jakaś zapamiętałość, z jaką społeczeństwo nasze, jakby fatalizmem jakimś pędzone, chcąc ojczyznę zbawić, tylko coraz głębszą dla niéj wykopuje mogiłę...

Owi wygnańcy tedy, mówi poeta, sobie samym zostawieni, po niedługim czasie kłócić się zaczęli pomiędzy sobą. „I podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny. Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać

się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego. A druga miała na czele żołnierza chudego imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z żydami i cyganami. A trzecia na czele swojém miała księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny, iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy... —

W taki więc sposób oznaczywszy hasła, które czasu owego, kiedy był pisany Anhelli, rzeczywiście wiele już sprawiały wrzawy w teoryi, a w późniejszych latach po kolei odegrały role swoje w praktyce: maluje poeta w dalszém opowiadaniu zachowanie się tych gromad w stósunku wzajemnym jednéj do drugiéj.

Gromada Skartabelli, uzbrojona w siekiery, gotuje się do rozprawy z drugiemi gromadami w swój sposób, w polu. Siła i siekiery mają tedy podpomóc prawdzie. Ale nim przyszło do walki, nabożny zastęp Bonifata poddaje radę, żeby ten spór raczéj przed sądy Boga wytoczyć. Rada została przyjęta, stawiają tedy trzy krzyże, na każdym ma być przybity męczennik swego stronnictwa. „A kto najdłużéj żyć będzie, przy tym zwycięstwo.“ — Wystąpili więc trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli. Nie byli wybrani losem, lecz z własnéj woli. Bardzo trafnie, z wielką znajomością stósunków, dodaje do tego poeta: — „Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych“...

„I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane i przybito im ręce ćwiekami; a ten co był na prawo krzyczał: równość! A ten co był z lewéj krzyczał: krew! Wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!“ — Nadaremnie, kiedy ich przybijano do krzyża, dał się słyszeć głos z nieba wołający: „Co wy czynicie?“... Dopiero kiedy było po czasie, kiedy ludzie owi trzej na krzyżach swoich skonali, dopiero wtedy tłumy zaślepione przejrzały, że się to nie godziło. Porwane strachem, rozbiegły się wtedy samopas, każda gromada w inną stronę, aby tak brojąc coraz gorzéj, ostatecznie rozprząc się do reszty i zatonąć w zgiełku, śmiechu i wrzaskach, w szczękaniu kielichów i brudnych pieśniach.

— „Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi; lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Oto obraziliście ludy téj ziemi — i z oszczepami stoją czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzéć.“

Te słowa prawdy wkłada autor w usta Szamana. Szaman je wypowiada wygnańcóm i zostaje za to przez nich zamordowanym. Prawdy jednak z nim razem zabić oni nie potrafili. Kończy się z nimi, jako im było przepowiedziono, że pomrą marnie przed dopełnieniem się czasu. W wielkim dniu zmartwychwstania, w chwili tryumfu sprawiedliwości, nie ma już na ziemi ani śladu po tych ludziach ani po szopie, którą sklecili swemi rękami. Ich nienawiści wzajemne, ich smutki, ich rzekoma miłość ojczyzny, ich szamotania się gorączkowe strawiły się same w sobie. Wrogowi nie zaszkodziły, dla nich samych były przekleństwem i zgubą.

Póty piérwsza połowa dzieła.

Na tém ciemném tle rozpaczliwych stósunków, w przeciwstawieniu do tych typów potępionych w massie i jako massa pozostawionych też w głębi obrazu, spostrzegamy na pierwszym planie kilka postaci z osobna zwracających na się uwagę. Ich oblicza także są smętne, ale idealne. Sympatya nasza jest z niemi. Widać ze wszystkiego, że je wymarzyła miłość artysty. Oto w samym środku téj grupy widzimy pogrążonego w zadumaniu młodziana, z obliczem ku zachodowi zwróconém — to Anhelli. U stóp jego klęczy schylona jak pokutnica niewiasta — Ellenai. Przed nimi idzie Szaman, mędrzec sybirskich pokoleń. A w górze, jak urocze widzenie, wznosi się świetlana postać anioła — Eloe... O napisanie gorzkiéj satyry, o samo tylko potępienie naszego społeczeństwa, nie mogło chodzić poecie. Miał on niewątpliwie przed oczyma jakiś zamiar dodatni, wdzięczniejszy, kiedy tworzył ten poemat. Obaczmy, czy go nie odgadniemy z oblicza któréj z tych czterech przedniejszych figur obrazu.

Nim powiem o Anhellim, co mam na myśli, niech mi wolno będzie powiedzieć choć słowo o autorze. Słowacki w życiu swojém mało zaznał szczęścia. Żył samotny, opuszczony, często

nawiedzany przez rozpacz. Nieraz zadawał sobie pytanie, dlaczego cierpi? Szukał przyczyn, rozmyślał nad celami, dla których dostała mu się taka właśnie rola w podziale; lecz — odpowiedzi na zapytanie to nie znajdywał. Poeta nasz nie pojmował jasno bytu swojego na ziemi. Nie widział przed sobą celu swojego, ani nie umiał zdać sobie sprawy ze stósunku, w jakim zostawał do reszty społeczeństwa.

To co człowieka dręczy jako niedocieczona zagadka, zazwyczaj bywa nieustającym tematem jego rozmyślań. Żeby się pozbyć téj myśli męczącéj umysł, zwyczajny człowiek najchętniéj o tém gada, z kim tylko może. Badacz rozpoczyna o takiéj kwestyi dzieło uczone. Artysta, poeta... tworzy sobie z téj wnętrznéj męki serca swojego w wyobraźni ideał i znajduje już przez to samo zadowolenie, że go ogląda przed sobą przedmiotowo, jakby to było coś osobnego, w czém jak w zwierciedle przejrzéć się można.

Taka praca albo doprowadza do rozwiązania tajemnicy, albo przynajmniéj do pewnego oswobodzenia się od niéj. Jestto jakby zadośćuczynienie popędowi, który dopóki zamknięty, nie daje miru. Jestto jak ze smutkiem, jeśli takowy kogo nawiedzi. Samo wynurzenie i podzielenie się nim z drugimi przynosi ulgę. Najdotkliwszą jest boleść, kiedy nie ma się na nią nawet przed kim poskarżyć. Powiernik czyjéj zgryzoty już przez to samo, że słucha, staje się pocieszycielem. Słowem, jest w człowieku potrzeba wygadania tego, czém przepełnione jest serce; a poeta czyni potrzebie téj zadość — tworząc.

Otóż i autor Anhellego chciał pozbyć się téj ciągłéj myśli, która go prześladowała pytając: — Dlaczego ty cierpisz? Na co ty się rodziłeś, jeżeli takie miało być twoje życie? Czy twoje smutki zdadzą się na co? Dlaczego drudzy ludzie, dlaczego bracia twoi żyją inaczéj?... Chciał mówię poeta nasz pozbyć się tych trapiących wątpliwości ducha swojego za pośrednictwem twórczéj pracy, i miał przekonanie, że stawiając w wyobraźni przed sobą człowieka, tosamo co on zajmującego stanowisko na świecie i obdarzonego podobnym duszy nastrojem, w idealnym, skoń-

czonym wizerunku téj wymarzonéj natury znajdzie zwierciadło, zdolne rozwiązać niejednę i z własnych jego zagadek.

Bohater jego poematu — nie jestto zatém prosta, pochlebiająca osobistéj próżności kopia tylko osoby autora. Jestto ideał i prototyp — ale wymarzony w tymże kierunku. Jest on pod względem położenia swego na zewnątrz także jednym z liczby owych tysiąca ludzi, zasłanych na wygnanie. Tęskni do ojczyzny, do normalnéj doli społecznéj, równie boleśnie, jak oni. Lecz krom téj jednéj z nimi wspólności, nie ma między Anhellim a tym tłumem wygnańców żadnego podobieństwa. Widzimy w nim człowieka wyjątkowego. Drogi jego takie, że po nich idzie samotny, smutny... Będąc „czysty jak lilia biorąca z wody liście i kolory niewinne“, pozostaje z dala od tych nienawistnych i gorączkowych zapędów, na jakich tamci zużywają swoje siły, znajdując przynajmniéj złudzenie, że coś działają. „W duszę Anhellego wlana jest miłość serdeczna dla ludzi i litość.“ Pomimo tego jednak, ta jego wyższość duchowa nie staje się nikomu do niczego przydatną. Anhellemu zbywa na sile, któraby wzięła panowanie nad resztą ludzi i czy to z ich wolą, czy mimo ich woli sprowadziła ich z téj drogi błędnéj, po któréj idą. Anhellego siła nie jest z tego świata. Jestto w społeczeństwie poeta. Zamieszkał w nim anioł poezyi i zamienił go całego na swoje tylko narzędzie — czyli jak to po kilka razy wypowiada w dziele swojém Słowacki: „Anhelli opętany jest przez Anioła.“ Właśnie przeto, najwznioślejsze uczucia jego zużywają się w sobie, nie przetwarzają się w czyny. Całe życie jego upływa mu więc bezczynnie, w odosobnieniu — w niewysłowionym smutku. Nie widać, żeby z tego wynikał jaki owoc — czy to dla niego samego, czy dla pokolenia, pośród którego żyje, czy dla ojczyzny.

A jednak powiada o tym człowieku Szaman: — „Oddany jest na niego większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie“ (str. 107). Jest zatém konieczność i cel takiego życia, tylko że Anhelli tego nie wie o sobie i nie powinien, nie może o tém wiedzieć. Inaczéj bowiem cierpienia i smutek ten nie miałyby już ani tego stopnia ani tego znaczenia.

To zdaje się być kluczem najwłaściwszym do rozumienia roli,

w jakiéj wymarzył poeta bohatera swego utworu. Ta smutna exystencya bez pociech i bez świadomości celu, któremu służy, przeprowadzona jest od początku do końca tak logicznie, jednolicie i z tak wyraźnym zamiarem, że wątpić wcale nie można, iż o to właśnie autorowi chodziło.

Ażeby się o tém przekonać, zestawmy wydatniejsze momenta, zapomocą których odsłania się charakter téj idealnéj natury.

— „Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie, mówi Anhelli o sobie. Sążto gwiazdy tesame, które mię widziały młodym i szczęśliwym? Dlaczegoż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą? Dlaczego ja żyję?

„Oto już jednego włosa nie ma na głowie mojéj z tych, które były dawniéj; oto się nawet kości we mnie odnowiły: a ja zawsze pamiętam... A nie ma jednéj kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jednę noc życia w spokojném gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał.

„Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił.“ (str. 130).

— To są uczucia, pod wpływem których widzimy go w środku zawodu. — Nie mniéj smutne, posępniejsze jeszcze, są ostatnie Anhellego chwile na ziemi. Przeżył wszystkich swoich, patrzał na zgon obu istot, które na ziemi były jedyne, co go kochały (Szaman i Ellenai); dożył zagłady i całego owego pokolenia, do którego rodem należał, a które wśród bezowocnych szamotań z losem i pośród przekleństw wzajemnych zmarniało, nie pozostawiwszy ani znaku po sobie. Pozostał sam jeden w swoim świecie Anhelli — „jak harfa z porwanemi strunami“. I oto czasy mają się ku dopełnieniu, straszne przesilenie się waży i dzień odrodzenia jest bliski. Jeszcze jedna noc, noc długa, okropna, ciemna, „sybirska“, lecz tylko jedna: a „dzień wielki“ po téj „nocy wielkiéj“ zaświta. Ale Anhelli o tém wszystkiém nic nie wie! Aniołowie, którzy przychodzą zwiastować mu śmierć, nie mówią mu ani słowa o tém, co ma nastąpić w tak bliskim czasie. Mówią do niego słowami, których dźwięk taki, jakby się wszystko skończyło. Opuszczają go, wyrzekłszy co mu mieli zwiastować, jakby nie było żadnéj już pociechy dla niego. Wyraźnie

chodzi o to poecie, aby to życie, idealne i ofiarne, zgasło już w tym strasznym zmierzchu między świtem ufności a nocą rozpaczy, w tém duchowém półświetle nadziei i beznadziei, które jest największą ze wszystkich męczarni serca. Pod tym tylko warunkiem będzie z życia człowieka tego ofiara, godna stanąć za odkupienie... Dopiero po spełnieniu się życia takiego nastąpić może chwila... oczekiwana!

W takito sposób tłómaczę sobie cały ów obraz w rozdziale XV, gdzie się znajduje kilka wyrażeń i pomysłów, które z innego punktu widzenia byłyby albo trudne do zrozumienia albo nawet zdolne wykładu, wręcz przeciwnego przekonaniom poety. Mianowicie mam tu na myśli to miejsce:

„I rzekli mu aniołowie: Oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

„Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jakiéj ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

„Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, wściekli od krwi ludzkiéj, a ty jesteś ostatni.

„A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem w cieniu lip pachnących.

„Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mię rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

„Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.“ (str. 142).

— Pomimo skarg, jakiemi odpowiada na te Aniołów słowa Anhelli, ciemna zasłona przyszłości nie zostaje mu odchylona. Zaledwie mimochodem, w formie pytania, tonem wątpliwego niejako przypuszczenia, nasuwają mu Aniołowie myśl, która gdyby mu była oznajmiona jako pewność zwiastowana z ich strony, byłaby osłodą jego niedoli, a nawet wynagrodzeniem sowitém za wszystkie cierpienia jego:

„A wieszli ty, czy od spokojności twojéj nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

„Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?“ (str. 144). —

W ostatnim dopiero rozdziale przypuszczenie to otrzymuje piętno prawdy i pewności. Wypowiada je tam poeta powtórnie, przez usta Eloi, w sposób dowodnie ukazujący, że to jeden z pewników w obrębie jego przekonań, i że w téj myśli zawarte było całe założenie, jakie podjął w dziele niniejszém: — „On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca.“ (str. 147).

Lecz w téj formie słów tych już nie słyszał Anhelli, jako nie miał słyszéć i tryumfalnych haseł, które równocześnie powstawały już natenczas na ziemi i „jakoby szum burzy wielkiéj“ powoływały „ludzi silnych do życia, a do zmartwychwstania narody.“ Chwila ta przyszła dopiero nazajutrz po jego zgonie. Ten zgon cichy i samotny, po życiu bez żadnych pociech, miał być właśnie warunkiem nadejścia czasu, którego obrazem kończy się cały poemat.

Na tém kończę, com miał do powiedzenia o głównéj postaci w tym utworze.

— O Szamanie i innych osobistościach w skład Anhellego wchodzących, wystarczy i krótkie słowo. Szaman jest tylko fantastyczną postacią, allegoryą. Zupełnie mylném byłoby rozumienie, że w nim uosobiony jest geniusz sybirskich antochtonów. O sybirskie mądrości nie chodziło wcale poecie. Że go autor stawia jako króla i kapłana ludów tamtejszych, to tak obojętne, jak że Szaman jest ubrany w futra i korale, a na głowie ma wieniec z wężów nieżywych zamiast korony. Jestto wszystko tylko fantastyczny ornament — proste następstwo tego, że w ogóle takiéj formy i téj przenośni za tło poematu użyto. Skoroć się rzecz niby dzieje w Sybirze, toć i mędrzec ów na jéj przestrzeniach musiał się zjawić. Więcéj jednak w fantastycznéj jego postaci istotnego znaczenia nie ma, jak że to jest plastyczne uosobienie tego wszystkiego najwznioślejszego, czego ani w tłumie owych tysiąca wygnańców, ani nawet w Anhellim nie ma. Chodziło o to, ażeby pośród tego pokolenia, przywalonego fatalizmem

szału i grzechu, dać się czasem odezwać głosowi siły i prawdy, chociaż jéj nikt więcéj między nimi nie słucha, tylko poeta Anhelli. Chodziło daléj o okazanie, że to wszystko boże i żywotne, czego pełen jest Szaman, nie ma za naczynie i za narzędzie swoje owéj generacyi wygnańców, lecz zostaje zewnątrz nich — a więc... w obcym człowieku. Szaman jednakże (powiada poeta) nauczył się tego wszystkiego od ojców naszych, „których znał i widział jak żyli bogobojnie“ (str. 106). A zatém mądrość jego jestto własna nasza tradycya narodowa, ale nie będąca w posiadaniu obecnych pokoleń — tradycya jak dla dzisiejszych ludzi, zapomniana. — Rola Szamana w poemacie jest zresztą jedną z podrzędnych. Działanie jego tylko pozornie zdaje się być wydatniejszém, niżeli niém jest w istocie. Oprowadzanie bowiem owo Anhellego po różnych miejscach kraju, „ażeby mu ukazać wszystkie cierpienia ludu jego i wszystkie nieszczęścia téj ziemi“, jestto tylko złudzenie wyobraźni czyli środek artystyczny, na to użyty, ażeby połączyć z sobą rozrzucone wizerunki narodowéj martyrologii i nadać im ciąg jakby akcyi jednolitéj. Rzeczywiście ruch ten odbywa się w duszy własnéj Anhellego. Jestto widzenie...

Ellenai zdaje mi się być w poemacie jeszcze więcéj podrzędnéj tylko wagi. Jestto tylko akcesoryum do Anhellego. Wyobraża jedyną z znikomych osłód, która mogła zastąpić temu zbolałemu sercu jakiś cień ludzkiego szczęścia. Ellenai idzie za Anhellim, podziela jego samotność, kocha go jak siostra i więcéj... ale to wszystko miało trwać tylko znikomą chwilę. — Chodziło widocznie poecie o to, ażeby ukazując, jak u stóp jego przedwczesną śmiercią umiera jedyna, która go rozumiała, tém posępniejszym jeszcze uczynić obraz smutku piérwszorzędnéj w dziele osoby.

Uboczne napomknięcia o przeszłości téj niewiasty zdają mi się rzeczą dla głównego pomysłu już obojętną. Poeta przedstawia w niéj pokutnicę. Nie wiadomo, czy dało mu do tego powód jakie osobiste przypomnienie z życia własnego, czy też może tylko biblijny obraz Magdaleny klęczącéj u stóp Chrystusa posłużył mimowiednie za wzór do odtworzenia go tutaj. Bądź co bądź — nie upatrujmy w tém wszystkiém niczego więcéj, jak tylko przy-

padkowe, w taki właśnie przeprowadzone sposób wykończenie obrazu. Postać Ellenai miała być wydetaliowana — autorowi się podobało dokonać tego w tych rysach; mógł on był użyć do tego i innych środków, a wrażenie całości byłoby pozostało tosamo.

Najwięcéj fantastycznym tworem imaginacyi, do tego stopnia, że niepodobno tu już wchodzić w rozbiór jego znaczenia, zdaje mi się być w Anhellim Eloe. Pierwotnie zapewne przesunęła się przez myśl autorowi intencya, wprowadzić w skład poematu uosobienie Sławy. Nie miała to być owa sława rozgłośna, stugębna, z zimną admiracyą po świecie roztrębująca czyję wielkość i nieśmiertelność, jak sobie takową zwykle wyobrażamy; ale raczéj rzewna, cicha, łzawa pamięć po zmarłych, przywiązana do mogił, gdzie leżą ich kości, i zarazem obecna w sercach, dla których te mogiły są drogie i swoje. Takiéj to sławy pragnął dla siebie poeta nasz i taka też tylko jéj postać zdawała mu się godną znaleść miejsce w jego obrazie. Stworzywszy sobie symbolicznie wcielenie tego pomysłu, widząc go w kształcie niewieściego anioła „z białemi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, który chowa umarłe i strzeże ich grobów“, zadumał się autor nad tą cudną postacią. I fantazya jego tworcza pochwyciła tę allegoryą w swój zakres. Myśli poety popłynęły daleko: znalazły się całe dzieje, cały rodowód dla téj istoty anielskiéj. Symbol sztywny przetworzył się w życie, w imię, w romans i pokutę za niego, przemienił się w dziewicę zdolną uczuć ludzkich i spłacającą cierpieniem wszystko, co w tych uczuciach bywa niższego sfery czystych aniołów.

„Oto się zowie Eloe, a urodziła się ze łzy Chrystusowéj na Golgocie, z téj łzy która wylana była nad narodami.

„Gdzieindziéj napisano jest o Anielicy téj, jako zgrzeszyła ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

„A teraz jest wygnaną jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

„Przywyknij do niéj za życia, albowiem będzie na mogile

twojéj stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jéj, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.“ (str. 131).

Owoż więc i cała powieść, która się jak bluszcz zielony owinęła koło pomysłu, nie będącego pierwotnie niczém więcéj jak tylko allegoryą. Powstał w taki sposób ideał dziwnéj czystości w wykonaniu — eteryczny i niebiański, że i pędzel mistrza z Fiezoli nie stworzył nic więcéj serafickiego. Ale symboliczne znaczenie ulotniło się z tego obrazu.

I tak pozostaje niejeden szczegół, niejeden inny jeszcze ustęp w Anhellim, który analizy nie dopuszcza. Jestto ta treści jego połowa, która i wynikła ze saméj tylko fantazyi, i nie przemawia, jak do fantazyi. Ubolewać trzeba, że jeśli miało już dzieło to w taki sposób być wykonane, nie ma przynajmniéj wydatniejszéj granicy pomiędzy miejscami tego właśnie rodzaju a szczegółami, które coś znaczą. Przez zręczniejsze rozdzielanie świateł i cieni, jako też przez baczniejsze przestrzeganie miary wszędzie właściwéj, mógł był poeta ten dział fantastyczny i tylko akcesoryalny widoczniéj odznaczyć od symbolicznych poematu ustępów. Tego zupełnie zaniedbał.

Drugi zarzut możnaby Anhellemu uczynić ze strony wniosku, który z niego wynika. Ziszczenie się pragnień narodowych, a w najgorszym razie odrodzenie innych społeczeństw, ma wedle Słowackiego być więc zawisłém od takich cichych ofiar, od takich niekrwawych męczeństw, jakiém był cały zawód Anhellego na ziemi. Miałożby to rzeczywiście być prawdą? Trzebaż, ażeby najczystsi i najlepsi w narodzie marnieli w bezczynnym smutku? żeby konali samotnie jako nieświadome misyi swojéj narzędzia przeznaczenia czy opatrzności, domagającéj się... „odkupienia“? Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych — strawi się w samotności i melancholii? Czy taką idealną protestacyą daje się co naprawić? Czy łzami, które tylko Bóg widzi, spłaca się wina pokoleń, które żyły i które żyją? Czy to wystarcza?

Są pytania, na które i milczenie jest odpowiedzią, a do takich pytań niezawodnie należą i obecne. Doktryna ostatecznie przeprowadzona w Anhellim jest mętna i fantastyczna. Gubi się ona

w nieznurtowanych głębinach mistycyzmu. Mistycyzm ten w pojęciu o przeznaczeniu swojém na świecie, jako poety, daje się wprawdzie poniekąd zrozumieć u Słowackiego. Położenie jego było w owych latach, kiedy utwor ten pisał, tak smutne pod każdym względem, że wcale się dziwić nie można, iż go znajdujemy przywalonego takiém brzemieniem moralnego znękania. Bezwzględnie i przedmiotowo jednak rzecz biorąc, trudno to inaczéj nazwać, jak zbłąkaniem — szukaniem wyjścia z trudności na drodze, która do celu nie wiedzie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Rok 1839 i 1840. — Poeta osiada w Paryżu i wydaje Trzy Poemata, toż Balladynę. — Korespondencya z Krasińskim. — Kilka słów mimochodem rzuconych o wartości wydania „Wyjątków z listów Z. Krasińskiego“. — Słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Cieszkowskim. — Stósunki Juliusza z matką zawięzują się na nowo. — Życie jego w Paryżu — stósunek do Emigracyi — Amnestya. — Wychodzi z druku Mazepa i Lilla Weneda. Powstają nowe dzieła: Krakus — Wallenrod — Beatryx Cenci — dramat Beniowski i niektóre pomniejsze rzeczy, to wierszem, to prozą pisane —

Niedługo po napisaniu owego wiersza „Do Zygmunta“, oznaczonego datą dnia 4 grudnia 1838 r., którymśmy zamieścili w poprzedzającym rozdziale, i w każdym razie zapewne jeszcze przed Nowym Rokiem, opuścił Słowacki piękną stolicę Toskanii i przeniósł się do Paryża. Z przyczyny przerwy w jego korespondencyi do matki, o któréj powodach wspomnieliśmy już w rozdziale poprzednim, nieznane mi są bliższe szczegóły podróży i przybycia poety do wielkiego miasta, jak zwykł był zawsze Paryż nazywać. Mianowicie niewiadomo mi, czy jechał przez Szwajcaryą i czy po drodze odwiedził dawne swoje gospodynie genewskie.

Stanąwszy na miejscu, Słowacki zajął się zaraz wydawnictwem dzieł swoich. Trzy poematy, w różnych czasach i różniejszych jeszcze miejscach powstałe, t. j. Ojca Zadżumionych, „W Szwajcaryi“, i Wacława, pomieścił w jednym tomiku i wydał go pod napisem:

Trzy Poemata, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12⁰ str. 121.

Niezwłocznie potém wyszła:

Balladyna, tragedya w 5 aktach, przez Juliusza Słowackiego. Paryż 1839. 12⁰ str. 212.

Obydwa te dzieła wyjść musiały z pod prasy najdaléj około końca miesiąca lutego. Tygodnik Literacki poznański w numerze z dnia 18 marca donosi o nich, jako o nowościach będących już w rękach publiczności.

Balladyna była więc czwartą już z kolei Słowackiego publikacyą w tym drugim jego autorskim zawodzie. Od czasu wydania Anhellego minęło już było kilka miesięcy. Napróżno brał poeta nasz do ręki różne ówczesne pisma czasowe, czy w nich nie znajdzie śladu wrażenia, jakie dzieło to sprawić mogło na czytelnikach. W żadném z nich nie było, czego szukał. Wprawdzie pojawiła się recenzya Anhellego niezbyt głęboko w przedmiot wchodząca w Tygodniku Literackim poznańskim (autorem jéj był Nepomucen Sadowski); lecz to nastąpiło dopiero późniéj, w numerach kwietniowych 1839 r. W chwili, kiedy się drukowała Balladyna, dochodziły poetę na to najulubieńsze jego dzieło ze strony bliższych znajomych same tylko skargi, że Anhellego niepodobno rozumieć. A w dalszych kołach zalegało o nim, jak o wszystkiém, co przed tém wydał, — milczenie głuche.

Z tego to powodu dołączył autor do Balladyny przedmowę, ułożoną w kształcie listu do jedynego między ludźmi, o którym wiedział, że słyszy i rozumie głos jego.

Cudny ten list zaczyna się od przypowieści, którą miano mu opowiadać w Grecyi nad Salaminy zatoką.

„Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi, a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni

narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojéj smutny Greczyn, nie wiedząc że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal egejskiego morza utonął“.....

Następnie daje autor kilka prześlicznie, choć nie zbyt jasno wypowiedzianych wskazówek, jakby chciał ażeby była rozumiana ta nowa jego tragedya; wreszcie kończy temi słowami:

„Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

„Autorowi Irydyona
na pamiątkę
Balladynę
poświęca
Juliusz Słowacki.“

Odpowiedź, która na to ze strony Krasińskiego nadeszła, znajduje się w rękach moich. Stanowi ona pierwszy w szeregu dziesięciu listów, przez tegoż poetę do Juliusza pisanych, które się znalazły w pozostałych tegoż papierach. Korespondencya ta całkowita przypada na czas od 23 lutego 1840 do 12 kwietnia 1843 r. *).

Wydawca powszechnego zbioru listów Krasińskiego, których tom piérwszy wyszedł p. t. „Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego“ (Paryż, 1860), wyrażony pod przedmową literami K. G. (zapewne pan Konstanty Gaszyński), miał także już, jak się zdaje, przed sobą kopie rzeczonych dziesięciu listów. Dziwną jednakże jest rzeczą, że nie chciał, czy nie mógł, czy też wreszcie nie umiał wydawca zrobić z nich ani tyle użytku, ażeby ich ogłoszenie zdało się komu na co. W ogóle pojąć nie umiem, czego chciał pan Gaszyński czy też rodzina zmarłego, wydając rzeczoną książkę? Najprzód bowiem porozrzucano wszystkie listy poety na różne kategorye, najdowolniéj przyjęte, nie trzymając się wcale ciągu czasu, w jakim były pisane. Jeżelić cały cel oddania do rąk publiczności listów prywatnych wielkiego człowieka na tém jedynie zależy, ażeby to rzuciło jakieś światło

*) Nadmieniam, że kilka wyjątków, tylko wyjątków, z tych listów godnych ogłoszenia w całości, dano już w Dzienniku Literackim Lwowskim r. 1852 i 1857.

na jego życie, na genezę jego wyobrażeń i że tak powiem, na całe dzieje jego wewnętrznego istnienia: toć oczywiście nie można objawów tego wszystkiego porządkować inaczéj, jak tylko w naturalnym ciągu i ładzie, a takim jest jedynie porządek czasu. Ale to jeszcze byłaby najmniejsza wada rzeczonéj publikacyi. Pan Gaszyński pozwolił sobie i okrawać jeszcze listy Zygmunta! i jak okrawać! Z dziesięciu tych listów do Słowackiego pisanych, które znam w całości, mogę brać najlepszą miarę o generalnéj zasadzie, podług któréj tam rozstrzygano, które ustępy są niby to stósowne do publikacyi, a które znowu mniéj zajmujące. Co tylko w liście było prawdziwie ciekawém, co tylko miało jakie takie odniesienie czy to do chwili czy też do indywidualności obojga osób korespondujących ze sobą, to wszystko podobało się szanownym wydawcom właśnie odrzucić! A wcielono do książeczki same tylko miejsca ogólnikowe, filozofematy, *loci communes*, sentencye itp. któreby mógł każdy do każdego napisać, z tą chyba jedną różnicą, że stylem nie dorównałby Krasińskiemu. Na dobitkę zaś, ażeby konfuzya była co się zowie gruntowna, uważano tam jeszcze za stósowne, nie tylko zataić chwilę, kiedy który taki z listu poety wycinek był napisany, ale i do kogo był wyrzeczony! Przecież Krasiński miał zwyczaj kłaść na listach swoich dokładne daty i roku i miejsca i dnia nawet, kiedy co pisał! A tam tylko miejsce i liczba roku są położone. Oznaczenie zaś dnia i miesiąca zmazano, jakby to było rzeczą zgoła obojętną, wśród jakich chwilowych okoliczności myśl która w duchu poety zabłysła. Zapewne, najczęściéj wszystko to jedno jest, czy kto co powiedział z początku roku, czy z końca, szczególniéj jeżeli to dotyczy zwyczajnego człowieka. Ale kiedy sprawa z wielkimi ludźmi, których żywot prędzéj czy późniéj będzie przedmiotem szczegółowych dociekań, to nieraz na takiém wskazaniu wszystkich towarzyszących okoliczności właśnie najwięcéj zależy. A któż je wskazać potrafi, jeżeli nie będzie dokładnie wiedział, gdzie i kiedy się co działo? Kto wydaje czyje listy, a zatém materyały dopiero do późniejszego opracowania: ten przewidzieć tego naprzód nie może, który szczegół się okaże czasu swojego w ważnych punktach właśnie rozstrzygającym, a

który jest pobocznéj i obojętnéj wagi. Wydawca listów pośmiertnych powinien dać wszystko w takiéj postaci, jak to jego rąk doszło, i uważać wszystko za nietykalne! Co się tyczy wreszcie osób, do których listy Krasińskiego były pisane, te osłonione są taką tajemniczością, jakby to komu zbrodnią było i wstydem, że z nim korespondował Krasiński! Tylko o pierwszym dziale listów wiemy, że były pisane do pana Konstantego, i o ostatnim, że do dzieci poety. Dwa zaś pośrednie działy, gdzie właśnie mieszczą się i okruchy rzeczonych dziesięciu listów do Słowackiego, te zaległa mistyczna zagadkowość do tego stopnia nieprzeniknionа, że nawet wiedzieć nie można, ile się tam ukrywa osób, które odbierały te listy.

„Pragnąc, aby ta książka — mówi pan Gaszyński w przedmowie — mogła bez przeszkody krążyć po całym obszarze dawnych ziem polskich, musiano tymczasowo usunąć z niéj wiele ważnych i znakomicie pięknych listów. (— A czemużby takich listów nie ogłosić osobno?) Z wszystkich zaś innych zamieszczono jedynie główne (?) ustępy, stanowiące pewną artystyczną całość.“

Mnie się zdaje, że o artystyczną całość nie chodzi wcale w ogłaszających się zbiorach korespondencyi, zwłaszcza prowadzonéj z różnemi osobami; lecz jedynie o autentyczność i sumienność. Listy Krasińskiego zresztą same przez się całość taką będą składały, bylebyście je tylko dali tak, jak były napisane, bez użycia nożyc niepowołanéj ręki. I pod tym też tylko dopiero warunkiem mogło było nastąpić rzeczywiście to co wyrzekł pan Gaszyński na końcu swojéj przedmowy jako nadzieję, to jest: że „każdy czytelnik, który dawniéj tylko uwielbiał — teraz ukocha autora tych listów i stanie się pośmiertnym jego przyjacielem.“

Ale dajmy temu już pokój i powróćmy do rzeczy.

Ogłoszona w r. 1839 Balladyna z ową na czele przedmową nie zaraz doszła rąk Krasińskiego. Spotkał on się z dziełem tém dopiero w kilkanaście miesięcy późniéj, za przybyciem swojém do Rzymu w r. 1840. I wtedy też dopiero podziękował Juliuszowi

za owe serdeczne słowa wymierzone do siebie, listem długim i zajmującym, z którego warto tu przytoczyć kilka ustępów*).

.... „Widać, że Cię nie doszły nędzne wiersze, ale nie nędzne myśli pod ich strzępami ukryte, któremi przed sześciu tygodniami dziękowałem Tobie za twoję pamięć — za twój list. Wtedy dopiero doszły do mnie słowa twoje, chociaż napisane przed rokiem. Com przed laty myślał o siostrze Aliny, tosamo do dnia myślę. *Midsummer night's-dream!***) Nic doskonalszego, a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojéj nie ma na świecie...

... „W Tobie leży jeden ze znaków, że to, co poczytują za umarłe, nie umarło. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłe, że mi zawsze jest jakoby znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu... Jeden przeszedł — minął — zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni — obelisk stoi — ten co go postawił, uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie... Drugi posiadł wszystko, na czém zbywało pierwszemu — posiadł język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie... na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy sprzyjrzysz — posiadł i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi się jego i mówi mu: „Ot! cały twój jestem — każ, a posłucham — zawołasz, przybiegnę — mrugniesz w niebo, polecę tam — wskażesz piekło palcem, zstąpię do piekła — chcesz bym stwardniał w bryłę? patrz, marmur ze mnie — bym w gaz się ulotnił? patrz, jakem błękitny, i znów śniady, a przezroczysty, płynny, prawie już nie będący — jednak zawsze twój.“ — Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokręgi wyobraźni. To, co w pierwszym było jednością — twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą — tu się stało rozpłynieniem, powrotem

*) To co tu daję, może zarazem posłużyć za próbkę, w jakim to stósunku mają się autentyczne listy Zygmunta do tych okiereszowanych fragmentów, które znamy za pośrednictwem ich paryskiego wydawcy. Z całego np. tego długiego listu dano tam tylko urywek 18 wierszowy, zawierający bardzo obojętną dla każdego, chociaż skądinąd poetycznie sformułowaną definicyą Poezyi. Wszystko inne zaś poczytano jakby za niebyłe. Mówię o urywku na str. 193 i 194, zaczynającym się od słów: „Poezya, mojém zdaniem...“

**) Angielski tytuł sztuki Szekspira „Sen Nocy Letniéj.“

do szerzy, do płynności światła — do gry tęcz — do fal muzyki — do woni kwiatów — do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleść nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu. On stoi jak szyba mórz wśród wszechświata, i odbija wszystkie słońca — księżyce — anioły — bogi — szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich. Stąd pochodzi, że czasem ludzie jego własności nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżéj pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje — a to jednak dzieje się w niebie... Ten drugi duch... ty wiesz, że to Ty! — Trzeci... to August Cieszkowski, ale ten należy do Filozofii. Otóż z was trzech odgaduję łacno, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jéj mogiłach kwiaty porosną...

... „Zresztą ty lepiéj to wszystko wiesz odemnie. Mojém zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać że dyablą bufonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim powiedział. Kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie. Wszystko co tylko ma styczność z wiecznością, powoli się odbywa.

... „Julu, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, co kiedyś nawrócą się do Ciebie. Trzymaj nakształt harfy eolskiéj duszę twoję wyżéj nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga — promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niéj, — a nie myśli ludzi — redakcye paryskie — zdania — uwagi — naprawy. Przymięszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do Ciebie. Więcéj jest wątrób na ziemi, niż serc. Ach! jakże Cię wtenczas będą rozumieć wątroby. Daléj, niezawodnie żółć jest w poemacie tym klejem, co spaja rozerwane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę. Spróbuj, oni o to się domagają. Dopiero uczują Twoję rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka — koścista na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu — i ku gwiazdom — ku przybytkowi Boga: dopóty oni myślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąk błękitnych przestrzeni. Do korda i na sejmik — rąbać mi i siekać — a zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie“...

Téj rady Słowacki posłuchał i z dobrym skutkiem, jak się to pokazało; ale dopiero po roku.

List kończy się takim ustępem:

„Bądź zdrów — bądź szczęsny — bądź kochany! — nie mówię bądź sławny, bo będziesz nim. Nie życzę nikomu tego, co mu bogi dały. Dotąd wielki artysta, tylko artysta Cię obejmie, zgruntuje, zrozumie. Ale ty zstąpisz niżéj — ty wsiąkniesz w serca malutkich. Gdybym miał i ja nareszcie jednę Ci uwagę uczynić, to jedyną tylko bym uczynił: Granit rzuć pod twoje tęcze. Tęcza gdy łukiem się zakala po niebie, winna stopy śliczne oprzéć na podstawie granitowéj, to jeszcze ją lepiéj tęczą robi. — A teraz myśl o mnie, pamiętaj o mnie... Tobie tortury zaczęły, mnie skończą życie... Oddasz mi kiedyś ten napój pociechy, który zawsze sączyłem tobie — a nie tak z czary mózgu mego, jak z serca. Bądź mi sercem kiedyś — kiedyś w przyszłości! Ściskam Cię, jak dawniéj nad drogą bolońską“...

To wszystko wyjmujemy więc z listu Krasińskiego z dnia 23 lutego roku 1840, datowanego z Rzymu. Rok ten pamiętny jest w życiu tego poety z ogłoszenia „Trzech Myśli Ligęzy“ —

Tymczasem, w ciągu jeszcze poprzedniego lata, rozpoczęła się na nowo korespondencya między naszym poetą a jego rodziną. Ułatwiły się cokolwiek stósunki. Wuj Słowackiego był jeszcze trzymany na wygnaniu, ale czujność władz przestała już tyle ciężéć na jego krewnych. Zagadnięto tedy znowu Juliusza nowinami z Krzemieńca i ośmielono do odezwania się wzajem. Pierwszy z listów jego do matki, stanowiących ten drugi, że tak powiem, rozdział korespondencyi pomiędzy nimi, ma datę 24 czerwca 1839 r. —

Wielka to jednakże już różnica między listami Słowackiego pisanymi teraz a dawniéj! Pisywał on odtąd już tylko rzadko i krótko, i udzielał wiadomości o rzeczach jedynie obojętnych, ogólnych. Częstokroć nawet dopiero odgadnąć trzeba, o czém właściwie mówi Słowacki, kiedy używa słów zupełnie trywialnych i skądinąd zgoła co innego znaczących. Ukryta myśl nawet i takich miejsc jest wprawdzie pod politycznym względem bardzo niewinna; ale jemu wyraźnie o to chodziło, ażeby zatarte były wszelkie ślady, że te listy pochodziły od niego. Dlatego też unikał odtąd systematycznie wszelkich wzmianek o zawodzie i powodzeniu swojém jako pisarza, i nic nie donosił o dziełach, które

pisał albo wydawał. Ten brak najciekawszéj właśnie i najważniejszéj strony jego korespondencyi daje mi się czuć bardzo, kiedy ten rozdział piszę. Nawet osobę i imię swoje przez czas pewien zastępywał inną osobistością i inną nazwą. Zaczął pisywać do matki jako niby jakaś młoda jéj przyjaciółka czy też wychowanica. Nazywał się więc Zosia; Matkę tytułował: Moja kochana Sally (Salomea było jéj imię). Niekiedy zaś, kiedy mu już koniecznie wypadało dobitniéj mówić o sobie, wyrażał się w taki sposób, jakby mówił o kimś trzecim. Imię téj osoby było natenczas *Mr. Jules d' Avallon*, jakiś niby to Francuz. Równie też rzadko kiedy dawał datę czasu i miejsca, skąd co pisał. Zwykle było to zupełnie pomijane milczeniem; niekiedy Paryż był zastąpiony jaką miejscowością krajową; tak np znajdujemy list jeden pisany niby z Podhorzec...

Niezawsze jednak umiał Słowacki utrzymać się w granicach téj przybranéj roli przez ciąg całego listu! Natura jego zbyt była nieprzedmiotowa i zbyt bezpośrednia, żeby się nie był miał zapominać niekiedy. Tak naprzykład, począwszy list z razu w charakterze Zosi, na dalszych jego stronicach mówił: byłem, widziałem, zdrów jestem itp. Często napotykamy i co do istotnéj nawet osnowy takie nieostrożności i niekonsekwencye. Gdyby listy te były ściągnęły na się uwagę urzędowych listowéj literatury badaczów, przekonany jestem, że właściwy autor byłby łacno odkryty w téj analizie filologicznéj. Nam dzisiaj jednak pochopność ta autora do wypadania z roli może być tylko dogodną i dla celu naszego najkorzystniejszą.

Owoż, na zasadzie tych listów, znajdujemy Juliusza w ciągu lata 1839 w tym samym stanie moralnym, w jakimeśmy go widzieli w latach poprzedzających. Mieszkał w stancyi najętéj na ulicy *des Piramides* pod Nr. 6. Żył samotnie, pracował wiele, od emigracyjnych zatargów trzymał się zdala.

... „Byłbym szczęśliwym, gdyby mi nie brakło familijnego życia; żyję bowiem jak mnich — a Ty nie pojmiesz, jakto serce przez takie życie usycha; jak zamierają wszelkie uczucia, jakby sama natura mściła się, że się od jéj zwyczajnych dróg oddalamy. Mam teraz na świecie kilku

przyjaciół takich, którzy mię szacują i bronią; ale ci wszyscy są odemnie dalecy. A tu otoczon jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę. Zazdrośni bowiem są — małego serca — niezdolni ani uczuć ani pojąć szlachetnych myśli; słowem są to zatarte szelągi, zimne, spleśniałe! Najwięcéj więc czasu przepędzam sam, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego taka korzyść, że mi życie złocą i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojéj, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych. Czy życie takimi snami zajęte życiem jest, nie wiem; ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni i czasem przyjemność sprawia.“ (z listu pisanego niewiadomo w którym miesiącu, ale w roku 1839).

Takich wyrzekań na emigracyą paryską bardzo wiele jest w listach Słowackiego ówczesnych.

„Koledzy moi zepsuci są biedą — życie z nimi bardzo niemiłe! Wystaw sobie, droga, ludzi znudniałych, którzy o niczém gadać nie chcą i nie umieją, ludzi, którzy się odłączyli zupełnie od towarzystwa jak wyklęci, i żyją między sobą, nudząc się wzajemnie. Robią, co mogą, abym ich nienawidził! Mam jednak i pomiędzy nimi pewną powagę, którą mi nadaje czystość moja wewnętrzna. Wolałbym szczerą miłość, ale téj nie ma pomiędzy nami, a stworzyć jéj nie mogę!“

.... „Nuda miejskiego życia, stan pieniężny etc. wywiera zgubny wpływ na umysł. Są dnie, których niczém zająć nie można. Człowiek się rzuca w kraj imaginacyi i żyje w nim. Ale są reakcye okropne, w których umysł nudzi sam siebie. Wtenczas ani wieczór przepędzony na graniu w wista, ani gawronienie się po ludnych ulicach nie jest lekarstwem. Świeżość umysłu traci się, a nabycie wiadomości, których nikomu udzielić nie można, czyni umysł podobnym do śpiżarni zawalonéj spleśniałymi wiktuałami.“ (z listu z d. ? listopada 1839).

... „O! gdyby tylko 200 dukatów na rok! Żylibyśmy oboje w jakiéj willi otoczonéj różami i pomarańczami we Florencyi. Czasem posłuchałabyś śpiewów włoskich — czasem i jabym Ci sam za towarzystwo wystarczył. I takby nam płynęły dni — niebardzo świetnie, ale miło, z błogosławieństwem bożém dla obojga. Czyż i tyle skromnego szczęścia nie można uprosić u Boga? Myśl, myśl nad tém, droga moja, a choćby przyszło część tego co mamy stracić, ja tak życie nasze urządzę, że nam wystarczy. Wierz

mi, droga! Ja nie mam żadnych snów wielkości, a i Ty może nie bardzo chcesz złoconego szczęścia“... (z listu z d. 24 czerwca 1839).

Tylko takie miejsca czytając, pojąć można, dlaczego tyle talentów, tyle zapału, tyle gotowości do ofiar, ile jéj było w Emigracyi ówczesnéj, wydało jednak tak mało plonu dla kraju pożytecznego i znędzniało, jak ów kwiat exotyczny, pozbawiony ożywczéj rosy i grzejącego promienia słońca. W ten tylko sposób zrozumieć można, dlaczego Mickiewicz we dwa, najwięcéj we trzy lata po przybyciu do Paryża na emigracyą, tworzyć zupełnie zaprzestał; dlaczego wszystko, czego się tylko tknęła ręka tych biednych wygnańców, przybierało jakiś krzywy kierunek, wiało tchnieniem chorobliwém i mimo najpoczciwszych chęci, więcéj szkodziło niżeli pomagało...

Byli to ludzie w saméj rzeczy, jak się Słowacki wyraża, zepsuci biedą i samotnością, strawieni nieszczęściem i tą ciągłą tęsknotą, która się stawała tém niecierpliwszą i tém zapędliwiéj przechodziła w niewyrozumiałość wzajemną, posuniętą do wysokiego stopnia, im bardziéj przedmiot bezpośredni działania ginął z oczu tych nieszczęśliwych. Nienaturalność atmosfery, którą na obcéj ziemi przymuszeni byli oddychać, i brak celu dalszego życia przy ciągłych rozczarowaniach — oto co nam tłómaczy wszystko...

A jednak żyli oni w silném przekonaniu i wierze, że ich cierpienia nie będą nadaremne! Stali na stanowiskach swoich, jak jaka stracona czata, i uważali sobie za obowiązek dotrwać na zajętych posterunkach do końca.

W r. 1840 zapowiadane były w krajach pod berłem rosyjskiém na korzyść pewnych kategoryi wychodźców politycznych niejakie ułaskawienia i ulgi. Przy téj sposobności poruszono w gronie Emigracyi pytanie: czyby z téj amnestyi nie należało korzystać? Zdania były różne. Ostatecznie zdaje się jednak, że w skutek owéj amnestyi mało kto powrócił do kraju.

Ważne jest miejsce w jednym z listów Juliusza, ściągające się właśnie do téj okoliczności. Powtórzę je tu dosłownie, zatrzymując sposób allegoryczny, jakim się w owéj porze zwykł był wyrażać.

„Przejeżdżając przez wioskę moję pan Andlej, mówił mi, że widział Ciebie, że gdy widział, płakałaś — i to mi serce rozdarło. Ale Ty wiesz, gdybym ja mogła porzucić moję kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z Tobą, już bym Ci służyła z całą miłością biednéj dziewczyny a Twojéj niegdyś wychowanki. Nieszczęśliwy ten świat, że nie pozwala nam robić, cobyśmy chcieli, ale nas wiąże i krępuje różnemi wymaganiami i obowiązkami! Oby przynajmniéj Twój brat nie był opuszczony w powszechném, jak słyszę, ułaskawieniu! oby już był przy Tobie! (z listu z d. 21 października 1840).

Z tém się wiąże ów wiersz Słowackiego Do Matki, ogłoszony dopiero w wydaniu pozgonném, który jeszcze lepiéj uczucia ówczesne autora wyraża:

Zadrży ci nieraz serce, miła Matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych.
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
Tak uparte wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem mojém lat bym ci przysporzył; —
Wszakże gdy się spytają, czy twój syn powraca?
Mów — syn twój na sztandarach jak pies się położył
I choć wołasz — nie idzie, oczy tylko zwraca...

Oczy zwraca ku tobie!... Więcéj nic nie może —
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłómaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby — pić czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby — toby ciebie pewno nie opuścił!

— Pomimo wszystkich tych smutków i przeciwności, autorska energia Słowackiego w owych czasach trzymała się jednak krzepko i rosła przy ciągłéj pracy. Wydawnictwo dzieł dawniejszych, a teraz przeznaczonych do ogłoszenia, także szło swoim

torem. Na samym początku 1840 (w ciągu miesiąca stycznia albo lutego) wyszedł dramat niegdyś przez autora na spalenie skazany, a teraz zapewne częściowo przerobiony:

Mazepa, tragedya w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12° str. 145.

Krytyka téj sztuki przez K. Libelta pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim już w numerze z d. 30 marca 1840, okoliczność popierająca powyższy wniosek o chwili wyjścia Mazepy.

Niezwłocznie potém opuściła prasę praca zupełnie nowa, świeżo napisana:

Lilla Weneda, tragedya w 5 aktach przez Juliusza Słowackiego. Paryż. 1840. 12° str. 154.

Była drukowana w ciągu miesiąca kwietnia, jak tego dowodzi data, położona przez autora pod przedmową. Przedmowa ta, prześlicznie napisana, jest znowu w formie listu do Krasińskiego. List ten nazwałbym prawie poetyczniejszym, niż sam poemat. Dziwnie piękném jest mianowicie zakończenie tych kartek:

„A teraz, kiedym ci się wyspowiadał, usiądź na ułamku jakiéj dawnéj ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy! — Usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamyślona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka. A zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojéj większym blaskiem odzianą — i piękniejszą sto razy — i niech ta postać do nas obojga należy! niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie! — A tych dwóch wodzów... czy ty myślisz Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach powiążą i na jednym stosie postawią? — Ty mię wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie!“

Autor Irydyona był owego lata, w którém go doszły te słowa, na ciele chory, a na duchu znękany. Bawił w Karlsbadzie

natenczas. Byłby mógł i wtedy tosamo już powiedzieć o sobie, co rokiem późniéj pisał do innéj osoby:

„Sądziłem, żem przeznaczon do życia wśród ludzi żywych; — nie wiedziałem, że ulice z grobów będą domem moim, umarli towarzystwem, kościoł największy świata — salą godową; posągi białe mroźnego blasku — koleżeństwa dawnego zastępcami; równin mazowieckich — kampania rzymska przypomnieniem; — i że młodość moję tak bezczynnie strawię, tak chorobliwie zeżrę, tak nikczemnie utracę!...“

Odpowiedział Słowackiemu natenczas listem, który w szeregu owych dziesięciu mnie znanych zajmuje drugie z kolei miejsce.

„Drogi Julu — tak się zaczyna ów list, datowany z Rzymu z dnia 19 grudnia 1840 — i Lilla i list twój oddane mi są. O pierwszéj, już temu 5 tygodni, długi a długi do ciebie wyprawiłem artykuł. Iżaliś go odebrał?*) Przeczytałeś skargę białéj dziewczyny? Uznałeś w głębi serca jéj prawo do skargi? i rozrzewniłżeś się nad nią? Czy cię zły duch Szekspira nie popchnął do niesprawiedliwego ofuknienia się na klęczącą u stóp twoich?“...

Z tych słów godzi się wnosić, że było coś w Lilli Wenedzie, z czego nie zupełnie był zadowolony Krasiński. Może nam się uda w przyszłym rozdziale odgadnąć, o co mu też chodziło.

— A teraz przechodzę do rzeczy, na któréj wyjaśnienie niecierpliwie pewnie czytelnicy moi czekają. Powinienbym powiedzieć na podstawie listów poety, które dzieła jego nowe powstały w tym czasie stałego już odtąd pobytu jego w Paryżu, za powrotem z Włoch. Na nieszczęście w listach Słowackiego odpowiedzi na to nie znaleść. Spotyka się w nich tylko, i to po kilka razy, zapewnienie, że ciągle pracuje, że wiele pisze; ale bliższych o tém szczegółów nie ma.

„Teraz żyję, jak mogę; bazgrzę sobie i czas mi upływa, a tak prędko, że prawdziwie przerażam się jego szybkiém znikaniem“ —

Oto w taki to ogólny i lakoniczny sposób wzmiankował w latach owych poeta o swoich literackich zajęciach.

---

*) Artykułu, o którym tu mowa, nie znaleziono między papierami Słowackiego.

Biorąc w pomoc rezultaty, do jakich mię doprowadziło głównie rozpatrzenie się w pozostałych Słowackiego papierach, obejmujących jużto utwory całkowite za życia jego nie drukowane, już szczątki, urywki i fragmenty rozmaitych rzeczy nie dochowanych w całości: nie waham się stawić na pewne twierdzenia, że cały ten szereg lat od 1839—1842 stanowił w życiu naszego wieszcza w ogóle okres kulminacyi jego talentu, energii i dzielności. Wszystko prawie, co tylko było owocem owéj epoki, bez różnicy czy było ogłoszoném już przez samego autora, czy teraz dopiero w wydaniu naszém, okazuje w nim łatwość tworzenia, samodzielność, trzeźwość duchową, takt artystyczny i w ogóle dojrzałość, do jakiéj nigdy przedtém zbliżyć się nie potrafił. W 30 tedy roku życia stanął Słowacki na téj wyżynie artyzmu, jaką w ogóle zająć było mu przeznaczoném w ciągu jego zawodu. Samo się rozumie, że ta wyżyna jego najwyższa nie była to doskonałość bezwzględna. Nie mogła ona być nawet ani względną jego doskonałością. Boć wątpliwości to nie podlega, że gdyby nie te smutne okoliczności, w jakich ciągle życie jego płynęło, gdyby mianowicie nie fatalna owa przyniesiona przez Towiańskiego zaraza ducha i mistyka, która jak prawdziwe dopuszczenie i kara boża, w roku 1842 obłąkała tyle znakomitych i pierwszego rzędu mężów naszych żyjących na emigracyi, a między nimi i Słowackiego: — to ciągły postęp jego jako wieszcza narodowego idąc takimże torem i dalej, byłby ostatecznie dosięgnął zupełnie innego kresu. W obec atoli tego wszystkiego, co zaszło i na czém się skończyło: czas ów powyżéj wskazany — byłato stosunkowo jego najświetniejsza epoka.

Pomiędzy ogłoszeniem Balladyny (1839) a Beniowskim (1841), powstały w ogóle następujące dzieła nowe:

Nasamprzód w tym szeregu widzimy wspomnianą już wyżéj i wydaną w r. 1840 **Lillę Wenedę**, niejako kontynuacyą pomysłu, na tle którego Balladyna była osnuta. Autor zamierzał „z Polski dawnéj utworzyć fantastyczną legendę, z ciszy wiekowéj wydobyć chóry prorockie“... „Uśmiechnij się teraz Irydyonie — pisał do Krasińskiego w przedmowie do Balladyny — bo oto naśladując francuskich poetów, powiem ci, że Balladyna jest tyl-

ko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Aryosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyi czyli kronik dramatycznych.“ — Otóż drugą taką kronikę dramatyczną, drugą taką przedwiekowéj Polski legendę miała stanowić właśnie Lilla Weneda.

A trzecią była tragedya **Krakus**. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy — byłto utwor dokonany niedługo po napisaniu Lilli, i w tymże samym sposobie. Na nieszczęście, z dramatu tego nie pozostało więcéj, jak tylko początek. Między autografami poety znalazł się z téj sztuki tylko jeden arkuszyk, listowego papieru, nader drobném zapisany pismem, prawie bez żadnych poprawek i z dokładném zawsze oznaczeniem nazwisk osób prowadzących z sobą dyalog. Z tego wnoszę, że to był już odpis na czysto. W brulionie bowiem zwykł był Słowacki naznaczać tok dyalogu w taki jedynie sposób, że przy każdéj jego przerwie dawał na początku wiersza tylko linijkę, na znak, że tu zaczyna mówić kto inny. Zresztą w brulionach jego bywają też dość częste przekreślenia i odmiany. Skoro zaś upoważnia wszystko do wniosku, że rzeczony arkuszyk mieści w sobie text już przepisywany: godzi się w każdym razie być zdania, że Krakus był utworem całkowitym, a nie urywkiem; urywków bowiem i tylko napoczętych robót nie zwykł był Słowacki nigdy przepisywać na czysto. Przeciw twierdzeniu temu nie dowodzi niczego, że nie ma obecnie z Krakusa więcéj, jak tylko te cztery pierwsze sceny, które dopiero dało poznać czytającéj publiczności lwowskie wydanie. W ogóle chcąc sobie to wytłómaczyć, że między pozgonnemi Słowackiego pismami tyle znalazło się fragmentów, wiedzieć należy, że nie miał on nigdy zwyczaju używać do pisania poszytów. Czy to komponując, czy też mundując rzecz już skończoną — zapisywał on zawsze arkuszyk za arkuszykiem; a kiedy rzecz była doprowadzona aż do samego końca, składały się te pojedyncze arkusze w zwitki, i w tym stanie, niezeszyte, składane bywały między plikami najrozmaitszych innych papierów. W wyjątkowych tylko razach i nie inaczéj jak z powodu szczególnych chyba okoliczności (np. jeżeli ktoś drugi miał się zająć przepisaniem autografu), zwitki takowe były zszywane w poszyty i tworzyły całość nie tak już łatwą do

rozprószenia. Przy wielkiéj poniewierce, jakiéj papiery Słowackiego późniéj podléc musiały, (powiedzieć tego nie umiem, czy to było po jego zgonie, czy jeszcze za życia, kiedy pod wpływem Towianizmu zmienił kierunek i nie cenił sobie prac z przed roku 1842), było to rzeczą bardzo naturalną, że z owych zwitków luźnych arkuszy ginęły całe partye, a niekiedy przepadało i wszystko, z wyjątkiem kilku albo jednego tylko arkusza, szczególnym ocalonego trafem. Za takito arkusz przypadkowo dochowany z całości, uważam i fragment, o którym tu mówimy. A potwierdza mię w tém mniemaniu i ta jeszcze okoliczność, że arkusz, w którym fragment ten się mieści, zapisany jest jak najnabiciej aż do samego dołu, i rzecz się urywa w takiém miejscu, że widocznie musiał tu być jakiś ciąg dalszy...

Co się tyczy pytania, jakie przedmioty zamierzał Słowacki opracować w dalszych dramatach, to jest w kontynuacyi Lilli Wenedy, Krakusa i Balladyny: na to odpowiedzieć nie umiem. Miejsce mianowicie czwarte i piąte musi pozostać na zawsze niezapełnioném, braknie tu bowiem nawet dla domysłów wszelkiego punktu oparcia. Ostatniém ogniwem tego fantastycznego łańcucha pieśni, z sześciu złożonego dramatów, mogł być utwor osnuty na dziejach dogorywającéj Litwy pogańskiéj, który także dochował się tylko w urywku i dany jest w wydaniu lwowskiém pod nazwiskiem **Wallenrod**. Za trafność téj nazwy nie zaręczam, w rękopisie poety bowiem żadnego tytułu nie było, gdyż sztuce téj w ogóle braknie początku; i oświadczam z góry, że jeżeliby kto twierdził, iż tu dzielny Witołd więcéj na bohatera sztuki zakrawa, niż melancholijny z rozdartém sercem Wallenrod, to i ja bardzo pojmuję powody takowego mniemania. Patrząc atoli na rzecz tę ze stanowiska naszego poety, zdawało mi się, że większa, a przynajmniéj głębsza i poetyczniejsza rola do odegrania była tu przeznaczona znurtowanemu nieszczęściem charakterowi mistrza Krzyżaków, aniżeli normalnéj i doraźnie działającéj naturze Kiejstutowicza. Takieto jedynie powody skłoniły mię do nazwania sztuki téj „Wallenrodem.“ Spis osób, dany na czele tego fragmentu, jest także tylko dodany przez wydawcę, a nie przez poetę; jakoż ani wątpię, że na téj małéj ilości figur nie kończyło się

w całym organizmie dramatu. Zaprzeczyć nie można, że niektóre z charakterów są nader silnie rzucone. W ogóle ujmuje w tym urywku kompozycya pełna prostoty i prawdy, ciągły ruch akcyi, zawikłanie różnostronnych interesów prowadzone z dramatycznością i życiem, sceniczność bacznie przestrzegana w całym układzie — słowem zalety, na jakich nieraz dawniéj zbywało nawet ogłoszonym Słowackiego dramatom. Nieodżałowana szkoda, że i ta praca nie doczekała się lepszych dla siebie czasów inaczéj, jak tylko w tym stósunkowo tak drobnym już tylko szczątku! Szczątek ten stanowiłby pierwszą połowę całéj sztuki, gdyby nie brakło początku aktu pierwszego. Rękopis, w którym się znalazły te sceny, jest własnoręczny; stanowią go dwa arkusze listowego papieru, zapełnione równie drobném pismem, jak w Krakusie. Pierwszy arkusz, nieodszukany w pozostałych papierach, zawierał w sobie expozycyą i niewątpliwie to wszystko, czego sztuce braknie obecnie z początku. Ocalone dwa arkusze szły zaraz po nim. A zdaje się, że być kiedyś musiały i te 3 lub 4 dalsze arkusze, które mieściły w sobie drugą połowę tragedyi; cała bowiem powierzchowność ocalonéj części manuskryptu jest tego rodzaju, że koniecznie przypuścić trzeba, iż to jest tylko wyrwany środek z całości.

Co się zaś tyczy drugiego urywku, który w wydaniu lwowskiém dołączony jest do Wallenroda, jako dodatek pod napisem Walter Stadyon: uważam go za robotę zgoła odrębną, w innym jakimś czasie pisaną i nie mającą bliższego związku z tamtym utworem, nad przypadkową tożsamość osoby bohatera. Byłto, zdaje mi się, pomysł luźnie rzucony od ręki i nigdy już potém nie prowadzony daléj. Znalazłem go między tysiącem innych rzeczy — w książeczce, w któréj zapisywał sobie Słowacki różne noty i spostrzeżenia.

Po Lilli Wenedzie, Krakusie i Wallenrodzie, wymieniam jako czwartą pracę Słowackiego na te lata przypadającą, dramat pod tytułem „**Jan Kazimierz.**“ Daje o nim wiadomość P. Reitzenheim w broszurze swojéj francuskiéj o Juliuszu Słowackim, wydanéj w Paryżu r. 1861. Autor broszury, jeden z bliższych niegdyś znajomych poety, mówi o dramacie niniejszym w sposób, który dowodnie przekonywa,

że mu takowy był znany jako całość skończona i zupełna. Przy tém robi uwagę, że w żadnym innym Słowackiego utworze nie dochodziła dosadność i dokładność artystyczna do tego stopnia, co tutaj. Mianowicie charaktery Jana Kazimierza, Czarneckiego, toż obojga Radziejowskich miały być oddane w sposób prawdziwie godny Szekspira. Te pochwały P. Reitzenheima wzbudzają tém więcéj żalu, że i ten utwor tak znakomity przepadł prócz kilku scen, któreśmy odszukali w zamęcie papierów pozostałych i wcielili do fragmentów dramatycznych, objętych w trzecim tomie pism pośmiertnych. Sceny rzeczone przypadają prawdopodobnie na akt Iszy, w każdym razie na pierwszą połowę sztuki; znalazły się pisane drobniuteńko, własną ręką poety, i zapełniały wszystkie jeden arkuszyk takiegoż papieru, jaki był użyty do Krakusa, do Wallenroda i w ogóle do tych wszystkich rzeczy, które w owych latach powstały. To rozstrzyga o czasie, w którym być musiał napisany Jan Kazimierz. Cały zewnętrzny pozór arkuszyka, o którym tu mówimy, przekonywa dostatecznie, że stanowił pierwotnie tylko część rękopisu, złożonego niegdyś z kilku podobnych arkuszy. Przy wyraźném świadectwie p. Reitzenheima niepodobna o tém wątpić, że i ten tedy dramat czasu swego był dziełem doprowadzoném do końca i dopiero w późniejszym czasie podległ zniszczeniu.

Piątą pracą dramatyczną, powstałą w tymże ustępie życia, była **Beatryx Cenci**. Była pisana w roku 1840, w pierwszych miesiącach.*) — Tragedyą tę oddano mi w rękopisie w nader chaotycznéj postaci, ani nawet nie przypuszczając, żeby w tych 6 arkuszykach, w których się ona mieściła, miała znajdować się całość. Arkusze były i tutaj rozleciałe, nieponumerowane. Zapeł-

*) Wiadomość tę można uważać za pewną. Między papierami Słowackiego znalazła się luźna karta, z napisem jego ręki: „Tragedya — Beatryx Cenci — napisana — 1840 roku.“ W Tygodniku Poznańskim donoszono w r. 1840 już dnia 18 maja, że się dramat Słowackiego pod tym tytułem właśnie drukuje w Paryżu. Doniesienie to było co do głównéj rzeczy, t. j. co do druku, przedwczesne, a nawet zupełnie mylne. Ale nasuwa wniosek co do czasu powstania téj sztuki.

niał je dyalog, którego rozłożenie między mówiące osoby oznaczone było najczęściéj samemi tylko kreskami. Żadnych odznaczeń, gdzie się scena jaka kończy a zaczyna nowa. Słowem rękopis ten był w takim stanie, że po długich nadaremnych usiłowaniach złożenia sześciu arkuszy owych w taki sposób, żeby się rzecz dała powiązać z sobą w ciąg jakiś: nabrano już przekonania, że i to tylko są urywki, a raczej szczątki niestanowiące całości, z powodu że kilku arkuszy widocznie braknie. Mianowicie sprawiało to trudność w zoryentowaniu się w rękopisie, że nie można było dopatrzeć, gdzie właściwie jest początek tragedyi. Byłto bowiem dopiero pierwszy koncept utworu, brulion, w którym nie tylko dużo było ustępów przekreślonych, a potém zastąpionych nowymi pomysłami, rzuconymi na papier w miejscu nieraz bardzo odległém od sceny, do któréj rzecz należała, ale nawet zdarzały się tam czasem wsunięte i kawałki zgoła do tego przedmiotu nienależne, np. pochodzące z Lilli Wenedy itp. — Przy troskliwém staraniu udało mi się przecież wniknąć w plan budowy całéj téj sztuki. Uznawszy dwie sceny — niedokończone i zgoła też nie wiążące się z żadném miejscem właściwego textu Beatryczy — za przelotne tylko projekta do pomysłów, w ciągu już pracy uznanych przez autora za mniéj właściwe, i usunąwszy takowe na bok: zrekonstruowałem cały pozostały materyał tego dramatu w taki sposób, iż nie dodając ani słowa od siebie, złożyłem objątek wszystkich 6 arkuszyków w jeden nieprzerwany ciąg akcyi. — Wspominam tu o tém wszystkiém tak szczegółowo z téj przyczyny, ponieważ pozór i stan rękopisu sztuki niniejszéj rzuca światło na te wszystkie arkuszowe urywki ocalone z innych utworów, o których wspomniałem wyżéj. Miała się niewątpliwie i z nimi rzecz zupełnie, jak tutaj, tylko że przypadek był dla Beatryczy Cenci łaskawszy i sprawił, że z rozproszonych arkuszyków tą razą ocalały wszystkie.

Na ostatek odnoszę, z pomiędzy prac Juliusza dramatycznych, do tejże pory owe dwa urywki, które pod nazwą **Fragmentów z dramatu o Beniowskim** zamieściłem na samym końcu tomu trzeciego. Te urywki zapełniają w rękopisie dwa osobne arkusze, nie mające jeden z drugim żadnego związku. Format i

rodzaj papieru, toż cała powierzchowność pisma i tu znowu zupełnie jest taka sama, co w utworach wymienionych powyżéj. Na tém też opieram domysł, że i ten dramat musiał być owocem czasu między 1839 a 1841. Zato nie śmiem nic rozstrzygać co do pytania, czy i obecny utwor stanowił kiedyś całość zupełną. Możnaby przytoczyć ważne powody, mówiące za tém i przeciw temu. Przeciw przypuszczeniu całości dramatu „Beniowski“ przemawia sama exystencya poematu wydanego pod tymże tytułem. Zdaje się, że poematu tego nie byłby rozpoczynał Słowacki, gdyby był miał w tece ukończony dramat, osnuty na przygodach téjżesaméj osoby. Z drugiéj znowu strony sama już powierzchowność ocalonych tych dwóch arkuszy, w których się urywki niniejsze mieszczą, wskazuje na to, że i to musiały być części jakiegoś dłuższego manuskryptu. Niemniéj potwierdza ten domysł i ów wiersz, w kształcie Parabazy wstawiony pomiędzy aktem drugim a trzecim, w którym autor w własnéj swojéj osobie przemawiając do czytelnika, wspomina o takich scenach jako już przeprowadzonych, których nie znaleść ani w jednym ani w drugim fragmencie. Oczywista rzecz zatém, że w każdym razie kreacya ta musiała być przynajmniéj większych natenczas rozmiarów i że była daléj posunięta ku końcowi, aniżeli się to obecnie zdaje, wnosząc z ocalonych ustępów. Szkoda wielka, że utwor tak zupełnie od wszystkiego odmienny, co tylko Słowacki kiedykolwiek napisał, i w ogóle wyjątkowego rodzaju w całéj literaturze naszéj, nie doczekał się czasu publikacyi w zupełniejszéj postaci!

Tyle o pracach Słowackiego ówczesnych w scenicznym zakresie poezyi. — Na owe także lata przypadają niektóre poezye krótsze, częstokroć niemałéj artystycznéj wartości. Mianowicie „Wiersz na sprowadzenie zwłok Napoleona,“ „Do Matki,“ i „Pogrzeb Kapitana M.“*) zaliczyć można do najpiękniejszych rzeczy, jakie liryka polska wydała.

*) Byłto kapitan Józef Meisner, zmarły w Paryżu dnia 23 października 1840, w 39 roku swego życia. Emigracyjne pisma donosiły z wielkim żalem o zgonie tego znakomitego oficera z czasu powstania 1831 roku.

Nakoniec choć krótkiém słowem wspomnieć tu jeszcze należy o dwóch urywkach napisanych prozą, które były czasu swego drukowane w poznańskim Tygodniku Literackim, przez kilka numerów roku 1840 i 1841. Jeden z nich był tam zatytułowany „Święcone u J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki;“ drugi „Preliminaria peregrynacyi do ziemi św. J. O. Ks. Radziwiłła Sierotki.“ Pod tym drugim napisem złączyłem je oba w jedno i zamieściłem w tomie Iszym Pism pośmiertnych pomiędzy rzeczami prozą. Jestto tylko rzut jakiś urywkowy. Ile wnosić można, autor zapewne więcéj w tym przedmiocie nie pisał, jak tylko to co dano w Tygodniku.

Jak wiadomo, rozgłośne „Pamiątki Soplicy“ pojawiły się po raz pierwszy z druku w Paryżu w roku 1839. Zrobiły od razu wiele wrażenia. Witwickiego przedmowa, dana na czele téj publikacyi, postawiła talent nieznajomego jeszcze naówczas autora od razu na jednym z najwyższych szczytów wziętości literackiéj. Każdy gawędy te czytał, każdy je pod pierwszém wrażeniem uroku opowiadania podziwiał. Sowizdrzalska i na tle dziejów przeszłego wieku niezbyt mądrze się malująca postać księcia Karola Radziwiłła, w obrazie Rzewuskiego przybrała wszelkie pozory genialnego magnata, który żył nibyto tylko na usługi braci szlachty i dla dobra rzeczypospolitéj. Nie wiedzieć skąd i naco, ale od tego czasu książę Panie Kochanku liczony być zaczął powszechnie do najpopularniejszych ludzi i do najpoetyczniejszych figur naszéj przeszłości, do czego się później tém więcéj jeszcze przyczynił tegoż autora Listopad.

Pośród téjto więc admiracyi powszechnéj tak talentu (na co zgoda), jak i dążności autora „Pamiątek“, chwycił za pióro Słowacki. Spróbował stworzyć coś także w tymże rodzaju. Nie umiem sobie wprawdzie w sposób stanowczy z tego zdać sprawy, czy rzeczywiście w dobréj wierze puścił się drogą wskazaną i był na moment niczém więcéj, jak tylko naśladowcą pana Soplicy: czy też raczéj, jak rozumiem, dlatego tylko wziął pióro Rzewuskiego do ręki, ażeby własnym jego językiem, rubasznym i staropolskim, i w tymże samym idąc kierunku, w którym on sobie zdobył wawrzyny, w kierunku mówię bezwarunkowego uwiel-

bienia pieczeniarstwa dawnéj szlachty w stósunku do magnatów, a obłudy tych ostatnich w stósunku znowu do szlachty — napisać niejako komentarz o etycznéj wartości tego wszystkiego, co się tak bardzo w osobie Radziwiłła i otaczającéj go hałastry podobało naszéj publice. Ubolewać nad tém jedném tylko należy, że sobie obrał Słowacki za bohatera téj parodyi nie już księcia Karola, ale inną osobistość z téjże rodziny, to jest księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotkę, który żył w XVI wieku, i że na tę świątobliwą, prostoduszną i prawdziwie *moris antiqui* postać dziejową przeniósł stylem i sposobem Rzewuskiego wszystkie owe sowizdrzalskie fantazye i wybryki magnackie, w puste pozory dewocyi i dobroduszności przybrane, któremi ośmnastowiekowy Radziwiłł „panie Kochanku“ umiał tumanić łatwowiernych do tego stopnia, że go nie pozbawiła téj sztucznéj popularności ani bitwa pod Słuckiem, gdzie nienajzaszczytniéj hetmanił, ani konfederacya radomska, w któréj w tak prawdziwie sromotny sposób dał się nadużyć do odegrania roli figuranta-marszałka...

Ten tedy zamiar wydrwienia rogatéj dumy, schowanéj pod płaszczykiem bonomii, był zupełnie na miejscu wobec uroszczeń, za których wyraz można było uważać już owę pierwszą książkę późniejszego Jarosza Bejły. Lecz sposób, jakim zamiaru tego chciał dokonać wtedy Słowacki, uważam za chybiony. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł nie zasłużył sobie na taką profanacyą. Zresztą zdaje mi się, ile sobie przypominam, że ówczesna publiczność odczytała te urywki w Tygodniku Literackim, nie domyślając się wcale, w jakiéj dążności one były pisane. Przyjęła rzecz za dobrą monetę. —

Dla dopełnienia obrazu całéj téj części życia autora Balladyny, nie pozostaje, jak tylko przywieść jeszcze jeden wyjątek z jego korespondencyi owego czasu. Nie zaszkodzi, jeżeli będziemy też jeszcze mieli wyobrażenie, jak poeta obdarzony tak potężną zdolnością, pisarz tak płodny, właśnie w porze największéj dojrzałości i twórczości swego geniuszu, był urządzony w swojém mieszkaniu. Warto doprawdy, żeby na podstawie własnych słów

Słowackiego, tchnących zresztą takiém godzeniem się na ten los opłakany, jakiego wtedy zażywał, zrobił sobie czytelnik w własnéj myśli porównanie między dolą autora Polaka, a Francuza, Niemca albo Anglika. Porównanie to nie bardzo będzie pochlebném dla społeczności naszéj, tyle zawsze skłonnéj wierzyć w swoje zamiłowanie rzeczy ojczystych...

Ażeby było zrozumiałém, co tu przytoczę, muszę nadmienić, że w owych czasach Słowacki otrzymał od matki jakąś część majątku ojczystego w kapitale od razu sobie przysłanym, zamiast co dawniéj bywały mu dostarczane od czasu do czasu tylko kwoty pomniejsze, rozchodzące się natychmiast na bieżące potrzeby życia. Ta możność rozrządzania znaczniejszym na raz funduszem, poddała mu myśl sprawienia własnych sprzęcików i najęcia sobie mieszkania rocznego. Otóż właśnie z powodu rzeczonéj okoliczności udzielał w liście z d. 12 kwietnia 1840 roku następujących szczegółów:

„Nasz znajomy pan d' Avallon*) mieszka teraz na rue Castellane Nr. 11. Jeżelibyś chciała droga od niego jakich sprawunków, to pisz do niego pod tym adresem. Co się mnie tyczy, przyszła mi teraz myśl osiedlić się trochę staléj w miasteczku, gdzie panna Kora była mi niegdyś przyjaciółką. Potrzebowałam, aby mię coś powstrzymało od ciągłego włóczenia się po świecie, zrobiłam więc — co? Już może myślisz, że twoja Zosia poszła za mąż. Nie, bynajmniéj! Kupiła sobie tylko meble i mieszka niby u siebie, a nie w zajezdnym domu. Wypadnie z tego jakaś oszczędność, a zawsze większa daleko jest wygoda i przyzwoitość. Do kupienia gratów pomagał mi dobry Gaszyński. (Mówi o p. Gaszyńskim malarzu, przebywającym teraz w Galicyi). Z nim razem włóczyliśmy się po magazynach i licytacyach. Bawiło mię to urządzanie się i wejście we własne gospodarstwo: a Gaszyński notował wszystkie moje dziecinne uniesienia i będzie ci je kiedyś czytał z książki. I tak nająłem sobie mieszkanie na 6 piętrze (niech ci to dowiedzie, że mam dobre piersi i nogi). Na 6 piętrze nająłem więc malutkie 2 klateczki, ale czyste i porządne z widokiem na cudzy ogród, co jest tu rzeczą prawie cu-

*) Mówi tu Słowacki o sobie samym i daje sobie to nazwisko francuskie z obawy, żeby matki nie kompromitować, gdyby wysyłała listy do niego pod własném jego imieniem.

downą, bo mało jest ludzi, którzy z okien mogą widzieć drzewa, zieloność i rozległy horyzont niebieski, a dla mnie to wszystko było nieodbicie potrzebném, zwłaszcza horyzont, w który utopiwszy oczy, czuję jakiś cichy smutek i dalekie wspomnienia, tak miłe mi teraz, odkąd wszystko, co kocham, jest w przeszłości. I ty, Sally moja! Ileż razy, gdy w ostatnią błękitną widokręgu zapatrzę się liniją, zda mi się, że w téj mgle jest coś twojéj istoty i myśli o tobie rozlanych. Nie dziw się, że dziwnie piszę. Mówiłam Ci, że z okien moich widzę drzewa: wiosna je teraz rozwija, słońce złoci, ptaszki w nich świergocą; dziś dzień moich imienin, dziś ludzie z palmami chodzą po ulicach, wszystko mię rozrzewnia, aż mi łzy zalały oczy. O moja!... Świat ten, do któregom się niegdyś z taką niespokojnością wyrywała z twoich ramion, nie dopisał mi, nie zaspokoił. Żadne moje uczucie nie wyrosło! strudzona chcę wrócić do Ciebie — nie mogę...

„Przerwałam pisanie tego listu, aby się uspokoić i skończyć weselszemi myślami. — Chciałbym*) ci opisać moje apartamenta, abyś ty się choć myślą czasem do mnie przenieść mogła. Otóż wchodzi się do mieszkania mojego przez maleńką kuchenkę, która mi nie jest wcale potrzebna, albowiem nie mam własnego gospodarstwa. W téj kuchence stoi machinka drewniana z robinetami, napełniona wodą; i to nazywa się: *une fontaine*, sprzęt dla tak wysoko mieszkającéj koniecznie potrzebny. Potém następuje salonik prostokątny, mający sześć kroków długości, a 5 szerokości. Na kominku lustro w złotych ramach, przed kominkiem kanapka szafirowém suknem pokryta i para podobnych krzeseł... Używane już, ale jeszcze dobrze wyglądają te sprzęciki — stoliczek mały mahoniowy, zieloném suknem pokryty, na którym piszę, dwa brązowe lichtarze na kominku... i oto całe umeblowanie mojéj pierwszéj klatki! W sypialnym pokoju, dwa razy większym od pierwszego, mam paradne łóżko z dywanikiem wschodnim pod nogami, z kapą szafirową — komodę — mały *table de nuit* okrągły, i parę krzeseł takich jak w piérwszym pokoju. Wszystko to koniecznie było potrzebne i nic nie ma zanadto... Ale wszystko porządne i cieszy mię, albowiem mieszkanie najwięcéj wpływa na humor. Płacę za nie 25 dukatów na rok, co na tutejsze strony jest bardzo małą kwotą. Od-

*) W liście istotnie jest chciałbym: nasz poeta często wypada z roli.

dźwierny mi usługuje, to jest czyści pokoje i ściele łóżko, i dostaje za to 13 złot. na miesiąc. Tak uregulowawszy się, jestem cichą i spokojną w mojéj klateczce ptaszyną, pracuję, rozmyślam, a Gaszyński teraz namówił mię, żem się wzięła do malarstwa. Nie uwierzysz Sally droga, jak mi papier naklejony, pędzel w ręku i kolory roztarte przypomniały dawne dziecinne lata"...

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Zdanie o wierszu „W Szwajcaryi“ — uwagi o Wacławie — granica aż do któréj służy poecie prawo traktowania historyi podług swojéj fantazyi. — Myśl autora w „Ojcu Zadżumionych“ — niewłaściwość wykładu dzieł poetyckich z allegorycznego punktu widzenia. — Mazepa: dawniejsze sądy o tym utworze — jego wprowadzenie na scenę — jego rozbior. Niejednokrotna nad nim praca odbija się w jego budowie — brak tragiczności w roli głównéj daje powód do mylnego pojmowania tego dramatu. Rzut oka na Szekspirowego Otella — na Lira. — Cechy i konieczne warunki charakteru bohaterów tragicznych — z tego punktu widzenia rozbior roli Amelii. Konkluzya o wartości całego dzieła.

Wyliczyliśmy w poprzedzającym rozdziale cały szereg dzieł Słowackiego, wydanych w ciągu kilku miesięcy. Trzy Poemata — Balladyna — Mazepa — Lilla Weneda. Można do nich dołożyć i Beatryx Cenci, jako sztukę napisaną w owymże czasie. Sąto stósunkowo najlepsze jego i zarazem najniezawiśléj od obcych wpływów wykonane utwory. Odrębność sposobu Juliuszowego najwidomiéj w nich się odsłania. Tymto rzeczom przedewszystkiém zawdzięcza poeta nasz to świetne w literaturze stanowisko, jakie ostatecznie zająć potrafił.

Przystępuję w rozdziale niniejszym do udzielenia krytycznych spostrzeżeń moich o pomienionych publikacyach, jako też do rozwinięcia przy téj sposobności kilku myśli o poezyi w ogóle, o ile ciasne granice zadania mego na to pozwolą.

W tomiku zatytułowanym „Trzy Poemata“ były objęte trzy odrębne powieści: Ojciec Zadżumionych, W Szwajcaryi i Wacław. Była to po Kordyanie piérwsza książka Słowackiego, którą publiczność od razu uznała za jedno z najwdzięczniejszych

zbogaceń narodowéj poezyi. Szczególnie podobał się wszystkim piérwszy poemat.

Ażeby się nie rozmijać z porządkiem czasu, którego się tu ciągle trzymamy, zwróćmy nasamprzód uwagę naszę na utwor zajmujący w téj publikacyi pośrednie miejsce. Wiersz „**W Szwajcaryi**“ pochodzi z roku 1835, którego okoliczności i w nich położenie poety staraliśmy się w swojém miejscu uprzytomnić czytelnikowi. W taki sposób odsłania się niejedno, co ułatwia wniknienie w skład téj z niezrównanym wdziękiem wykonanéj sielanki. Budowa jéj i całe przeprowadzenie nie ustępuje w niczém najlepszym kreacyom Słowackiego. Owiewa ją wprawdzie pewna tajemniczość a raczéj zagadkowość, nie dozwalająca czytelnikowi wnijść w sam środek dramatu uczuć, które się w dalekiéj odległości przed oczyma jego malują. Ale to wynika z zamierzenia poety. Tego że tak powiem odstępu między opowiadaniem a tymi, co opowiadania słuchają, chciał autor: i wszystko na to jest obliczone.

Osnowa wiersza tego jest nieskończenie prosta. Spotykamy się z parą, którą łączy miłość, następnie i przysięga: oba te węzły rozrywa los jakiś — nienazwany nawet z imienia, niweczący to szczęście w samym zawiązku... I oto cała już treść sielanki — mimo prostoty i najzupełniejszéj zużytości przedmiotu, przeprowadzonéj jednak z taką świeżością barw, w sposób tak zgoła nowy i z tak dokładną a mistrzowską genezą tych wszystkich przejść, z jakich się sprawy tego rodzaju między ludźmi kojarzą, że opowieść dziejów tak krótkich urasta na poemat, a zajmuje jak dramat. Że się z tego materyału udało Słowackiemu stworzyć coś podobnego, w tém główną oczywiście była przyczyną poetycka jego potęga, zdolna i na najmniejszéj rzeczy wycisnąć znamię wyższości. Przyczyniło się może do podniesienia przedmiotu i tło, na którém rzecz osadził, uwite z najpiękniejszych rysów przyrody, jakich tylko dostarczyć mogły góry, łąki, jeziora i wodospady Szwajcaryi. Najwięcéj jednak ułatwiła osiągnienie takiego skutku ta okoliczność, że poeta podobnie jak Göthe w Werterze, Mickiewicz w Dziadach itd. odtwarzał tu zdarzenia rzeczywiste, uczucia własne. Wprawdzie powieść jego

w porównaniu z tém wszystkiém, co do niéj dało powód, mieści w sobie więcéj szczegółów wymarzonych aniżeli istotnych. Tylko sam bowiem początek i zawiązek stósunku, tylko pierwsze kroki na téj różanéj, promiennéj drodze mogły być i zapewne były przedstawione wedle tego, co zaszło. Dalszy przebieg, środek dramatu był już dosnuty z wyobraźni. Równie też i koniec jego, jeżeli chodzi o szczegółowe rysy, nie był dosłownie takim w rzeczywistości. Obudzenie z tego słodkiego snu na jawie odbyło się w duchu poety i inaczéj i rychléj, niż w poemacie. Grunt rzeczy jednakże nie był już wymarzony w téj części. Zakończenie sielanki podyktowała istotna, wewnętrznym stanem duszy poparta prawda. Stan ten żywcem odbił się w dziele — bez domięszania uczuć zmyślonych. Poeta czuł całą boleść usposobienia, które właśnie malował. Czerpiąc z osobistéj przeszłości, nie potrzebował przyzywać tu do pomocy téj siły, która tworzy z niczego, lecz spisywał, co dyktowało zbolałe serce, niezdolne pogodzić się z tém, co zaszło...

Prawda zatém i zmyślenie, rzeczywistość i poezya, miłość człowieka i geniusz artysty podały tu sobie ręce, ażeby złożyć utwor, w którym nie wiedzieć, co wprzód i co więcéj podziwiać, czy idealność całéj inwencyi, czy realizm i swobodę naiwną, z jaką najmniejszy szczegół jest opisany. Każdy rys zdaje się być wzięty z natury, całość obrazu jednak ma w sobie coś nadziemskiego. Nie znam w żadnéj literaturze dzieła, w któréjby przedmiot miłosny był traktowany z takim platonizmem, a przecież tak plastycznie*).

*) Dołączam tu zdanie o poemacie niniejszym, Zygmunta Krasińskiego. — „Jestto tak prześlicznie idylliczne a zarazem tragiczne, tak oderwane a zarazem prawdziwe, że nic podobnego o miłości marzonéj nie znam w żadnym języku. Są tam takie szklistości, takie przezrocza, takie bańki tęczane, takie wieńce świeżych wisien nad główkami śnieżnych gołębi, takie przymilania się natury szwajcarskiéj, nachylania się gór i słupów z lodu ku sercu, które kocha i szczęsném jest, że czytając zdarzało mi się wykrzykiwać po sto razy w duszy: „Niech go dyabli porwą! Kto po nim potrafi wiersze pisać? Trzeba bezczelnym być, by się brać do pisania wierszy po

Niżéj już nieco stawiłbym **Wacława**. Był to poemat rokiem późniejszy od wiersza, który właśnie zostawiamy za sobą. Napisał go Słowacki w ciągu piérwszego swego pobytu we Włoszech, jak się zdaje ze wszystkiego, mianowicie w Sorrento (1836). Jeżelibyśmy mieli go cenić według saméj tylko zewnętrznéj i artystycznéj wartości, zasadzając takową na wdziękach stylu, na sile kolorytu, na zdolnéj zaciekawić osnowie, na umiejętném wprowadzaniu kontrastów (szczególniéj w pierwszéj połowie), na mistrzowskiém rzeźbieniu szczegółów itp. to sąd nasz o Wacławie wypadłby świetnie. Pod tym względem nie ustępuje on najlepszym utworom w tymże rodzaju Byrona. Pomimo tego jest coś jednak w téj całéj rzeczy, co wrażenie jéj osłabia i przy czytaniu sprawia uczucie... prawie powiedziałbym niesmaku. Byron podejmując rzeczy podobne, poczynał sobie bardzo trafnie, że je przenosił albo w czasy znacznie odległe, albo na dalekie gdzieś końce świata. Zwyczajnie sceną jego powieści jest Wschód — Mauretania — wyspa jaka nieznanego nazwiska — okręt na falach jakiego morza itp. Inaczéj rzecz się ma z dziełem naszém. Słowacki daje tu przedmiot oznaczony, narodowy, bliski, świeży — przedmiot, który każdemu z nas już skądinąd jest znany. W tém upatruję właśnie cały powód, dla którego — nie można inaczéj powiedzieć, jak tylko, że zaszła jakaś pomyłka w samym wyborze tematu. Najprzód bowiem jest coś przeciwnego uczuciu, wciskać się w czyje sprawy domowe. Przezwyciężenia potrzeba, żeby publicznie przetrząsać winy i anormalności czyje, jeżeli się takowe (jak tu po większéj części) tylko własnéj jego osoby tyczą, a nie oddziaływały na sprawy szersze, niż obręb murów jego pałacu, niż zakres stósunków jego familii. Jeżeli przekroczenia i monstrualności tego rodzaju mają w sobie warunki zajęcia powszechnéj uwagi w imię ogólnie ludzkich względów: artysta ma wszelkie prawo podejmowania takich przedmiotów; lecz takt i jakiś instynkt wymaga, żeby rzecz w téj ogolnie ludzkiéj sferze została, a nie plątała się w osobiste, domowe, familijne szkandały.

---

przeczytaniu wierszy Juliusza!.." (Obacz list Krasińskiego do R. Z. udzielony w Dodatku miesięcznym Czasu, tom 13ty, strona 520).

Marya Malczeskiego niezmiernie na tém zyskała, że zdarzenia, które zaszły krótko przed piérwszym rozbiorem Polski, w wiadomym punkcie dzisiejszéj wschodniéj Galicyi, w domu znanym i głośnym, przeniesione zostały przez poetę i w jakieś czasy dalekie, kiedyto jeszcze zdarzały się napady tatarskie, i w miejsca równie nieoznaczone, szeroko dla wyobraźni otwarte, w miejsca że tak rzekę mityczne — na Ukrainę. Zajmuje tam więc czytelnika tylko sam jedynie wypadek, tylko charaktery osób, wmieszanych w sprawę, i osób tych namiętności. Ale kto te osoby? gdzie ich szukać? kiedy żyły? o tém u Malczeskiego ani słowa. Bo że dzisiaj dokładnie wiemy, jaka jest historyczna podstawa téj okropnéj powieści: to skutek późniejszych dopiero komentarzy. Poeta z nimi nic nie miał do czynienia i pozostają też one po za ramami poematu. Inaczéj to wszystko u Słowackiego. Podejmując przedmiot, właśnie w skutek sławy dzieła rychlejszego poety obłożony wszystkimi przyborami osobistości i historyzmu: miał tu do pokonania już zupełnie inne trudności. Z jednéj strony miał do liczenia się z ustalonymi faktami; z drugiéj wkraczał w zakres kroniki że tak powiem rodowéj, w sprawy domu zanadto znanego w kraju, żeby to był dość swobodny i dość właściwy zakres dla twórczości prawdziwie poetyckiéj. Nawet gdyby się był najstaranniéj trzymał rzeczywistych wydarzeń, a w niczém nie popuszczał wodzów fantazyi: nawet wtedy poemat jego miałby pozór jakichś plotek, pamfletu*)... Tém gorzéj zaś dla Słowackiego, (i to jest drugi zarzut, który przeciw „Wacławowi“ podnoszę), że zamiast obliczać się z historyą, owszem aż zanadto się rozmijał z faktami rzeczywistości! W krótkiéj przedmowie autor wprawdzie zapewnia, że „od prawdziwych nie odstępując podań, starał się tylko ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności.“ Ale ani podania nawet nie usprawiedliwiają niejednego rysu, znajdującego

*) W tym też sensie wspomniał o Wacławie Krasiński w liście do Gaszyńskiego w roku 1839. — „To znakomity poeta, powiada o Słowackim. Jednak w Wacławie potknął się — Malczeskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jestto poemat — raczéj paszkwil; nie jestto poezya — raczéj anekdota“...

się w poemacie, a sprzecznego z tém wszystkiém, co jest skądinąd wiadomém o tych stósunkach.

Tak np. sędziwy wiek kochanka niegdyś Maryi, a późniéj założyciela Targowicy, mamy skreślony między innymi w następujący sposób:

„Niegdyś widziano go w gromadném kole.
Jak trup śród ludzi, jak upior przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem“ itd.

Że tu jest wiele przesady, że w wierszach ostatnich braknie nawet na wewnętrznem podobieństwie do prawdy: to zapewne czuje każdy, kto tylko miejsce to czyta.

W ustępie szóstym poeta wprowadza, jako jedynego towarzysza samotnych chwil tego starca, syna jego z piérwszéj żony, któremu on jednemu ufa i sprzyja.

„Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszéj żony.
To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze, więdnieje“... itd.

Usuwam zupełnie na bok uwagę, że cała exystencya tego syna z piérwszéj żony należy do fikcyi. Każdy wprawdzie, kto tylko czytał Maryą (a kto jéj nie czytał?) pomyśli sobie przebiegając ten ustęp, że to nie może być prawdą! Lecz jak powiedziałem, nie robię z tego jeszcze Słowackiemu zarzutu. Tego wszelako zbyć milczeniem nie można, że odstępując tu autor od

dat rzeczywistych, zaplątał się w sprzecznościach nie tylko z Malczeskim, ale nawet ze sobą samym. Wszakże powiada sam o Wacławie, że kiedy tenże był kochankiem i mężem Maryi, był wtedy młodym. „Znałem ja grafa Wacława za młodu“ itd. (ustęp XIII). Teraz go przedstawia, jako starca już przypruszonego siwizną, jako człowieka „srebrnego orderami i wiekiem.“ Jeżelić tedy pomiędzy tamtym czasem a obecną chwilą tyle wody upłynęło: to jakżeż może synek jego piérwszéj żony być i w téj jeszcze porze „dzieckiem maleńkiém i nierozkwitnioném“?.. Jestto oczywiście nie tylko zboczenie od faktów powszechnie znanych, lecz i w sobie niepodobieństwo.

Podobnie wiele jest rysów, sprzecznych z powszechną a uzasadnioną o tém wiedzą powszechną, w tém wszystkiém, co Słowacki o starym wojewodzie natrąca.

W ustępie XIV powiada:

„Mówią, że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem — a drudzy, że ścięty

(za utopienie Gertrudy czyli Maryi) —

„Niktże téj śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiéj, na wyniosłéj dumie?
Niktże — prócz syna, co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły“... itd. itd.

W ustępie XXIV powtarza się to raz jeszcze i to nie tylko szczegółowiéj, ale i pewniéj, bo już nie w formie głuchéj wieści („mówią“), ale sam syn starego wojewody, sam Wacław w zeznaniu przed spowiednikiem to opowiada. Tymczasem rzecz jest wiadoma, że ani podobnego upokorzenia ojciec Wacława za występek swój nie doznał, ani też Wacławowi nikt śmierci ojca jako zbrodni przez niego popełnionéj nie wytykał. Od tego zarzutu wolny był zupełnie Szczęsny Potocki.

Niemniéj niestósownym się zdaje cały ów wymysł, jakoby Wacław został otruty — i to jeszcze popiołami swych antenatów (?!). — Miłostki żony jego z jakimś „Greczynem w Arnauta stroju“, który samowładnie domem ich trzęsie i wcale się nie tai z władzą tą swoją, także zgoła nie przystają do tego, co...

rzeczywiście było. Wreszcie i sam zgon nagły grafinéj, czy to w skutek trucizny, podanéj jéj nie wiedzieć dlaczego i przez kogo, czy z innych przyczyn, nieodsłonionych — zdaje się być bardzo słabym szczegółem w całéj inwencyi. Słowem, pełno jest rzeczy, które w czytelniku wywołują niezadowolenie i protestacyą, nosząc na sobie znamiona zbyt oczywiste zmyśleń. To, co się w tym domu działo, tego poeta po większéj części nie zużytkował. Co dał natomiast, tego nie było. Ma się tedy rzecz z całym tym poematem, jakby z obrazem jakiejś katastrofy skomp li kowanéj, która — bez podpisu, nie wiedzieć co przedstawia, a jak powiesz, co ma znaczyć, to każdy ubolewa nad brakiem podobieństwa do rzeczy albo też nad nieznajomością przedmiotu.

Ażeby nie być fałszywie rozumianym, tłómaczę się wyraźniéj, że nie to za niewłaściwość w dziele tém poczytuję, iż sobie autor pozwolił, traktując zdarzenia rzeczywiście zaszłe, czerpać i z własnéj wyobraźni; lecz raczéj, że sobie téj swobody pozwolił w tych właśnie szczegółach, w tych właśnie miejscach obrazu. — W teoryi i abstrakcyjnie rzecz biorąc, nie chciałbym ja hołdować ani zasadzie tych, którzy poecie w pracach zaczerpniętych z historyi żadnéj nie dozwalają wolności, ani też wyobrażeniom przeciwnego obozu, według których artysta z siebie tylko czerpie, a materyałem historycznym samowładnie się posługuje. Tych ostatnich wyobrażeń najdaléj może posuniętym przedstawicielem był Göthe, który mówiąc o jednéj z sztuk Manzoniego (Carmagnola) wyrzekł owe słowa przez tylu innych już powtórzone: — „Für den Dichter ist keine Person historisch; es beliebt ihm seine sittliche Welt darzustellen und er erweist zu diesem Zwecke gewissen Personen aus der Geschichte die Ehre ihren Namen seinen Geschöpfen zu leihen.“ — Przy całéj czci dla powagi Göthego, śmiem tu być innego przekonania. Prawdziwe warunki powodzenia artystycznego zdaniem mojém niezawodnie zajmują między obydwiema ostatecznościami pośrednie miejsce. Poecie służy bez wątpienia prawo puszczania się w ślady swego natchnienia, które go unosi w krainę ideałów, w sferę prawd wiekuistych, w świat ogólnych dążności, mających do czynienia raczéj z przyszłością, niż z ubiegłym i stęgniałym

już czasem. Badanie mozolne kronik i lękliwe rozmierzanie cyrklem tego wszystkiego, co mu służy za materyał, nie jest zadaniem artysty. Hołdowanie przesadne archeologii zabija wszelką poezyą, równie jak i kopiowanie obecności z fotograficzną wiernością nie stanowi bynajmniéj sztuki. A zatém z zasady byłbym za pozostawieniem wszelkiéj wolności fantazyi poetyckiéj, kosztem nawet prawdy dziejowéj. Z drugiéj strony jednakże jest okoliczność, która tę wolność fantazyi potężnie ogranicza, a to w interesie samejże sztuki. Artysta i pisarz pamiętać powinien o tém, że illuzya jest piérwszym wszelkiéj sztuki warunkiem. Właśnie przeto nie może dzieło jego treścią swoją stawać w sprzeczności z poczuciem, ze świadomością, z wiedzą i wreszcie instynktem tych wszystkich, dla których się właśnie pisze. Źle bardzo byłoby dla nowego utworu, gdyby takowy na samym wstępie spotykał się z opozycyą z powodu saméj już swojéj materyalnéj osnowy. A opozycya taka niezawodnie zajdzie mu drogę w każdym razie, gdzie autor nie poszanował uświęconéj prawdy dziejowéj. Na nic się nie zda poecie przyobléc coś choćby we wszystkie cuda natchnienia, jeżeli czytelnik sprawę wytoczoną zna już skądinąd i widząc, że się takowa miała w rzeczywistości inaczéj, jak w jego opowiadaniu, czuje przy każdym kroku, że ma przed sobą nie prawdę ale bajkę, nie wskrzeszenie tego co żyło, ale mrzonki bujnéj imaginacyi, więc... sfałszowanie rzeczywistości.

Stądto, nie tylko przez cześć dla dziejów, ale ze względu na ściśle artystyczne potrzeby, są rzeczy, których pod żadnym warunkiem niewolno przeistaczać poecie, jakoto charaktery osób powszechnie znanych w narodzie, wypadki stanowczéj doniosłości w następstwach, pewien ogólny koloryt i nastrój wieku, słowem wszystko to, co nawet niebadaczowi z zawodu znaném jest w zakresie pewnego społeczeństwa.

Natomiast wolno poecie bujać na skrzydłach wyobraźni w tych przestworach pobocznych i mniejszéj wagi, które historyi w jéj podwalinach nie tyczą. Wolno mu zmyślać artystycznie, jeśli dzieło jego powstaje w zakresie historycznie nierozjaśnionym. Ujdzie mu nawet minąć się niekiedy z wiedzą przeszłości udokumentowaną studyami, jeśli tę przeszłość po swojemu odtwarza

w języku narodu, stojącego nieco opodal od sceny zdarzeń opowiadanych i właśnie przeto mało lub przynajmniéj nie zbyt szczegółowie obeznanego z istotnym tychże zdarzeń przebiegiem. Dlategoto łatwiéj też jest zawsze poetom obrabiać rzeczy, wzięte z dziejów postronnych, aniżeli przedmioty narodowe*). W piérwszym razie publiczność przyjmuje bez oporu i mniéj wierny wizerunek czy to charakteru jakiéj historycznéj wielkości, czy jakiéj katastrofy dziejowéj, jeżeli tylko artystycznym warunkom kreacya czyni zadość. W drugim razie przeciwnie kontroluje go w najmniejszym nawet rysie ta cała suma miejscowéj znajomości stósunków, która w mniejszéj lub większéj cząstce jest własnością każdego wykształconego członka téj społeczności. Najmniejsze tedy w razach takich uchybienie już wywołuje niesmak. Najnieznaczniejszy rozdźwięk między wyobrażeniami o tém ogółu a przedstawieniem artysty sprawia ferment w duchu czytającego, a ferment taki żadną miarą nie należy do warunków korzystnie nastrajających do sądzenia nawet i o artystycznéj wartości dzieła.

Oczywiście nie idzie za tém, żeby pisarz schlebiał popłacającym w publice przekonaniom. Do najwznioślejszych jego obowiązków należy, stawać gdzie potrzeba i w wyraźnéj nawet

---

*) Niewątpliwie mniéj trudu kosztowało Schillera obmyślenie planu Dziewicy Orleańskiéj lub Don Karlosa, aniżeli wynalezienie tragicznéj osnowy do Wallensteina. W niemieckim języku, dla Niemców, jest Dziewica Orleańska wyborną sztuką, podobnie i Marya Stuart i w ogóle wszystkie tragedye tego poety, zaczerpnięte z dziejów obcych. Przełóżmy je na dotyczące języki, albo co gorsza, każmy im być utworami oryginalnymi każdéj w swoim narodzie, Dziewicy Orleańskiéj w francuskim, Don Karlosowi w hiszpańskim itd. a przekonalibyśmy się, że tyleby tam zaraz dało się słyszeć ujemnych uwag o saméj stronie ich zewnętrznéj i przedmiotowéj inwencyi, że i podziw dla artystycznéj doskonałości témsamém doznałby potężnego ograniczenia. Nie ma rzeczywiście większéj trudności, ani też większego tryumfu dla poety, jak obrabiać czy to dla teatru czy w innéj poetyckiéj formie rzecz historyczną, narodową, a zadowolić publiczność. Rzadko to tylko zdarzyć się może. I właśnie też dlatego życzyćby należało, ażeby się pisarze nasi przy wyborze przedmiotów tak wyłącznie nie zamykali w samym tylko narodowym obrębie.

sprzeczności z ogółem. Lecz niech to będzie w tych tylko razach, gdzie poeta może być pewnym, że prędzéj czy późniéj będzie wygrana po jego stronie. Czyli innemi słowy: tylko lepsza znajomość wypadku, o który chodzi, tylko chęć większego zbliżenia się do prawdy, tylko cel wznioślejszego postawienia wytoczonéj idei upoważnia artystę do wystąpienia z nowymi pomysłami.

Wywód powyższy nie daje się wprawdzie zastósować dosłownie do poematu, leżącego właśnie przed nami. Koleje życia człowieka, którego młodość tak idealnie w powieści swojéj wystawił Malczeski, a którego dalsze czyny tak posępnie się odbijają na tle dziejów ojczystych — koleje te, mimo to wszystko, nie dosięgają sfery istotnie historycznéj. Późniejsze dni jego płynęły bez publicznego rozgłosu. Starość jego dogasała w ponurém choć złocistém wnętrzu pałacu, zapełnionego chyba tylko ciżbą rezydentów i pieczeniarzy, wyzyskujących próżność magnata. Po za Targowicą (która w obrazie Słowackiego ginie gdzieś w głębi i nawet w spowiedzi zbyta jest kilku tylko słowami), mamy w Szczęsnym Potockim osobistość raczéj prywatną, chociaż ród, towarzyskie położenie, majątek itp. nadawały mu jakieś cechy wyższości nad zwykły poziom. Z tém wszystkiém, właśnie z przyczyny tych wyjątkowych okoliczności, i koniec tego człowieka i stósunki jego domowe znane są prawie każdemu. A Słowacki wystawiając z nich niejedno w sprzeczności z tém, co rzeczywiście było, postawił się mimowolnie na jednéj linii z pisarzem, który się dopuszcza przeistaczania historycznych pewników. —

Przychodzi mi teraz słów kilka powiedzieć o wierszu umieszczonym na czele tego tomiku, o „**Ojcu Zadżumionych**“. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy, była to pomiędzy trzema poematami najpóźniejsza praca poety, owoc samotnych jego dumań w pustelniczym owym klasztorze na szczycie góry Libanu (rok 1837). I ani wątpić, że niejeden rys rzeczywisty zawiera się w owéj strofie, gdzie autor kładzie w usta skarżącemu się ojcu po stracie wszystkich, którzy go otaczali, owe słowa rozpaczy:

Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie, pogrzebione
Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Trudne jest zadanie krytyki wobec rzeczy, mającéj pod każdym względem prawo nazywać się arcydziełem w swoim rodzaju. O pochwały trywialne i o wykazywanie zalet, dla każdego widocznych, w razach takich chodzić nie może. Do zarzutów nie ma żadnego pola. Nie pozostaje tedy i przed „Ojcem Zadżumionych“, jak tylko schylić czoło i odkładając pióro na bok powiedzieć, że ani między Słowackiego tworami ani w całéj naszéj literaturze nie ma rzeczy, którąby wykończeniem, zwięzłością, siłą, prawdą, wreszcie mistrzostwem niezrównaném w urozmaiceniu szczegółów przewyższała ten strasznéj grozy poemat. Czém posąg Laokoona, czém grupa Nioby w rzeźbie, tém to w poezyi. Jeżeli chodziło o przedstawienie ciosów nieszczęścia, walącego się na głowę upatrzonéj istoty, dopóki takowa nie wyda z siebie ostatniéj łzy, ostatniego jęku, i przestając już prawie czuć po ludzku, nie zamieni się w marmur, z suchą powieką zdolny rozpamiętywać swoje boleści: to tego zamiaru zupełnie tu dopiął poeta. Taki zaś zdaje mi się był właśnie wszystek cel jego w dziele obecném, usprawiedliwiony dostatecznie okolicznością, że tego rodzaju zdeptanie całego szczęścia czyjego zdarza się nieraz na ziemi naszéj — nie pytając o przyczyny, dlaczego się zdarza? Przyczyny te pozostaną niedocieczone, mimo wszystkiego, jak je tam sobie każdy tłómaczy.*)

*) Z powyższém sformułowaniem zamiaru autora w tym poemacie wiem że nie wszyscy się zgodzą. Przedmiot jego bywa i inaczéj

Załatwiwszy rzecz z poematami, przechodzę do rozbioru dramatów, a nasamprzód do rozbioru **Mazepy**, który między nimi

---

wykładany. Zacny i utalentowany nasz pisarz, p. Józef Szujski, odczytał niedawno temu na posiedzeniu Towarzystwa Naukowego krakowskiego rozprawę, w której Ojca Zadżumionych rozbiera, niepowszednie piękności tego dzieła podnosi i z Kochanowskiego Trenami je porównywa. Rozprawa ta była potém i drukowana w Rocznikach Towarzystwa. (Roczników poczet trzeci, tom XI, w roku 1866). Pomimo niepospolitych zalet, jakie w pracach rzeczonego pisarza wszędzie uznaję, a bez których żadną miarą nie jest i rozbior, o którym tu wspominam: znajduję w nim jednakże i takie zdania, na które nie mógłbym przystać. Mianowicie nie sądzę, żeby między treścią Ojca Zadżumionych a naszém położeniem narodowém obecném był jaki istotny związek. Szanowny Autor rozprawy zdaje się kłaść na to znaczny przycisk. — „Przymuszeni jesteśmy, są jego słowa, pomimo woli uznać w poemacie Słowackiego więcéj, jak fantastycznego życia Wschodu obrazek, więcéj jak skończone dzieło sztuki liryczno-epicznéj treści; — bo wieszcze przeczucie wypowiedziane w roku 1837 o bezprzykładnego sieroctwa czasach“... „Źródła jego trzeba nam szukać w myślach wieszczych autora o drogiéj jego sercu sprawie narodowéj. Tam zrodziła się konieczność utworzenia tego strasznego poematu; stamtąd pochodzi jego natchnienie, jego barwa, jego właściwości“... „Arab sierocy Słowackiego jest nie czém innem, jak jednem z strasznych marzeń o domowych sprawach, jednem przeczuciem wieszczém więcéj, jedną chwilą krzyżowéj drogi, którą serdeczną krwią serca oznaczył poeta siedząc w namiocie pustyńnym, a sięgając myślą Ojczyzny. Rodzina jedna, rodzina wielka odbywa pielgrzymkę ku światu przyszłości — ale nim go zobaczy, prawo świata każe jéj odbywać kwarantanę zdrowia — prawo świata postawiło jéj straż, lekarza i sędziego .. Tymczasem powiéw morowéj zarazy owiał rodzinę. Może to z téj tęsknoty za światem przyszłości, może z braku bliskich, chwytnych celów życia — może na widok tego lekarza i straży. Umiera więc jeden po drugim z członków rodziny dotknięty zarazą. A za każdym wypadkiem przedłuża się środek ostrożności — kwarantana... Takie marzenie mogło nawiedzić autora w pustyńnym namiocie. I z tego marzenia wyszło widmo, ofiara kwarantany i cywilizacyi — starzec bez dzieci, bez przyszłości — bez nadziei. Bóg stanął przed poetą w postaci pogańskiéj, w postaci niszczyciela, sojusznika gwałtu i fizycznego zwycięstwa. I zawołał poeta do tego Boga:

O bądźże ty mi pochwalony Allah
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,

wszystkimi jest najrychlejszéj daty. Wyszedł on z druku dopiero w roku 1840, przyjęty został przez publiczność dość zimno,

---

Zarazą, która dzieci me wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki,
O Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!“ —

Przytoczyłem dosłownie cały przydłuższy ten wywód głównie z téj przyczyny, ażeby omawiając go po swojemu w skróceniu, nie skrzywić w czém mimowolnie myśli szanownego autora. Przyznaję, że jest w tém wszystkiém, cośmy przywiedli, wiele zmyślności. Nie przeczę, że jest i pewien pozór trafności w takim wykładzie zamiaru Słowackiego. Pomimo tego jest mojém najgłębszém przekonaniem, że się pan Szujski za daleko posunął. Podkłada poematowi znaczenie, o którém zdaniem mojém nietylko nie marzył poeta wtedy, kiedy go pisał, ale którego nawet trafunkowo, to jest poza świadomą wiedzą poety, w tém dziele nie ma. Tłómaczyć tak Ojca Zadżumionych, jestto robić z niego allegoryą Zyskuje nibyto na tém znaczenie poematu, że się pod jego widzialną że tak powiem osnową odsłania druga, i głębsza i żywotniéjsza, niż tamta. Ale korzyść ta w gruncie jest wielce wątpliwéj natury. Skoro się bowiem z tego allegorycznego punktu widzenia zacznie szczegółowo examinować wszystko w utworze naszym: okaże się, że wiele i bardzo wiele rzeczy nie odpowie zgoła założeniu, o jakie chodzi. Z czegoby wyniknął ten chyba tylko wniosek, że się dzieło niniejsze... wcale nie udało poecie.

Gdyby szanowny krytyk był się ograniczył do następującego twierdzenia: że między obrazem, jakiemu jest poświęcony poemat, a usposobieniem osobistém i narodowo-społecznem Słowackiego była niejaka analogia — a to o tyle, że poemat przedstawia ciągły szereg ciosów w jednego człowieka bijących, choć tenże nic takiego nie popełnił, żeby można było rozumieć, dlaczego mimo wielkości Boga czuwającego nad nami dzieje się taka krzywda nieszczęśliwemu, — poeta zaś jako członek swego narodu nieraz i nie dziesięć razy z punktu wyjścia innych premissów dochodził w samotnych swoich dumaniach do tegoż rezultatu, i właśnie przeto teraz, przy zdarzonéj sposobności, z namiętnością oskarżyciela i z prawdziwém *con amore* artysty maluje tę jaskrawą bezopatrzność i bezlitość, w małych i wielkich rozmiarach praktykującą się wszędzie w świecie... gdyby powtarzam takie tylko było twierdzenie p. Szujskiego: nie miałbym nic przeciw temu do powiedzenia.

Ale jego dowodzenie idzie o wiele daléj i odsłania między poetą a Arabem nie pokrewieństwo stanowisk, lecz allegoryą.

Tłómaczenie utworów poetyckiéj literatury naszéj w sposób allegoryczny jest w ogóle między nami dosyć zwyczajną rzeczą.

przynajmniéj nie sprawił tego wrażenia, co np. Kordyan, Anhelli albo Trzy Poematy. Niebawem po pojawieniu się Mazepy, wystąpił poznański Tygodnik Literacki z krytyką (obacz rok 1840, Nr. 13). Była to krótka wprawdzie i nie wdająca się zbyt w szczegóły krytyka, ale znakomitego pióra. Autorem jéj był Karol Libelt. Lubo niejedno w dramacie na korzyść poety podniesiono, i uznano w Mazepie zalety, dające powód do chlubnych o autorze nadziei na polu dramatycznéj poezyi: ogólny rezultat jednakże rzeczonego rozbioru nie był zachęcającym do dalszych na téj drodze usiłowań. Z wytkniętych błędów, największa część rzeczywiście sąto miejsca najsłabsze w téj kompozycyi: nie brak atoli i na zarzutach takich, do których wytknięcia nie byłoby pewnie przyszło, gdyby krytyk miał był sposobność wysłuchać, co na obronę swoję byłby powiedział poeta; albo gdyby przynajmniéj poeta już w owym czasie był uważany za tę znakomitość w swoim zawodzie, za jaką go w późniejszych dopiero latach uznano. — Podobnie mniéj korzystnie musiał też czasu swego sądzić o Mazepie i Z. Krasiński. Wyrażając się tylekroć i w listach i publicznie z pochwałami o celniejszych utworach Słowackiego, nigdy on do ich liczby nie dołączył tego dramatu. Wzięłość obecna téj tragedyi była tedy wynikiem dopiero czasów późniejszych. Zdaje się, że dopiero przedstawienie Mazepy na sce-

---

Każdy utwor głębszéj treści, Nieboska Komedya, Irydyon, Król-Duch, nawet Lilla Weneda itd. spotykają czytelników, którzy zamiast zastósować do nich to, co tak trafnie wyraził Schiller:

„Welchen Leser ich wünsche? — Den unbefangenen, der sich,
Mich und die Welt vergisst und in dem Werke nur lebt“,

raczéj w dzieła te wnoszą swoje pojęcia i ideały, pospolicie im podkładając to co ich boli. A że boleści i utrapienia nasze są ciągle jedne, więc schodzi na to, że się najrozmaitszym dziełom prawie ciągle jeden temat podsuwa, jakby się one wszystkie kręciły w jakiémś kole zaczarowaném, około jednego tylko punktu. Byłaby to dziwna jednak jednostronność i ubóstwo naszéj narodowéj poezyi, gdyby się rzeczywiście tak rzeczy miały... W ogóle uważam przypuszczenie allegoryzmu za ostatni i w razach tylko rozpaczliwych właściwy klucz do dobierania się w intencye dzieł wszelkiéj sztuki. Czasem trzeba zrobić użytek i z niego, jako i jam sobie tego pozwolił przy Anhellego rozbiorze Lecz im rzadziéj się téj metody chwytamy, tém lepiéj.

nie zwróciło nań powszechniejszą uwagę. Była to piérwsza naszego poety sztuka, która się doczekała tego zaszczytu ze strony naszych teatrów. Odegrano ją po raz piérwszy w roku 1851 (a więc we dwa lata po zaszłéj śmierci jéj autora) w Krakowie, na benefis panny Ceneckiéj. Przyjęcie było dobre, w skutek czego też Mazepa nieraz potém był powtarzany, lecz tylko na scenie krakowskiéj. Następnie grano go w tłómaczeniu gdzieś w Niemczech, a nawet zdaje się, że reprezentacya niemiecka o lat kilka wyprzedziła owę piérwszą krakowską.*) Na scenie lwowskiéj przyszło do przedstawienia Mazepy dopiero w roku 1861. Teatr publicznością był przepełniony, a coraz powtarzające się tak w ciągu aktów, jak w przestankach oklaski i wywoływania celniejszych artystów, wymownie świadczyły o powszechném zadowoleniu widzów, choć gra aktorów tylko w niektórych rolach czyniła zadość słusznym wymaganiom. Od tego czasu i we Lwowie weszła ta sztuka w poczet rzeczy częściéj grywanych. Najsilniejsze wrażenie sprawiła ona jednak dopiero w trzy lata późniéj, kiedy na tejże scenie wystąpił w roli Wojewody znakomity artysta warszawski Richter, którego znakomity talent miało wtedy miasto nasze sposobność poznać w kilku występach gościnnych. Gra wyborna i mistrzowska p. Richtera oddziaływała korzystnie i na innych artystów, uczestniczących w rzeczonéj reprezentacyi.

Tak więc Mazepa ze wszystkich prac dramatycznych Słowackiego nie tylko był piérwszym, który sobie zdobył miejsce i uznanie na scenie, ale onto dopiero utorował do niéj drogę i drugim niektórym tegoż poety sztukom: Maryi Stuart, Balladynie, a nawet i Mindowie. Próba z Mindową jednakże się nie udała: sztuka jest słaba (i była zresztą odegrana tylko przez grono amatorów). Reprezentacya Balladyny, raz tylko jeden dotąd, lecz przez artystów z zawodu, w teatrze lwowskim doprowadzona do skutku, także nie wypadła bardzo korzystnie — nie tyle z powodu braku warunków po temu w sztuce saméj, ile dla innych

*) Przekład niemiecki dokonany był przez Augusta Dracke i jest drukowany w *Bühnen-Repertoir des Auslandes*. Berlin 1842—46, tomik XIV, numer 111.

przyczyn, które w swojém miejscu wskażę. Marya Stuart utrzymuje się w repertoryach teatralnych, choć nie z takiém powodzeniem, jakiegoby się można spodziewać po mistrzowstwie jéj autora. Lilli Wenedy nie ośmielono się grać dotąd nigdzie. O dramatach, które dopiero wydanie dzieł pozgonnych przyniosło, w téj mierze trudno dziś jeszcze przesądzać. Słowem, okazuje się, że jak obecnie rzeczy się mają, Mazepa jest głównym filarem sławy Słowackiego jako scenicznego poety, i godzi się wnosić, że zapewne nim pozostanie i nadal; w żadnym bowiem drugim jego utworze nie ma już tyle zawikłanéj i bogatéj w niespodziane zwroty intrygi, tyle ruchu i prądu dramatycznego, tyle scen wstrząsających najwyższą tragicznością; co większa, w żadnéj drugiéj scenicznéj swojéj pracy nie potrafił się Słowacki tak utrzymać w karbach utartéj i zwykłéj rutyny teatralnéj, z wyłączeniem wszystkich owych własnych swoich w sposobie właściwości, do których się publiczność powszednia chyba dopiero przyzwyczaić będzie musiała...

Na tém przyznaniu scenicznych zalet Mazepie jednak zadanie moje poprzestać mi nie pozwala. Przedsięwziąłem sobie mówić o Słowackiego dziełach, nie wedle tego, jakie do nich znaczenie z téj albo owéj przyczyny przywięzuje dzisiejszy ogół, ale ze stanowiska prawdziwych wymagań sztuki. Pod tym względem jest o Mazepie niejedno do powiedzenia. Całéj osnowy utworu tym razem brać pod rozbior nie ma przyczyny. Są zato niektóre ustępy jego, o których już to w obronie poety, już wytykając mu uchybienia, niech mi będzie wolno rzucić kilka uwag aforystycznych.

Rzućmy okiem na dzieło to przedewszystkiém jako na całość. Tu krytyka znajduje najwięcéj dla siebie pola. Główna wada w kompozycyi téj tragedyi zdaje się polegać na tém, że jest pewna czy niejasność czy też niejedność w całém téjże przeprowadzeniu, że jest pewien niestósunek między aktem piérwszym a dalszymi. Niestósunek ten widać w całym sposobie wprowadzenia intrygi; widać go w długo trwającéj wątpliwości, kto bohaterem sztuki? widać go nawet w niestósowném jéj nazwaniu —

według imienia osoby, która tylko podrzędne w porównaniu z drugiemi zajmuje miejsce.

Wszystko to ma zaś taki ścisły związek ze sposobem, jak dramat obecny powstał, że niepodobna mi nie powrócić tu raz jeszcze do tego punktu.

Przypominam więc, o czém się już w tomie piérwszym mówiło, że Mazepa byłto płód pracy Słowackiego jesiennéj w r. 1834. Dnia 7 listopada rzeczonego roku donosił autor nasz matce, że tę sztukę właśnie ukończył. W kilka zaś miesięcy późniéj, 5 lutego 1835, wspomniał w liście, że ją spalił...

Pomimo to, po kilku latach przyszło jednak do tego, że się Mazepa przecie pojawił w druku.

Byłoby tu ważném rozstrzygnąć pytanie, czy dzieło, które mamy przed sobą, było nowym utworem, a tamten Mazepa rzeczywiście został rzucony w ogień; czy też jest ono owym Mazepą z roku 1834, ocalonym w jakim brulionie, albo zgoła nie oddanym na pastwę płomieniom, lecz tylko może chwilowo zagrożonym podobną katastrofą?

Za piérwszém przypuszczeniem t. j. za rzeczywistém zniszczeniem piérwszego rzutu Mazepy, przemawia następująca wzmianka o Juliuszu Słowackim, dana w jednym z ostatnich numerów poznańskiego Tygodnika Literackiego z r. 1839: — „Pan J. Słowacki pracuje, jak nam donosi, nad nowym dramatem polskim pod tytułem Mazepa. Jego życzeniu, abyśmy odwołali pogłoskę, iż i on należy do redakcyi Pszonki, czynimy niniejszém zadość.“

Doniesienie powyższe, mające wszelkie cechy pochodzenia z autentycznego źródła, poprzedziło wyjście z druku Mazepy o miesiąc albo najwięcéj o dwa miesiące. Zdaje się przeto pod każdym względem zasługiwać na wiarę i najzupełniéj rozstrzyga wprowadzoną tu wątpliwość co do czasu powstania sztuki w jéj obecnéj postaci. Przyjąć tedy można za rzecz zupełnie pewną, że dany do druku Mazepa był czémś inném, jak ów pisany w Genewie dramat z roku 1834. Czy jednak nie weszły do téj nowéj redakcyi jakie ustępy z dawniejszego Mazepy, odszukane w papierach i bynajmniéj nie zniszczone, to w każdym razie inne

pytanie. Co do mnie: kiedy się zapatruję na obecny skład niniejszego utworu, zdaje mi się, że w nim odkrywam części pochodzące niezawodnie z czasów genewskich. Żeby rzeczy zbytecznie nie przedłużać, zwrócę uwagę dla poparcia mojego zdania na jedno tylko tego właśnie rodzaju miejsce.

Czy przypomina sobie czytelnik zakończenie drugiego aktu w Mazepie? Jestto owa scena, dość niejasna w obecnym układzie sztuki, gdzie do zamyślonego Zbigniewa zbliża się niewidziana przez niego Amelia i stając przed nim, uderza go lilią po twarzy.

AMELIA.

„Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic — głowa mi cięży jak ołów.

(Amelia daje Zbigniewowi lilię — lecz Ksiądz, który szedł za nią i stoi obecnie przy niéj, wyrywa kwiat z ręki Amelii i mowi srogo:)

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilia jest kwiatem aniołów.“ —

Otóż wcale o tém nie wątpię, że to całe miejsce wcielone tu zostało z piérwszéj redakcyi.

W jednym z listów Słowackiego, pisanych w témże miejscu, gdzie powstał piérwszy „Mazepa“, i w czasie o mało co późniejszym (w liście z dnia 30 czerwca 1835), znajduje się wyrażenie, które świadczy, że obraz użyty za osnowę w powyższéj scenie dramatu, był i wtedy jeszcze obecny w pamięci Słowackiego. Pisze on tam matce pół żartobliwie, pół smętnie o osobie, do któréj całą sympatyą swego serca w tym czasie był przywiązany, o p. Maryi W., i powiada, że i ona także „zapłynęła trochę w kraj ideału i że o niczém nie marzy, jak o pustelniczym domku, nad rzeczką — o czarnéj sukience — o lekarstwach dla chłopów — o topolach szumiących nad pustelnią — i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być ja, nie kto inny. Dowodzę jéj jednak czasem, że jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów — dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki

i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowéj duszy dla aniołów“...

To miejsce w liście posłużyć może poniekąd za komentarz do zbyt może symbolicznéj sceny, co tylko przytoczonéj z Mazepy. Równocześnie zaś może stanąć i za dowód, że w tym dramacie znajdują się niewątpliwie ustępy z redakcyi jego z roku 1834 całkowicie zatrzymane w składzie jego obecnym. Boć trudno uwierzyć temu, żeby np. scena powyższa była mogła w roku jeszcze 1840 być wykonaną na tle tegoż samego obrazu, który przesunął się był przelotnie przez wyobraźnię poety pięć laty piérwéj.

Owoż wnoszę z tego wszystkiego, że Słowacki w końcu roku 1839 i początku 1840 Mazepę nie tworzył, ale tylko przerabiał. Nad robotami tego rodzaju cięży zwykle jakiś fatalizm. Dawny zamiar poety nie daje się zupełnie pogodzić z nowym. Dawne niedostatki kompozycyi ustępują zwykle miejsca... nowym znowu niedogodnościom. Rzecz się naprawia i psuje równocześnie. Zdaje się, że i ówczesna praca naszego wieszcza nie stanowiła wyjątku od téj tak powszechnéj reguły. Szczegóły dramatu zyskiwały może na wykończeniu: jednolitość ucierpiała z powodu takowego przelewu.

Stało się z Mazepą, jak z Don Karlosem Schillera, o którym sam autor jego przyznawał, iż widać to po nim aż nadto, że to nie płód jednéj wiosny, ani odlew jednego rzutu. W piérwszéj połowie dramatu niemieckiego poety toczy się wszystko około postaci infanta hiszpańskiego, w drugiéj stanowczo mu wyrasta nad głowę jego przyjaciel (Markiz Poza), gromadzący w roli swojéj odtąd całą wagę intrygi, jakby był bohaterem tragedyi.

Na tento karb wyjątkowych okoliczności, dotyczących samego już sposobu, w jaki powstała sztuka którą mamy przed sobą, kłaść więc wypadnie niedostatki, które wytknąć zamierzam. Zdaje się, że w pierwotnym kształcie Mazepy najznaczniejszą rolę w całym przebiegu intrygi dzierżył w rękach paź królewski, którego też imieniem dramat został nazwany. Z téj redakcyi najwięcéj pozostało w obrębie dwóch piérwszych aktów. Mianowicie

godzi się wnosić, że akt piérwszy pozostał z niéj prawie nietknięty w obecnym składzie. Stądto też na początek właśnie utworu, na expozycyą, przypadło najwięcéj takich ustępów, które słusznie zaczepiać może krytyka, jako psujące przejrzystość akcyi. Są to szczegóły, nie tylko nie należące do rzeczy, ale nawet rzucające na nią światła fałszywe i zwodnicze.

Tak np. zapytać można, co znaczy w Mazepie to zaraz na samym wstępie dane wprowadzenie figury kasztelanowéj Robronckiéj, która się zupełnie gdzieś zapodziewa w dalszych aktach? Rola ta w dramacie jest co się zowie zbyteczna, a spotykamy ją tu nałożoną kolorami, jakby to był jeden z piérwszych całego zawikłania czynników. Jest to żuk, co nie widzi dla siebie żywiołu jak tylko w kale, i radby wszystko, co jeszcze kałem nie jest, w brud i zgniliznę zamienić. Pomijam, ze taka kasztelanowa jest ze strony dziejowéj prawdy anachronizmem. Nie można sobie wprawdzie wieku Jana Kaźmierza wystawiać jako czasów co się zowie arkadyjskiéj czystości. Działy się i wtedy już rzeczy, o których się naszym tuzinkowym epoki téj wielbicielom ani nie śniło. Lecz był przynajmniéj zawsze wtedy na tém, co się zdrożnego tu albo owdzie dziać mogło, jakiś pokost przyzwoitości i dekoracyi pozornéj, która dopiero w drugiéj ośmnastego wieku połowie ulotniwszy się w nicość, odkryła zepsucie w całéj nagości. Takiéjto bezczelnéj otwartości typem skończonym jest właśnie pani Robroncka. Autor przeniosł tę paskudnicę wielkiego świata żywcem z epoki Poniatowskiego i niesłusznie ją umieścił na tle czasów o całe sto lat rychlejszych. Ale jak rzekłem, dajmy tu pokój historyi i nie zaczepiajmy téj figury z powodów, które nie mają bezpośredniéj wspólności z sztuką. Lecz właśnie-to względy sztuki najsilniéj protestują przeciwko wprowadzenin roli téj w dramat. Jestto w nim co się zowie piąte koło u woza. To też toczy się ono przy nim tylko przez ciąg piérwszego aktu—a potém odrzucone zostaje na bok, żeby darmo nie zawadzało biegowi dalszéj osnowy.

Wątpić wcale nie można, że w pierwotnéj postaci „Mazepy“ musiała Kasztelanowa zajmować o wiele ważniejsze miejsce. Poeta zdaniem mojém zbłądził, że w przerobieniu nie przydzielił jéj

znaczniejszéj roli, jeśli ją już koniecznie chciał zatrzymać w dramacie. Chodziło tu widocznie o owo tak jaskrawie rzucone zarekomendowanie pazia królewskiego przed Amelią (a zarazem i przed widzami), włożone w scenie 3ciéj i 4téj piérwszego aktu właśnie w usta pani Robronckiéj. Do téj funkcyi nie nadawał się snadnie żaden inny z ludzi tragedyi, któryby tu mógł godnie zastąpić Kasztelanową. Nie można tego jednak uznać za dostateczną przyczynę, zatrzymania téj figury w obecnym kształcie dramatu.

Równie uważam za niefortunny tylko wynik dwukrotnie podejmowanéj pracy nad niniejszym utworem owę przydłuższą scenę opowiadaną (drugą w akcie I), w któréj dowiadujemy się od pana Chrząstki o śmiesznem zajściu zakulisowém pomiędzy jakimiś Marszałkami dwóch stronnictw sobie przeciwnych, wjeżdżającymi równocześnie w bramę zamku Wojewody. Chodziło widać autorowi o odsłonienie obłudy, o skonstatowanie dumy zawistnéj, przywdziewającéj zawsze płaszczyk popularnéj w obec drugich uniżoności, jako cechy owego wieku w ogóle, a rzeczonych dwóch naczelników szlachectwa w szczególności. Może dążność taka właśnie w piérwszéj redakcyi Mazepy wynikała ze założenia. (Wszakże i sam Wojewoda nie zdaje się być wolnym od podobnego przymiotu. Klęka w akcie I przed królem i zabiera się do ściągania mu z nóg obuwia... A potém jaka duma odchyla się w tym człowieku nawet i przeciwko królowi!) Owoż opowiada pan Chrząstka, jak żaden z owych Marszałków wziąć kroku przed drugim niby-to nie śmiał. I jeden krzyczał: niegodny! i drugi — niegodny! A skoro tylko koniec końcem jeden poważył się wreszcie ruszyć z miejsca i wjeżdżać do zamku jako piérwszy, to się drugi tak tém oburzył, że przyszło do bijatyki... W obecnym składzie Mazepy cała ta scena nie ma najmniejszego związku ani z główną osnową sztuki, ani nawet z żadnym ubocznym jéj szczegółem. Tych dwóch Marszałków wcale nie spotykamy na scenie. Artystycznie wklejony jest ten epizod niezręcznie, bo za pośrednictwem przydłuższego tylko o nim opowiadania, które zawsze dramatyczność oziębia. Pomysł sam, kulminujący w obrazie utknięcia w ciasnym korytarzu dwóch tych szlachciców „brzuch z brzu-

chem, nos z nosem", także jest i niesmaczny i nawet bodaj prawdopodobny. Słowem jestto scena pod każdym względem tak niepotrzebna, że w interesie reputacyi „Mazepy" życzyć wypada, ażeby przynajmniéj kiedy się daje rzecz tę na scenie, czynili tu reżyserowie, co do ich obowiązku należy.*)

Najbardziéj jednak niefortunném następstwem téj w różnych czasach podejmowanéj pracy nad sztuką obecną, będzie niezaprzeczenie szczególna niejasność włożonego w nią zamiaru. Czytelnik widzi się przez cały ciąg Mazepy w niepewności, o co tu głównie chodzi? Ani sposób znaleść tu sobie ów punkt konieczny widzenia, z któregoby cała budowa dzieła we wszystkich zakątkach swoich dała się okiem przejrzéć na wylot. Niemałą trudnością okazuje się co do Mazepy nawet wyrozumienie, któréj z figur w nim działających przydzielono rolę bohatera lub bohaterki dramatu?... Pod tym właśnie względem chwiejność jest szczególnie uderzająca! W piérwszym akcie tak sobie postępuje Słowacki, jak gdyby mu chodziło raczéj o zamaskowanie rzeczywistéj intencyi. Opowiadanie staréj Kasztelanowéj, co się zowie szczegółowe o tym „złotym sowizdrzale", który wszystkim głowy zawraca, jeszcze nim się Mazepa w zamku Wojewody pojawił; zaraz potém awanturnicze przyjście tegoż na scenę oknem i ta nieznużona ruchliwość, z jaką on od piérwszéj chwili wszystkie kąty domu wojewodzińskiego osobą swoją zapełnia — wszystko to dane jest w taki sposób, i tak wydatnymi rysami, że kto nie zna dalszéj historyi, ani chwili wątpić o tém nie może, że w téjto figurze gromadzi się cały interes. Równie prawie ważnym czynnikiem akcyi jest Mazepa i w akcie drugim. Zuchwałe spotkanie się jego z młodą żoną Wojewody rankiem w ogrodzie — skarga, z jaką ona właśnie z tego powodu zaraz potém występuje przed

*) W rzeczy saméj dawany był we Lwowie w r. 1864 Mazepa po raz piérwszy z wykluczeniem zupełném całéj téj sceny, z niewątpliwą korzyścią dla ogólnego wrażenia. — Żałować należy, że żadną miarą przez wzgląd na związek pozwolić sobie nie można podobnego wyrzucenia lub choćby tylko skrócenia tych scen, gdzie występuje Kasztelanowa.

królem — bezpośrednie téjże skargi następstwa — wreszcie zajście między Zbigniewem a Mazepą w wybornéj owéj scenie, w któréj z razu obaj walczą ze sobą, a potém się godzą i przyjaźń zawierają: są to właśnie najcelniejsze tego aktu ustępy. Na mocy scen powyższych, widzowie tworzą sobie od razu pewne wyobrażenie o wzajemnym stósunku osób do sztuki wprowadzonych. Rolę Mazepy poczytując za pierwszorzędną, właśnie przeto rozumieją, że schwycili już w ręce tę nitkę Aryadny, która ich będzie wiodła przez wszystkie przeguby dalszéj zawikłanéj intrygi. Rozpoczyna się akt trzeci. Mazepę zamurowują w alkowie Wojewodzinéj. Mniemany bohater... ze sceny na długo znika. Pod koniec czwartego aktu zjawia się wprawdzie na nowo. Lecz — tylko już w roli sprawozdawcy i pomocnika w sprawie, która nie z niego idzie, nie jego najgłówniéj tyczy i nie od niego zależy!.. Natomiast wydostaje się na wierzch, od trzeciego aktu począwszy, inna postać. Postać ta w aktach początkowych zajmuje miejsce poślednie. Rośnie ona i tam już wprawdzie przed oczyma naszemi, lecz tak zwolna, tak gdzieś stojąc na drugim planie obrazu, tak pod osłoną cienia rzuconego przez inne około niéj figury, że kiedy wreszcie w owéj pełnéj dramatycznych efektów scenie, w któréj przychodzi do zamurowania alkowy, spotykamy się z Wojewodą oczy w oczy, jako z demonem bezlitości i grozy, który cały ruch akcyi porywa w swoje ręce, ażeby tego władztwa nie oddać odtąd już nikomu drugiemu aż do samego końca dramatu: — to doznajemy uczucia jakby... jakiegoś zawodu. Widząc się tu zmuszonymi do powiedzenia sobie, że więc Wojewoda jest tą najdramatyczniejszą ze wszystkich figur, któréj patos ma stanowić właściwy tragedyi przedmiot: doznajemy niemiłego uczucia, żeśmy się tego domyślili tak późno i że wrażenia nasze, otrzymane aż dotąd, trzeba że tak powiem przestawiać na inne miejsce...

Ale co ze wszystkiego najgorsze, to że i ten drugi, ten nowy punkt widzenia nie długo zaspakaja! Przebiegłszy tragedyą całą myślący czytelnik żadną miarą zgodzić się na to nie może, żeby wszystkie włókna jéj osnowy zbiegać się miały w ręku starego męża Amelii. Są charaktery w tym dramacie, są motywa

w całém jego rozprowadzeniu, w które wniknąć z tego punktu widzenia wcaleby było niepodobieństwem. Zatém nie pozostaje, jak chyba powiedzieć sobie, że jedno z dwojga: albo dramat ten zupełnie się autorowi nie udał, albo ktoś inny chyba musi być w nim charakterem centralnym... Jeśliby o to tylko chodziło, kto w Mazepie ma najczynniejszą rolę, kto najjaśniéj wybucha namiętnościami, kto najwięcéj ze wszystkich huczy i drugich tyranizuje, wreszcie czyja rola dla aktora jest najwdzięczniejszą do odegrania itp. to nie przeczę, że na te wszystkie zapytania odpowiedziećby tylko można wyrazem: Wojewoda! Pokazuje się wszelako właśnie z obecnéj sztuki, że na definicyą tego, co to jest być bohaterem utworu scenicznego, nie wystarczają te zewnętrzne kryterya. Najczęściéj one wprawdzie spotykają się z przyjętą rzeczy téj definicyą; prawdziwa wszelako istota takowéj na czém inném polega. Bohaterem dramatu jest ta jedynie figura, która idealnie zajmuje sam jego środek: tak iż wszystko, co tylko do treści dzieła należy, okazuje się być promieniem wynikającym z téjto roli centralnéj. Rola Wojewody żadną miarą nie ma tego stósunku ani do innych figur, ani do całości sztuki. Ze stanowiska wytkniętego przypuszczeniem, jakoby Wojewody namiętność była tu głównym tematem, na podobieństwo szekspirowego Otella, tylko z tą od niego różnicą, iż tu ta monstrualna zazdrość rozwija się na tle dawnego obyczaju polskiego — z tego mówię stanowiska niepodobną jest rzeczą wcale rozbierać Słowackiego Mazepy.

W Szekspira sztuce wszystko się na to składa, ażeby Otella krok za krokiem wprowadzić w ten szał tragiczny, który całe szczęście jego niweczy i przywodzi go do tego, że żonę niewinną i którą tak serdecznie kocha, morduje. Okoliczności nadzwyczajne, mające miejsce przy zaślubieniu Desdemony — przekleństwo ze strony jéj ojca — niemniéj rodowe, a raczéj rasowe pochodzenie Otella — jego osobista przeszłość, szpetność jego powierzchowności — nareszcie przewrotna niegodziwość Jaga, który się uwziął na to, żeby małżonków poważnić: — wszystko to zbiega się w tym jednym punkcie, żeby wzbudzić w Otellu tę kolosalną namiętność, pod któréj władzą go oglądamy w drugiéj połowie

utworu. W dziele Słowackiego nic się zgoła na to nie składa, żeby obudzić w głowie Wojewody podejrzenia i nienawiść przeciw Amelii. Ani jéj przeszłość, ani teraźniejsze jéj zachowanie, ani nawet skryte skłonności nie dają do tego wcale powodu. Nie ma podżegacza, któryby sztucznie obudzał podejrzliwość w jéj mężu. Całém źródłem zazdrości w Wojewodzie jest jego własna zapalczywość, jego zaślepienie, upor, duma — i trochę fatalizmu w zbiegu samych przypadkowych okoliczności. Te momenta żadną miarą nie wystarczają na to, żeby z tego charakteru utworzyć figurę, któréjby cierpienia i postępki były dostatecznym materyałem do stworzenia tragedyi...

Okazuje się tedy, że można przeczytać z natężoną uwagą całą tę sztukę Słowackiego, można ją widzieć kilka razy odegraną na scenie — i być w prawdziwym kłopocie, co odpowiedzieć na to, jeżeliby kto zapytał: o czyję namiętność w niéj głównie chodzi i kto w niéj jest pryncypalną postacią? Był rzeczywiście już nawet spór o to w lwowskich pismach czasowych, po odegraniu tam po raz piérwszy Mazepy. W jednym dzienniku dano wzmiankę o téj reprezentacyi, rozwiniętą z założenia, że główną rzeczą jest w tym dramacie rola Amelii. Drugi dziennik wystąpił przeciwko temu twierdzeniu, dowodząc, że nie Amelia, lecz Wojewoda ma w Mazepie piérwszorzędne znaczenie. Nie byłoby dziwu, gdyby się był odezwał jaki głos trzeci, forytujący znowu na protagonistę téj sztuki szlachetnego, pełnego najwznioślejszych instynktów, a tak nieszczęśliwie kończącego w niéj swój zawód Zbigniewa... Sam ten fakt, że mógł być spór taki względem tego pytania, upoważnia do wniosku, że założenie autora w Mazepie przeprowadzone być musi w sposób jakiś nieodpowiedni celowi. Nieodpowiedniość ta, o ile się nazwać daje chwiejnością jakąś w prowadzeniu wątku dramatycznego, mogła być tedy, jak się to już rzekło powyżéj, skutkiem samego sposobu pracy autora nad tym utworem.

Jest jednak i druga jeszcze przyczyna, dla któréj Mazepa pod wskazanym wyżéj względem nie czyni zadość koniecznym wymaganiom krytyki. Za przyczynę tę poczytuję brak znamion

rzeczywiście tragicznych w roli, która w tragedyi naszéj stanowić miała właśnie sam środek jeśli nie działania, to przynajmniéj cierpienia tragicznego. Taką jest rola Amelii. O czém ażeby się przekonać, chciejmy choć jednym rzutem oka spojrzéć na całą rzecz sztuki naszéj z punktu widzenia poety i w jego duchu.

Słowacki miał wprawdzie całe współczucie dla cierpień, dla boleści, dla łez, dla pragnień serca ludzkiego. Kochał istotę człowieczeństwa, ale... kochał ją i pojmował tylko w szczególnych, w upatrzonych i wyidealizowanych jednostkach. Dla ogółu, dla „tłumu“ — poeta nasz nie miał serca. Wielką liczbę odsuwał od siebie z wzgardą. Połowa jego poezyi — jestto nieustanna walka z człowiekiem, jakim tenże jest w massie, w rzeczywistości, w obowięzujących społecznych formach, słowem w téj rzeszy tysiącogłowéj, która najszlachetniejsze indywidua pochłania, zamieniając im życie na jeden szereg nieprzerwanych goryczy, przykrości, rozczarowań, a w danym razie i udręczeń.

Zamierzył sobie i w obecnéj sztuce wystawić dolę ziemską biednéj takiéj jednostki, osobistymi przymiotami upoważnionéj do lepszego losu, niż jaki ją spotyka w jéj otoczeniu. Tą jednostką, tą jedyną postacią w całym dramacie, z którą autor bezwarunkowo sympatyzuje, jest Amelia.

Przypadkową i obojętną zupełnie to jest rzeczą, że ją umieścił na tle stósunków naszych XVII stulecia, za panowania Jana Kaźmierza. Cały akt pierwszy Mazepy w wielu względach przeznaczonym wprawdzie zdaje się na to, żeby nam przewrotność wiekowi temu właściwą w różnych napomknieniach naznaczyć. O wiek siedmnasty jednakże i o jego w narodzie naszym zdrożności bynajmniéj tu nie chodziło. Jakiekolwiek czasy byłby autor rzucił za tło utworowi swojemu, w każdym razie byłby on w nich ze stanowiska swego odsłonił złe przemagające nad dobrém. Pessymistą był nasz poeta. Że tu z przypadkowych przyczyn miał należeć do działających osób Mazepa, którego przygody w piérwszéj redakcyi sztuki zapewne traktowane były dosadniéj: — stało się mimowolnie, że owa właśnie epoka posłużyła obrazowi za ramy, przez co ten obraz otrzymał pozory historycznéj tragedyi.

Rzeczywiście nie ma tu zgoła historycznych żywiołów i z tego punktu nie można autorowi czynić żadnych zarzutów.

Biorąc rzecz w tym duchu, jak jest dana, przypatrzmy się z bliska bohaterce dramatu. Widzimy ją od piérwszéj chwili postawioną w położeniu nader trudném. Jest żoną człowieka, do którego nie zbliża jéj ani wiek ani serce. Całe usposobienie Amelii, tkliwe i potulne, a ile wnosić, nawet i stósunki towarzyskie dawniejsze, nie rymują z jéj położeniem w tym domu. Wojewoda — to magnat, starzec, człowiek popędów impetycznych i samowładnych, dumy twardéj i samolubnéj. Popędliwość jego zdolna jest wystawić na szwank życie nawet najdroższych osób.*) Zaślepienie jego nie zna granic, jeżeli raz weźmie zapęd w pewnym kierunku. Nie jest on wprawdzie wyzuty z uczuć ludzkich, które na spodzie serca ukryte, lepsze są niżeli jego postępowanie; ale się wstydzi okazać, że je ma!

„Ba! pańskiemu czołu
Coś cięży, coś dolega — wstyd samego siebie.
Ja go znam. On się prędzéj pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu *(tego co uczynił)*.
To panisko dumne!
Ja go znam: taki dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam — tø dotkliwy jest pan na honorzè.“

Tak go opisuje stary sługa, który nie na to te słowa mówi, żeby Wojewodę oskarżać, ale raczéj żeby go uniewinnić; dobiera więc słów ile możności eufemistycznych na określenie téj szorstkiéj i samolubnéj natury.

A Amelia? — Posłuchajmy co o niéj trzepie stara Kasztelanowa, kiedy ją widzi raz piérwszy:

„Cóż to jest za dzieweczka? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma — na głowie bez żadnego fiocha — —

*) Powiada mu Zbigniew w akcie III: — „Ojcze, o! będzie ze mną tak jak z moim bratem, Którego ty zabiłeś przed laty niechcący“

ZBIGNIEW.

To Mościa Dobrodziejko, jest moja macocha.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko! — A proszę cię
Bądźże mi przyjaciołką, moje piękne dziecię!
Uważaj mię jak swoję. — Cóż? jaka ty ładna!
A to panie Zbigniewie cud! Z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. — Nie płoń się, staréj wolno mówić"...

Takto więc dobrane jest ono stadło. Kto je złączył? — Bogu wiadomo. Poeta o tém nie mówi. Łatwo odgadnąć, że wzajemna skłonność nie była tu dziewosłębem. Groźny rozkaz rodziców, albo krewnych lub opiekuna — to była niezawodnie cała przyczyna, dla któréj znalazła się biedna sierota w objęciach możnego pana. Po takim ślubie, jakie być może pożycie? Amelia wprawdzie ani słowem nie skarży się na swą dolę, gdyż ją poczciwie, ulegle, cierpliwie znosi. Ale podobno bynajmniéj nie rozmija się stara Robroncka z istotną prawdą, kiedy powiada już w chwili piérwszego poznajomienia się z młodą Wojewodziną:

„Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce,
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca."

Owoż w takichto stósunkach postawioną kobietę wprowadza Słowacki w zawikłania, które jako wyjątkowe, nieprzewidziane i nie od jéj woli zawisłe, trudność jéj położenia przemieniają w zawód pełen okropności i męki. Widzimy w Amelii przedmiot pokuszeń i ubliżeń, posądzeń i oskarżeń, nakoniec ofiarę brutalnéj bezlitości — i to ze strony osób, których rzeczą właśnie było bronić czci i pokoju takiéj istoty — jeżeli już nie na mocy praw i wynikających z nich obowiązków w sferze rodziny, to z mocy najwyższéj politycznéj władzy nad społeczeństwem. Król, wystawiony tu w całéj szkaradzie cynizmu — dworzanin jego, lekkomyślny, niesumienny, zepsuty światem, choć nie bez szlachetnych usposobień, które niekiedy dają się z ust jego słyszéć — pasierb, rozmiłowany i niby idealny, gotów życie dla Amelii poświęcić i nawet poświęcający je w końcu, ale bez

najmniejszego pożytku, gdyż miłość jego jest występną, a z takich źródeł wynikają same tylko zgubne następstwa, choćby były zamierzane w najlepszéj myśli... nareszcie sam Wojewoda, w zaślepieniu dochodzący zadanéj sobie obrazy — nie tam, skąd ta obraza wyszła, ale na osobie najboleśniéj właśnie oną obrazą dotkniętéj: — oto najgłówniejsze typy w dramacie, których działanie samowiednie i bezwiednie składa się na to, żeby intrygę rozpoczętą tak zgmatwać, tak splątać, tak zwikłać w jeden labirynt nierozdzierzgnionych nieporozumień, iż życie na takim świecie staje się dla téj bezbronnéj, niewinnie potępionéj kobiety niepodobieństwem i zmusza ją do przecięcia tego pasma zawikłań — samobójstwem.

Otóż nastręcza się pytanie, czy natura z takich stworzona żywiołów, czy rola w taki przeprowadzona sposób, nadawała się na charakter, zajmujący to główne miejsce w dramacie, jakie zapełnia nasza heroina w Mazepie?

Nie tylebym tu jeszcze był skłonny kłaść przycisk na tém, że rola Amelii, jako przeważnie bierna, nie zdaje się być w należytym stopniu dramatyczną w ogóle. Przyznaję wprawdzie, że utarte nasze o poezyi pojęcia, czy takowe są wysnute z teoryi sztuki, czy w praktyczny pozyskane sposób z rozpatrywań najcelniejszych arcydzieł, żądają tego koniecznie, ażeby z rąk bohatera dramatu wychodziła rzeczywista inicyatywa całego przebiegu sprawy, która się toczy. Pierwszorzędne role bywają i powinny być nie tylko najsympatyczniejsze dla widzów, ale i najwięcéj czynne. Na tém polega głównie cała ich waga jako dramatycznych czynników. Od téj reguły jednakże w sferze poetyckiéj praktyki zdarzają się przecież czasem wyjątki. Król Lir Szekspira na przykład przeprowadzony jest przez całą sztukę jako zupełnie biernie tylko zachowująca się osobistość. Z wyjątkiem pierwszéj sceny, gdzie Lir dzieli królestwo swoje między dwie córki najstarsze, a trzecią niesprawiedliwie wydziedzicza i od serca swego odtrąca, cały dalszy przebiég tragedyi jestto już ciąg nieprzerwany samych ciosów niewdzięczności i prześladowań, które na starca tego spadają. Mimo tak przeważnéj bierności bohatera tragedyi, zaliczają przecież wszyscy rzeczony utwor

największego z dramatycznych wieszczów europejskich do jego najgenialniejszych robót...

Na mocy tak wymownego przykładu ze strony dawniejszéj dramaturgii, byłoby tedy to uszło i naszemu poecie, że stworzył heroinę w téj sztuce w sposób, jak ją widzimy przeprowadzoną. Jego Amelia choć nierównie więcéj znosi, aniżeli czyni, zajmuje przecież już przez to sam środek w rozbiegu akcyi, że działanie innych osób bez wyjątku do niéj i tylko do niéj się ściąga. W jéj roli tedy mamy węzeł, łączący w jedno wszystkie szczegóły. A brak dramatycznéj czynności może tu być tłómaczony uwagą, że przecież to postać niewieścia...

Natomiast upatruję stanowcze uchybienie poety co do charakteru Amelii w innéj okoliczności. Bohaterka Słowackiego niczém się sama nie przyczynia do tego, że z jednéj strony przewrotność i namiętności otaczających ją osób, z drugiéj sam nawet zbieg przypadkowych okoliczności przeciwko niéj się obraca. Amelia nie wyzwała rzeczywistości do walki; nie zaczepiła jéj wcale! — Bez zaciągnienia samochcąc winy, żadna rola nie sprawia prawdziwie tragicznego wrażenia. Kara i cierpienia mogą być nierównie sroższe niż przewinienie: owszem, im nierówniejszy jest ten stósunek, tém więcéj na tém zyskuje dotycząca osobistość tragiczna. Ale jakiś powód do tego wszystkiego, co jéj znosić przychodzi, koniecznie musi być przez nią dany. Cierpienia i gorzkie rozczarowania Lira nie byłyby miały miejsca, gdyby nie własna jego wola, z niesprawiedliwością i ślepotą i uporem wyzywającym w czyn zamieniona na samym wstępie tragedyi. Wszystko, czego tenże potém od dzieci swoich doznaje, są to tylko następstwa jego własnego czynu. Dał do nich powód, wywołał je: chociaż dopiéro nieprawość drugich jest źródłem, z którego wszystko z jaskrawością wynika...

Podobnego przyczynienia się do cierpień, jakie w naszym dramacie znosić przychodzi Amelii, żadną miarą dopatrzyć się nie można w całém jéj postępowaniu. Rola jéj tak jest przeprowadzona, że jéj nigdzie nic zarzucić nie można. Są wprawdzie w piérwszych scenach aktu Igo, są i w dalszym toku sztuki takie miejsca, które — jeżeli się po raz piérwszy dramat ten czy-

ta — zdają się na razie być zdolnemi wykładu, źle uprzedzającego o téj osobie.*) Wykład takowy prostuje się jednakże na jéj stanowczą korzyść, w dalszym toku działania.— Nawet w stósunku Amelii do Zbigniewa, nie można nic takiego upatrzyć, coby ją potępiało. On nią zajęty od piérwszéj chwili, to prawda. Ona jednakże ani nie podziela tych uczuć, ani się nawet nie domyśla, że jest kochaną. Stąd też ta naiwna swoboda, z jaką się z pasierbem swoim obchodzi (np. na końcu aktu II, w owéj scenie z lilią). Dopiéro w akcie trzecim, kiedy słyszy od Zbigniewa, że odjeżdża i to na zawsze — kiedy go widzi przed sobą walącego się bezwładnie na kolana i na pożegnanie żądającego błogosławieństwa — na całą wieczność: — wtedy dopiéro otwierają się przed oczyma Amelii widoki, równie jéj dotąd nieznane, jak uczucia, które i w niéj saméj teraz dopiéro się rodzą. Po mistrzowsku przeprowadził Słowacki tę skalę psychicznych odkryć, tę rosnącą stopniowość usposobień, słowem tę genezę miłości zapalającéj się w wolném aż dotąd sercu jak prochy iskrą dotknięte — niby z nienacka, raptownie, nagle, doraźnie, a jednak nie bez tych przejść pośrednich, niewidomych zwykłemu oku, bez których nie ma potężnych wzruszeń w naturze ludzkiéj. Przychodzi więc w taki sposób jakoby do wyznania miłości.

W téj scenie jest perypetya roli Amelii, a razem z nią byłby tedy i pozór winy, którą niby popełnia i za którą pokutuje następnie.

Pozór rzeczony atoli złudnym się okazuje natychmiast. Bezpośrednio po wyrzeczeniu mimowolném piérwszych słów zdradzających jéj stan wewnętrzny, odzyskuje matka Zbigniewa świadomość

*) Mam tu na myśli np. owe słowa: „O Boże, król!“ które wymawia Amelia, słysząc wystrzał armatni zwiastujący przybycie Jana Kaźmierza. Podobnie wątpliwymi zdawać się mogą i wyrazy „O Boże!“.. „Tak mi coś na sercu smutno!“ z którymi się odzywa, kiedy Mazepa z natręctwem jéj się narzuca. Nie są to jednak objawy niepewności siebie saméj w obec tych ponętnych ułud i stąd trwogi o przyszłość, ale przeczucia możliwych nieprzyjemnosci, uzasadnione świadomością okoliczności.

obowiązku swojego i silną wolą nie tylko broni się przeciwko uczuciu, które ją z nienacka już owładywać poczęło, ale je nawet i zstrząsa z siebie.

...„Jaka plama
Dla mojéj czystéj duszy tak z Waćpanem gadać!
Jak gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła. —
Nie bój się: my niewinni! Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja Pana żegnam wiecznie“... itd. itd.

Gdyby Amelia odkrytą miłość pasierba od razu tym tonem była odsunęła od siebie, byłoby to wprawdzie może jeszcze chwalebniéj, niż jak się stało. Czyby to jednak było z jéj stanowiska takim aktem heroizmu, jak się to komu może wydaje? — to mi się widzi inne pytanie. Stoicyzm taki tegoby tylko dowodził, że Amelia nic nie czuła dla Zbigniewa; że go odprawiła... bo ją to nic nie kosztowało. Nie ma w tém wielkiego tryumfu, być tam zwycięzcą samego siebie, gdzie nie ma żadnéj walki, gdzie nawet pokuszenia nie było. Doznać całéj potęgi ułudnego na bezdroża pociągu, a jednak ten pociąg stłumić szlachetnie i na razie: to dopiéro i chwała i zasługa prawdziwa.

Okazuje się zatém, że nawet w tych zawikłaniach z pasierbem nie podlega postępowanie Amelii żadnym zarzutom, z zwyczajnego moralnego stanowiska ją sądząc. Lecz właśnie ta jéj wyższość nad wszelkie z tego względu zarzuty nie odpowiada koniecznym żądaniom sztuki. Warunki tragiczności wymagały czego innego. Im doskonalszą w ogólności jest Amelia kobietą, tém jest słabszą heroiną dramatu. Bo wśród wszystkich tych cierpień, które jéj przychodzi znosić w dalszéj osnowie tragedyi aż do ostatniéj sceny, widzimy w niéj tylko niewinną ofiarę, pokutującą za zdrożności, których nie było. A tragedyi celem nie jest bynajmniéj wystawiać ofiary i męczenniki, lecz namiętności ludzkie, na tle których nawet wiekuiste ideje przybierają kierunek doczesny i ku ziemi ciężący...

Nie tylko ze strony wymagań sztuki, ale i z etycznego punktu widzenia rzecz ta nie może być nazwaną inaczéj, jak

zbłądzeniem poety. Cierpienia ani nie zasłużone, ani nie wynagrodzone — to najwyższy fałsz w świecie ducha! W doczesnéj rzeczywistości wypadków takich wprawdzie niestety aż nadto. Ale doczesna rzeczywistość — to ustęp całości, której tak początek jak koniec idzie po za granicę widnokręgu śmiertelnych. Nie dziw tedy, że jéj nie rozumiemy. Poezya jest odbiciem nieskończoności. Poezya nie jest na to, żeby powtarzała ułomności nędznéj naszéj exystencyi na ziemi.

Desdemona w sztuce Szekspira, w któréj także zazdrość męża stanowi główną sprężynę akcyi, ma na pozór wiele podobieństwa do naszéj bohaterki. I ona kończy smutnie, a zupełnie niewinnie. Ale z jakąż to starannością baczny był na to ten niezrównany mistrz w swojéj sztuce, ażeby usunąć od nieszczęśliwéj żony Otella tę woń i aureolę idealnéj doskonałości, która w dramacie równie jest nie na miejscu, jak skończone i bezwarunkowe zbrodniarstwo. Cały akt pierwszy Otella temu jest poświęcony, ażeby przeprowadzić przed oczyma widzów w roli Desdemony antecedencye, w obec których dalsza jéj dola jest tylko logiczną wynikłością własnych jéj... jeśli nie lekkomyślnych, to zawsze nierozmyślnych, jeśli nie płochych, to w każdym razie excentrycznych i na oślep popełnionych postępków. Mianowicie oddanie ręki t a k i e m u człowiekowi — jest tam nie tylko aktem jéj własnéj woli, ale mu towarzyszy jeszcze jaskrawe nieposłuszeństwo przeciwko ojcu, z którego domu podstępnie i obłudnie ucieka. Rzuca się tedy na to burzliwe morze, które ją ma pochłonąć, samochcąc i przy niebłogosławieństwie rodzicielskiém. A Amelia w Słowackiego Mazepie i z téj strony jest bez zarzutu.

— Ujmując pod jeden widok wszystko, com w powyższém o obecnéj sztuce powiedzieć za potrzebne uważał, przyznaję jéj więc z jednéj strony niepospolite zalety s c e n i c z n o ś c i, dla których też dramat ten na zawsze pozostanie równie dla widzów jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycyą w repertoryach; obok tego jednak zarzucam jéj rażącą n i e j a s n o ś ć co do zamiaru, dla którego była pisaną. Wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastręczają, to jedno, w którém się

ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora, przychodzimy do uznania, że przeciw niejednemu w téj dążności protestować koniecznie trzeba. —

Rozmiar dzieła tego nie pozwala zastanawiać się nad pojedynczymi ustępami Mazepy, o których byłoby wiele do powiedzenia. Są w téj sztuce wielkie piękności, na które wartoby było zwrócić uwagę. Są też i mniéj szczęśliwe już to wiązania scen między sobą, już rzuty charakterów (np. Jana Kaźmierza), któreby koniecznie wytknięte być powinny. Lecz zbyteczna rozwlekłość nie byłaby tu na miejscu; poprzestaję zatém na rozpatrzeniu powyższém samych tylko ogólnych względów.

Rozbior Balladyny i Lilli odkładam do osobnego rozdziału. Dla urozmaicenia rzeczy rozdział ten nastąpi na dalszych dopiero kartach. Teraz zaś przeprowadzam czytelnika znowu do ustępu z biografii poety.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Rok 1841 i piérwsza połowa 1842go.— Stósunek między Słowackim a Mickiewiczem Słowackiego zdanie o Panu Tadeuszu.— Mickiewicz profesorem w Lozannie. W r 1840 otrzymuje katedrę w Collège de France w Paryżu. Wieczór artystów i poetów — improwizacye — wymówki. Nowa niechęć z okazyi ofiarowanego Mickiewiczowi puharu — bezimienny artykuł w Tygodniku Poznańskim — odpowiedź w Trzecim Maju — Beniowski. Wrażenie téj publikacyi — dalsze takowéj następstwa — pojedynek. Artykuł Krasińskiego w Tygodniku Poznańskim burzę poniekąd ucisza. — Wracają spokojniejsze stósunki — otucha i rezygnacya — czynność autorska wzrasta. Dalszy ciąg Beniowskiego — Niepoprawni — Złota Czaszka — Książę Niezłomny.

Na samym schyłku roku jeszcze 1840 zaszło zdarzenie, które przeważnie wpłynęło na rodzaj i na dążność niektórych robót Słowackiego w roku następnym. Mówię o zajściu pomiędzy nim a Mickiewiczem na owéj uczcie na cześć Adama wyprawionéj w Paryżu po piérwszéj tegoż prelekcyi. Okoliczność ta — znana każdemu, kto tylko czytał Beniowskiego, lecz tylko w najogólniejszych zarysach — zasługuje, ażeby ją tu podjąć szczegółowo i opisać w duchu rzetelnéj prawdy. Były wprawdzie czasu swego artykuły o tém w pismach czasowych. Zdarza się też niekiedy słyszeć i dzisiaj jeszcze ustne opowiadania o owym pamiętnym wieczorze, i to od osób, które utrzymują, że były na nim obecne. Ponieważ atoli w piérwszych więcéj przebija stronniczości jak dobréj wiary, a w drugich, to jest w ustnych opowiadaniach, daleko więcéj bywa znowu bujnéj fantazyi, aniżeli wiernéj pamięci:— nie dziw zatém, że to tak niedawne zdarzenie zasunęło się już prawie w krainę mytu. Do istotnych faktów przymieszało się wiele zmyśleń i niepotrzebnych ubarwień. Obaczmyż tedy, ile

w tém wszystkiém, co sobie dzisiaj o tém rozpowiadają, mieści się wątku rzeczywistego.

Znane już nam są dokładnie nieporozumienia pomiędzy dwoma tymi poetami naszymi, o ile takowe odnoszą się do czasów dawniejszych, kiedy to jeszcze Słowacki mieszkał w Paryżu w piérwszych latach po rewolucyi. Przypominamy sobie, że pochodziły one z różnych pobudek. Wrodzona drażliwość, będąca zawsze słabą stroną Juliusza — współzawodnictwo — różność kierunków — zausznictwo nierozsądnych przyjaciół — nakoniec rzeczy niektóre w Dziadach: oto okoliczności, które wtedy napełniały serce młodszego wieszcza coraz większą przeciwko Adamowi goryczą, aż go wreszcie taką ku niemu nienawiścią uniosły, że obrzydziwszy sobie całe otoczenie swego antagonisty i nie mogąc już wysiedzieć na miejscu, ujechał z Francyi nad jezioro genewskie. Od tego czasu stósunków pomiędzy Juliuszem a Adamem nie było właściwie żadnych. Co sobie o tém wszystkiém myślał wtedy Mickiewicz, nie wiem. Sądzę, że siedząc dumnie na swoim tronie jako piérwszy narodowy poeta — ignorował co zaszło i uważał to wszystko za dzieciństwo. Juliusz — ile namiętniejszy i młodszy, a do tego w jednym punkcie skrzywdzony w saméj istocie, zatrzymał niechęć przeciwko niemu i nadal. Przedmową do Lambra, Kordyanem – rzucał to wręcz, to ubocznie rękawicę Mickiewiczowi do boju: Mickiewicz nie widział żadnéj potrzeby, ażeby ją podnosić. Potém między nimi ucichło wszystko. W dziełach drukowanych Słowackiego nie ma już ani śladu tego co wrzało u niego w sercu. Ale odzywały się za to od czasu do czasu w listach jego wybuchy żywionéj nienawiści przeciwko autorowi Dziadów. W r. 1834 pojawił się nowy Adama poemat — Pan Tadeusz. Słowacki mieszkający wtedy jeszcze w Genewie, nie otrzymawszy go jeszcze do rąk i tylko z saméj wieści wiedząc o jego wyjściu, donosił matce (d. 13 lipca 1834) w tych słowach o tém:

„Adam wydał poema nowe pod tytułem Pan Tadeusz. Nie znam jeszcze tego dzieła, bo w kurs nie puszczone. Wiem tylko, że Pan Tadeusz jestto szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811 a 1812 rokiem“...

W daleko jeszcze uszczypliwszych wyrazach udzielał późniéj wiadomości o Mickiewiczu, że się ożenił (w liście z d. 7 listopada 1834). Dopiero w końcu tegoż roku złamało się wreszcie ostrze tego gniewu i uprzedzenia. Był już wtedy w stanie pisać o nim Słowacki nie tylko nienamiętnie, ale nawet z uwielbieniem. Tego cudu dokazały... czary prawdziwéj poezyi! Dokazało go mistrzowskie, pogodnym i miłościwym duchem owiane dzieło Adama — właśnie ów Pan Tadeusz, który jeszcze w lipcu „awanturował się“ tylko! Przeczytał go autor Kordyana, wszedł w siebie, schylił czoła przed geniuszem: i zapomniawszy wszelkich uprzedzeń, w duchu i sercu — myślą — podał rękę ze łzą w oku wieszczowi, który mu dawniéj tyle dokuczył... Byłto tryumf dla tego poematu — największy może tryumf ze wszystkich, jakie mu się kiedykolwiek odnieść zdarzyło. Było to zarazem niemniéj chlubne świadectwo i o szlachetnych, wyższych instynktach natury Słowackiego...

„Wszystko, co zniknęło w przeszłości — pisał d. 18 grudnia 1834 — ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos. Adama nowy poemat obudził także we mnie wiele dźwięków przeszłości. Bardzo piękny poemat! podobny do romansu Walterscota, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie — heroina poematu choć gęsi pasie, ma jakąś w sobie świeżość dawnych opisów — coś dziwnie zachwycającego prostotą! Wiele opisów miejsc, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych — natura cała żyje i czuje. Poemat raczéj żartobliwy niż smutny; a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jestto poema zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca dmącego w róg myśliwski — cudowny opis! Trochę mi przypomniał pana Jakóba trąbiącego w lesie. I drugi opis żyda grającego na cymbałach, także prześliczny. Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli. — Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie. Nie dziw, bo córka Szymanowskiéj. Co wieczora mnóstwo naszych ziomków schodzi się do mieszkania poety i bawią go; a on ciągnąc dym z cybucha — słucha i uśmiecha się. — Co za sprzeczność z moimi samotnymi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w téj samotnéj wędrówce życia!“...

Od téj pory w korespondencyi naszéj nie znaleść już ani cienia uprzedzeń przeciwko Mickiewiczowi. Przeciwnie, wspominał zawsze o nim Słowacki z wyraźną życzliwością; i jeżeli mu wypadło donosić o nienajpomyślniejszém jego powodzeniu (a do takich doniesień na nieszczęście najczęściéj zdarzała się sposobność): mówił o tém zawsze ze współczuciem i żalem. Z oburzeniem udzielał np. w maju 1835 wiadomości, że piérwszy poeta polski, mimo dwóch co rok dzieł wydawanych, do tego stopnia niedostatek cierpi w Paryżu, iż nawet sługę odprawić musiał... „Czy tam u was (zapytywał) miejsce na policach bibliotek kalendarze zajmują?“ — Z równém ubolewaniem w trzy lata później (w r. 1838 w Florencyi) wspominał o „rzemieślniczéj“ i upadłéj też próbie Mickiewicza, napisania dramatu francuskiego dla któréj ze scen paryskich, do czego tenże był zniewolony jedynie brakiem środków niezbędnych na wyżywienie rodziny.

Za przybyciem swojém powtórném do Francyi (w samym końcu r. 1838), poeta nasz nie zastał Mickiewicza w Paryżu. Mało co przedtém tenże przeniósł się był do Szwajcaryi. Objął tam w akademii lozańskiéj katedrę literatury łacińskiéj, powierzoną sobie właśnie z końcem tegoto roku.*) Nie można tedy owych skarg Słowackiego na małość, na zawiść, na sekciarstwo polityczne i osowiałość Emigracyi, które w małéj tylko części przytoczyłem w poprzedzających rozdziałach, żadną miarą tak tłómaczyć, jakoby się cobądź z tego wszystkiego stósować znowu miało do osoby Adama. Do innych zgoła ludzi to odnosić należy.

Dopiero w r. 1840 w miesiącach jesiennych nastąpił przyjazd Mickiewicza do stolicy Francyi celem objęcia co tylko utworzonéj katedry historyi literatur słowiańskich w Collège de France. Była to jedna z najświetniejszych chwil w jego życiu. Miał zająć stanowisko, do którego w piérwszych czasach przywięzywano wa-

*) Z téjto przyczyny więc owo o Mickiewiczu wyrażenie w przytoczonym powyżéj liście Krasińskiego, że „uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie“. Ale dla czego to „nigdy nie mają“? tego sobie w ustach Krasińskiego wcale wytłómaczyć nie umiem.

żność ogromną, ważność daleko sięgającą po za zakres szkoły, nauki i tylko literackich zagadnień.

Była to piérwsza sposobność dla Francuzów, a przez nich i dla całego zachodu, zajrzeć w samo wnętrze tego olbrzymiego plemienia, którego przeszłość i położenie obecne, stósunki wzajemne i dążność, słowem cała tak fizyczna jak duchowa natura była dla reszty Europy aż do téj chwili prawdziwie „krainą nieodkrytą“. Zdawało się to być rzeczą nieobliczonéj wagi, który z członków téj wielkiéj rodziny ludów powołany zostanie na tłómacza tych wszystkich światodziejowych zagadnień, jakie się wiążą z kwestyą słowiańską. Przez czas pewien, czas krótki wprawdzie, ale dostatecznéj długości, aby interesowanych do żywego zaniepokoić, ważyło się w gabinecie francuskim, komuby tę katedrę powierzyć. Czy miałby być powołany na to stanowisko który z uczonych czeskich, czy Rosyanin jaki, czy Polak? Polska a Rosya — to dwa przeciwne sobie bieguny, czy spojrzym na przeszłość odwieczną obojga tych narodów, czy też na ducha, co je obecnie ożywia i dalszą im przyszłość wytyka. Od tego, w jakim duchu i z jakiego punktu widzenia będzie wyrzeczone piérwsze słowo téj polityczno-naukowéj analizy Słowiaństwa: od tego zależeć miała cała przyszłość i polityki rządu i opinii narodu francuskiego w stósunku do wschodu Europy. Z natężoną tedy uwagą patrzała Emigracya polska na te szale chylące się przez czas jakiś w niepewności pomiędzy względami już to na narodowość, już też i na osobistość przyszłego profesora. Wreszcie namysły ministeryalne co do tego wyboru zostały rozstrzygnięte. Zostały rozstrzygnięte na korzyść narodu, który w Słowiańszczyźnie najwięcéj dotąd położył zasług około cywilizacyi. Z otuchą i radością najżywszą doniosły pisma emigracyjne krajowi, że Polak i to mąż tak znanego patryotyzmu, tak wielkiéj nauki i natchnienia, ma w stolicy cywilizowanego świata odkrywać, tłómaczyć i nauczać, co to jest Słowiańszczyzna. Wielki wieszcz, mówiono sobie, często jest nie tylko nauczycielem, ale i prorokiem. Może on będzie zachodnim ludom odkrywał nie tylko przeszłe ale i przyszłe skarby tych ludów...

W takich-to więc wyrazach pisały o tém naówczas pisma; tak sobie zadanie téj katedry tłómaczyli wszyscy, którzy pojmowali ważność téj sprawy i znali Mickiewicza.

Nie brakło wprawdzie i na takich w Emigracyi, którzy nie bardzo temu dowierzali, żeby się wielki ten poeta zdołał okazać równie wielkim i w sferze ścisłéj nauki, zwłaszcza że prelekcye miały być dawane w języku obcym. Bądź jak bądź — tak ci, co wierzyli w jego uzdolnienie do tego, jako i owi co utyskiwali, że siły swoje przecenił przyjmując taki ciężar na siebie, w tém jedném pomiędzy sobą nie różnili się wcale, że patrzeli na Mickiewicza w dniach owych, jako na człowieka którego słowo może rozstrzygać będzie o kierunkach przyszłości umysłowéj w całym świecie słowiańskim. —

Pierwsza prelekcya odbyła się d. 22 grudnia 1840. Druga miała nastąpić — z przyczyny świąt Bożego Narodzenia — w tydzień dopiéro potém. W téjto więc chwili, pomiędzy piérwszém wystąpieniem a drugiém, z powodu otrzymanéj katedry i z okazyi urodzin i imienin Adama, przypadających jak wiadomo na dzień 24 grudnia, była wyprawiona owa uczta, o któréj tu pomówić zamierzyliśmy.

W sam tedy dzień Bożego Narodzenia p. Eustachy Januszkiewicz, ziomek i przyjaciel poety z czasów jeszcze uniwersyteckich, zaprosił na wieczór do siebie solenizanta i oprócz niego około 40 innych osób. Byli to sami prawie rodacy i przyjaciele, wielbiciele, koledzy szkolni albo towarzysze Adama w jakimkolwiek zawodzie sztuki. Oprócz muzyków Chopina, Szczepanowskiego, Fontany i Edmunda Larissa, znaleźli się tam prawie wszyscy znaczniejsi pisarze nasi emigracyjni, kilku generałów polskich i wiele innych znakomitości już to stale, już chwilowo w Paryżu wówczas przebywających. Znaczna liczba z pomiędzy osób przytomnych na tém zebraniu nie żyje już dzisiaj, że tu tylko wspomnę Ludwika Platera, Chopina, Izydora Sobańskiego, gen. Michała Mycielskiego itd. Rozmawiano, grano, śpiewano, słowem bawiono się wybornie, wreszcie zasiedli do stołu i napełniły się kielichy...

Niebawem zaczęto wnosić zdrowia — improwizowano.

Pośród różnych improwizacyi, któremi przeplatano biesiadę, zdaje się że najprzód się ze swoją odezwał właśnie Słowacki.*) Głównym celem jego przemówienia było oddanie należnego hołdu piérwszemu z wszystkich wieszczów słowiańskich. Do tego jednakże uznania jego pierwszeństwa przymieszało się mimowolnie i cokolwiek goryczy. Zaczął bowiem Słowacki zwyczajem swoim mówić też nieco i o samym sobie, o swojém piérwszém wystąpieniu i o zimném przyjęciu, jakiego i wtedy i ciągle jeszcze doznaje. To go rozgrzało, wzburzyło. Jękła struna w jego sercu, w którą uderzyć w piérwszéj chwili właściwie nie zamierzał. Z uwielbienia wywiązała się skarga... Nie obeszło się też przy tém i bez przymówki zwróconéj wprost do samego Adama, któremu wytykał, że zbyt jest dumny i zanadto zwykł lekceważyć swoich

*) Dlatego używam tu tego zwrotu, nie ręczącego za pewność faktu, ponieważ rzecz to byłaby bardzo ważna, wiedzieć na pewne, kto też pierwszy kogo zaczepił, a bałamutne źródła, z których głównie zmuszony jestem czerpać o tém wiadomość, okoliczność tę bardzo sprzecznie ze sobą przedstawiają. Wymieniam tu z źródeł rzeczonych niektóre tylko ważniejsze: Artykuł pod tytułem „Improwizatorowie“ w Tygodniku Literackim poznańskim, rocznik IV, str. 60, pełen najbujniejszéj przesady, a jak sądzę, i faktycznych przekręceń. Inny artykuł, zatytułowany „Krasiński o Słowackim“, ogłoszony przez R. Z. w Dodatku Czasu 1859 tom XIII, str. 515, był pisany, jak to widać ze wszystkiego, dopiéro w kilkanaście lat później i dlatego też jest pełen mylnych dat co do czasu, a może równie nie ze wszystkiém pewny i co do reszty osnowy. — Daléj przypominam zakończenie Vtéj pieśni Beniowskiego, jako też Rzecz o Nocy Letniéj przez Krasińskiego, pióra samegoż Słowackiego. (Rzecz o Nocy Letniéj jest wcielona do I tomu Pism pośmiertnych; pierwotnie pojawiła się w Trzecim Maju, nr. z d. 29 kwietnia 1841) I te nawet autentyczne wspomnienia nie są pisane w taki sposób, żeby bezpiecznie można było na nich polegać. Nakoniec należą tu listy Juliusza do matki, wprawdzie bardzo ważne i zajmujące co do tego przedmiotu, ale niezupełnie zgodne z tém wszystkiém, co w piérwszéj chwili sam on o tém drukował, a zatém także wymagające wielkiéj ostrożności w czerpaniu z nich. Tylko z połączonéj porównawczéj baczności na te wszystkie świadectwa razem da się wyrozumieć rzetelna prawda, a przynajmniéj to co się do niéj najwięcéj zbliża.

towarzyszów w zawodzie. „Lubo wiersze z ust Słowackiego — mówi jeden z świadków owego zdarzenia — wydobywały się w przerwach, z niejaką trudnością i przyciskiem, wszakże wznosiły się do najwyższéj poezyi. Były wprost i od razu z duszy jego wylane, wyrzeczone z wielkim zapałem. Że się jednak zbyt wyraźnie w nich przebijała duma i zarozumiałość: wrażenie jakie sprawił w ogóle, nie wypadło na jego korzyść. Nie znalazł wśród obecnych w téj chwili tego uznania, na jakie skądinąd genialny jego talent zasługiwał i któreby nieochybnie był pozyskał, gdyby namiętność mniéj była jaskrawo odzywała się z jego zresztą mistrzowskiéj improwizacyi.“

Ze słów samegoż Słowackiego, wyrzeczonych w Beniowskim, można wyprowadzić wniosek, który potwierdza, że w takimto duchu rzeczywiście wypowiedziana być musiała owa miana natenczas przezeń do Mickiewicza improwizacya.

„Jam ci powiedział, że jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska:
A w ręku twém krzyż jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc — ja syn pieśni, syn królewski,
Padłem“...

W dalszéj jednak strofie uderza zaraz w inne tony, w tony twarde i wyzywające. Powiada:

„Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał,
A wszystkie tak grzmią jeszcze, jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały.
Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo.

Zaprawdę! Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury!
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienieckiéj góry,

Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgrają i stanąć za mną — lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj... łąk pełen kwietnych,
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!"

Owoż na takie mniéj więcéj przemówienie Juliusza powstał z miejsca swego Mickiewicz. „Twarz jego przybrała anielską postać, bo dusza z głębi tajników na wierzch wystąpiła. Zdało się nam — słowa artykułu w Tygodniku poznańskim — iż jakaś dziwna, niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Niebawem wychodzi z ust jego potok słów, najpiękniejszych myśli i rymów, z taką siłą, gwałtownością i mocą, jak wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory z przepełnionego wylewają się koryta. Był to pęd niewstrzymany, który nam oddech tamował"...

Improwizacya Adama trwała bez przerwy blisko pół godziny. Z nalanym puharem w ręku, zaczął od podziękowania obecnym za ich życzliwe uczucia. Potém przeszedł do ogólniejszego przedmiotu. Biorąc asumpt ze spełnionego kielicha, jako symbolu ofiary, bez któréj nie ma ani wiary ani miłości: wskazywał, na czém zawisła siła poezyi, gdzie jéj źródło prawdziwe i co powołaniem poety. Wytłómaczył przytomnym, dlaczego to błogosławił mu Bóg w jego zawodzie Między innemi zapamiętano następujące wiersze, które miał wtedy powiedzieć:

„Ja rymów nie dobieram i wierszy nie składam:
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam."

„Oto jeszcze niedawno (miał ciągnąć daléj), kiedym się zabierał mówić o literaturze słowiańskiéj przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mię odbiegli, odstąpili — rozumiejąc żem się porwał na rzecz, któréj nie podołam. Jednym się zdawało zuchwalstwem gadać w obcym

języku, inni o zbytek miłości własnéj mię obwiniali, a nie wiedzieli, że oto tu (pokazując na serce), tu Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszelkie języki tłómaczyć...“

W ciągu téj improwizacyi zwrócił mowę i z osobna do Słowackiego. Wyrzucał mu podobno jego grzechy poetyckie, wskazywał, czego duchowi jego braknie i dlaczego to on doznaje od narodu ciągle tak zimnego przyjęcia. Trzeba — mówił mu — pozbyć się zbytecznéj dumy, trzeba koniecznie wzbudzić w sobie miłość i wiarę, te jedyne źródła poezyi, i puścić się oną drogą, która jest naszą...

„Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć — do Boga!“

Z drugiéj jednakże strony przyznał mu także i to, co mu się należało. Nie przepomniał nawet owéj okoliczności, że kiedyś, dawno, dawno, bo w Wilnie jeszcze, kiedy matka Juliusza pokazywała mu piérwsze skromne próby jego poetyckiego talentu, że on (Adam) już jéj wtenczas był przepowiedział, że wielka i świetna przyszłość czeka jéj syna...

„Tém wziął mię za serce“ — są własne słowa Juliusza w liście jego z d. 10 listopada 1841, pisanym do pani Becu, w ustępie gdzie dotyka szczegółów owego zajścia. „I tego wieczora byliśmy z sobą jako dwaj bracia. Ściskaliśmy się, chodziliśmy opowiadając sobie nasze przeszłe zatargi... Gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas między nami zupełnie dobrze.“ itd.

Na pamiątkę dnia tego i improwizacyi, która wszystkich najżywszém napełniła uwielbieniem dla Mickiewicza, ofiarowano mu w kilka dni potém przepyszny puhar srebrny. Oprócz różnych emblematów, symbolicznie wskazujących na rodzaj zasług położonych przez wielkiego poetę, był na nim napis: „Adamowi na pamiątkę d. 25 grudnia 1840 r.

Otóż tento puhar srebrny miał stać się znowu powodem, że owa zgoda pomiędzy poetami co tylko zawiązana, rozerwała się wkrótce. Zapaliła się na nowo w Słowackim niechęć najpiérw do wszystkich wielbicieli Adama, a pośrednio i do niego samego.

Żądano bowiem od Juliusza, ażeby on właśnie za tę improwizacyą wręczył ów puhar Mickiewiczowi. Słowacki się tém obraził, propozycyą odtrącił. Tłómaczył sobie żądanie w taki sposób, że chodziło — jak się sam w liście wyżéj już nadmienionym wyraził — „przyjaciołom jego antagonisty o to, aby go zbić i strącić z pozycyi i ukonstatować owym krokiem uznanie jego wasalstwa“ Odrzucenie propozycyi — nie bez cierpkich zapewne uwag z jednéj jak i drugiéj strony — powiększyło kwasy między Słowackim a pewną frakcyą Emigracyi. Wielcy ludzie do małych interesów pochwycili rzecz w swoje ręce. Nowiniarze i obnosiciele plotek ujrzeli się na płodném polu działania. Wreszcie ażeby dokuczyć do żywego i bez tego już zbyt drażliwemu poecie, napisał któryś z nich ów artykuł pod napisem „Improwizatorowie“ dla Tygodnika poznańskiego, podpisany literami N. O. (litery jak rozumiem, fałszywe, zwykły manewr ludzi tego rodzaju). W tym artykule wieczór ów wyprawiony przez Januszkiewicza opowiedziany był nie tylko stronniczo, ale i z różnymi przydatkami, opromienić nibyto mającymi poezyi i cudowności urokiem ową północną godzinę. Wiarogodność tych przydatków nie zdaje się być wielką. I wyśmiał je też późniéj Słowacki, kiedy w Trzecim Maju parodyującym tonem przypominał czytelnikom, co w Tygodniku czytali, „o jednéj sławnéj nocy zimowéj, o improwizujących dwóch poetach, o łzach słuchaczy, o słabości nerwów i mdleniu krytyków, o uzdrowieniu chorych, i że miała nawet rozlać się w sali woń konwalii i różane światło jutrzenki...“ Owoż takimto poetycznym niby mytyzmem ubarwiony był ten pana N. O. artykuł w Tygodniku. A wreszcie z zbytecznéj poetyczności wkradło się do niego i coś jeszcze, czego nie można inaczéj nazwać jak pozytywnym fałszem. Oto miał Adam w swojéj improwizacyi oświadczyć wręcz Juliuszowi „że on wcale nie jest poetą.“ Na mocy listu Słowackiego z d. 10 listopada 1841 do matki, w którym on punkt ten „wielkiém kłamstwem“ nazywa, i wobec porównanych z tém różnych innych okoliczności, śmiało twierdzić można, że tego Mickiewicz nie powiedział.

Przed pojawieniem się jeszcze rzeczonego artykułu w Tygodniku poznańskim (znajduje on się tam w N. 8mym z d. 22 lutego 1841 r.), kręcił już Słowacki bicz niemiłosierny na wszystkich, na których miał z jakiegokolwiek powodu ansę. Uderzyć na Mickiewicza samego, zdaje się, że nie było bynajmniéj pierwotnym jego zamiarem. Ale inni, mniejsi, hałaśliwi, niedorzeczni i śmieszni, i zresztą kto tylko broił, ci mieli wszyscy przy téj zdarzonéj sposobności dostać *pro memoria* na długie czasy.

Owa uczta grudniowa, a raczéj dalsze takowéj następstwa, przypomniały mu słowa, które do niego był rokiem pierwéj pisał oddalony jego przyjaciel. Odczytał list ten Krasińskiego na nowo i bardzo trafiały mu teraz do przekonania owe wyrazy:

„Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów. Obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek ziemię przynęci do ciebie! Więcéj jest wątrób na świecie, niż serc. Ach, jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby!... Dopiero uczują twoję rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista na skronie... Do korda i na sejmik! rąbać mi i siekać! a zostawiwszy trupy na placu, znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie!“...

Leżała czasu owego na biurku Słowackiego rozpoczęta niedawno temu robota, o któréj już nadmieniłem powyżéj, dramat fantastyczny z czasów konfederacyi barskiéj, osnuty na przygodach Maurycego Beniowskiego. Zaniechał więc teraz autor dalszéj pracy nad tym utworem, odłożył na bok sceny, które już były zrobione, i podjął tensam przedmiot na nowo, ale już w innym tonie i w innéj formie, w formie poematu. Połączył z sobą tradycye sztuki Ariosta i Byrona Co tylko było polotu i rozbujałéj fantazyi w Orlandzie, co miękkiéj melancholii i głębokości w Childe-Haroldzie, co żółci i wzgardy szydnéj w Don Juanie: to wszystko zlał on po swojemu w jakiś epizodyczny, uskakujący i dziwny, ale genialny i sobie tylko właściwy sposób i zamknął w swoich oktawach. Tak powstał ów szczególny poemat, którego piérwsze pięć pieśni miały wkrótce potém wyjść niespodziewanie z pod prasy, jako osobny tomik.

Jak już powiedziałem, chodziło zrazu Słowackiemu jedynie o wyszydzenie w nim tych wszystkich drobnych niedorzeczności,

które się działy w jego najbliższém otoczeniu i których żądełka i jemu samemu niekiedy czuć się dawały. Szczególniéj wziął na cel całą owę znienawidzoną sobie frakcyą emigracyi, któréj organem było katolicko-demokratyczne pismo czasowe, wychodzące wtedy w Paryżu pod tytułem Młoda Polska. Zabiegi jego przeciwników pomiędzy Emigracyą uderzały nań też niekiedy i ze strzelnic poznańskiego Tygodnika Literackiego, w rubryce doniesień literackich. Drugim z kolei tedy grzesznikiem, który miał zostać osmaganym w Beniowskim, drugim kozłem ofiarnym, wskazanym na pokutę za siebie i za drugich, miał być „filozoficzny“ Tygodnik.

Redaktor Tygodnika Antoni Woykowski był i z natury i z zasad swoich człowiekiem aż nadto zgodnym z takiemi usposobieniami, jak te, pod których wpływem powstawał nowy Słowackiego poemat. Ale jak każde do fanatyzmu posunięte sekciarstwo, czy ono tam jest religijne, czy też społeczne, podlega pewnemu rodzajowi ślepoty: — tak też i zaciekłość redaktora Tygodnika, w gruncie może poczciwa, ale zbyt namiętna i bardzo przesadna, nie była zdolna spokojném okiem spoglądać na to, co się działo na świecie. Stąd też widziała ona krótko, a potykała się aż zbyt często. Prace współpracowników Tygodnika poznańskiego były po największéj części wysokiéj, znakomitéj wartości i nie bez słusznéj przyczyny miało też czasu swego to pismo wiele rozgłosu po wszystkich prowincyach kraju. Redaktor sam ze swéj strony mało co kiedy pisał. Zapełniał on tylko rubrykę wiadomości literackich bieżących. Chwytał bez braku, cobądź mu tam kto z nowinek podsunął, byleby tylko każde słowo wiało silną wonią tego co nazywał „postępowością“. To też na ostatniéj stronicy Tygodnika pojawiały się w rzeczy saméj dość często artykuliki szczególne w swoim rodzaju, które mogły już drażnić, już też rozśmieszać Słowackiego. Innego byłyby one tylko śmieszyły; ale Słowacki przy znanéj swojéj drażliwości i aż zbytecznéj skłonności do obrazy, jeżeli chodziło o jego autorstwo, brał te rzeczy na seryo i bardzo był niełaskaw na te ryczałtowe, jednym pociągiem pióra dokonywane krytyki, jakich sobie tam pozwalano.

Tak np. wyczytał on w Nr. 17 Tygodnika z r. 1840 o jedném z najpiękniejszych dzieł swoich, przed jego jeszcze wyjściem, następującą krytykę: „P. Juliusza Słowackiego tragedya „Lilla Weneda“ wyjdzie wkrótce z druku. Jest ona (jak nam jeden z szanownych literatów donosi), równie jak i piérwsze płody tego autora, mało zrozumiała dla czytającego.“

W 20 numerze tegoż roku takie rzeczy znalazł znowu o sobie: „Słowacki wydrukował nową tragedyą Beata Cenic *(sic)*. Trudno (pisze jeden z najszanowniejszych korespondentów) wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość; w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwie się tytułu jednéj jego tragedyi na pamięć nauczy, to już druga wychodzi; stąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi, utwory jego nie absorbują mu jak innym pisarzom życia.“

Było w tém jedném może trochę prawdy, że się Słowacki zanadto kochał w przesiąkłych okropnościami tematach do dramatycznego opracowania. Ale pomylił się jednak bardzo ów „najszanowniejszy z korespondentów“, kiedy oceniał tę sztukę, jak gdyby ją był czytał, i donosił że ją autor wydrukował. A najfatalniéj się potknął, kiedy zarzucał razem z Witwickim poecie budowanie całych sztuk dramatycznych przez samę tylko głowę i w dniach kilkunastu. Chociaż bowiem Słowacki drukował wtedy jeden utwor za drugim, to były to rzeczy dawniejsze, w różnych latach życia pisane.

W 1szym numerze Tygodnika r. 1841 takie znowu było głupiuchne doniesienie o jednym z najgenialniejszych utworów Krasińskiego, o Trzech Myślach Ligenzy: „Po Henryku Ligenzie, zmarłym w Morreale, pozostałe pisma, wyszłe w Paryżu, zawierają: 1. Syn Cieniów, 2. Legenda, 3. Syn *(sic)* Cezary. W przedmowie wydawcy pana Mielikowskiego uderzył nas dziwny dziś już podpis: Mielikowski przydomku i herbu Gozdawa.“

Po tém wszystkiém ukazał się w piśmie Woykowskiego ów już nam znany artykuł o zajściu między Słowackim a Mickiewiczem na wieczorze u p. Januszkiewicza. A w kilka tygodni później przybyła do tego jeszcze taka znowu wzmianka o Nocy Letniéj, którą Krasiński bezimiennie co tylko wtedy był wydał: „W Paryżu wyszło dzieło Noc Letnia. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego! Bez myśli i ładu.“ (Obacz Tygodnika Literackiego Nr. 14).

Tego już było Słowackiemu zanadto! Stawiał on dzieło to przyjaciela swojego bardzo wysoko, a przywięzywał do niego tém więcéj ceny, że je i lepiéj niż ktokolwiek inny rozumiał. Bo jak wiadomo, w każdym prawie utworze autora Irydyona są rzeczy najściślejszy mające związek z własną osobistością poety. Jeżeli zaś gdzie daje się szczególniéj spostrzegać ten reflex osobistych cierpień i zmartwień: to właśnie w téjto kreacyi. Słowackiemu były znane cokolwiek tajemnice serca Żygmunta. Wiedział on, że ten wieniec poetycki na jego czole drogo przezeń był okupiony i że też nie ze samego lauru był on uwity, jak się to światu zdawało. Pod laurami wpijały mu się w ciało nieraz kolce cierniowe... To też kiedy dostał do rąk „Noc Letnią“, zrozumiał od razu ten jęk bolesny szlachetnego człowieka, którego życie było ciągłą walką z fatalizmem okoliczności. W czém jedni widzieli tylko tkankę brylantowéj fantazyi, a inni politycznéj szukali allegoryi: to dla Juliusza było bolesną skargą, protestacyą pełną żywotnéj rzeczywistości... Opisał więc zaraz po przeczytaniu powieści w poufnym liście autorowi wrażenia i mniemania swoje o Nocy Letniéj. Otrzymał na to odpowiedź, która właśnie leży przedemną. Stanowi ona trzeci z porządku list Krasińskiego w szeregu owych dziesięciu pisanych do naszego poety.

„Skąd ten akord? (taki początek listu). Gdzie się ta harfa odezwała? Kto dał wieszczom wzrok sztyletowy, sięgający w głąb dusz ludzkich i odkrywający, co te dusze kryć chcą, pragną — nie zdołają? — Są straszne prawdy, raczéj rzeczywistości — wzorem lekkich motyli igrające po murawach téj ziemi, a pełne jadu wewnątrz, a rojące się z saméj dłoni przeznaczenia...

...„Dzięki sercu twojemu za list twój i szczegóły w nim zawarte, duchowi twemu za wzrok przenikliwy, który on rzucił w samą iściznę ducha mego — tam, aż tam, gdzie z niewidzialności zaczynają powstawać owe krzyształki myśli — czucia — natchnienia, z których długie całkie zrastają się struny harfy wewnętrznéj w człowieku! Dotknąłeś palcem każdego z tych wymoczków krzyształowych — położyłeś dłoń całą jako szeroka na duszy mojéj, tak że dusza odjęknęła: — „prawda!“ I jedynąś może nagrodą, jaką tu wezmę, nagrodził mi za tyle cierpień w jednę pieśń związanych“...

...„Ale teraz, o poeto, nie dotykaj rany śmiertelnéj, którą krew nasza się wylewa wiecznie, aż kropla po kropli, cała z nas wypłynie i w cudze serca się wcieliwszy, nas samych bezżywotnemi marami zostawi!... Nie próbuj też zanadto niezgłębionych serc! Gdy puścisz w morze kotwicę, nie widzisz gdzie poszła, bo głąb morska ciemna. Ale czy wiesz, czyś tam czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie rozdarł, nie rozranił, nie przebił? Długo czekać musisz, aż krew z przepaści wzniesie ci się aż nad fale i krzyknie: „okrutnyś!“ Może nie doczekasz jéj się nawet — odejdziesz wprzódy, nigdy nie dowiesz się o ranie, którąś zadał. Wierz mi, bądź raczéj jak anioł światła i dźwięku, a experymenta zostaw staremu Wilowi*) i anatomikom. Rozwiedź tęczę cichą a promienną nad tymi, dla których życie gorzką było rzeczą...

„Ściskam Cię z głębi duszy. Każdy list twój będzie mi smętnym a białym gołębiem.“ (Data listu: Rzym, d. 16 marca 1841).

Kiedy te wyrazy Krasiński kréślił, znane mu już były świeże zajścia między Słowackim a Mickiewiczem. Doniósł mu o nich był sam Słowacki, donosili także i inni. Nie było mu niewiadomém, że improwizacya jego przyjaciela sprawiła w ogóle niekorzystne wrażenie i że sądy o nim paryskie po większéj części tego były rodzaju, że uwłaczały i jego znakomitéj zdolności poetyckiéj i jego już położonym około literatury zasługom. Z tego powodu zasiadł, czy też zamierzył właśnie wtedy zasieść do napisania rzeczy krytycznéj o Juliuszu Słowackim toż znaczniejszych jego utworach, i właśnie przeto rzucił w liście, który tu mamy przed sobą, następujące jeszcze słowa godne uwagi:

---

*) Szekspirowi.

„Jeśli macie tam z Księstwa dzienniki, tak około kwietnia, maja i aż do połowy czerwca: pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolném okąpanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam o tém tylko mowa; ale pomyśl, że w willi róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jéj. A wtedy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć w ludzkich sercach.“

Owoż po takichto właśnie antecedencyach co do Krasińskiego i Nocy Letniéj, wpadł więc w ręce Słowackiemu ów numer Tygodnika poznańskiego z d. 5 kwietnia, w którym poczciwy Woykowski rozstrzygał jednym zamachem, że owa powieść— to ramota i słabe tylko naśladowanie stylu Krasińskiego, zresztą bez myśli i ładu...

Był już prawie na ukończeniu wtedy Beniowski, a przynajmniéj ta część jego, która miała wtedy być drukowana. Powplatane już były po różnych poematu tego ustępach wycieczki pełne szyderstwa przeciw krytyce poznańskiéj. Po przeczytaniu jednakże rzeczonego numeru, za długo zdawało się Słowackiemu cierpliwie czekać chwili, gdzie dzieło jego będzie do rąk publiczności oddane. Zapragnął rychlejszego odwetu. Poczuwał się do obowiązku odezwać się natychmiast w obronie utworu przyjaciela. Chwycił tedy za pióro i nie już jako poeta, lecz w roli zwyczajnego fejletonisty wystąpił w Trzecim Maju (numer z d. 29 kwietnia 1841) z artykułem prozą pisanym, w którym wypowiadając całe swoje uwielbienie dla téj tak obosiecznie powitanéj przez Tygodnik kreacyi, dał w końcu należną temu pismu odprawę za wszystkie uchybienia. Artykuł ten Słowackiego był podpisany początkowemi literami nazwiska: J. S. Miał zatém wszelkie cechy otwartego wystąpienia osobistego. A ponieważ nadarzyła się przezeń sposobność pomówienia bez ogródki o tém i owém, rzucił w nim przeto pogrom i na to grono niepowołanych Adama wielbicieli, z którego rozchodziły się tylko baśni i podniety do dalszych pomiędzy nimi niesnasek. Jakkolwiek słowa te jego wprost ku Mickiewiczowi nie były wymierzone, nie obeszło

się tam jednak mimowoli bez cierpkich wyrażeń takich, które można było ściągać pośrednio i do niego samego.

To były tedy piérwsze słowa, publicznie i wręcz wyrzeczone w téj sprawie. Słowacki oczekiwał, że Adam po takim kroku, uczynionym z jego strony nie bez goryczy, ale też i nie bez szczerości, uzna za słuszne zaprzeczyć plotkom, roznoszonym na różne strony bez jego woli i wiedzy. Ale i Mickiewicz nie był teraz już zupełnie po nad poziomem pewnego uprzedzenia. Nie uczynił, czego się Juliusz spodziewał, i trwał i nadal w uporczywém milczeniu, jakby niém upoważniał wszystko, co zaszło, i przyjął solidarność w odpowiedzialności za wszystko.

Terazto dopiéro powstały owe dumne, namiętne i tak nieoględnie wyzywające do walki strofy, umieszczone na samym końcu pieśni piątéj poematu, który się właśnie wtedy pojawił w księgarniach pod tytułem:

Beniowski, poema przez Juliusza Słowackiego. Lipsk (właściwie Paryż), 1841, 12o str. 176.*)

Wrażenie, jakie ta nowa publikacya w piérwszéj chwili w emigracyjnych kołach sprawiła, i dalsze zajścia z tego wynikłe najlepiéj poznamy, jeżeli tu przywiodę własne opowiadanie o tém autora, dane w jednym z listów jego pół roku późniéj pisanych.

„Ostatni mój maleńki (Beniowski) zły jest; ale był potrzebny, był konieczny. Celu swojego dopiął — i więcéj jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się teraz strażą. Z jego powodu miałem zajście, o którém dawniéj pisałem — nie z Adamem, ale z jednym mniejszym. Lecz wszystko to od Adama poszło... Trzeba Ci wiedzieć, że Adam o tém kłamstwie dla niego uczynioném niby nie wiedział; przynajmniéj tak mi to teraz mówił. Ale powinien był wiedzieć — i odepchnąć!..

Tu opisuje Słowacki, jaka rzeczywiście była owa grudniowa Mickiewicza improwizacya, o ile się takowa do osoby jego ściągała. Ustęp ten opuszczam, gdyż to już znamy.

---

*) Drukował się Beniowski w Paryżu i to w ciągu piérwszych 20 dni miesiąca Maja, jak to wyrozumieć można z doniesień o tém w numerach Trzeciego Maja z d. 12 i 21 maja 1841.

„Po tém tłómaczeniu obwiniaj mię droga, żem nie był — podług Twego w liście dawnym frazesu, zupełnym aniołem. Ale pomyśl, że żar leży w ustach moich i że ja nie mogę nigdy scierpieć niesprawiedliwości. Zresztą bądź pewną, że moja biografia będzie kiedyś zupełnie szlachetną, choć teraz, kiedy idę po wschodach ciągłych w górę, często muszę być w niektórych chwilach niepodobnym do siebie. Dosyć, że przed malutkim moim uchylili czoła ci, którzy nigdy przedtém nie oddali mi pokłonu. A mnie smutno, żem zejść musiał z mojéj podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, żem jest na niéj. Opisuję Ci to z wielkiém znudzeniem, bo te rzeczy już od kilku miesięcy ucichły w mém sercu i teraz doskonale jestem usadowiony w moim krześle ze słoniowéj kości. Rzadko przede śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali. Wydrzéć im to siłą jest bardzo miło. — Tymczasem, kiedy się mój malutki pokazał, a ja byłem we Frankfurcie, gdzie przepędziłem całą wiosnę,*) zrąbani antagoniści moi zrobili kollegium, co ze mną robić: i przekonani, że ja w niebytności mojéj dlatego wystawiłem na harc mego chłopczyka, aby strzałów uniknąć, postanowili... wyzwać mię na pojedynek. Wiedziałem to bardzo dobrze, i przepowiedziałem nawet wyjeżdżając z Frankfurtu osobie, którą pomimo wszystkiego los mój cokolwiek interesował. Jakoż skorom tylko powrócił do mego pustego domku, stawił się poseł od jednego z wyśmianych w IIIciéj pieśni, podając mi albo do podpisania bardzo głupio zredagowany papier, albo wyzywając na bój śmiertelny.**) Możesz

---

*) Wzmianki téj o bytności Słowackiego w owym czasie we Frankfurcie nie umiem bliżéj wyjaśnić czytelnikowi Ściąga się do niéj kilka podobnych natrąceń w listach z owego czasu, ale takowe zawsze są tylko dorywcze.

**) Zdaje się, że ma tu Słowacki na myśli tę mianowicie strofę w IIIciéj pieśni Beniowskiego:

„Imię krytyki? — nie, krytyków. — A ba!
Któż z nich ma imię? Z. K. — S. K. — E. K.
Mówią, że młodą Polskę pisze — baba!
Ale ja widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę że jezuita — a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcie
W dyabelskim napisane dyjalekcie.“

się droga spodziewać, żem przyjął z najzimniejszą krwią to ostatnie. Antagonista mój wtenczas uczuł, że ma cokolwiek słabe nerwy. Naprzód zwlekał; a gdy ja nagliłem, przywieziono go nareszcie, bo bawił na wsi; ale przywieziono podobnego do trupa i zupełnie zdezorganizowanego, kiedy ja przez 5 dni bawiąc się jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potém — gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie bynajmniéj tego nie spostrzegł. A jednak wyznam Ci, że te 5 dni, w których pisałem do Ciebie, do niéj (?) i do Zygmunta, były mi bardzo gorzkie. Nakoniec dnia naznaczonego, przespawszy się najspokojniéj, wstałem o 5 z rana — ubrałem się — zjadłem kilka ciasteczek i wypiłem szklankę starego wina. Potém wyszedłem sam, bo mię mój sekundant miał czekać aż za miastem. Ponieważ miałem dosyć czasu, szedłem więc piechotą. Przechodząc przez targ kwiatów, kupiłem sobie różę za grosz, aby ją mieć przez cały czas w ręku i potém w złym lub dobrym wypadku zrobić z niej prezent mojéj dręczycielce. Potém wszedłem do kościoła, gdzie trafiłem na samo po skończonéj mszy błogosławieństwo. Nie czekałem więc dłużéj i wesoły poszedłem daléj. Szczerze ci mówię, że ta rzecz miała dla mnie jakiś powab rycerski i piękność. Ale los mię zawiódł u kresu. Albowiem przez traf nadzwyczajny jeden z przyjaciół sędziwych mego antagonisty dowiedziawszy się o tém, wpadł naprzód do mnie i mnie już nie zastał. Pobiegł więc do nich i widząc, że bynajmniéj nie mają ochoty, otrzymał łatwo, że od rzeczy odstąpili. Kiedy ja więc czekam ich, widzę przybywających parlamentarzy, którzy najprzód mię chcą wypróbować i jeżeli można, do exkuz jakich namówić. Ale wtenczas nie stało mi zimnéj krwi: zacząłem łajać wszystkich, tak że nawet sekundantowi memu dostało się. Wtenczas oświadczyli mi nareszcie temi słowy: „z kimże ty się chcesz bić? czy z wiatrem? — oni odstępują...“ Na takie słowa uśmiechnąłem się tylko. Poznałem, że do końca byli lisami, i zapaliwszy cygaro, porzuciłem ich wszystkich z wielką wzgardą. Ale tak się nie skończyło, bo wszyscy razem zaciągnęli mię do jednego z parlamentarzy, gdzie mi podczas śniadania nadskakiwano jak zwie-

---

A zatém zapewne któryś z tych panów K. albo też sam redaktor Młodéj Polski uczuł się obrażonym i żądał satysfakcyi od Słowackiego.

rzowi dzikiemu, którego trzeba ułagodzić. Przyprowadzono także mego antagonistę, któremu rozpłakanemu podając rękę, powiedziałem: no, jeśli mamy się pogodzić i zapomnieć o tém, to trzeba zapomnieć na zawsze. — Zapomnieliśmy więc i jesteśmy z sobą dość dobrze. Inni także, którzy go do tego podżegali, teraz robią piérwsze awanse — słowem wyszedłem z tego zupełnie czysto i przekonałem ich, że zawsze jestem gotów poprzéć całą osobą to co usta moje wyrzekną. — Piszę to z takimi szczegółami tylko dla Ciebie, albowiem szlachetność każe mi o tém wszystkiém milczeć i nigdy nie wspominać, chybaby z ich strony jakie kłamstwo wywołało otwartość moję. — Teraz pozostawałoby mi opisać moje wypadki, dotyczące się serca mego, ale na ten raz zamilczeć muszę, bo prawdziwie nie wiem, o czém pisać i jak pisać. Wszystko było snem smutnym, dość podobnym do wszystkich snów ludzkich. Ale dobre to: wyrwało mię z odrętwienia. Kiedyś, droga moja, i o tém Ci napiszę — ale tylko dla Ciebie. Chciałbym, ażebyś droga schowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerszy ślad życia mojego. Dziennika nigdy nie pisałem, a może jeszcze Bóg da, że samemu miło mi będzie odczytać te wszystkie bez awantur przygody.“ (Z listu z d. 10 listopada 1841 z Paryża).

Właśnie w ciągu tych zatargów pomiędzy Słowackim a całém gronem jego antagonistów zaszła skądinąd okoliczność, o któréj warto tu wspomnieć, zdaje się bowiem, że znacznie ona wpłynęła na takie właśnie zajścia owego rozwiązanie. Oto zaraz po wyjściu Beniowskiego pojawiła się w Tygodniku Literackim poznańskim bezimienna, ale znakomicie napisana rozprawa, przez 3 numery rzeczonego pisma idąca, p. t. „Kilka słów o Juliuszu Słowackim“ (1841 Nr. 21 — 23). Była to rzecz niezawodnie pochodząca z pióra autora Irydyona i niewątpliwie tasama, któréj wyjście na miesiąc kwiecień lub maj zapowiedziane było Słowackiemu jeszcze w liście Krasińskiego z d. 16 marca, któryśmy prawie cały przytoczyli powyżéj.*)

*) Twierdzenie moje co do autorstwa Krasińskiego względem rzeczonego artykułu opieram na wewnętrznych tylko poszlakach. Jeżeli bowiem porównamy myśli w nim rozwinięte, a nawet i wyrażenia, z tém wszystkiém, co Krasiński w owymże czasie pisał do pana R. Z. (w liście, który ogłoszono w Dodatku Czasu 1859 r.

Owoż artykuł ten, choć pisany o kilka, a może kilkanaście tygodni pierwéj, nim jeszcze opuścił był prasę Beniowski, tak się dziwnie nadawał do danéj chwili, że prawdziwie mógłby być uważany za komentarz do owych słów, na samym końcu téj części Beniowskiego rzeczonych do Mickiewicza:

. . . . . „Bądź zdrów wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny Boże!
. . . . . .
Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.“

Główna osnowa bowiem owych „Słów o Juliuszu Słowackim“ obraca się właśnie około porównania ze sobą sprzecznych stanowisk tych dwóch poetów. Krasiński wychodzi od założenia, że oddzielnie pojąć nie można nikogo i niczego na świecie; albowiem „każdy szczegół choćby wyglądał na całość, jest tylko płynącą częścią wyższéj całości“. Zatém też i Słowackiego wtedy tylko spodziewa się ocenić należycie, jeżeli w nim okaże krok że tak powiem dalszy w rozwoju poezyi po Mickiewiczu. Charakterystyki Mickiewicza ostatecznym wynikiem jest wedle niego to, że „czém Alp ogromy, czém piramidy pustyni, czém wszystko, co nieporuszone i wieczne: tém dzieła tego poety. Przemaga w nich nadewszystko siła dośrodkowa, siła wcieleń i twierdzeń — wola i czucie i wiara. One są granitowém jądrem naszéj literatury.“ — Lecz świat nie na jednéj tylko sile stoi, nie jedném tylko twierdzeniem i wcieleniem żyje. „Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden.“ Trzeba

---

Tomie XIII str. 519), jeżeli postawim obok tego i słowa, które wyrzekł był o Słowackim dawniéj Krasiński w listach do niego, któreśmy w części przytoczyli powyżéj: — to okazuje się oczywiście, iż to wszystko musiało z jednego tylko pióra wypłynąć. Zresztą stwierdza ten wniosek i sama zgodność czasu i miejsca, w którém się rzeczony artykuł pojawił, z zapowiedzią Krasińskiego wyrzeczoną o kilka miesięcy pierwéj. Nakoniec i styl, tak odrębny, jak Krasińskiego, rozstrzyga do reszty wątpliwość, jeśliby jaka miała być jeszcze co do téj okoliczności. —

mu tedy drugiéj jeszcze siły, siły przeciwnéj, odśrodkowéj, która mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma. Ta siła druga rozdziela w świecie fizycznym to co płynne i lotne, od tego co zsiadłe i twarde; przemienia go po połowie w atmosferę i na jéj wysokościach coraz go lotniéj grą światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera. Tak czyniąc, „z republikańską ironią pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: *morituri.*“ — Ponieważ w każdéj sferze istnienia te dwa kierunki razem istnieć muszą: znajdujemy je zatém i w królestwie sztuki, poezyi. Piérwszą siłę, dośrodkową, wyobraża w poezyi polskiéj przedewszystkiém Mickiewicz: siły odśrodkowéj wyobrazicielem piérwszorzędnym jest Słowacki.

I mając już teraz widocznie te dwie tylko osobistości poetyckie na względzie, tak mówi daléj Krasiński o antagonizmie sił owych przeczących sobie w każdym obrębie istnienia:

„Ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem; mogą wprawdzie w danym czasie na daném miejscu przybrać pozór walki; ale to zawsze doczesném, nie wiecznem; cząstkowém, nie powszechném zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką; pojednaniem, nie rozdziałem; dobrém i prawdą, nie złém i fałszem. I to co walczy z sobą na tym padole, tam — po nad wszystkimi padoły, w górze i niebie ducha, wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny.“

Mickiewicz, zdaniem autora, wyobraża w literaturze naszéj głównie pierwiastek rzeźbiarski; podczas gdy Słowacki urodził się w niéj muzykiem, w którego muzyce płyną farby Correggia i Rafaela, niesione Bethowena tonami.

„Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie, czemuż go wyglądacie — wy, wśród których on już się objawił? Nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam. Jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: Pan Tadeusz! Na równie ogromną epopeję żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył“...

„Słowacki w logicznem rozwijaniu się sztuki polskiéj jest drugim momentem. Objawiła się w nim odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, któréj pęd poczęty z dołu a bijący ku górze, stara się jak muzyka ciągłém drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawdę w kierunku téj siły coś panteistycznego przebija. Onaby chciała, gdyby przemóc mogła i jedyną stać się panią, wszystko we wszystkiém stopić i porównać; samaby się rozwiała własnemi skrzydłami — utonęłaby i zaginęła w tém, ku czemu dąży; wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu, jak w otchłani. To co ona ukochała, nigdy przy niéj, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżéj i błędniéj i daléj ciągnie ją za sobą. Każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do pryśnięcia przymusić — i jéj saméj ostateczną formą jest jéj treść własna, jest to co stanowi formę oceanu, to co rozprężliwość światła, to co falistość elektryczności — żądza wieczna, ruch nieskończony.

„Czém więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czém chmury co chwila zmienne, płynące nato, by przepaść i znieznacznieć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czém przewrotność barw na tle opalowéj białości, czém szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czém owe melodye śpiewu, które gasną oddalając się coraz wyżéj i szerzéj: — tém jest poezya Słowackiego w literaturze naszéj. Każda jéj cząsteczka misternéj, filigranowéj roboty, jak drobny kwiateczek. Jéj ogół zaś przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, ma za formę ciągłe pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie — i utrzymuje się następstwem tych znoszeń; raczéj ruchem niż postacią — tak jak muzyka. Stąd ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty na wskróś, idealny.“

W końcu przechodzi autor do ocenienia stylu Juliusza i w nim właśnie upatruje najgłówniejszy objaw jego potęgi.

„Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim jak przędzą, i z niego jak z materyału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego, to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na

wszystkie strony. Nikt też tak smukle, gibko, fantastycko. po polsku nie pisał. Chyba tak Liszt gra, jak on wiersze pisze. Biegną kniemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną — wić się powoli, a pełzną — wzlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Język pod jego twórczém tchnieniem musi rozrabiać się i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać"... itd.

Słowem, konkluduje autor:

„W czarnoksięstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym — rzadko kto."

To są najważniejsze myśli w owéj rozprawie. Rzucił w niéj Krasiński jeszcze także kilka uwag o niektórych Słowackiego utworach z osobna wziętych; takowe jednakże mają za zadanie raczéj objaśnić tylko to, co o nim powiedział w ogólności, aniżeli wdawać się w szczegółowy rozbiór nad nimi.

W ten sposób tedy miał być ze stanowiska bezstronnéj, umiejętnéj krytyki rozwiązanym ów antagonizm pomiędzy Mickiewiczem a Słowackim — z korzystném i pochlebném dla obydwóch uznaniem. A więc i na mocy tegoto sądu dwaj ci poeci stanęli niejako przeciw sobie, jako sprzeczne a jednak uprawnione potęgi, „jak dwa na słońcach swych przeciwnych bogi." Słowacki, lubo tu nazwany drugim, a zatém dalszym momentem po Mickiewiczu, nie został przeto przez Krasińskiego postawiony wyżéj nad niego. Przeciwnie, współistnienie i wzajemna konieczność obu stawia ich niejako na jednéj linii ze soba. Przyjść ma dopiero trzeci moment, który ich obu zawrze w sobie i zgodzi. Ten tylko i ten dopiero będzie wyższy od nich obydwóch. —

Gdybym miał wyrzéc zdanie moje o powyższéj charakterystyce poetów: rzekłbym, że piszę się na nią, ale pod tém zastrzeżeniem, że co tu o nich powiedziano, ani nie jest zupełném, ani też nie wynika bynajmniéj z logicznéj konieczności. Był takim J. Słowacki, to prawda! ale był dlatego, bo był; a nie — że takim być musiał. Odsunąwszy zatém z twierdzeń autora na bok to wszystko, co wygląda na formułkę i co trąci dyalektyką, możnaby bez trudności zgodzić się na te zresztą tak poetycznie

wyrzeczone spostrzeżenia o niektórych właściwościach formy (tylko formy!) Słowackiego. O jego zato ideach, o jego że tak powiem filozoficznem stanowisku w poczyi nie rozwiódł wcale uwag swoich genialny autor rozprawy. Na téjto zaś wewnętrznéj dzieł poetyckich istocie, zdaje mi się, że odrębność każdego pisarza przedewszystkiém polega. Styl i forma bowiem — to rzecz osobista i prawie powiedziałbym p r y w a t n a, skutek tysiąca czynników, z których przynajmniéj połowa może iść na karb przypadku. Przeciwnie dążności i ideały — to już nie przypadłości indywidualne, ale je rodzi z siebie wiek, a piastunem ich naród, w łonie którego się żyje. Można je podjąć i umiłować i być ich głosicielem wśród braci; można być na nie głuchym i ślepym; można być ich wrogiem i w miarę sił opóźniać ich przechodzenie w życie. Według tego, jak sobie kto pod rzeczonym względem poczyna, zabieramy to albo owo stanowisko w arenie społeczeństwa. Tu się tedy kierunki sił pojedynczych najwybitniéj znamionują i ważą — bez różnicy, czy kto do narodu przemawia pieśnią, czy z mównicy sejmowéj, czy z katedry akademickiéj, czy wreszcie ze stopni tronu, lub z konia...

Bądź jak bądź, publiczne owo odezwanie się o Słowackim, choć było bezimienne i nie ze wszystkiém dokładne, zaważyło jednak na szali. Było to piérwsze rozumne i bezstronne słowo o naturze jego poezyi, wyrzeczone przez ówczesną krytykę. To musiało pokrzepić energią ducha poety. Godzi się wnosić, że podobnych dowodów uznania mieć on w owym czasie musiał i więcéj. Autor Beniowskiego przestał być nawet dla ogółu zwyczajnych odczytywaczy nowości literackich obojętną i odosobnioną od reszty literatury figurą. Zaczęto teraz więcéj niż kiedy przypominać sobie i o dawniejszych jego pracach. Rozchodziły się one z półek księgarskich żywiéj teraz na różne strony, niż kiedykolwiek przedtém. — „P o d z i e s i ę c i u d o p i é r o l a t a c h (licząc od r. 1832) — pisał poeta do jednego z dalszych krewnych *) — k s i ą ż k i mo-

*) Do stryjecznego brata swego Władysława Słowackiego. List ten pisany r. 1845, zamieszczono przed kilku laty w G a z e c i e C o d z i e n n é j warszawskiéj (r. 1860).

je zaczęły, tak jak twoje łany, ziarno mi posiewane oddawać.“ — Ten odbyt na jego dzieła był dla autora pocieszającym. Nie przeto tylko, że się tym sposobem poprawiła i materyalna jego exystencya. Szlachetniejszą nad tamte względy i wyższą nieskończenie pociechę sprawiało mu to wynikające stąd przekonanie, że więc nie nadaremnie znosi wygnanie, samotność a czasem i niedostatek, i że nie jest już podobnym do owego harfiarza na wyspie Chios, który przemawiał tylko do głuchych morza egejskiego bałwanów...

To też począwszy od owéj chwili, czerstwiejszy już jakiś stan duszy przebija w jego korespondencyi. Miejsc z niéj takich, jak np. następujące, mógłbym teraz wiele przytoczyć:

...„Gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiéj na tym świecie dziś niż wczora, nie umiałbym wcale tego uczynić. Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynie. Nic mu wtenczas w porę nie przychodzi. Dobro każde na złe mu wychodzi. Usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień; zachceń, bolu — złe słowem i bezsenne lata! Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszém, że jedni ludzie zupełnie się przeciw nam deklarują, drudzy są naszymi przyjaciołmi. Jest coś w sercu, co nas o tém ostrzega. Może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym; ale dobrą ona jest i mnie teraz weseléj. Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterystycznych mego humoru uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków. Bo rozważywszy rzeczy, nic dla mnie bardzo szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem jak zawsze dość samotnym, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace i dumania moje obrzydzała, zniknęła. Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwną dumną spokojność. (Z listu z d. 15 lutego 1841).

...„O! ileżbym ja rzeczy miał Tobie do powiedzenia, gdybyśmy się kiedyś spotkać mogli. Jak często płakałabyś i uśmiechałabyś się radośnie, słuchając o moich przygodach! Wierz mi, że tak żyłem, abym o wszystkiém szczerze mógł mówić z Tobą, jak z Bogiem. I potrzeba mi, aby to wszystko, co we mnie dźwięk jakiś wydało, odbiło się choć

raz w sercu Twojém, abyś Ty nie myślała, że daleki od oczu Twoich, inną drogą niż należy poszedłem. Przyjedź, droga moja, a zapoznamy się na nowo, i kochać się będziemy na wieki. W szczęśliwych nawet chwilach życia mojego, gdzie powinienbym był o wszystkiém zapomnieć, myśl o Tobie zachmurzała mi czoło i wtrącała mię w tęsknotę. Trzeba mi koniecznie, abyś położywszy rękę Twoję na mojéj schylonéj głowie, rozgrzeszyła mię z moich win dawnych i z téj ciągle trwającéj winy, że nie jestem przy Tobie. Jeszcze Ci raz powtarzam, bo wiem że Ci to serce rozraduje, że mi teraz na świecie lepiéj i szczęśliwiéj, a ja nie jestem jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy teraźniejszego dobrze nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni. Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia, teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, — i Ty się, droga, uśmiechnij i kochaj mię wesoło i z nadzieją." (List bez bliższego oznaczenia daty, ale niezawodnie pisany w miesiącu sierpniu lub wrześniu roku 1841).

Słowa, które teraz przywiodę, malują jeszcze wymowniéj ówczesne usposobienie poety, pełne pogodnéj rezygnacyi, a nawet — o ile to w jego położeniu być mogło — zadowolenia ze swego losu:

...„Cóżbyśmy dzisiaj robili siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne cierpkie życia trudności: a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem... Może Ci się te wszystkie wyrazy dziwnymi zdadzą? Może nie będziesz wiedziała, że ja tę prostą filozofią pisząc łez mam pełne oczy i łkaniem zadławiony oddech. Ale z tego papieru wydobędzie się coś także, co Ci płakać każe..." (d. 10 listopada 1841).

To spojrzenie pełne otuchy w przyszłość, ta łzawa wprawdzie, ale uśmiechnięta pogoda, dawniéj tak rzadka na czole naszego wieszcza, sądzę że nie byłaby mogła i teraz gościć na niém dłużéj nad chwilę, gdyby była pochodziła jedynie z powodzeń zewnętrznych, z tryumfów już odniesionych. Z powodzenia — już doznanego i przyznanego, radują się w nieskończoność chyba tylko błahe umysły. Wyższe natury najprędzéj same o niém zapominają. W zawodzie autorskim, a pewnie i w każdym innym, nie to sprawia istotną rozkosz duchową, czego tam kiedyś szczę-

śliwie się dokonało, ale czém właśnie myśl jest obecnie zajęta, jeżeli instynkt mówi poecie, że powstające dzieło okaże się godném dawniejszych. Sama ta rozkosz tworzenia, ta pewność siły swojéj wewnętrznéj, ta bezpośrednia świadomość, stwierdzająca się każdym pociągiem pióra, że w zapasach z trudnościami sztuki ciągle się idzie naprzód: — oto zdaje mi się, co stanowi największe, a nawet podobno jedyne prawdziwe źródło tego zadowolenia w duchu, bez jakiego aniby pojąć można, że się ktoś jeszcze temu powołaniu poświęca.

Owoż godzi się z tego wszystkiego, co się z listów przytoczyło, wnosić i o Słowackim, że czynność jego autorska szczególniéj być musiała ożywioną w ciągu owego czasu, i że snać był kontent więcéj niż kiedy z porozpoczynanych prac swoich, skoro doznawał wtedy tyle zadowolenia w samotnéj swojéj pracowni.

Z żalem jednak przychodzi mi tu wyznać, że tylko bardzo niedokładną dać potrafię wiadomość o tém wszystkiém, co Słowackiego zajmować mogło w r. 1841 i 1842. Jak wiadomo, listy jego z całego tego jego życia okresu nie zawierają w sobie żadnych szczegółów téj właśnie treści. Jedynym śladem rzeczy, o którą nam chodzi, sąto już tylko chyba pisma, po zgonie poety znalezione w jego papierach, a niedawno dopiéro temu publikowane. Takowe wszelako nie stanowią ani połowy tego wszystkiego, co być niewątpliwie musiało.

Jedną tedy z prac takich niezawodnie na owe lata przypadających, był to ciąg dalszy Beniowskiego. Poemat ten całkowity miał się składać z czterdziestu czterech takich pieśni, jak owe pięć, co wyszły z druku w roku 1841. Tyle ich przynajmniéj autor zapowiedział w jednéj ze zwrotek pieśni trzeciéj. Po jego śmierci znaleziono kilkanaście arkuszy, zapisanych nabitém i drobném pismem, zawierających dalszy ciąg poematu, o którym mowa. Byłto dopiéro piérwszy rzut, często przemazywany, z różnymi dopisami po bokach karty, słowem brulion. Tworzy obecnie ten autograf dwa zeszyty, zapewne dopiéro po śmierci autora spojone, i pewną ilość kart luźnych, które są oczywiście

już tylko szczątkami znaczniejszéj liczby arkuszy stanowiących niegdyś jeden ciąg nieprzerwany, a w późniejszéj poniewierce poniszczonych do tego stopnia, że to co z nich zostało, już się nie daje spoić w wątek ciągły i jednolity. Z takichto arkuszy i kartek luźnych, częstokroć nawet podartych, złożyłem na domysł pieśń VItą, XItą, XIIItą i XIVtą, nadstawiając próżnie textem niezapełnione krótkiém streszczeniem prawdopodobnéj osnowy, daném na wstępie każdéj z tych pieśni. Za porządek i kolej tych urywków ręczyć atoli nie mogę, gdyż skazówek do zestawienia ich należytego zupełnie braknie w rękopisie. Inne pieśni t. j. VIIma do Xtéj ocalały w zupełności, bo się mieściły w zeszytach. Pieśni XIItéj braknie początku.

Mając obecnie przed sobą wydobytą w taki sposób z pod rumowiska ruinę poematu i częściowy abrys jego całości, żałować tego przedewszystkiém należy, że właśnie te części dzieła, na które przypadają same tylko urywkowe ustępy, obejmowały (jak wnosić można na pewne) najciekawsze zdarzenia. Ambasada krymska, ocalona prawie w całości, mniéj się za to może podobać. Czy całe dzieło było kiedy dokonane? czy stanowiło całość wymierną? — rozstrzygnąć tego nie mogę. Myślę wszelako, że na zupełném zaokrągleniu brakowałoby Beniowskiemu, choćby on nawet w całéj swojéj zupełności był do nas doszedł. Przyczynę pewnéj niewymierności tego poematu, w samym już planie, upatruję w tém, że się poeta zbyt często odrywał od pracy nad nim. Porzucał go, żeby przedsiębrać i wykonywać tymczasem inne rzeczy; a straciwszy w taki sposób pęd wzięty z początku, przy ostudzonym zapale odtwarzał go tylko sztucznie w sobie, kiedy wracał znowu do prowadzenia dalszych pieśni Beniowskiego.

W ogóle praca nad tym utworem przeciągnęła się dobrze aż w czasy towianizmu, przynajmniéj do r. 1844. Tak np. w jednem miejscu wspomina poeta z ironią o Trentowskiego Cybernetyce. Takowa wyszła, jak wiadomo, w roku dopiéro 1843. A zatém w tymto dopiéro czasie najrychléj mógł być pisany ten ustęp. Z takiego zaś traktowania przedmiotu w różnych chwilach i w coraz innych usposobieniach ducha wynikło, jak naturalna, że

autor zmieniał co do niektórych części dawniejsze swoje postanowienia. Obalał i niszczył nieraz to, co już stało; a natomiast dopisywał lub projektował ustępy nowe. Wszystko to zaś robiło się na osobnych, ulotnych arkuszach. Dziś trudno bardzo odgadnąć, jak to wszystko autor spoić ostatecznie zamierzał, zwłaszcza że jak się rzekło, bardzo wiele z tego i poginęło. To też nie dziw, że przedstawia się dzisiaj cały ten utwor w bardzo chaotycznéj postaci.

Powyższe spostrzeżenie usprawiedliwiają też najzupełniéj dyspozycye cząstkowe, jakie znalazłem w trzech różnych miejscach manuskryptu, rzucone względem wykonać się mających dalszych pieśni poematu. Porównywając te projektowane dyspozycye ze sobą, okazuje się, że nie tylko się one pomiędzy sobą nie zgadzają, ale i ta część Beniowskiego, która ostatecznie została wykonaną, nie odpowiada żadnéj z nich w zupełności.

Na drugiém miejscu, jako pracę niewątpliwie napisaną także w r. 1841, ale dopiero po ogłoszeniu Beniowskiego, wymieniam dramat napisany wierszem rymowym, w 5 aktach, który odbito pod tytułem „**Niepoprawni**“ w III tomie Pism pośmiertnych. Jestto znowu jeden z tych rzadkich Słowackiego utworów, które się wyjątkowo zachowały w całości, pomimo że się to dzieło znalazło tylko w brulionie. Obiegające po różnych rękach odpisy niniejszego dramatu, w kilka lat dopiero po śmierci autora z tego brulionu zrobione, nosiły napis „Nowa Dejanira“. Kto tę nazwę piérwszy sztuce téj nadał, powiedzieć tego nie umiem; ale co jest niezawodna, to że nie dał go sam poeta; w brulionie bowiem własnoręcznym nie ma żadnego tytułu. Uchyliłem przeto napis ten nie wiedzieć skąd narzucony, w przekonaniu że takowy nie tylko nie wyraża rzeczy, o którą chodzi, ale nawet utrudnia trafne spojrzenie na dążność tego dramatu, przeważnie satyryczną. Głównemi figurami są w nim oczywiście owe cztery śmieszne typy, wzięte z wyższéj warstwy naszego społeczeństwa, która obok przykładów, przynoszących jéj pod każdym względem zaszczyt i chlubę, niestety bynajmniéj nie cierpi braku i takich

typów przewrotnych, do których pomimo wszystkich klęsk, jakich i ogół narodu i dotyczące nawet indywidua osobiście doznały, w zupełności daje się zastósować owo wyrzeczenie Napoleona o Burbonach, że się niczego nie nauczyli i niczego nie zapomnieli.— Zawikłanie kończy się wprawdzie z zadowoleniem wszystkich osób działających w dramacie; ale ten koniec przyjemny jest okupiony życiem człowieka, który przy całéj swojéj gburowatéj nieogładzie zawstydza tak pseudopoetyczne uniesienia pana Fantazego, jak sielankową niby bezinteresowność hrabiny Respektowéj. Mamy tu zatém przeciwstawioną półdziką bezpośredniość Czerkiesa wykwintowi naszéj rzekoméj cywilizacyi, a sens moralny komedyi bardzo rymuje ze znanemi słowami autora Pieśni o Ziemi naszéj, wyrzeczonemi o „półpankach podolskich“.—

Trzecią kreacyą, którą odnoszę do tegoż czasu, jest dramat ocalony zaledwie w mniejszéj swojéj połowie, niewiadomego tytułu, na domysł tylko przezwany **Złotą Czaszką** i pod tym też napisem ogłoszony w wydaniu lwowskiém. Znalazł on się tylko w brulionie, na trzech arkuszach stanowiących jeden zeszycik, ale ze wszystkiemi oznakami, że zeszycików takich musiało dawniéj być więcéj. Odmienny format i gatunek papieru, jako też cokolwiek większy kształt pisma, upoważniają do wniosku, że to utwor z innych czasów, jak wszystkie te poety naszego prace, o których mówiliśmy w rozdziale jedenastym (Wallenrod, Jan Kaźmierz, Beatryx itd.); a znowuż sama forma „Złotéj Czaszki“ zdaje mi się być skazówką dostateczną do bliższego jeszcze oznaczenia okresu życia autora, w którym mogło to być pisane. Albowiem prozę przeplatają tu ustępy wykonane wierszem krótszym, ośmiozgłoskowym, którego Słowacki dawniéj nigdy nie używał w dramatach,*) tak iż godzi się wnosić, że wła-

*) Fragmenty dramatu Beniowski wprawdzie mają już tenże sam rodzaj wiersza; ale to utwor fantastyczny, którego wcale liczyć nie można do robót scenicznych, o których tutaj mówię. Zresztą być mogło, że już i rzeczone fragmenty otrzymały ten rodzaj wiersza w skutek jakiego impulsu ze strony studyów nad Kalderonem.

ściwie dopiero praca nad przekładem Książęcia Niezłomnego mogła go naprowadzić na myśl spróbowania tego rodzaju wiersza i w oryginalnych utworach. W dalszych latach, jak wiadomo, zupełnie on się ku téj formie wiersza przechylił (X. Marek, Sen srebrny). Że zaś rzeczony przekład Kalderona, jak się to poniżéj wskaże, przypada na lata, które tu mamy przed sobą: wnoszę zatém, że i Złota Czaszka była owocem czasu między r. 1841 a 1842.

Jeżeli się godzi wnosić o całości, z ocalonego téjże początku, zdaje mi się, że Złota Czaszka byłaby należała do najlepszych dzieł Słowackiego. Pozostałe z niéj sceny są pełne życia i ruchu, a co najważniejsze, nawskróś narodowéj fantazyi. Poeta przenosi nas w czasy owe pamiętne z różnych i klęsk narodowych i wysileń bohaterskich za panowania Jana Kaźmierza. Miejscem zdarzeń jest rodzinny jego Krzemieniec. Tu więc wprowadza nas do jednego z dworków szlacheckich, gdzieś w zaciszu na przedmieściu leżących, i zawięzuje sprawę na tle domowego życia i obyczaju ówczesnéj szlachty. Ale dworek ten prywatny domorosłego szlachcica przypiera, że tak powiem, do wielkiego gmachu sprawy powszechnéj. Składają się tedy i zdarzenia publiczne i zajścia familijne na zadzierzgnięcie w téj sztuce węzła dramatycznego. Duszą wszystkiego, co się dzieje, jest pan Strażnik krzemieniecki, szlachcic niezamożny, ale dzielnéj fantazyi. To też nie tylko od równych sobie jest on powszechnie szanowanym, ale nawet i panowie trafić do niego umieją, kiedy chodzi o posłużenie rzeczy pospolitéj. Stawał on za młodu już w niejednych terminach. Bywał, jak to mówią, i na wozie i pod wozem i już z niejednym nieprzyjacielem wiary świętéj miał do czynienia. Dał on im się tam wprawdzie wszystkim dobrze w znaki, ale i oni oddali mu dobre za nadobne! Z jednéj jakiéjś bardzo gorącéj przeprawy uniósł pan Strażnik z placu czerep tak pokiereszowany szablami, że okazała się potrzeba nadłożyć chyba już złotą blachą te dziury w głowie, na których połatanie już się skorupek czaszki nie było można doszukać. Nosi tedy od tego czasu na głowie czaszkę złotą... i właśnie przeto sąsiedzi go też z esty-

my pod tym już tylko przydomkiem znają. Serdeczna, dzielna to postać! jak się zdaje, główna osoba w dramacie.

Nie mogę pominąć tu milczeniem jednéj uwagi, która mi się nasuwa z powodu sztuki niniejszéj. Dramaty Słowackiego w ogóle nie grzeszą nigdy przesadą realizmu. Przeciwnie, właściwą im jest jakaś poetyczność czy idealność, posunięta czasem o wiele daléj, niżby sobie można życzyć. Są to nieraz — powiedziećby można — więcéj zajścia między ludźmi wyjątkowymi, którzy i gadają i myślą jakoś jak Słowacki — po poetycku: aniżeli przeprawy między ludźmi, jakimi ich Pan Bóg stworzył. Dramaty Juliusza mają pewne podobieństwo do obrazów Guido Reniego z tym kolorytem eterycznym i oświetleniem srebrzysto-błękitnawém, które więcéj przypomina lazury niebios, oblane światłem księżyca w pełni wśród pogodnéj jakiéj nocy czerwcowéj, niż pełnobarwne rozłogi ziemskie o godzinie południowéj pod gorącymi promieńmi słońca. Otóż warto zauważyć, że zgoła inaczéj rzecz się ma ze Złotą Czaszką. Tu wyjątkowo realizmowi otworzono wrota na oścież: i weszło go do dramatu, ile go się tylko dało pomieścić. Okazuje się zatém, że i w ten ton nie trudno więc było uderzyć Słowackiemu, jeżeli tylko uważał to za stósowne. Że zaś do tego przyszło właśnie tym razem, to zdaniem mojém stąd pochodziło, że wprowadził tu autor same figury wzięte z życia i niezawodnie osobiście sobie znajome. Chodziło tu widocznie o oddanie choć raz w życiu, swemu rodzinnemu miasteczku tego honoru i hołdu, jaki zazwyczaj odbierają od poetów ich kąciki ojczyste. Miał spożytkowany tu być artystycznie Krzemieniec i te wszystkie reminiscencye poety, które się wiązały z krzemieniecką jego przeszłością. Ani zatém wątpię, że ten pan Milewicz, ten Gwardyan ze Zakrystyanem, ten Strażnik z całą swoją rodziną, nawet ten Skopek i Jankiel — byli to wszystko sami dobrzy niegdyś znajomi autora. Wszakże nawet ów tylko po imieniu tam wspomniany organista franciszkański Fok musiał sobie tego imienia pożyczyć od człowieka, który żył rzeczywiście i był... Słowackiego metrem muzyki! I tak się rzecz miała zapewne ze wszystkimi nie tylko charakterami działającymi

w téj sztuce, ale i miejscami, rzeczami, zwyczajami do niéj wprowadzonemi. Był więc tym razem Słowacki podobny do malarza, który komponując jaki karton historyczny, przedstawiający sceny z dawno ubiegłych wieków, umieszcza na nim same tylko twarze znajome, same portrety rodziny swojéj, przyjaciół, znajomych, słowem osób najbliższych swego serca.—

Nakoniec odnoszę także już do lat owych przekład jednéj z najcelniejszych sztuk Kalderona, *„El Principe constante“*, **Książę Niezłomny**, chociaż tenże dopiero we dwa lata późniéj (1844), już po ogłoszeniu Księdza Marka, wyszedł z druku.— Słowacki od dawna czuł w sobie pewien pociąg ku Kalderonowi. Jeszcze za piérwszego swego pobytu w Paryżu w r. 1831, wtrącił był taką wzmiankę o Kalderonie do jednego ze swoich listów:

„Brałem teraz lekcye hiszpańskiego języka i już teraz doskonale rozumiem Donkiszota. Nic równego, jak *Don Quixote!* Uczyłem się po hiszpańsku jedynie dla Kalderona tragedyi, ale dotąd ich nie skosztowałem. Coto dla mnie będzie za źródło! Jest ich kilka set!“... (z d. 20 października 1831).

W późniejszych latach, kiedy przebywał we Włoszech, znowu sobie przypomniał o Kalderonie.

„Czasem chodzę rano do biblioteki (donosił o sobie z Florencyi), czytać po hiszpańsku Kalderona i usypiam się jego brylantową i świętości pełną imaginacyą.“ (d. 3 października 1837).

Z tém wszystkiém w owych czasach zajmowanie się tym hiszpańskim poetą musiało być tylko jednak dorywcze; nie widać bowiem w ówczesnych dziełach Słowackiego żadnego jeszcze wpływu téj „brylantowéj imaginacyi“. Język jego wprawdzie zawsze był bujny, i barwny i kwiecisty, ale nie w kalderonowym rodzaju. Zresztą widne były w pracach jego dawniejszych studya nad innymi wzorami: zrazu nad Byronem, późniéj przeważnie nad Szekspirem.

Dopiero utwory z lat najpóźniejszych, Ksiądz Marek i Sen srebrny Salomei, okazują przejęcie się zupełne duchem

dramaturgii hiszpańskiéj. To mi służy za skazówkę, że bliższa znajomość z najpotężniejszym w téj dramaturgii mistrzem przypaść musiała na czasy, które napisanie obu tych co tylko nazwanych dzieł Słowackiego bezpośrednio poprzedziły, a zatém na lata, których dzieje kreślimy w tym rozdziale. A jeżeli w którym, to w tymto czasie także dokonany być musiał i niniejszy przekład sztuki *El principe constante*.—Jestto praca, godna pod każdym względem pióra autora Lilli Wenedy. Zbliżenie się do oryginału czy to pod względem dosłowności w szczegółach, czy artystycznego odtworzenia całéj że tak rzekę fizyonomii téj hiszpańskiéj kreacyi, nie pozostawia nic do życzenia. A pomimo téj wierności przekładu, taka tam wydatność każdéj myśli, takie zaokrąglenie każdego zwrotu, taka w każdym pociągu pióra doraźność i wyrazistość, że ażeby należycie ocenić zalety tego przelewu, trzeba tylko wziąć do ręki jakie w innym języku tłómaczenie tegoż dramatu. August Wilhelm Schlegel np. uchodzi, jak wiadomo, w literaturze swojéj za jednego z najszczęśliwszych tłómaczy arcydzieł obcych. A jednak kiedy jego przekład téj sam.éj sztuki kalderonowéj porównywamy z naszym, to się pokazuje, że u Schlegla sens wnętrzny textu bywa bardzo często jakby zamglony, tak iż niełatwo cały tam pomysł autora jedném objęciem ogarnąć: podczas gdy dykcya Słowackiego wnika w umysł, jakby to był oryginał, nie tłómaczenie.

Dla tychto właśnie też zalet niniejszéj pracy, zdało mi się, że ją odnieść należy do czasu przed opętaniem się poety naszego mglistemi mrzonkami towianizmu; bo potém — nie sądzę, żeby się jeszcze był potrafił Słowacki utrzymać w karbach tych przedmiotowych warunków, które razem wzięte stanowią zadanie i obowiązek tłómaczącego autora. W przeciwnym razie byłby choć od czasu do czasu ów duch nowy i niespokojny, co w nim od owéj pory zamieszkał, targał gwałtownie osnowę pierwotworu i przekształcał ją po swojemu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Rozbior Balladyny. — Skąd pochop do podjęcia pomysłu takiéj tragedyi? Analogie z tragikami starożytnymi — o ile duch wieków naszych przedhistorycznych żyje w płodach wyobraźni ludowéj? „Maliny“ A. Chodźki i „Lilie“ Mickiewicza. — Główne idee w Balladynie — jak się takowe zbiegają w ostatecznym węźle dramatu? Znaczenie ustępów fantastycznych — jaki ich związek z całością sztuki? Rzut oka na „Sen Nocy Letniéj“ Szekspira. Rozbior charakteru bohaterki dramatu — rozwój jéj roli — kolej działających na jéj wolę pobudek. Analogie Balladyny z Lirem Szekspira — zapożyczenia z Makbeta. — Ogólne zdanie o téj sztuce.

Wracam teraz do rozbioru dzieł Słowackiego i podejmuję wątek, przerwany z końcem przedostatniego rozdziału. Pomówmy przedewszystkiém o **Balladynie**.

Z. Krasiński, który dał się słyszeć z zdaniem swojém o tym utworze przy różnych sposobnościach, a zawsze w takich słowach, iż wątpić nie można, że obok Anhellego stawiał Balladynę najwyżéj między wszystkiemi dziełami przyjaciela swojego,*) wyraził się w jednéj ze swoich korespondencyi (w liście do K. Gaszyńskiego), że jestto dzieło, które „w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził.“ Nie przeczę temu bynajmniéj, że niektóre szczegóły tragedyi obecnéj przypominają mistrza tego utwory. Jeżeliby jednak chodziło o ścisłą odpowiedź na zapytanie, kto piérwsze pulsy pomysłu do Balladyny że tak powiem, poruszył i rozwinął

*) Obacz mianowicie artykuł jego o Słowackim w Tygodniku poznańskim Literackim rok IV, str. 181. — List do R. Z. zamieszczony w Dodatku Czasu r 1859 Marzec str. 523. — W dziele „Wyjątki z Listów Z. K.“ strona 50 i 51. — Listy jego do Słowackiego, dotąd w całości nie ogłoszone drukiem, z których udzieliłem wyimków dotyczących w poprzedzających rozdziałach.

w wyobraźni Juliusza, to byłbym zdania, że ta inicyatywa wyszła od dawniejszego niż Szekspir a jednak bliższego nam wszystkim wieszcza. Niewątpliwie był Słowackiemu przewodnikiem na téj drodze nasz Kochanowski, autor Odprawy Posłów, a za jego pośrednictwem starożytna grecka tragedya.

Mieliśmy już sposobność przekonania się na podstawie własnych zeznań Juliusza, do jakiego stopnia posunięte u niego było rozmiłowanie w tym zygmuntowskim ojcu poetów, i jak mianowicie w owych latach, które Balladynę zrodziły, zwykł był nasz młody romantyk rozczytywać niemal codziennie klasyczne twory starego piewcy „Sobótek“. Czyżby nie był on miał zwrócić na to uwagi, że jedna lutnia, że właśnie piérwsza i taka lutnia w narodzie naszym, umiała wydać tony tak na pozór sobie przeciwne? że piérwsze umnicze spożytkowanie świętojańskiéj pieśni ludowéj, i piérwszy odlew w słowie polskiém form greckich, były dziełem — téjsaméj ręki?.. W Balladynie są obydwa żywioły. Co większa, są tam ustępy, z których doraźnie bije woń, owiewająca w tak właściwy sobie sposób mianowicie owę piérwszą polską próbę dramatu, ów epizod homerowéj tradycyi, wskrzeszony do życia pod czarnoleską lipą, przy pisanym dzbanie miodu staropolskiego, na wesele autora łacińskiéj książki o rzymskim senacie i przytém... Hetmana wielkiego koronnego. Nie w myślach ani pojedynczych szczegółach to podobieństwo w Balladynie do Odprawy Posłów uderza. Słychać je w rytmie, w tonie, w całym że tak rzekę nastroju ducha i lutni.

Próba Kochanowskiego przeniosła myśl Juliusza w owe wieki sofoklesowe, których „Odprawa Posłów“ była słabym tylko jeszcze odbłyskiem. Nie umiem powiedzieć, o ile tragicy greccy znani być mogli autorowi naszemu. Dokładnéj ich znajomości oczywiście on nie posiadał. O czytaniu ich w pierwotworze nie może być nawet mowy. Bogdaj nawet i przekłady takowych na jaki język nowoczesny, np. na francuski, mógł on mieć przed sobą w Genewie. Nie ma tego ani śladu w jego ówczesnych listach. Nie ma też i w dziele samém żadnéj zgoła skazówki na to, żeby pod bezpośrednim przywodem starożytnych fantazya jego była

miała kształty nadawać Balladynie. Mimo to wszystko śmiem twierdzić, że miał on tu przed oczyma tradycye Eurypidowe, a dowodzą tego i wyrazy niektóre rzucone w przedmowie do Lilli Wenedy. Czyto więc dalekie przypomnienie rzeczy słyszanych albo czytanych niegdyś w kraju kierowało tu jego myślą, czy też wpadło mu teraz właśnie dopiero w ręce jakie pismo przygodnie traktujące o dramaturgii greckiéj: — dość że zaczął on rozmyślać nad kwestyą, czyby z sfery, z któréj starożytni mistrzowie wydobywali owe kreacye taki urok wywierające na całym narodowym ogóle, nie dały się i w dzisiejszéj jeszcze epoce wywoływać postaci i powieści, równie silnie działające na wyobraźnią?

Dramat grecki mieści się cały w obrębie stósunków heroicznych, więc przedhistorycznych, bajecznych. Z téj tylko kopalni, przez ojca wszystkich poetów, przez Homera jeszcze otwartéj, wynosili Grecy materyał do przelania go na arcydzieła sceniczne. Świat rzeczywisty i codzienny, nawet i świat dziejowy, o ile go dosięgała pamięć opatrzona w daty i dokumenta — była to kraina, któréj wyobraźnia tragików starożytnych nie nawiedzała wcale. Na tym stałym, suchym lądzie, ubitym stopą zwyczajnych śmiertelników, oni ani nie widzieli ani nie przypuszczali poezyi. Wybiegali myślą swoją tylko na otwarte i wolne morze przedbytu historycznego, którego nie krępowały żadne więzy konwencyi ani w mniemaniach ani w ustanowieniach...

Czyżby nasze narodowe podania, po za widokręgiem pewnych dziejów leżące, miały być dla poety mniéj wdzięczną niwą? Miałyżby zamglone naszych herosów postaci, żyjące do téj pory w poetycznéj ludu pamięci, być zdolne tylko wspomnień w piosence gminnéj? Nie jestże to kruszec surowy, który i dzisiaj jeszcze, i u nas także, dałby się odlać na dzieło szczerozłotéj, artystycznéj poezyi, byleby tylko jęła się téj pracy ręka prawdziwie powołana do tego? Naprożnoż zdaje się gminowi naszemu, że słyszy i teraz jeszcze po lasach tętent łowca niewidzialnego i psów łajanie po nocy; że go dochodzą z pod przezroczystych fal Gopła albo Baltyku dzwony pokutne miast potępionych; że się wydobywają w pewnych dniach roku, z pod porosłych mchem odwiecznym

gruzów kruszwickich, jęki jak gdyby wzywające litości; że dziewica ujęta snem nieprzespanym — tam pod mogiłą niedaleko Krakusowego grodu — kiedyś zbudzi się jeszcze i powróci na ziemię, żeby zaznać, co to szczęście, co to luby... swojego rodu — —

Skutkiem takichto rozmyślań nad znaczeniem nie zużytecznionych dotąd podań naszych mytycznych — z punktu widzenia pokrewieństwa takowych ze sferą tragedyi starożytnéj, wpadł poeta nasz na kierunek praktyki poetyckiéj, w którym wydatniéj niż we wszystkiém inném, miała się odsłonić oryginalność genialnéj jego fantazyi. Powziął zamiar, stworzyć na tle podań rzeczonych cały cykl dramatycznych utworów. Miał on się składać z sześciu odrębnych tragedyi. Piérwszą pracą na téj drodze była właśnie Balladyna, dzieło rzeczywiście tego rodzaju, że mógł się autor o niém w liście do matki wyrazić, że otwiéra ono nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą; że jest całe podobne do staréj ballady — u ł o ż o n e t a k, j a k g d y b y g m i n j e u k ł a d a ł, — przeciwne zupełnie prawdzie historycznéj — czasem (słowa autora) przeciwne podobieństwu do prawdy, ludzie jednak w niém są prawdziwi i mają w sercu nasze serca...

Ta l u d o w o ś ć, widna w całym sposobie przeprowadzenia Balladyny, nie byłto jednak cel, o któryby poecie było chodziło jako o rzecz najgłówniejszą. Było to raczéj mimowolne tylko następstwo wyboru przedmiotu, a raczéj wyboru sfery, w którą zamierzał wlać życie. Odtwarzać u nas wieki mytyczne — jestto w ostatecznym skutku tosamo, co malować kolorami wyobraźni gminu naszego.

Starożytnym tragikom łatwiéj było radzić sobie w téj trudnéj pracy przelewania mglistych przeddziejowych wspomnień w kształty plastyczne. Najprzód bowiem wiek, w którym żyli, nie tyle był odsunięty od czasów, z których ów materyał czerpali. Wyznawali tę samę religią, co ich bohaterowie bajeczni; kierowali się w życiu temi samemi pojęciami, wierzyli w tenże wymiar sprawiedliwości, w tenże rodzaj opieki ze strony niebios nad światem. A potém, leżała przed nimi otwarta księga Homera! W księdze

téj widziały kanon wiary i tradycyi ojczystéj tak dobrze owe pokolenia, które wojnę peloponeską toczyły, jak generacye, z łona których wyszła Ilias i Odysea. Platon, wyobraziciel epoki najpiękniejszego myśli greckiéj rozkwitu, co chwila się posługuje przytoczeniami z tych narodowych rapsodyi, rozstrzygając niemi nieraz najzawilsze i najoderwańsze zagadnienia filozoficzne.

My takiego zabytku, takiego przedchrześcijańskiéj Polski zwierciadła nie posiadamy. W historycznym względzie bardzo mało, w obyczajowym nic nam wcale o niéj nie jest wiadomo. Czujemy to wprawdzie wszyscy, że wyobrażenia nasze, choćby były urobione na tle stósunków nawet najdawniejszéj naszéj historycznéj epoki, nie mogą przystawać do tych wieków zamierzchłych, które od czasów bolesławowskich przedzieliła cała nieskończoność różnic tak wiary jak powszechnéj kultury. Uznajemy zatém nieodzowną konieczność wyszukania sobie do tego barw i kształtów zgoła odrębnych. Lecz skąd je wziąć? jak je sobie urobić? — w tém właśnie trudność niepokonana!

Jedyną drogą, jaka się tu nastręcza, jest chyba pójść w ślady za Chodakowskim i szukać u ludu ostatnich śladów téj cywilizacyi rodziméj, która w wyższych warstwach równocześnie z przyjęciem chrześcijaństwa ustąpiła miejsca obcéj ducha ogładzie. Tą drogą puścił się téż tutaj Słowacki.

Wprawdzie i ten sposób nie koniecznie wiedzie do celu. Od czasu wystąpienia właśnie wspomnianego entuzyasty dla wszystkiego, co tylko gminne — mija już oto połowa wieku. Pomimo usiłowań tak piérwszych jak późniejszych zwolenników tego kierunku, pomimo tak nieznużonego zbierania pieśni ludowych, skazek, przysłowi itd. prowadzonego systematycznie przez lat dobrze 30 po wszystkich kraju zakątach, nie otrzymaliśmy żadnego promienia światła, któreby potrafiło przedrzéć zasłonę téj krainy zaczarowanéj i uczynić ją widną dla oczu naszych. Co gorsza, trzeźwe i umiejętne badania zgromadzonych w ów sposób materyałów odebrały nawet w zasadzie kredyt wynikom poszukiwań w tym zakresie podejmowanych. Szacowna książka Berwińskiego niepomału zachwiała wiarę w możność odszukania klucza, o któ-

ry chodzi, w zasobach téj tak zrazu przecenionéj spuścizny. Trudno się już po dziś dzień łudzić nadzieją, żeby choć nawet w przyszłości okazać się miała pomoc jaka dla badań naszych — z téj strony.

Mimo to wszystko, aczkolwiek więc nie dla historyi, to dla poezyi mają poszukiwania rzeczone wszelako wielką doniosłość. Natura pieśni gminnéj ma w sobie zawsze coś ożywczego. Sposób, w jaki nieuczona, tradycyjnym tylko instynktem powodująca się wyobraźnia warstw sielskich wystawia sobie rzeczy, może być dla artysty przydatnym już dla tego samego, że się różni od sposobu pojmowania takowych przez wyższe klasy. Jest w tym sposobie ludowym zawsze jakaś cząstka rodzimych, samorodnych pierwiastków. Aczkolwiek wobec bezwzględnéj prawdy nie można go poczytywać za autentyczny i nieomylny wizerunek pierwotności słowiańskiéj, to konwencyjnie wszelako on za takowy dość powszechnie uchodzi i ma prawo zastępować go w sztuce. Historyk z dokumentami w ręku wykaże w wyobrażeniach gminu późniejsze albo obcego pochodzenia naleciałości. Ogół narodu, biorący rzeczy mniéj ściśle, uczuje w nich woń wieków będących dla uczonego zagadką, i efekt poetyczny będzie więc osiągnięty.

Takimto więc instynktem świadomie czy mimowiednie, lecz w każdym razie trafnie wiedziony Słowacki, zamierzył w obecnym dramacie swoim zawrzéć obraz świata i tego „co się na nim tak dziwnie plecie“ w duchu fantazyi gminnéj. Postawił się myślą jakby w położeniu naiwnego prostaczka, co snuje swoję skazkę na tle popielowych stuleci nie znając wcale kronikarskich o tychże czasach powieści. Za punkt zarodny wziął sobie myśl kilku ballad, a raczéj kilku piosnek ludowych, których surowy materyał w części już był wtedy przerobiony artystycznie przez współczesnych poetów. Głównie dostarczyła mu treści znana o[illegible]a, bo na całej przestrzeni kraju naszego przez lud śpiewywana powiastka o dwóch córkach prostéj wieśniaczki, w równym stopniu pokochanych przez jakiegoś wielkiego pana, które wysłano na maliny, ażeby samo szczęście rozstrzygło, która z nich ma zostać żoną rycerza. Powiastka ta, słabiuchno przela-

na w kształty ballady przez Al. Chodźkę, była wcielona już wtedy do zasobów piśmiennéj literatury. Drugiém źrodłem, z którego mógł zaczerpnąć autor Balladyny niejedno, były Lilie Mickiewicza. W Malinach Chodźki mowa tylko o zewnętrznych zdarzeniach. W Liliach odsłania się i wewnętrzny stan duszy owéj zbrodniarki, „któréj nie żal było rozboju, ale tylko strach kary.“

„Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie:
Byleby moje zbrodnie
Wieczysta noc powlekła! “ —

Na tém tle zewnętrznych zdarzeń i wnętrznych usposobień, wiklących się w jeden ciąg zbrodniczo przebytego żywota, stawił poeta i inne jeszcze figury. Ten pustelnik siwy, co zna siłę każdego ziela i leczy wszystkie słabości, a za młodu władał berłem jako dziedziczny król ludu — ten dobry rycerz od stóp do głów w zbroję zakuty, po całym świecie jeżdżący, żeby karcić występek, a podawać rękę pokrzywdzonemu — ta matka uboga, któréj się własna córka zostawszy wielką panią wyparła — ten kusiciel w postaci niemieckiego przybłędy — ten król dzwonkowy, czarodziejskim sposobem przemieniony z prostego chłopa — ten piorun z nieba, uderzający w winowajcę, którego przymusiły okoliczności do wydania na samego siebie wyroku... wreszcie te nadzmysłowe, cudotworcze, fantastyczne istoty, żyjące między ludźmi i niepomału wpływające na ich postanowienia: — wszystko to są rysy ze wszech miar odpowiednie wyobrażeniom ludu naszego, a nawet i żyjące z osobna w jego powieściach.

Poety dziełem — że je natchnął pełniejszém życiem, że otworzył wnętrze ich serc, że je połączył, że z połączenia tego stworzył świat nie tylko nowy, ale zdolny w najwyższym stopniu zająć uwagę człowieka stojącego na wysokości dzisiejszego usposobienia warstw wykształconych. Podłożył bowiem zawikłaniu, na pozór wymarzonemu przez dziecięcą fantazyą, ideje wiekuiście prawdziwe. Pod osłoną stósunków, materialnie biorąc miejscowych i znikomych, ukrył filozofemat ogólny, wynik długich rozmyślań swoich

nad tokiem spraw i kolei ludzkich, nad tym czterowierszem tak znanym wieszcza czarnoleskiego:

„Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie!
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.“

Ten problemat nierozwikłany, tę niepojętą dla rozumów naszych zagadkę, to godło powtórzone i przez Malczeskiego na czele Maryi, pokusił się w Balladynie nasz Juliusz poddać pod analizę. Jeśli przełożymy stworzone przezeń plastyczne kształty poezyi, na język myślącego rozumu, wypowiemy całe przekonanie poety w tych kilku słowach: Ostatecznie składa się wprawdzie wszystko na świecie podług woli Opatrzności. Ona jedna ostatecznie wszystkiém i wszystkimi kieruje. Ale opatrzność bezpośrednio nie działa. Są siły, czy raczéj prądy, z osobna i najróżniejszemi drogami i w najrozmaitszych kierunkach działające na to wszystko, co zowiemy przędzą życia czyjego. Biorąc wpływy te poszczególnie, okazuje się, że nigdy się to nie iści, ku czemu nawodzi i prze i popycha moment taki osobny. Rezultat dopiero i suma zawikłania tych wszystkich sprężyn razem: — to jest co ostatecznie kieruje światem. W tém też właśnie połączeniu ich wszystkich objawia się Opatrzność. —

A jakież są te poszczególne impulsa, którym podlegają uczynki nasze?

Nasamprzód nasze własne zamiary, rachuby, słowem postanowienia ludzkie.

Jeśli nie prawie zawsze, to nader często ślepy przypadek, ten niewinny figlarz mięszający nam szyki.

Nie mniéj znaczy tu i demonizm, ta potęga wyższa nieraz nad wolę i nad rozum człowieka — już to w własném sercu brojąca, już kusząca nas z otoczenia.

Daléj: logika zdarzeń, nieodzowny fatalizm czynów, któreśmi spełnili sami. Co tak trafnie wyraził Schiller: — „Das ist der Fluch der bösen That, dass sie fortzeugend Böses muss gebären.“

Nakoniec — wprawdzie bardzo rzadko i wyjątkowo: Palec boży, ta bezpośrednia interwencya niebios, działająca, kiedy wszystkie stopniowania pośrednictw ludzkich zawiodły...

Pospolicie w życiu kładziemy przycisk wedle usposobienia naszego to na téj, to na owéj, ale zwykle na jednéj tylko z pomiędzy pięciorga potęg, w połączeniu tu wyrażonych. Człowiek praktyczny i racyonalny, wierząc w bezwzględną prawdę przysłowia, „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz“, składa zazwyczaj wszystko na własną wolę ludzką. Umysł lekki lub materyalny wszystko odnosi do przypadku. Zabobonni w każdém zdarzeniu widzą utajoną władzę złego, lub wreszcie w pewnych razach dobrego, któreto władze prowadzą klientów swoich prostym gościńcem do piekła albo do nieba. Fataliści koją zmartwienia domowe i publiczne rezygnacyą, i prawią że co się stało, stać się musiało — nie pytając wcale o to, skąd wychodzi ten ślepy przymus. A religianci, w mniéj wzniosłém znaczeniu tego wyrazu, upatrują we wszystkiém cuda i wszystkiego dobrego się spodziewają tylko od cudów.

Autor Balladyny przyjął wszystkie pięć wyobrażeń za prawdziwe, a raczéj uczynił je dopiero prawdziwemi właśnie przeto, że żadnego z nich nie wykluczył. Pojednał je i połączył je wszystkie, i ustopniował jako piętrzące się władze, na obraz i podobieństwo coraz wyższych instancyi rządzących światem...

Przeprowadzenie tego pomysłu stanowi właśnie mistrzowską stronę dzieła leżącego przed nami. I tylko z tego punktu widzenia Balladyna, mimo wszystkiego coby w niéj wytknąć można jako niedostatek, a raczéj jako nadmiar (z téj właśnie strony najwięcéj bowiem możnaby dziełu temu zrobić zarzutów), okazuje się rzeczywiście najgłębszą może kreacyą Słowackiego, w każdym razie utworem godnym jego geniuszu.

Żeby się o tém przekonać: przejdźmy do szczegółów.

Przedewszystkiém określmy sobie chwilę dziejową, na którą przypada zmyślenie, służące za osnowę dramatu.

Dzieje nasze zapamiętały przesilenie się czasow, dokonane w skutek upadku dynastyi Popielów na rzecz Piasta i jego rodziny.

Na tę to chwilę ostatnich rządów rodu popielowego, przed powołaniem jeszcze Piasta do tronu, przenosi fikcyą swoję Słowacki. Byłyto czasy posępne. Przekleństwo i jego skutki, jak woń złowieszcza przenikająca powietrze, obejmowały kraj cały. Ostatni z Popielów, czwarty tego imienia, dostał się do władzy nad narodem zdradą i zbrodnią. Zepchnął z tronu starszego brata, a po ujściu tegoż z stolicy, pozostałe po nim sieroty okrutnie zgładził ze świata. Od tego czasu minęło lat 20. Dawniejszy książę, już zapomniany przez wszystkich, pędzi życie w głębokich lasach jako pustelnik. Nikomu nie wiadomo, kto się ukrywa w osobie tego pustelnika, ale chatka jego często bywa nawiedzana przez ludzi potrzebujących dobréj rady czy to w chorobie, czy innéj jakiéj przygodzie. Od czasu objęcia rządów przez nowego monarchę, zlewają się na Polskę wszelkie nieszczęścia. Popiel IV panuje po tyrańsku. Co gorsza, dawniejszy książę usuwając się na wygnanie, potrafił unieść z sobą koronę królewską. Była to korona cudowna, od czasów Lecha z błogosławieństwem noszona przez wszystkie pokolenia dziedziczących rządy nad Polską. Przywiązał do jéj dziejów poeta myt, zaczerpnięty z własnéj fantazyi, niepospolitéj piękności poetycznéj, myt sięgający jeszcze oddaleńszéj przeszłości, bo aż kołyski Chrystusa... Skutkiem nadzwyczajnych kolei, jakie klejnot rzeczony kiedyś przechodził, miał on władzę cudowną.

„Korona Lecha sławną niegdyś była!
W niéj szczęście ludu, w niéj krainy siła
Cudem zamknięta“...

Korona fałszywa i podrobiona, któréj przywłaszczyciel używał, nie miała żadnéj mocy, a przekleństwo nań rzucone przez ojca dzieciąt zamordowanych działało.

Nie tylko przeto nękały naród pomory, głód, szarańcza i nieznane nigdy dawniéj okrucieństwo panującego, ale zepsucie dostało się i do serc ludzkich. Ludzie w całém królestwie stawali się coraz gorsi...

Na tém tle poczyna się akcya dramatu. —

W przedmowie powiada autor, że jego tragedya, że jego Balladyna „wychodzi na świat z aryostycznym uśmiechem na twarzy, urągając się z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie.“ Wyrażenie to ściąga się głównie do aktu piérwszego, w którym zamiary ludzkie i ironia ślepego przypadku dziwnie się z sobą krzyżują.

Oto stoi przed nami młody, dorodny i dzielny rycerz, pan warownego zamku i licznych do koła włości. Zamyśla poszukać sobie żony. Chciałby uczynić wybór jak najszczęśliwszy. Nie zaślepia go ani żądza wielkości ani ponęta bogactw. Nie uwodzi się nawet samymi powabami urody. Pragnie znaleść dziewicę

„Białą, jak w ręku anielskiego stróża
Kwiat lilijowy: niech jéj słowik śpiewny
Zazdrości głosu, a synogarlica
Wiernością zrówna. Gdzie taka dziewica?“

Nie ufając własnym zabiegom, ogląda się za pewniejszym sposobem ustalenia swojego szczęścia. Udaje się do pustelnika, o którym słyszał, że mu nikt nie zrówna rozumem, i prosi go, ażeby mu albo wskazał taką dziewczynę, albo przynajmniéj powiedział, co czynić, żeby ją znaleść. Obydwaj wspólnie układają, co im się widzi najlepsze. Stanęło na tém, że nie ma Kirkor szukać sobie kochanki ani pod złocistymi dachami królów, ani nawet w pańskich pałacach. Po za tymi wysokimi progami, mówi Popiel trzeci, owym pustelnikiem będący, rzadko kiedy przemieszkuje to, czego Kirkor pragnie.

„Tylu ludzi biegło
Z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości,
A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,
Zamiast straconéj z żebra swego kości.“

Więc ty postąp sobie inaczéj. Niech cię złocista kareta wiezie do jakiéj niskiéj lepianki. Szukaj prostoty, a resztę zostaw losowi.

„Ani się wahaj, weź pannę ubogą,
Żeń się z prostotą, i niechaj ci błogo

I lepiéj będzie, niżbyś miał z królewną.
Do biednéj chaty idź synu na pewno!
Niechaj ci piérwsza jaskółka pokaże,
Pod jaką belką gniazdo ulepiła.
Gdzie okienkami błysną dziewic twarze,
A dach słomiany —
tam czeka na cię żona karna, miła, niewinna"...

Jak widzimy, rozum ludzki uczynił tedy w sprawie téj wszystko, co tylko zrobić mógł, ażeby się nie pomylić. Postanowienie Kirkora zapadło z zachowaniem wszelkich ostrożności — odwołał się do doświadczenia — kierują nim chęci najlepsze: — i do czegoż go to doprowadziło? — Oto przypadkiem wywraca się i łamie powóz jego na jakimś mostku. Niedaleko tego mostku jest sioło, a w niém oczywiście różne ubogich ludzi chatki pod strzechą; ale przypadek chciał, żeby Kirkor szukający noclegu zajechał do téj właśnie między niemi, w któréj mieszkała matka Balladyny i Aliny. Trzeba było znowu szczególnego przypadku, że się naszemu rycerzowi oba dziewczęta porówno spodobały. Przypadkiem, ni stąd ni zowąd, przyszło staréj wdowie do głowy, żeby wybór, która z jéj córek ma zostać jego małżonką, zrobić zależnym znowu od przypadku, t. j. od zbierania owych malin, na które wysłano obie dziewczyny... Postanowienie więc Kirkora i pustelnika w to godziło, żeby się wyrzéc wszelkich świetności i mieć za to poczciwą, choć biedną żonę. A ślepy, bezmyślny, psotny przypadek podsunął mu... Balladynę!

Ale poecie naszemu nie wystarczało, okazać ironią tego niewinnego psotnika w samych tylko téjże ironii objawach. Chciał on go okazać i w widomych jego kształtach. Chodziło o nadanie ciała temu abstrakcyjnemu słowu: przypadek... W tymto celu wprowadził on tu w sam środek rzeczywistych działań ludzkich, świat fantastyczny. Współdziałanie świata czarodziejskiego pierwotna wyobraźnia ludowa wszędzie przypuszcza. Moment ten zatém wziął autor Balladyny, jak wszystko w tym dramacie, od ludu. Ale wycisnął na nim swój stempel. Podłożył mu, wprawdzie w fantastyczny sposób, znaczenie, które może

być zrozumiałém i dla dzisiejszéj reflexyi. Goplana, Skierka, Chochlik i cały ten świat — lekki, jak bańka mydlana, powiewny jak liść ajeru, znikomy jak barwy tęczy, krzyżujący czasem szkodliwie uczynki ludzkie, a w gruncie dobroduszny i nigdy ze złym zamiarem — to tylko więc poetyczne, po aryostowsku pomyślane uosobienie przypadku.

Rozumie się samo przez się, że w pomyśle tak eterycznie powiewnym, jak cały ten dział obecnego dramatu, nie można spodziewać się, żeby każde poszczególne w nim słowo, każdy rys, każdy że tak powiem puls rozigranéj imaginacyi autora wytrzymywał rozbiór rozkładającéj krytyki. Niepodobna zagadywać każdego tutaj szczegółu: a na co ty tutaj? a co ty znaczysz?.. Pedanterya przesadna psuje wszystko w razach podobnych. Sztywnéj i na szczudłach samych tylko rozsądkowych pojęć kroczącéj allegoryi Słowacki dawać tu nie zamierzył. Dobrą połowę ruchu w tém falowaniu złudnéj fantazmagoryi zdać trzeba na karb bujań fantazyi, która się nie poczuwa do ścisłego rachunku z tego, co czyni. Lecz weźmy tę fantastyczność współdziałającą w naszym dramacie w całym onéj ogóle: a przyznamy, że tylko w taki sposób można jéj znaczenie wykładać.

Cała postać Goplany, wszystko co tylko ona czyni, wszystko czego nawet sama doznaje: to tylko zmysłowe uwidomienie przypadku. Istota ta napowietrzna, uwiana z zorzy i woni, lekka jak chmurka płynąca niebem — poetyczna do przesady, poczciwa od stóp do głowy, cały świat duchów i duszków mająca na rozkazy, słowiki ucząca piosnek, jaskółki z wiosną zbudzająca z topieli, zaścielająca niwy tęczami kwiatów... taka istota rozmiłowuje się w prozaicznym pijaku, w rumianym, głupkowatym i sprosnym Grabcu! Nie jestżeto prawdziwa ironia losu? Oto ją widzimy wychodzącą za piérwszym wiosny powiewem z pod toni Gopła, na dnie którego spędziła zimę. Nie marzy o niczém, tylko o piękności człowieka, który téj zimy w jeziorze owém się topił. Niewymownie tęskni do niego. Pragnie co rychléj ujrzéć go znowu i być od niego kochaną, tak jak go sama kocha. Goplana nie wie — kto jéj kochanek? Nie zna go jeszcze.

Nie była zdolna objąć wzrokiem należycie całéj jego postaci, kiedy był zanurzony w przerębli. Trwało to krótko — zresztą była to pora martwéj niemocy i jakby skamieniałéj senności, któréj Goplana przez ciąg zimy podlega wraz z całą przyrodą poddaną pod jéj rozkazy jako królowéj jednego z działów natury. Był to więc dla niéj stan snu i jawy na poły. Kochankiem Goplany będzie zatém każdy człowiek, który pierwszy zajdzie jéj teraz drogę... I oto przyszedł był na to miejsce młody pastérz, figura żywcem wykrojona z jakiéj sycylijskiéj sielanki, sentymentalny, westchnieniami tylko żyjący Filon. Nienasycony w tęsknocie, cały zatopiony w łzawych dumaniach, wędruje on przez świat cały i szuka wymarzonéj kochanki. Ale ideał jego pozostaje „nieznalezionym, jak się wyraża, obrazem“ w sercu tylko jego żyjącym. Ani żniwiarki, ani nawet królewny nie potrafiły poetycznéj jego duszy natchnąć zachwytem. Nie ma dla niego szczęścia na ziemi. Chyba tajemnicze łono wód wyda kiedy taką istotę, jakiéj on szuka. Chyba mgły powiewne zrodzą dla niego kochankę. Do mgieł takich stósując to co extatycznie maluje, powiada Filon:

„Nieraz poglądałem
Na białe płótna, łąk jasną zielenią
Słońcu podane, rojąc serca szałem
Że z bieli płócien, jako z morskiéj piany
Alabastrowa miłości bogini
Wyjdzie na słońce“...

Otóż nakoniec wyszło w saméj rzeczy z głębi Gopła coś bardzo podobnego do téj „alabastrowéj bogini.“ Goplana — to stworzona dla Filona kochanka! Filon — to wymarzony kochanek dla niéj. I cóż? czy się pokochali wzajemnie? Czy się znaleźli?— Bynajmniéj! Jedna chwila popsuła wszystko. Filon wprawdzie przechodził przez owo miejsce, ale niestety przyszedł na nie za wcześnie i — przeszedł. Zaledwie odszedł, wynikła z wód fantastyczna królowa Gopła. I spotyka na swojéj drodze — kogo nasamprzód? Spotyka gburowatego parobka, który jéj miłość odpycha! Ona mu mu szepce o czystości dziewiczéj, o malinach i

poziomkach, które będzie dla niego rwała, o rozłogach łąk i gajów, które wieczorem wspólnie nawiedzać mają.

„Będziemy błądzili,
Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,
Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem
Będziemy razem marzyć przy księżycu...

A Grabiec ani rozumie tego wszystkiego! Nazywa Goplanę rybą, galaretą, szklaną zmorą, koczkodanem... a jéj poetyczne expektoracye odpłaca, chwaląc sobie karczmę i gorzałkę, dziewuchy wiejskie przy sianożęciu itp. Nie jestże to wszystko prawdziwą igraszką losu, którą tak powszechnie uważamy za synonim z przypadkowością? Nawet ów nieodłączny od wyobrażenia przypadku przymiot, ślepotę, widocznie chciał poeta przedmiotowo wystawić w roli Goplany, kiedy jéj każe do osmolonego, „w czerwonéj umazganego rudzie,“ same sprosności gadającego pijaka, mówić takie słowa, jak „piękny młodzieńcze!“ — „słowa jego wonne przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha“, —

„Niech zorza różana
Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;
Lecz niech się zorza na poły zasmuci
I płaczem rosy słońce tak przesłoni,
Aby łagodne, powiek nie raziło“ itd.

Kontrasty te sprawiają wrażenia śmiészne; ale z punktu widzenia saméj tylko humorystyki nie mogłyby być dostatecznie wytłómaczone.

Podobnie uwidomieniem zrządzeń saméj tylko przypadkowości nazwać należy całą tę interwencyą, jakiéj się Goplana względem działań ludzkich dopuszcza. Grabiec nie chce przychodzić wieczorem do Goplany, gdyż właśnie wieczorami czeka na niego za borem Balladyna, z którą on ma znajomość. Ażeby go skłonić ku sobie, widzi się Goplana w konieczności usunąć stąd owę dziewczynę. Usunięcie to nie może być ze szkodą dla Balladyny, bo Goplana jest dobra, szkodzić nikomu nie chce. Lecz można ją z tych stron oddalić w jaki inny sposób, bez szkody dla niéj.

Oto właśnie szuka Kirkor dziewic po świecie, co mieszkają w ubogich chatkach. Niechże zajedzie do chaty Balladyny! niech ona właśnie zostanie wielką panią... Na rozkaz królowéj swojéj, sprawia to Skierka, że się załamuje ów mostek pod powozem Kirkora! Ale Kirkor mógłby i z tego jeszcze miejsca do niejednéj innéj lepianki trafić. Skierka go tedy wiedzie echem napowietrznéj muzyki, właśnie do mieszkania matki dwóch dziewczyn, które mu pani jego wskazała. Skutkiem okoliczności, że Skierka nie zrozumiał dokładnie danego sobie rozkazu, zlewa on czary miłosne zamiast na jednę, na obie siostry. Tak więc jego to sprawa, że pokochał nasz rycerz i Balladynę i Alinę porówno. Z tego wynika nowa trudność, nowa zawiłość. Z obiema niepodobna się żenić, trzeba koniecznie wybrać sobie jednę tylko, — a jak to zrobić, kiedy obie krasawice porówno nęcą ku sobie? Myśl wysłania córek na malinowe wyścigi wychodzi znowu od Skierki. Uosobienie przypadku szepnęło staréj wdowie do ucha, żeby rzecz zdać na przypadek: i tak cały ruch akcyi, w zakresie piérwszego aktu, kierowany jest, jak widzimy, przeważnie tą właśnie sprężyną przypadkowości, przyodzianéj w kształty fantastycznego świata.

Upatrując takie znaczenie w fantastycznych ustępach Balladyny, wiem o tém, że inni inaczéj je sobie tłómaczą. Według ich zdania powodował się tu poeta chęcią uzupełnienia charakteru epoki, na tle któréj sprawa się dzieje, przez dołożenie do osnowy dramatu, i tego czarodziejskiego wątku, tak integralnie należącego do tkanki wszystkiego, co tylko sobie o tych czasach snuje wyobraźnia ludu naszego. Oprócz tego miało i o to chodzić tu Słowackiemu, ażeby cudownością złagodzić okropność właściwéj akcyi. Na akcyą tę, według zdania dawniejszych recenzentów, istoty fantastyczne wewnętrznego wpływu w tém dziele bynajmniéj nie wywierają; gdyż co tylko się w niém dzieje, dzieje się z czysto ludzkich pobudek; a moment czarodziejski wszystko to tylko jakby dla ozdoby saméj owiewa...

Obydwa te powody nie zdają mi się tu wcale wystarczające. A twierdzenie, jakoby między fantastycznym a ludzkim światem

w tym dramacie nie miało być żadnego przyczynowego związku, wydaje mi się wręcz mylném. W początkowéj części Balladyny ze sfery téj wychodzą właśnie najważniejsze powody. W dalszych dopiéro częściach moment ten cofnięty zostaje w głąb obrazu i zastępują go inne sprężyny działania. A nawet i tam jeszcze działa niekiedy przypadek (np. w scenie czwartéj aktu IIIgo, gdzie za sprawą czarodziejskich tych istot dostaje się zaginiona korona królewska na głowę Grabca). W ogóle w piérwszym akcie daje świat fantastyczny impulsa prawie do całego nawiązania wydarzeń. Jest on tu jakby tym wietrzykiem albo ptaszkiem maleńkim na najwyższym wierzchołku góry, co niechcący porusza kuleczkę śniegu, mającą się niezadługo przemienić w lawinę zniszczenia i okropności. Zbrodnie dramatu niniejszego rodzą się wprawdzie z innych zasobów i urastają w monstrualności własną siłą, jako i lawina toczy się z góry własnym ciężarem. Ale jak nie byłoby lawiny, gdyby coś nie było stworzyło piérwszego onéj zawiązku, tak i Balladyna nie byłaby przyszła w pokuszenie zabicia siostry, a w następstwie dalszém popełnienia i innych występków, gdyby sam przypadek nie był jéj do tego dał sposobności i zewnętrznéj potrzeby.

Co większa, utrzymuję: że nie chcieć związku rzeczonego widzieć w budowie Balladyny, jestto odmawiać jéj wszelkich zalet artystycznego przyprowadzenia! Mamy tu przed sobą jakby dwie wstęgi, dwie melodye równocześnie płynące. Historya Balladyny i tych którzy ją otaczają, to jedno. Romans Goplany z Grabcem — to drugie. Przypuszczać bytność tych dwóch zawikłań w sztuce — bez wzajemnego wplatania się jednego wątku w drugi — byłoby to odmawiać dziełu temu jednolitości, bez któréj nie ma ani piękności ani nawet logiki. Według naszego zaś wykładu, cała rola Goplany nie tylko spływa z główną osnową dramatu, lecz owszem stanowi jedno z wewnętrznych własnych jéj włókien.

Nastręcza się tu samo przez się porównanie Słowackiego z Szekspirem, który w jednym z utworów swoich w bardzo podobny sposób sceny ludzkich działań przeplata zajściami mającemi miejsce pomiędzy istotami nadzmysłowemi. Ani wątpić o tém nie można,

że „Sen Nocy Letniéj“ był w tym względzie dla Słowackiego wzorem, a jeżeli wreszcie nie wzorem, to skazówką i materyałem przydatnych dla poety spostrzeżeń.

Pod jednym tylko względem zachodzi zupełne podobieństwo między Balladyną a rzeczoną angielskiego wieszcza komedyą. Jako tam, tak i w Śnie Nocy Letniéj fantastyczne istoty wpływają na sprawy ludzkie w sposób istotny. U Szekspira okazuje się to nawet o wiele oczywiściéj, aniżeli u Słowackiego. Role ludzi téj komedyi są w ogóle tylko podrzędną i akcesoryalną jéj częścią. Postępowanie tychże tak dalece jest kierowane wolą téj niewidzialnéj dla nich czarodziejskiéj machiny, że czynią co ta wola im każe, nie tylko w obrębie owéj nocy, przez którą się ta cała fantazmagorya jak sen jaki przesuwa, ale nawet sięgają następstwa wpływu tego czarodziejskiego i po za granice rzeczonéj nocy. Doprowadzają bowiem do zdarzenia, trwać mającego na zawsze, do któregoby nigdy nie było przyszło, gdyby się nie był wmięszał ten świat elfów w zawikłanie ludzi pomiędzy sobą. (Dymitr odzyskuje dawną swą skłonność ku odepchniętéj Helenie, w skutek czego przychodzi do ich pobrania się).

Natomiast nie ma żadnego podobieństwa między obydwiema sztukami co do rodzaju i co do wagi takowych. Sen Nocy Letniéj może sobie uchodzić za arcydzieło, jako utwor mistrza, który czego się tylko dotknął, wycisnął na tém znamiona swego geniuszu. Ale nie zamierzał on w tym razie nic innego, jak napisać krotofilę i fraszeczkę lekką jak puch, bez uroszczeń do znaczenia sztuki z głębszą i na seryo intencyą. Zamiar Słowackiego, podłożony nawet fantastycznéj części Balladyny, okazuje się nieskończenie więcéj poważnym. Rezultat ostateczny współdziałania jego Goplany przyczynia się do tragicznego obrotu zdarzeń, pomimo że pozorna postać i jéj saméj i otaczających ją istot bez porównania rzucona jest poetyczniéj, powiewniéj i idealniéj, niż szekspirowska Tytania albo Oberon i służebne ich elfy.

Jeżeli tedy pomysł ten przejęty był z Szekspira, to wynagrodził nasz poeta tę poniekąd nieoryginalność pomysłu zupełnie nowém i głębszém jego przeprowadzeniem. —

— Dalsze części Balladyny bez porównania są prostsze; nie ma tedy potrzeby zastanawiać się już tak szczegółowo nad wszystkiém.

Powiedziałem już wyżéj, że zamiarem było poety, przeprowadzić genezę zbrodni. Jéj zaród, jéj piérwszy objaw, jéj rozwielmożenie się w zakresie całéj woli człowieka, jéj następstwa nieuniknione, jéj wygórowanie nad całém otoczeniem stósunków przy niepodobieństwie zatrzymania nad nimi władzy, jéj wreszcie obrócenie się w nicość, zniesienie siebie przez siebie samę: — oto w krótkich słowach streszczenie całéj osnowy tragedyi, którą mamy przed sobą.

Przedstawicielką téj akcyi ujemnéj jest przedewszystkiém Balladyna. Charakter czarny, demoniczny, ale włożony w naturę wyższą, niż zwyczajny poziom ludzi w jéj położeniu. Czuć to przez całą tragedyą, że istota ta godną była lepszego losu. Stara jéj matka, która instynktowo czując tę wyższość, przenosi ją we wszystkiém nad młodszą córkę, wręcz wypowiada:

„Wszak ona piérwsza w kościele, i wszędzie
Piérwsza — z organem piosenkę zaczyna“...

A i Balladyna sama, przy końcu swego zawodu, rzuca podobne o sobie zdanie:

„Ja o sławę
Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu
Będę, czém dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą“...

Pod złą więc gwiazdą urodziła się Balladyna i wzrosła! Astrologicznie tego poeta oczywiście rozumieć nie mógł. Chciał on tylko wyrazić, że zewnętrzne okoliczności od piérwszego dzieciństwa, i coś wichrzącego w niéj saméj na spodzie własnego serca, zwichnęły i rozstroiły tę skądinąd kolosalną naturę. Psuła ją ślepą swoją miłością niemądra matka. Zarody demonizmu w niéj saméj przyszły jéj od piérwszéj chwili istnienia — może w skutek ciężącéj nad wszystkimi w narodzie naówczas klątwy— i rosły bujnie razem z ciałem urodziwém, razem z siłami jéj niepospolitego skądinąd ducha.

Na początku zawodu objawia się w Balladynie ten zaród złego przez pomniejsze jeszcze przywary. Egoizm i zarozumiałość — lekceważenie matki — zawiść i prawie wzgarda w stósunku do siostry — brak miłości ku ludziom, nadający całemu jéj zachowaniu coś szorstkiego i opryskliwego w obejściu — swywolne miłostki z Grabcem po za plecami matki, w których ile wnosić można, dość już daleko zabrnęła — chęć wyjścia z biednego stanu, posunięta do namiętności — kiedy trzeba, obłuda i serdeczność udana, np. w stósunku do Kirkora: — to są kolory, którymi odmalowano bohaterkę tragedyi już w expozycyi.

Goplana słysząc od Grabca, że on tą dziewczyną zajęty, wręcz wypowiada, że Balladyna „zł e ma s e r c e“. Grabiec tego nie przyznaje. Podobnie nie przenika tego jeszcze i matka, z zaślepieniem rozmiłowana w swéj córce starszéj. Ludziom zwykle instynkt nie mówi tego, co czują nawet niższe twory w naturze. Iści się to i w tym razie. Kiedy Alina wyjdzie z chatki, to jaskółki domowe okrążają ją jak wiankiem, i świegotaniem radosném już z oddalenia zapowiadają jéj powrót: a przed Balladyną lśniąca jaskółka „kryje się pod słomą i cicho siedzi“...

Przypadkowa sposobność, o któréj mówiliśmy już tyle na poprzedzających kartach, stawia Balladynę znienacka na rozdrożu strasznéj pokusy. Maluje się przed jéj oczyma widok wielkiego szczęścia. Osięgnie je, osięgnie je natychmiast, będzie je miała tylko dla siebie i tylko sobie je zawdzięczając, jeżeli zostawi wolne ręce i pełną władzę demonizmowi, który nurtuje w jéj sercu. Zachowa ręce czyste od zbrodni, jeżeli zniesie, że się to szczęście dostanie siostrze... W téj chwili strasznego boju ze sobą samą, nie odgrywa u Balladyny żadnéj roli ani miłość, ani nawet chęć wyjścia na wielką panią. Balladyna nie czuje tego, co młodsza siostra. Balladyna nie mogłaby powtórzyć za Aliną:

„Bo widzisz siostro, że ten malin dzbanek
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek
I wszystko moje. — Ja kocham Kirkora!
Ach! nie dla tego, że Kirkor bogaty,

Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty“...

Balladyna jeszcze wczoraj kochała Grabca, a teraz jest gotowa porzucić go dla drugiego tylko przeto, że ten drugi „chodzi w złocie i ma miecz jasny i służebnych krocie.“ Balladyna wyjdzie z téj sfery poziomej, w któréj się urodziła, i wtedy, kiedy Kirkor nie ją samę, ale Alinę poślubi. Bo słusznie zagaduje ją siostra:

„Bo widzisz rybko, są inni rycerze!
Jak będę panią, to ci znajdę męża“...

A więc nie oneto znajdujące przystęp i do serc słabszych uczucia powodują Balladyną do wyboru drogi, którą się puszcza. Nie miłość to ją uwodzi, nie żądza to pozioma i pospolita, żeby tylko wydobyć się z barłogu, wiedzie ją na pochyłość występku. Najdemoniczniejsza ze wszystkich namiętności — zawiść i duma — to jest sprężyna, która wyrzuca z jéj ust owe słowa pełne gniewu i szału, wymówione do Aliny już z nożem zabójczym w ręku:

„Ty będziesz panią? ty? ty!“...

Ale prócz zawistnéj dumy była tu i inna jeszcze sprężyna w ruchu. Demonizm jest w stósunku swoim do człowieka dwojaki: w jego własném wnętrzu — i na około niego. Ten drugi, że tak powiem: z zewnątrz działający demonizm, czynny jest za pośrednictwem złych ludzi, którzy nas otaczają. Jakoż jest i to zużytkowane w téj sztuce, a mianowicie mamy przeprowadzenie tego momentu w Kostrynie. Lecz ze stanowiska ludowéj wyobraźni rzecz biorąc (a trzeba brać niejedno w Balladynie koniecznie i z tego stanowiska), wywiera działanie swoje demoniczna potęga także i bezpośrednio: przez niewidome, właściwe swoje narzędzia, w bezpośredniém tychże ze światem ludzkim zetknięciu.

Pustelnik, zamieszkujący tesame puszcze, które były sceną katastrofy wydarzonéj między dwiema siostrami, napomyka przygodnie, w jednéj z późniejszych sytuacyi, że miejsce to nawiedzają złe duchy.

— „W lesie są szatany.
Ja znam się z nimi: nieraz mi do celi
W okna stukają“ —

Otóż zdaje mi się, że było zamiarem poety dać widzieć akt zamordowania Aliny z takiéj strony widzowi, iżby temuż ani to było wątpliwém, że w téj sprawie nie sama tylko działała złość Balladyny: że w niéj miało swą cząstkę i piekło w dosłownym sensie.*) Powtarzam raz jeszcze, że chodziło o przeprowadzenie tego ustępu w duchu ludowych wyobrażeń!..

Tu zagadnąć by mię można: jeżeli taki tu był zamiar poety, to dlaczegoż Pustelnik, dlaczego wreszcie Alina nie podlegają temu szatańskiemu wpływowi, skoro się znajdują w témże miejscu, gdzie rzeczonemu opętaniu Balladyna uległa?

Nie ma w téj pozornéj sprzeczności żadnéj niekonsekwencyi! Na pokuszenie wystawione są z prawdziwém niebezpieczeństwem tylko natury do tego usposobione. Jak w fizycznym świecie ton wydobyty z jednego ciała, wywołuje oddźwięk przez sam fakt swojego brzmienia, tylko z tych ciał okolicznych, które

---

*) Balladyna szukająca malin po lesie, okazuje się jak gdyby w obłąkaniu. Widzi, czego drugie oczy nie widzą; a nie widzi tego, co jest. Nie ma w owéj chwili w niéj jeszcze myśli zabicia siostry. Ta myśl rodzi się w niéj dopiéro późniéj—w ciągu rozmowy z Aliną. („Gdybym cię siostro zabiła?“...) Jest ona tam jeszcze sama, bez żadnego złego zamiaru, a jednak już rozumieć siebie nie może...

„Jak mało malin, a jakie czerwone!
By krew... Jak mało! — W którą pójdę stronę?
Nie wiem... A niebo jakie zapalone —
Jak krew! — Czemu ty słońce wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną niż taki poranek;
Gdzie moja siostra? Musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek;
A ja wśród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.“ itd.

Po dokonaniu już zbrodni, piérwsze słowa Balladyny są jakby człowieka, który się budzi ze snu:

„Co moje ręce zrobiły? — O! —“

. . . . . .

„Któż zabija za malin dzbanek siostrę? !“ itd.

zdolne są zajęknąć takimże tonem: tak i w duchowych sferach przewadze demonizmu poddane bywają tylko natury, noszące zaród jego i w własném sercu...

Wybornie rzecz tasama jest przeprowadzona i w szekspirowskim Makbecie. Wszakże z czarownicami na ustronném pustkowiu spotyka się tam nie tylko Makbet, ale i Banko. Jednemu i drugiemu te kuszące istoty oznajmiają wielkość w przyszłości. Jednego i drugiego starają się złudnemi obietnicami wciągnąć w to zaczarowane koło występku, z którego nie ma wyjścia. Co większa: i Makbet i Banko daje ucho, i wiarę nawet, czarodziejskim tym przepowiedniom. Obaj całą myślą grzęzną w tym widoku wyniesienia, jakie ich rzekomo czeka... A jednak — tylko sam Makbet staje się w skutek tego zbrodniarzem. Natura Banka stawia go po za praktyczną doniosłością władzy, która tamtego nieuchronnie pod moc swoję zagarnia...

Wróćmy do naszéj tragedyi. — Zbrodnia zostaje więc dokonana — Balladyna zabiła siostrę. Ten czyn daje jéj w ręce wszystko, czego pragnęła. Opuszcza wioskę jako żona rycerza; zamienia chatę na pyszny zamek. Postanawia sobie... zapomnieć o wszystkiém co się stało, i nie dbać o nic. —„Na niebie jest Bóg. Zapomnę, że jest. Będę żyła, jakby nie było Boga"...

...„Więc mam już wszystko — wszystko. — Teraz trzeba
Używać — pańskich uczyć się uśmiechów
I być jak ludzie, którym spadło z nieba
Ogromne szczęście. — Wszakże tyle ludzi
Większych się nad mój dopuściło grzechów,
I żyją"...

To są znowu — postanowienia ludzkie. W tym kierunku sobie Balladyna swoję przyszłość wytyka.

A cóż na to potęgi, kierujące życiem człowieka?

— Powstaje właśnie z pomiędzy nich najstraszniejsza, najwięcéj nieuchronna: Fatalizm. Nie ten ślepy i nierozumny fatalizm, jak go sobie w postaci Przeznaczenia wyobrażali poganie,

albo jak dziś wierzy w niego islamizm. Fatalizm przez Słowackiego użyty za dźwignią zawikłania — jestto ta wewnętrzna i przedmiotowa logika czynów z naszéj własnéj woli wynikłych, któréj rozkazom wolność nasza odtąd — mimo żalu, mimo wstrętu, mimo oporu przeciw téj sile coraz wyżéj nam po nad głowę rosnącéj — z konieczności poddać się musi. Wobec téj władzy, téj potęgi samych stósunków — świat ludzki rzeczywiście nie więcéj znaczy, jak w starożytności wolność pojedynczych śmiertelnych, porównana z niecofnioną w wyrokach swoich Ananką.

Jeżeli w akcie piérwszym tragedyi główne pole działania przydzielił autor przypadkowości krzyżującéj zamysły ludzkie; a w drugim akcie stawił na piérwszym planie demonizm: to począwszy od trzeciego najważniejszą sprężyną akcyi staje się właśnie ta fatalność zbrodni, płodzącéj z siebie coraz nowe występki. Nie przestają być czynnemi i tamte dźwignie, ale działają odtąd już tylko pomocniczo.

Niewidzialna ręka zbrodni prowadzi Balladynę daléj, mówiąc do niéj jéj własnym głosem, głosem sumienia...

— „Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczy: zabita — zabita — zabita!
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?
Chciałam krew obmyć: — z błękitnego zdroja
Patrzała twarz jéj blada i milcząca“...

Takie są uczucia Balladyny, bezpośrednio po dokonaniu czynu. Nie przestaje ścigać ją sumienie i na zamku Kirkora.

...„Rankiem głos sumienia nudzi —
Nad wieczorami dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to!“...

Fantazya ludu lubi temu wszystkiemu, co się kryje na spodzie serca, dawać i wyraz zewnętrzny. Na czole Balladyny pozostała od owéj chwili okropnéj w lesie, plama krwawa, któréj zmyć w żaden sposób nie można. Balladyna zasłania ją na razie

obwiązką, którą jak przed Kirkorem powiada, czoło swoje przesłoniła z powodu jakiegoś ślubu. Ale to fortel — tylko do czasu skuteczny! Mąż domaga się koniecznie, żeby ta wstęga była już zdjęta z białéj jéj skroni, kiedy on wróci z wyprawy, którą podejmuje zaraz nazajutrz po ślubie, nie chcąc żonie wyjawić, jaki powód tego wyjazdu. Balladyna podejrzywa, że on jedzie szukać Aliny, któréj ciało zostało w lesie. Z swojéj strony i matka, przy córce mieszkająca w Kirkorowym pałacu, dręczy Balladynę ciągłemi pytaniami, co to za plama czerwona?.. Ten wyjazd tajemniczy męża, te zagadywania matki, to nalegliwe żądanie, żeby zrzucić z czoła przepaskę — wszystko to niepokoi zbrodniarkę. Trzeba koniecznie coś wymyślić, żeby się pozbyć spojrzeń matki; żeby przed mężem — jeśliby tego była potrzeba, znaleść jakąś obronę... w trzeciéj osobie.

Nastręcza się kusiciel, pochlebca, kłamca, szatan wcielony — w postaci niemieckiego przywłoki. Ku czemu Balladyna dopiéro dąży, na tym punkcie stoi już dawno ten prototyp skończonéj nikczemności. Genezy złego żadnéj dla niego już nie ma! Jedném spojrzeniem zrozumiały się te dwie dusze pokrewne. Przed Kostrynem nie ma Balladyna potrzeby taić ani swego pochodzenia, którego z dumnéj próżności żadną miarą nie chciałaby się dawać domyślać ludziom co ją otaczają, ani występku, którego krwawe świadectwo nosi wypisane na czole. W oczach Kostryna taka przeszłość, jak Balladyny — to właśnie najpożądańsza rekomendacya! Następuje tedy, co w daném położeniu i ze strony takiéj natury prawie musiało nastąpić: zdrada i wiarołomstwo przeciw mężowi — nielitość i niepoczciwość przeciwko matce, któréj się jako matki wypiera i na jakiejś ją samotnéj wieży osadza, ażeby nie mieć jéj ciągle na oczach.

Ale sumienie — w postaci strachu kary wichrzące w myślach zbrodniarki, nie usypia, nie milknie... Te środki ostrożności, te nowe zbrodnie — obiecujące skuteczność, nim zostały przedsięwzięte — po dokonaniu, nie zdają się dawać żadnéj rękojmi. Były to tylko półśrodki! Trzeba koniecznie znaleść skuteczny sposób na zmycie owéj krwawéj skazy na skroni! Może

pustelnik, znający siłę wszech roślin i rozdający leki na wszelką słabość, potrafi nastręczyć jaką radę i na to. Biegnie tedy do pustelnika. Nie zastanawia się, co czyni, — na oślep, jakby ją pędziła jaka siła tajemna, bieży na miejsce, w pobliżu którego popełniła morderstwo...

Przekora wszelkich rachub, przypadek,*) i sama natura rzeczy sprawiają, że ta bytność u pustelnika właśnie sprawę pogorsza. Pustelnik wie już o zabójstwie popełnioném w tym lesie. Widział ofiarę... Własne serce Balladyny wydaje teraz, czyjéj to ręki ofiara!.. Jest tedy odtąd człowiek na świecie, który wie niewątpliwie, co zaszło! Aż dotąd trwożyła Balladynę obawa że mąż, albo matka, ją może — podejrzywają o sprzątnięcie siostry ze świata. Teraz powiedziano jéj to otwarcie i wręcz: Zabiłaś siostrę! Ten, kto to wyrzekł, często widuje się z Kirkorem...

Jeżeli już powyższa okoliczność sprawia wielki przewrot w duchowym téj kobiety nastroju: nie mniéj posuwa się naprzód geneza sprawy i z innéj strony. Balladyna rzuciła się w objęcia Kostryna, nie z pociągu ku niemu, ale z rachuby. Oddała mu się, ażeby go zrobić swojém narzędziem; ażeby mieć w nim wykonawcę czynów, które wskaże jako konieczne. Ale ten demon wcielony nie poprzestaje na téj roli podrzędnéj! Rzecz się obraca na odwrot — i raczej to Balladyna staje się posłusznem narzędziem w jego rękach. Nowy mord, dokonany na gońcu Kirkorowym, na przysłanym z darami do Balladyny Gralonie — to już czyn tylko głowy Kostryna, choć go spełniła ręka Balladyny owładniętéj przez jego wolę.

Teraz wszystkie już węzły z mężem zerwane! Nie ma nawrotu! Choćby nawet rzecz co do Aliny i co do krwawéj plamy na czole pozostała tajemnicą na wieki: zamordowanie Gralona stawia żonę względem męża w tém położeniu, że albo on albo ona — zginąć musi.

---

*) Pustelnik przywołany został na miejsce zbrodni, zaraz po dokonaniu takowéj, przez Skierkę i na rozkaz Goplany; obacz stronę 50 wydania lipskiego.

Podobnie daje Kostryn pobudkę i do ostatecznego wypędzenia matki z zamku kirkorowego. Dotąd wydawała ją Balladyna przynajmniéj za swoję mamkę i cierpiała osadzoną w ustronnéj części pałacu. Na wielkiéj uczcie — zagadnięta przez króla o herb swój i pochodzenie, kiedy się jeszcze waha, co na to odpowiedzieć: podsuwa jéj co prędzéj ówto powiernik złowrogi tę kłamliwą odpowiedź, którą daje rozpowiadając, jakoby była wypędzoną przez wuja swego księżniczką z dalekiego gdzieś świata. Wobec takiéj genealogii, stara matka, która się właśnie w téjże chwili zjawia pomiędzy biesiadnikami z dojmującymi wyrzutami przeciwko córce, musiała już doznać losu, jaki ją w scenie owéj spotyka.

Tak więc, i to jaskrawe sponiewieranie matki i stanowcze zerwanie z mężem, sąto czyny wynikające właściwie z inicyatywy Kostryna. Pomimo tego nie można ich uważać za uczynki tylko narzucone woli bohaterki dramatu. Kostryn został przez Balladynę dobrowolnie przypuszczony do uczestnictwa w jéj tajemnicach i w jéj występkach. Wybrała go sobie za powiernika właśnie przeto, że go przenikła jako czarną naturę. Wszystko tedy, do czego on się przyczynia, pada w zakres odpowiedzialności jéj saméj. —

Jesteśmy na początku czwartego aktu. Aż dotąd, wszystkie winy popełnione przez Balladynę wiążą się z sobą jako ogniwa jednego łańcucha, jako wyniki, coraz nowe, jednéj przyczyny. Z osobna biorąc, każdy krok na téj drodze występnéj wzbudza w widzach wprawdzie odrazę: w związku wszelako sprawiają one wszystkie razem wrażenie tragicznego toku wydarzeń, a sprawiają je dlatego, że sąto same nieuchronne następstwa piérwszéj przewiny.

Począwszy od tego miejsca, urywa się jednakże ten ciąg organiczny tragicznego dotąd działania. Zamordowanie bezbronnego Grabca, przemienionego w czarodziejski sposób w króla z koroną Lecha na głowie, nie może już w żaden sposób uchodzić za wynik poprzednich zdarzeń. Jestto zbrodnia nowa, zgoła dobrowolnie przez Balladynę postanowiona i wykonana. Zbrodnia ta,

otoczona całą szpetnością czynu, dokonanego podstępnie i nocną porą, z pogwałceniem gościnności i wszystkich praw natury, odbiera charakterowi bohaterki ostatnie znamię tego czegoś, co ją podnosiło w oczach widzów aż do téj chwili. Zresztą łączy się z całym tym pomysłem tyle różnych, mniéj jasnych i w ogóle mniéj szczęśliwych okoliczności, że od téj pory trudno już nam iść w ślady za autorem w taki sposób, iżbyśmy się godzili — choćby nawet z jego własnego stanowiska — na rzeczy w akcie czwartym zawarte.

Ażeby zacząć właśnie od tych okoliczności ubocznych: rozumiem ja wprawdzie i uznaję za słuszne, powody, dla których się podobało autorowi uczynić Grabca właśnie, a nie kogo innego, przypadkowym posiadaczem korony wykradzionéj pustelnikowi. Jestto figura bezmyślna i prawie zawsze pijana. Tacy ludzie najlepiéj się do tego nadają, żeby zostawali pod szczególną i nigdy nieustającą tak protekcyą jak ironią przypadkowości. Kto się nigdy własnym nie kieruje rozumem, tego popycha w prawo i w lewo lada zewnętrzne zdarzenie; a suma zdarzeń takich, pozbawionych wewnętrznéj wstęgi, stanowi właśnie co zowiemy ślepym trafunkiem. A zatém postąpił sobie autor Balladyny zupełnie odpowiednio poprzednim założeniom, że właśnie Grabcowi fantastyczne owe uosobienia przypadku kładą na głowę odszukaną koronę Lecha, za czém poszło całe owo humorystycznie przedstawione przemienienie tegoż w króla dzwonkowego.

Mniéj zato jasnym jest już powód: dlaczego ten król czarodziejski, ten Grabiec od stóp do głów przekształcony w postać siwego starca w koronie, przybywa na zamek Balladyny?... Zapytuje go Skierka zaraz po dokonanéj przemianie: —

„Gdzie król jedzie?

GRABIEC.

Na ucztę ślubną do Kirkora.“

Na jaką „ślubną“ ucztę? dlaczego właśnie na ucztę w domu Kirkora? — o tém ani słowa w dramacie! Tak więc pozostawił poeta własnemu widzów przemysłowi uzasadnienie jednéj ze scen najważniejszych w całéj tragedyi!

Czy Grabca do tych odwiedzin ciągnie dawna skłonność ku Balladynie? Zdawałoby się, że tak jest. Przynajmniéj trudno temu inny powód podłożyć. Ale w takim razie równie też trudno jest pojąć, dlaczego w żadnéj scenie następnéj nie widzimy wcale téj roli dawnego kochanka w starym królu dzwonkowym? Postępuje on tu sobie, jakby był i wewnętrznie przeczarowanym, jakby w duchu wcale już nie był Grabcem, jakby Balladynę widział piérwszy raz w życiu... Ona tém mniéj wiedzieć może, kogo gości w swym domu. Cała tedy tożsamość osoby Grabca z tą ukoronowaną postacią nie została przez poetę wcale spożytkowaną, w żadnym kierunku. A kiedy potém, po ukończonéj już uczcie, w nocy przychodzi wreszcie do zamordowania tego bezbronnego i pogrążonego we śnie człowieka: to okoliczność, że nim jest dawny Balladyny kochanek, sprawia — pomimo nieświadomości w jakiéj czyn ten ona spełnia, prawdziwie monstrualną odrazę!..

Nie dość na tém. Słaby ten ustęp zmniejsza wartość całéj tragedyi i z innéj jeszcze przyczyny: z przyczyny zbyt daleko posuniętego tu podobieństwa naszego autora z Szekspirem! Cała ta scena nocna — to żywcem zdjęta kopia tylko i parafraza owego ustępu w Makbecie, w którym Makbet i żona jego zabijają w tenże sam sposób w domu swoim króla, który do nich przybył w gościnę...

Daleki ja wprawdzie jestem od chęci robienia komu z tego zarzutu, że się w dzieło jego wkradło przypadkowym sposobem jakie podobieństwo do wyrażenia, do obrazu, a choćby wreszcie i do pomysłu, użytego już przez którego z dawniejszych autorów. Minęły dzięki Bogu już czasy, gdzie na słowach, na rymach, na zwrotach i tym podobnych drobnostkowych szczegółach pokładano całą wartość dzieła poetyckiego. Dzisiaj ideje nowe, całość pomysłu, sposób całego prowadzenia osnowy — to jest, co rozstrzyga o samodzielnéj oryginalności poety. Przypadkowe podobieństwa między późniejszymi utworami a dawniejszymi, jeśli dotyczą tylko samych szczegółów, ani dziwić ani razić zbytecznieby nie powinny. Niezmiernie trudną jest rzeczą, żeby ludzie genialni w swoich obserwacyach życia ludzkiego nie mieli się niekiedy spotykać

na jednéj drodze. Pod tym względem stanowisko późniéj żyjących wielkim podlega trudnościom w obec mistrzów, co mieli szczęście, wiekiem lub kilka wiekami pierwéj przyjść na świat. A im czasu więcéj upłynie, tém bardziéj ta dla młodszych tak niedogodna niekorzyść będzie wzrastała, tak iż przyjdą nakoniec czasy, gdzie będzie to prawdziwą sztuką, być rzeczywiście oryginalnym!

Co się tyczy Balladyny, zrobił to spostrzeżenie sam już Słowacki, że można w niéj upatrywać podobieństwo do szekspirowskich utworów. W jednym z listów swoich do matki wskazuje on mianowicie na króla Lira, jako na sztukę, którąby mogła przypominać jego tragedya. — „Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Lirem Szekspira. O! gdyby stanęła kiedy przy królu Lirze!“ — W saméj istocie są miejsca i w rzeczoném dziele starego mistrza, które się mimowolnie nasuwają pamięci, kiedy się czyta Balladynę.*)

---

*) Podobieństwa te dają się ściągnąć do następujących punktów. Lir na samym początku sztuki zapytuje córki swoje, jak go kochają: i otrzymuje od każdéj z nich odpowiedź — odpowiednią ich naturom. Podobnie pyta i Kirkor obydwie siostry, która z nich bardziéj go kocha? Odpowiedź jednak Aliny stanowczo odstępuje od tego, co tam powiada o miłości swojéj Kordelia. Jest zatém i zbliżenie się do Szekspira w tém miejscu, i jednak niezawisłość od niego.—Podobnie rzecz się ma i co do następującego szczegółu: Niewdzięczność obu starszych córek Lira przeciwko ojcu zupełnie rymuje z niegodziwością, z jaką Balladyna matkę swoję z domu swego wyrzuca. Ale w sztuce Słowackiego jestto szczegół podrzędny, a tam stanowi właśnie główny przedmiot tragedyi. — Daléj: Wypędzony z domu dzieci swoich król u Szekspira, błądząc po burzy i nocy, z oburzenia i rozpaczy utraca rozum. Matka Balladyny, wyrzucona w równie nielitosny sposób na słotę, traci wzrok. Ale prócz téj mikroskopicznéj analogii, zbliżającéj losy tych dwóch osób ku sobie, nie mają dwie te postaci żadnéj zgoła między sobą wspólności. Każda z nich w całości sztuki znaczy zupełnie co innego. — Przewrotna Goneryl zdradza męża swojego, zawięzując poufałe stósunki z bękartem i podłego charakteru człowiekiem, t. j. z Edmundem. Podobne stósunki mają ze sobą i Balladyna z Kostrynem. Rzecz jest tasama; ale powody takowéj w każdéj sztuce są przedstawione inaczéj — Wreszcie zachodzi większe, niżby sobie życzyć można, podobieństwo w owéj zresztą podrzędnego znaczenia scenie, w któréj

Takowe jednak dotyczą zawsze rzeczy ubocznych, i nie dostrzeże ich nikt inaczéj, jak tylko w zewnętrznym sposobie wystawienia tego lub owego szczegółu. Ani co do założenia, ani co do sprężyn działania, ani wreszcie co do charakterów celniejszych dostrzéc bym ja nie potrafił pokrewieństwa między Lirem a Balladyną. W każdym razie nie jest ono większe, jak między Snem Nocy Letniéj a fantastyczną częścią naszéj tragedyi, którato część, jakeśmy to wykazali już wyżéj, wewnętrznéj zawisłości od wzoru szekspirowego nie ma w niczém, i tak się różni od niego, jak się duch wyobrażeń gminnych w angielskim narodzie różni od naszéj wyobraźni ludowéj.

Za to przyznaję, że trudnoby było nie widzieć wprawdzie tylko częściowéj, ale też zato bardzo uderzającéj zawisłości Balladyny od innéj sztuki Szekspira — od Makbeta. Pomijam zbliżenie obu tych dramatów do siebie przez całą dążność. Utwor angielski wyłącznie, polski przeważnie polega na tej prawdzie ogólnéj, że zbrodnia raz dokonana prowadzi zbrodniarza daléj, i nie dozwala mu prędzéj spocząć na téj drodze pochyłéj, dopóki nie przemierzy całéj skali występków. Ale takie zbliżenie, takie saméj tylko idei abstrakcyjnie w dzieło włożonéj dotyczące pokrewieństwo pomiędzy dwoma utworami czyto poetyckimi, czy rysunkowéj sztuki — nie ubliża ani zasłudze późniejszego artysty ani wartości dzieła dotyczącego. Prawd ogólnych i wiekuistych, na których założone są węgły świata, szczupła tylko jest liczba. A objawów prawd takowych na tle rzeczywistych stósunków czy to w sferze dziejowéj czy potocznéj nieskończona jest ilość i nie ma dnia, w którymby mnogość ona nie powiększała się jeszcze... Pomijam zatém zupełnie tę właśnie stronę analogii między tragedyami, które tu porównywamy. Natomiast nie mogę przejść milczeniem nad podobieństwami w pomysłach poszczegól-

---

u Szekspira Regan z nienacka mieczem przeszywa sługę, potykającego się z jéj mężem, z tyłu napadając na niego. Zupełnie tymże sposobem ginie u Słowackiego Gralon, w plecy ugodzony śmiertelnie przez Balladynę, w chwili kiedy z przodu nacierał na niego Kostryn.— To są wszystkie długi w sztuce niniejszéj zapożyczone z Lira, jeśliby je kto koniecznie chciał za takowe uważać.

nych, konkretnych, całym scenom Balladyny za osnowę służących: a do takich liczę najprzód cały ustęp uczty w Balladynie, pod niejednym względem ułożonéj na wzór i podobieństwo sławnéj uczty w trzecim akcie Makbeta, gdzie duch Banka, tylko zabójcy swemu widzialny, między biesiadnikami zasiada; a potém — w wyższém jeszcze stopniu poczytuję za zapożyczenie się takie leżącą właśnie przed nami scenę skrytobójstwa dokonanego na Grabcu. W szczegółowém przeprowadzeniu uczty są przynajmniéj częściowe ustępy, dokonane samodzielnie i z niezrównaną poetyczną pięknością. Ale w tém miejscu zbliżenie się do wzoru szekspirowskiego zdaje się być posunięte daleko po za granice właściwe.

Tym ustępem rzeczywiście ubliżył sobie Słowacki! Cała ta sytuacya, wszystko co tę sytuacyą otacza, dekoracyjne do niéj przyrządy itd. taką samą są reminiscencyą tylko i niczém więcéj, chociaż je powleka własna słów szata, jak jest reminiscencyą nawet co do wyrazów ów wiersz, w téjże scenie w usta Balladyny włożony:

„Świecy! — mój cały zamek za błysk świecy!“ *)

Wierzę temu mocno, że w powyższych miejscach, kiedy one były pisane, ani marzyło się Słowackiemu, żeby to były rzeczy niegdyś czytane w Szekspirze. Zapożyczać on się u niego nie chciał, i wcale nie potrzebował tego. Niosła go fantazya, jak uragan niepowstrzymany: — i czując jéj potęgę poeta, nie wglądał, z jakich ona zasobów czerpie, czy z krynic własnego ducha, czy z światów — tylko studyami nagromadzonych w pamięci... Wskazuję na to rzadkie w rodzaju swoim zjawisko, albowiem ono u Słowackiego i niejednę inną anormalność tłómaczy. Siłą fantazyi przewyższał on niewątpliwie wszystkich naszych poetów. Że jednak fantazyi téj nie miarkował reflexyą, nie przenikał rozumem, nie kiełznał, nie badał, nie karcił zastanowieniem: dał przez to przodek przed sobą owym wybranym, co łączyli w sobie obojgo...

*) „Konia! konia! Całe królestwo moje za konia!“ w Ryszardzie III Szekspira.

Wracając do głównéj rzeczy, zauważyć tu muszę, że na karb téjto właśnie nierównowagi między siłą twórczości a instynktem krytycznym u Słowackiego, złożyć należy i ten nadmiar zawikłania, to przepełnienie okropnościami, od którego wymówić żadną miarą niepodobno końca sztuki obecnéj. Przepełnienie to razić stanowczo zaczyna w ciągu aktu czwartego. Autor zapomniał, że miał przed sobą daleko bardziéj obowiązek utrzymywać w widzach współczucie dla bohaterki, aniżeli malować czarność jéj już na całą wieczność zwichniętego sumienia. I ażeby wyrzeźbić w całéj posągowéj plastyce te jéj słowa rzeczone do pustelnika, kiedy tenże podsuwał jéj myśl żalu, nadzieję zmazania zbrodni, życzenie powrotu do życia zabitéj siostry — słowa mówię następujące:

„Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdéj twarzy trzy straszniejsze plamy:
Wolę je znosić aż do Boga sądu,
Niż — — “

uwidamia autor zaciętość i niepoprawność téj demonicznéj natury w taki sposób, że przy zdarzonych podobnych okolicznościach — pomimo że Balladynę w ciągu rodzenia się w jéj głowie tego występnego zamiaru widmo Aliny jak anioł boży przestrzegający od złego nawiedza w ciągu owéj biesiady i przeraża dotykalną grozą kary przewidywanéj — każe jéj iść przebojem i daléj drogą poczętą i popełnić raz jeden jeszcze tęsamę zbrodnię, jakiéj się dopuściła na siostrze.

Akt piąty wypełniają zdarzenia, ściśléj znowu powiązane z poprzedniemi zajściami, niż sceny czwartego aktu. Jest to akt samych już zgonów. Mnogość ludzi padających ofiarą, mianowicie jeżeli się do niéj doda tyle już zabójstw dokonanych w poprzedzających aktach, upoważnia do zarzutu niedarowanéj przesady w nagromadzeniu jaskrawych okropności. Skądinąd przyznać jednak trzeba poecie że każdy z tych licznych szczegółów tworzących katastrofę jest uzasadniony przynajmniéj lokalną jakąś stąd lub z owąd potrzebą. Pustelnik ginie, z rozkazu Balladyny, gdyż jest w posiadaniu tajemnic, które musiałyby ją zgubić, gdyby

zostały wyjawione. Kirkor ginie w walce z hufcami Kostryna, gdyż jestto bój, który po tém wszystkiém, co zaszło, nie może się kończyć inaczéj, jak tylko zagładą jednéj lub drugiéj ze stron walczących. Kostryn, po odniesioném zwycięstwie, zostaje trucizną zgładzony z świata, gdyż jest on już teraz niepotrzebném, a bardzo niedogodném dla Balladyny narzędziem.

„Jeżeli zwycięży:
Jak mu nagrodzę? w ziemi całéj łonie
Nie znajdę kruszcu na zalanie gardła
Temu Niemcowi“...

Nie pozostał tedy przy życiu żaden wspólnik, żaden świadek, żaden nawet możliwy oskarżyciel win ciężących na Balladyny sumieniu. Wszystkich, co przeszłość jéj znali, zamknęła w sobie mogiła. Matka stara, ociemniała, poszła gdzieś sobie w strony dalekie. Nie trafi ona do pałaców książęcych, których wnętrza otwierają się właśnie dla jéj córki przez lud okrzykniętéj królową. Nieznana nikomu i nikogo nie widząca nad sobą, doczekała się tedy Balladyna godziny, w któréj powiedzieć może:

...„Już przeszłość zamknięta
W grobach. — Ja sama panią tajemnicy!“

To sytuacyą zmienia.

...„Życie pełne trudu
Na dwie połowy przecięła korona:
Przeszłość odpadła jak od płytkiéj stali...“

Druga połowa życia, przyszłość, ma nie mieć żadnéj wspólności z krwawą drogą, która tę dziewczynę wiejską aż na wysokość tronu przywiodła.

„Nie dbam o sławę — wyższa nad sąd ludu,
Będę, czém dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą —
„Każcie wojennym brańcom rozkuć pęta,
Zastawić stoły na rynkach stolicy
I dawać co dnia dla żebraków strawę.“ itd.

Przyrzeka sobie tedy łagodne, dobroczynne, łaskawe dla wszystkich rządy, sprawiedliwy wymiar sprawiedliwości, słowem powetowanie uczynków złych i występnych stanowczém wejściem na inną drogę.

I jakąż na te znowu „postanowienia ludzkie“ dają odpowiedź one władze niewidome, potężniejsze niżeli wola człowieka?

Pęd popełnionéj zbrodni nie przestaje płynąć i daléj. Wobec téj przedmiotowéj potęgi, żadnego mieć nie mogą znaczenia okoliczności sztuczne i przypadkowe, że zbrodniarz zasiadł aż na wysokości samego tronu, albo że świadków przeciwko niemu zabrakło pomiędzy żyjącymi. To też działanie fatalizmu tego idzie olbrzymimi krokami naprzód. Za nic wszystkie zapóźne, połowiczne chęci nawrotu, po przeszłości tak dokonanéj. Rzeczy tak się same składają, że kiedy nie ma trybunału, wyższego nad Balladynę, to ona sama na siebie wydawać musi wyroki; i skoro nie ma świadectw dość pewnych na to wszystko, co dawniéj zaszło, to te minione, prawie zapomniane już nieprawości rodzą więc z siebie teraz, przed oczyma wszystkich, publicznie, taką okropną zbrodnię nową, że na jéj widok krew się ścina i w saméj okrucieństwa tego sprawczyni. Na torturach umiera stara jéj matka; umiera za to, że córkę która jéj się zaparła, i teraz jeszcze kocha; że ją i teraz jeszcze śmiercią swoją zasłonić pragnie od kary!..

Po tém wszystkiém wkracza ostatnia i najwyższa ze wszystkich potęg rządzących biegiem spraw ludzkich. Ponieważ wszystkie już ziemskie środki zostały zużyte, a demonizm cofnąć się na drodze swojéj nie myśli: więc czas, ażeby się niebo bezpośrednio wmieszało w to zwichnienie moralne natury ludzkiéj. Spada piorun z nieba, palec boży widnym się staje w bezpośredniém swojém działaniu i rzeczy świata tego wracają w karby należne.

Takto został wymarzony w poetyckiéj wyobraźni epizod, wsunięty w dzieje nasze mityczne, jako ogniwo łączące zamierzchłe czasy Popielów z pewniejszą i prawie już historycznem słońcem oblaną epoką Piastów. Jako ostatnia chwila przeddziejowego

istnienia, zaludniony on jest przez poetę, krom ludzkich, i fantastycznemi istotami. Fantastyczna ta cudowność jednakże rozwiewa się w mgły nicości wraz z świtem historycznego poranku. Uwzględnił i ten moment autor nasz, i w ostatnim akcie tragedyi wprowadza Goplanę, żegnającą te strony, zabierającą się z żalem do odpływu w zamierzchłą, w snach przedświtu pogrążoną jeszcze krainę — na północ...

„Chodźcie mnie uścisnąć aniołki,
Bo Goplana na wieki wam znika.
O zapłakane fijołki,
Róże moje, bądźcie zdrowe!..

„Polecę w okropną krainę
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar“...

Razem z upadkiem Balladyny, razem z końcem balladowego przedbytu Polski, rozwiewa się więc w błękit daleki i ta fantastyczna królowa Gopła — podobna do chmurki za żórawi kluczem płynącéj coraz wyżéj i coraz daléj po niebie — do chmurki blednącéj „jak miesiąc od słońca“, coraz mniejszéj i mniejszéj dla oka — wreszcie ginącéj w oddaleniu...

„Epilog“ nie należy do właściwéj osnowy sztuki. Jestto tylko odpowiedź autora na przewidywany zarzut, że jego powieść nie zgadza się z historyą. Zapytuje więc poeta: co jest historya? Czy historya, jak bywa, a raczéj bywała w dawnych czasach najczęściéj traktowana, wnika w skrytości serc ludzkich? czy dochodzi rzeczywistych pobudek zdarzeń, o których gada? czy wie wszystko?...

Martwa uczoność — pedantyczne poleganie na lada pozornych blichtrach — pochlebstwo względem panujących — płytka małoduszność, nie zawsze nawet będąca dobrodusznością: — oto zwyczajne przymioty kronikarzy. Z dziejowym wątkiem, nawiniętym przez takich ludzi, godzi się czasem rozminąć intuicyjnym jasnowidzeniom poety. O szczegóły tu nie chodzi — chodzi jedy-

nie o ogólne w zmyśleniach takich, dziejowe i psychiczne ideje. Z téj strony wolno poecie iść o lepszą z urzędową historyografią.

Z tym ostatecznym sensem całego epilogu, zdaje mi się, że się wszyscy zgodzimy. Nie poczytamy tego Słowackiemu za uchybienie, że wymyślił sobie do figur, znanych z podań bajecznych, jeszcze jednę królowę więcéj. W takich obrębach, jak przeddziejowa mytyczność, twórczości poetyckiéj służy cała swoboda. Zato wytknąć mu tu należy inną pomyłkę, to jest: że ogólny koloryt jego obrazu pod ubocznym wprawdzie względem, ale dość ważnym, staje znowu w sprzeczności z powszechném o téjże rzeczy wyobrażeniem. Mówię o pomieszaniu mytologii pogańskiéj z chrześcijaństwem, jakiego znamiona wszędzie się w Balladynie znachodzą. Dziwi mię bardzo, że się to właśnie mogło w tym dramacie najwięcéj Krasińskiemu podobać. Niezawodnie w czasach piastowych oświetlały już jakieś brzaski ewangieliczne tę krainę goplańską. Mieszały się miejscowe, po ojcach odziedziczone wyobrażenia religijne, z promieniami nowéj wiary. Lecz tak to być nie mogło, jak jest przeprowadzone przez naszego poetę. Najprzód bowiem nie widzimy u niego innéj pogańskiéj religii, jak grecką i rzymską, któréj przecie w tych stronach w żaden sposób nie możemy przypuszczać. Filon np. prawi ciągle o Apollinie, Wenerze, Dyannie itd. Nawet znane mu są takie osobistości wyłącznie greckie, jak Akteon, Endymion itp. Sąto oczywiście rzeczy bardzo niestósowne w tém dziele! Drugie, co mi się widzi jeszcze niestósowniejszém, to owo tak mocne w dotyczących miejscach nałożenie obrazu kolorami chrześcijańskimi. Nie tylko słyszymy ciągle wzmianki o Chrystusie i jego męce, o trzech królach, o Mojżeszu, o księżach, o organach, o odpuście, spowiedzi, rozgrzeszeniu, ale co gorsza, w akcie ostatnim, w scenie sądowéj, tak rzeczy są przedstawione, jakby chrześcijaństwo było już tu panującą, przez cały ogół, a nawet i przez organa rządu wyznawaną religią. To jest przesada, która i prostaczkowi dając się czuć doraźnie, zmniejsza złudzenie tak niezbędne dziełu dramatycznemu. Należało koniecznie inaczéj oddać to *chiaroscuro* dawnego stanu i nowego porządku rzeczy, pochwyconych w pierwszéj chwili przejścia z jednego w drugie.

Lecz to jest zarzut pomniejszy, gdyż dotyczy ubocznéj rzeczy. Ważniejszemi daleko widzą mi się inne niestósowności w tém dziele, które wytknąć musi krytyka mimo całego uznania dla poetyczności i głębokości pomysłu służącego mu za osnowę. Niestósowności te rażą pod kilku rozmaitymi względami, idą wszelako z jednego źródła: źródło to upatruję w niewłaściwości użytéj formy, t. j. w tém, że ręka poety wyrzeźbiła Balladynę w plastycznych kształtach tragedyi.

Dramat, a mianowicie też tragedya — jestto rodzaj poezyi zgoła odrębny. Cała natura téj poetyckiéj gałęzi do tego stopnia wymaga żywiołów sobie tylko właściwych, że mało który z przedmiotów, skądinąd stworzonych na to, żeby przyjąć na się kształty poezyi, nadaje się do tych wybrednych i skomplikowanych wymagań. Jeżeli jaki pomysł, to taki jak Balladyny, warunkom tym żadną miarą nie czyni zadość.

Niech mi się będzie wolno przedewszystkiém zapytać: czy ten ton ludowy, ten duch podań i wyobrażeń gminnych, użyty tu że tak powiem za regulatora wyobraźni poety, mógł — choćby nawet i pod piórem Juliusza — znaleść fortunne zastósowanie w dramacie?.. Gdyby Balladyna była zwyczajnym poematem: romantyczne pomysły, które w niéj przybrały ciało, fantastyczność, bezpośrednie demonizmu działanie, cudowność, słowem wszelkie nadzwyczajne sprężyny, grające tak przeważną rolę w tém dziele, byłyby nie tylko na swojém miejscu, lecz nawet jako nowe i nieraz głęboko pojęte rzeczy przydawałyby utworowi naszemu niepowszedniéj piękności. W dramacie—gdzie wszystko dzieje się przed żywemi oczyma widzów, gdzie złudzenie i prawdopodobieństwo stanowi tak konieczny wszystkich wrażeń warunek, gdzieśmy przywykli już wymagać od poety, ażeby wszelkie przejścia i zwroty działań działy się w imię pojęć, które my dzisiejsi i wszystko rozumem a nie fantazyą biorący ludzie uważamy za istotne i rzeczywiste: w dramacie powtarzam dźwignie takie, jak w Balladynie, nie są odpowiednie celowi. Przemiany Grabca to w wierzbę, to w starca — owa cudowna plama krwawa na czole, owe Skierki i Chochliki — wszystko to są przybory, dobre dla poematu, znośne w jakim pospolitym czarodziejskim melodramacie albo

wreszcie balecie; lecz w utworze, w którym się bierze rzeczy na seryo, w dziele mającém za zadanie poruszyć najgłębsze uczucia w widzach, sceny takie nie sprawiają wrażenia. Wolno było Szekspirowi wprowadzić element ten i zużytkować w Makbecie. Publiczność, dla któréj pisana była ta sztuka, wierzyła w czarownice; a wierzyła w nie tak powszechnie, że i poeta sam nie stanowił w téj mierze wyjątku od ogółu. Dziś inne są czasy i inne warunki sprawiania głębszych wrażeń na wyobraźni. Nasz poeta to czuł. Dlategoto też wycisnął on np. na owym świecie fantastycznym znamię znaczenia przez siebie dopiero onemu nadanego, znamię które go miało zbliżyć nieco do naszego stanowiska i podnieść po nad poziom ludowy. Lecz to znaczenie symboliczności nie dało się wlać w ten materyał zbyt powiewny w taki sposób, iżby go przenikało do rdzeni. Przenikło go zaledwie do połowy: reszta jest fantazmagoryą, która w scenicznym utworze raczéj razi, niż podobać się może.

Druga niekorzyść, z téjże saméj wynikająca przyczyny, widna jest w tém, że charakter Balladyny, tak jak jest przeprowadzony w tém dziele, okazuje niedostatki, które niedobrze oddziałują na całą wartość sztuki. W poemacie, w powieści, w balladzie itd. mogłaby to być figura, zupełnie czyniąca zadość warunkom piérwszorzędnéj osoby. W tragedyi — czarny ten charakter razi niestósowością: wzbudza wstręt, a tragicznych uczuć nie wywołuje.

Trzeciém téj niewłaściwości następstwem jest, że sztuka nasza o wiele przechodzi rozciągłość zwyczajnego dramatu i kiedy by była grana, to musiałaby być skróconą przynajmniéj o jednę czwartą. *)

---

*) Toby się zrobić dało, nie wystawiając przez to zbytecznie na szwank możności rozumienia całości kompozycyi. Mianowicie możnaby wypuszczać, przedstawiając Balladynę na scenie, następujące ustępy:

W akcie piérwszym: Na stronie (*edycyi lipskiéj*) 11, od wiersza 16 do str. 12 w. 28. — Na stronie 15, od wiersza 26 do strony 16, wiersza 22. — Na str. 17 wypuścić wierszy 9, począwszy od wiersza 24. Na str. 18 od wiersza 21 do wiersza 12 na str. 19.—

Na str. 20 wypuścić wierszy 9, począwszy od wiersza 13; i niżéj wierszy 8, począwszy od wiersza 29. — Na str. 21 opowiadanie Goplany trzeba ściągnąć do kilku wierszy. — Na str. 23 wypuścić wierszy 11, począwszy od wiersza 16. — Na str. 26 wierszy 3, począwszy od w. 16. —

W drugim akcie: Na str. 42 wypuścić wierszy 7, począwszy od w. 24. — Na str 50 wierszy 6, pocz. od w. 28. — Na str. 51 wierszy 10 od saméj góry, i niżéj wierszy 8, pocz od w. 27. — Na str. 53 cały ustęp, począwszy od wiersza 17 aż do samego końca téj sceny (na str 56), można także bez wielkiéj szkody odrzucić, jeżeli Balladyna już po monologu na str. 50 zabierze dzban malin z rąk Aliny zabitéj, i jeżeli się te wiersze ze strony 53:

„Jutro ty będziesz wolny mój kochanku;
Jutro wymawiać będziesz okrutnicy
Że cię dręczyła z ranka do poranku:“

przeniesie na str. 45 w wiersz jedenasty, dwunasty i trzynasty, i doda potém:

„Ale dziś niech kochanek Balladyny czeka“ itd.

zamiast: „Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka“, jak obecnie jest w texcie.

W akcie trzecim: Całą piérwszą scenę wyrzucić. Niemniéj cały ustęp z Filonem, począwszy od wiersza 17 na str. 80, aż do w. 11 na str 82. — Na str. 85 wypuścić wierszy 10, począwszy od w. 17. — Na str. 86 wierszy 23, począwszy od w. 4 — Na str 88 wierszy 6, począwszy od w. 8; i niżéj wierszy 6, to jest 4 ostatnie wiersze na téj stronie i 2 piérwsze na stronie 89.— Na str. 91 wyłączyć ustęp od w. 29 aż do str. 92 wiersza 10. — Na str. 93 wiersz 15ty zepsuty uzupełnić trzeba słowami: „niech ci służą“. — Na str. 94 wypuścić wierszy 6, począwszy od w. 16. — Na str. 95 wierszy 10 pocz. od w. 10.

W czwartym akcie: Cały długi ustęp wyrzucić, począwszy od strony 115 wiersza 8, aż do strony 119 tam gdzie się scena czwarta zaczyna.

W akcie piątym: Wypuścić początek aż do str. 125 wiersza 19. — Na str. 126 wyrzucić wierszy 10 ostatnich. — Na str. 129 wierszy 4, począwszy od w. 18. — Na str. 130 wierszy 19, pocz. od w. 16 — Na str. 131 7 wierszy ostatnich. — Na str. 132 wierszy 13, pocz. od w. 7. — Na str. 133 wierszy 9, pocz. od w. 20. — Na str. 135 wierszy 12, pocz od w. 22. — Na str. 136, począwszy od wiersza 4 z góry, cały ustęp aż do str. 137 w. 9.— Niżéj na str. 137 wyłączyć 9 wierszy ostatnich i 16 wierszy piérwszych na str. 138. — Na str. 143 wierszy 9, pocz. od w. 17. — Cały Epilog także w przedstawieniu pominąć.

Zdaje mi się, że wykreślenia powyższe ożywiłyby dyalog, w każdym zaś razie skróciłyby sztukę o dobre 25 stron, co samo jużby

wielce ułatwiało możność należytego odegrania kiedy Balladyny na scenie. Była ona wprawdzie raz już grana we Lwowie w r. 1862 na benefis p. Wilkoszewskiego. Że jednak dano ją wtedy całą, bez żadnych zaokrągleń i skróceń, trwała tedy reprezentacya zbyt długo, a publiczność niecierpliwiła się i odeszła do domu niebardzo zadowolona z tego wieczora. Mogły się do tego przyczynić i rażące niedostatki w dekoracyach i maszyneryi, którą na prędce, bez wielkiego zachodu, przyrządzono z tego, co było pod ręką, nie troszcząc się wcale o to, żeby rzecz podnieść i w tym kierunku. Balladyna potrzebowałaby wielkiego wytworu w tym właśnie względzie w ustępach swoich fantastycznych, jeżeliby takowe podobać się miały widzom. Oprócz baletowéj staranności w tych akcesoryach dekoracyjnych, potrzebną byłaby jéj koniecznie i muzyka stósowna, towarzysząca działaniu w partyach czarodziejskich czynników akcyi. Bez tych pomocy ze strony sztuk pokrewnych, poezya w tém dziele nie potrafi zrobić wrażenia, któreby wynagrodziło śmiałość i powiedzmy otwarcie: zuchwałość poety, dającego taki pomysł w kształtach scenicznych.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Rozbior Lilli Wenedy. — Dany w niéj obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowéj? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa“, wskazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiéj jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum-Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na któréj dramat osnuty. Czy jéj wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi.

Lilla Weneda wyszła z druku wprawdzie po Balladynie. Co większa, Balladyna i napisana nawet została kilka lat pierwéj, niżeli Lilla. Pomimo tego, jeżeli chodzi o miejsce w szeregu sześciu owych zamierzonych dramatów, z których się miał złożyć cały cykl legend fantastycznych o najdawniejszéj Polsce: to piérwsze miejsce w tym cyklu zajmuje właśnie dramat niniejszy. Daje w nim poeta właśnie sam zawiązek, sam zaród społeczeństwa naszego. Drugiém ogniwem tego łańcucha miał być Krakus, którego Słowacki stawia jako syna Lecha. Dla Balladyny, jako wsuniętéj tuż przed czasy piastowe — więc już po dynastyi Popielów, przypada jedno z miejsc ostatnich, może piąte, lub szóste. Piąte, jeśli miał należeć do téj całości i „Wallenrod“; ostatnie — jeśli ta kreacya miała stanowić dzieło osobne.

W tym stanie rzeczy, jaki obecnie jest, posiadamy tedy tylko sam początek i koniec téj projektowanéj kolei legend. Lilla — to nawiązanie, a Balladyna — to dośpiéw téj udramatyzowanéj Epopei przedbytu.

Główny pomysł Juliusza co do zawiązku narodu naszego i zgadza i nie zgadza się z tradycyą przekazaną o tém przez kronikarzy. Zgadza się z nią w głównéj rzeczy — rozmija w szczegółach. Poeta nasz idąc w szczegółowém rozprowadzeniu dotyczących okoliczności wbrew tym podaniom i po większéj części wbrew też rezultatom ostatnich historyków, stworzył jednakże świat, który w sobie ogólną historyczną prawdę zamyka i nie tylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia ostatecznie odpowiada powziętym powszechnie o genezie naszym pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie, był czémś odrębném w słowiaństwie: temu i historya nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, nieco odmiennych, czysto słowiańskich stósunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposób mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcéj, aniżeli w sobie mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i owdzie słowiaństwa. Historyczna krytyka nie doprowadziła do pewnéj konkluzyi, skąd i kiedy i jak te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian osiadłych po nad Gopłem i Wisłą. Lelewel, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotów prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski wywodzi Polan od Daków czyli Traków, zatém z południa. Maciejowski od Swewów, więc z zachodu. Szajnocha od Skandynawów, zatém z północy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzają wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatém ze wschodu... Te różnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś przybytkowe wszczepienie latorośli nieco odrębnéj w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy piszą jakby na fakt dowiedziony, a tradycya odwieczna o przyjściu Lecha w te strony, także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historya pojmuje to przybycie nowych żywiołów na ziemię naszę w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższéj, organizacyi odrębnéj, może też wreszcie nawet i rasy obcéj, lecz w taki sposób, że takowa bez wielkiego oporu potrą-

fiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobów i choć nad nimi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczéj sama się do nich przyswoiła i rozpłynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją była miała w sposób gwałtowny wyprzéć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę stósunków przemianę jako podbój, jako krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, co większa, jako bój dwóch różnych plemion o śmierć prowadzony lub życie w dosłownem wyrazu tego znaczeniu. Przedstawia przyjście Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszéj tych okolic ludności — na korzyść przybyłéj rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historyi i pokonanego plemienia za główny przedmiot swojéj tragedyi. Żywioł lechicki, zwycięski, dopiéro poczynający tu życie — odgrywa w niéj rolę tylko deuteragonisty. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli „Wenedów“ nadgoplańskich, które po długiém i rozgłośném niegdyś istnieniu w szerokich kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jestto zatém per excellentiam tragedya idei, tragedya narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych.

Sztuka się poczyna samym początkiem najazdu. Widzimy tu wprawdzie od razu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, piérwsze już starcie.

— „Cóż myślisz starcze o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem téj krainy:
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj tymi ludy“... itd.

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do Derwida pokonanego, już się poczyna akt piérwszy. —

W poprzedzającym akt ten Prologu, którego czas przypada właśnie na chwilę owéj bitwy stanowczéj, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś po za sceną: daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że We-

nedzi wskazani są na zagładę; że cięży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny któréj upaść i zaginąć muszą.

— „Przekleństwo, przekleństwo. przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona — i na wieki
Widzę umarłą“...

— „Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o biada nam, biada! — “

Słowa te wypowiadają Róża Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką — i harfiarze, którym jako kapłanom narodowym, odchylona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni tylko sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie to zbliżającego się końca cięży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w téj ostatniéj walce z najezdnikami... Poeta nie tłómaczy ani powodów ani bliższych okoliczności owego przekleństwa, rzuconego na cały szczep Wenedów. Możnaby go tu prawie posądzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tém bardziéj zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dramacie mogłoby się zdawać na razie uzasadnioném, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnéj nad nimi wyższości. Przeciwnie, jestto rasa jakaś i fizycznie karłowata, i duchowo napiętnowana jakiemiś oznakami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, coby znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwe popełniająca nawet obrzydliwości! Wszakże sam Lech, patrząc na rosłe ciała, na dumne postawy swoich jeńców zakutych w pęta, mówi do żony:

„Gwinono patrzaj, jaki to lud rosły!..
Ja komar — i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w ręku jak cytrynę!..

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie!“ —

Zdawałoby się, z tych chełpliwych słów wnosząc, że za tę drobność zewnętrzną ciała, natura wynagrodziła Lechitów nie

tylko tęgością nadzwyczajną sił fizycznych, lecz może i mocą duszy, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniéj nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju — tę im przyznaje, ale prócz tego — nic więcéj.

„O jak rycerze ci są łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.
A choć szychową nić zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć z kłębka — jedni przez lenistwo,
Drudzy widzący w tém może pożytek
Albo zabawę: i tak oszukani
Fałszu krzewinie rosnąć pozwalają!“

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekkomyślność jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebném, że to „lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących“ złożony, który jeżeli ona go w opiekę swoję nie weźmie — przy lada burzy rozpaść się musi.

Na tosamo wychodzi, co w swój znowu sposób i przy innéj okoliczności o téj rasie wypowiada pocieszny i głupkowaty Ślaz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił.

— „Cóż to? Czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać in „verba magistri“ —
Owczarstwo — czy to wszystko mi do twarzy? —
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą —
Niechaj oblezie ze mnie piérwsza skóra.“ itd.

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tém miejscu wyrzéc nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się późniéj okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły satyrycznie usposobione polskim szlachcicom, rozumiejąc przez wyraz ten cały ogół mniéj światłéj massy w łonie wyższego towarzystwa naszego...

Lech sam jest prototypem rzeczonych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża: słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru i bez różnicy, wszystkiemu i każdemu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwie pociesznych niekonsekwencyi (np. przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy danéj Lilli Wenedzie co do uwolnienia jéj ojca, albo też o narażenie się na gniéw krzykliwéj a tyranizującéj go małżonki). Słowem, jestto prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do dramatu wyraził: „praszczur Sobieskiego“ — przy silnéj ręce, a molierowskiéj w domu słabości. „Kontusz mu włożyć i bóty czerwone, gdy wróci z piorunowéj walki, siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. Kontusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje — bez jutra!“

Otóż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winićby o to trzeba, gdyby zagłada ich plemienia, na korzyść takich najezdców, miała rzeczywiście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słuszność jest po stronie tych, którzy bronią swojéj ojczyzny. Przewagą liczebną także przewyższają Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego ich charakteru zmuszają w dramacie często nie tylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatém bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już stron chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, „że to był dobry lud, choć nie chrześcijański.“ Dlaczegoż tedy opatrzność czy wreszcie szczęście samo łaskawszém byćby miało dla Lecha i jego szyków, równie jak Wenedzi nie będących jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla téj ludności spokojnie mieszkającéj u siebie? Jeżeli przeto, że to pokolenie obarczone przekleństwem: to kto je niém obarczył? za jakie wykroczenie? przed czyim trybunałem?

Na te wszystkie pytania nie ma w dziele odpowiedzi gotowéj; ale całe jego przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedyi staje za wymowne rozwiązanie całéj tu poruszonéj zagadki,

Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowéj sile żywotnéj, tak niezbędnéj do istnienia ciałom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło ich przekonanie, że potrafią się oprzéć nawet wrogowi, który w stal zakuty od stóp do głowy, poprzedzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odziedziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brzęków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przyszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli, żądać jéj i wymóc ją — nawet wbrew wszystkiemu, co onéj przeczy. I to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wyższość Lechitów na tém właśnie polega, że lubo oni jak się powiedziało, podlegają tylu rozlicznym ułomnościom i niedostatkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swoję i mają serce do boju.

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już pozostała tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta o losie dzieci itp. zmuszona ona jest jednakże powiedzieć mu i te słowa, wcale nie będące naganą, a tłómaczące naszę zagadkę:

„Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwo...“

A Róża Weneda kiedy opowiada swoje widzenie w przededniu walki, mającéj ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie inném świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie

kilkunastu tysięcy, ale z wybladłemi twarzami, w grobowém milczeniu zajmujących miejsca na przyszłém pobojowisku. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju

„Równi, zimni, biali jako groby —
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem.“

Powiada, że kiedy chcąc się przekonać, co się dzieje w piersiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszéj: to znalazła u jednego, „że w nim serce zbladło i tak trzęsło się, jak liść olchowy.“ W piersi drugiego znalazła zamiast serca — kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: — to była pusta! nie było w niéj nic miasto serca. I nie zazierała już daléj wróżka natchniona do serc ludzkich swego narodu, bo się dowiedziała o wszystkiém...

Gdzie tak rzeczy się mają, tam i katastrofa gotowa. Gdzie tacy zapaśnicy, tam i wypadek walki z góry wiadomy. Nie byłoby o czém ani z czego i tutaj stworzyć dramatu. Jednakże są jeszcze przynajmniéj pojedyncze pomiędzy Wenedami osobistości, które grozę położenia pojmują, nie zapomniały godności narodowéj, zachowały choć iskrę wiary w skuteczność swoich poświęceń; które czują ciężar obowiązku i mają siłę go dźwigać. Są jeszcze ludzie, którzy jeśli nie więcéj, to pragną się bronić, żeby — jeżeli trzeba już legnąć, legnąć przynajmniéj bez hańby, i oddać życie — nie bez drogiego okupu i odwetu.

Stawmy przed sobą te wybitne charaktery słowiańskie, podtrzymujące akcyą tragedyi.

Oto najprzód Derwid, sędziwy król Wenedów. Znękany to starzec, w wysokim stopniu wyobrażający wszystkie braki swego plemienia, ruina, niemoc uosobiona... Ale ruinato zdolna wzniecić i w wrogu cześć dla tego, czém była kiedyś. Mąż królewskiego ducha, który się śmierci ani okrucieństw żadnych nie lęka. Walczy — wprawdzie tylko słowami, ale słowami, które w wroga uderzają jak razy. Ożywia i zapala się — wprawdzie na tylko

znikomą zawsze chwilę, żeby po wysileniu takowém opaść z sił w tém bezbronniejszą bierność. Ale wiary do harfy swojéj, tego symbolu narodowego zbawienia, nie traci nigdy i wzniósł się duchem na wysokość, z któréj dumnie zapowiada wrogowi:

„Że po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz.“

Są daléj dwaj synowie jego — tak podobni do siebie, a tak jednak różni usposobieniem. Młodszy Lelum — to poeta, marzyciel, to Kordyan tamtych wieków, serce narodu. Starszy Polelum — to tego narodu oręż, grom, jego jedyna siła, która jeszcze zdolnaby była i w czyn rozkwitnąć zbawczy, gdyby to było rzeczą podobną, ażeby jeden stanął za wszystkich; gdyby jedna latorośl zielona mogła ożywić soki w całém drzewie — zwiędniałém!.. Lelum-Polelum — dwie nazwy, dwa wyrazy niezrozumiałe dla dzisiejszéj epoki, choć przekazane tradycyą, połączył poeta w jeden więc pomysł. Skuł dwóch tych braci jednym łańcuchem, zaczepionym jednym końcem do prawéj ręki młodszego, drugim do lewéj starszego brata. Stawia ich obu jako jednego wodza w téj ostatniéj narodowéj potrzebie, jako wodza o dwóch głowach, a jednym mieczu i jednéj olbrzymiéj tarczy. Miecz — dzierży prawa ręka Polelum, tarcza — zdana lewéj ręce drugiego brata. Tak oni walczą i tak giną na stosie. W tém połączeniu dwóch jestestw, przekazują oni po sobie ostatnie wspomnienie pamięci wieków potomnych. Dwa imiona mytologiczne, dotąd prawie śmieszne, a w każdym razie bezmyślne, nabrały więc w dziele obecném znaczenia. Znaczenie to nie jest bez ubocznego związku i z charakterem narodowym całych naszych dziejów następnych. Dwie głowy — a jedna ręka! Dwa niestety rozumy — a jedno tylko działanie. Nie jestże to rzeczywiście, jak poeta w przedmowie swojéj natrąca, wiekowe, tradycyjne „nieszczęście narodu?“ Nie jestże to przeznaczenie, nie tylko „przewodniczące tamtemu przez Boga potępionemu ludowi,“

ale i owym wojennym spadkobiercom jego krainy, którzy tu dalsze dzieje więcéj w jego duchu, niżeli w własnym rozsnuli?

Mamy w dramacie nakoniec dwie córki króla Derwida, Różę i Lillę Wenedę. I tutaj uwydatnił Słowacki stanowczy kontrast między obiemi siostrami. Starsza jest wróżką, kapłanką i ofiarnicą swego narodu. Nie tylko powołaniem, ale i usposobieniem wyższa nad płeć swoję niewieścią — może sama jedna w pokoleniu owém całém obdarzona jasnowidzeniem tego, co się dzieje w duchu narodu i na co się w nim zanosi: wystaje Róża Weneda w dramacie, w kolosalnych, twardych, ostrych zarysach, po nad wszystkie inne w nim działające figury, i tą surową wielkością duszy zniewala do podziwienia. Na pozór poczyna ona sobie niekiedy jakby istota nieczuła, zdolna tylko krwawych porywów, bez łez i serca dla siostry, dla braci, dla ojca pojmanego w niewolę i powracającego z niéj potém z wydartemi oczyma. Zamiast jakby się należało powitać w téj scenie ten tak późny, tak niezupełny powrót rodzica swego do domu, zamiast otoczyć ciemnego starca tém przyjęciem, jakiego się mógł spodziewać ze strony dzieci, a raczéj ze strony jedynego dziecięcia, które nie dzieliło jego niewoli: Róża Weneda zwięźle i ponuro zagaduje Derwida, dlaczego bez swojéj harfy powraca? Derwidowi wprawdzie wiadomo, że od téj harfy zawisło ocalenie Wenedów; wiadomo mu, jakie miejsce w społeczeństwie narodowém starsza córa jego zajmuje; wiadomo mu, że ona czuje za naród cały i że tylko to jedno uczucie serce téj dziewicy zapełnia. A przecież, w takiéj chwili, nie rozumie on sam nawet Róży Wenedy. Pojąć tego nie może, żeby na widok wydartych jego oczu, na widok twarzy zlanéj temi łzami krwawemi, mogła córka jego, kobiéta, myśleć jeszcze o czém więcéj, jak tylko... o takim powrocie ojca! I karci, przeklina prawie to na pozór niedobre dziecko:

— „O gadzino!
Czy ty się z harfy mojéj urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? — Gdym tu przychodził,
Skakały na mnie psy wyjąc z radości,
A ty jak kruk“... etc.

„Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!
O bogdaj piérwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie!“...

Te wyrzuty starca świadczą jednak więcéj przeciw Derwidowi samemu, aniżeli przeciwko Róży. Dowodzą, że król Wenedów jest niezdolny — nie powiem: podzielać, ale nawet rozumieć tego nastroju ducha, do którego w takiéj chwili, jak tamta, wznieść by się powinna cała ludność zagrożona zagładą, przedewszystkiém zaś sam panujący, jako bezpośredni wyobraziciel idei swego narodu. To też bynajmniéj się nie miesza kapłanka nasza temi gorzkiemi wymówkami rodzica. Czyni co do niéj należy z tymsamym spokojem duszy, z jakim to czyniła przed przybyciem Derwida; a na jego wyrzekanie i skargi patrzy w milczeniu pełném boleści, jak na poczynanie sobie człowieka przeżytego i zdziecinniałego, który nie wie co czyni... W innych miejscach daje też poeta wymownie do rozumienia, że i Róża Weneda ma serce, ale serce do czynów, do walk, do zemsty nareszcie, a nie do łez, które gaszą ogień serdeczny. Jéj słowa wyrzeczone do siostry:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“

określają dostatecznie cały charakter téj roli.

Podczas kiedy starsza siostra działa w dramacie jak Eschylowska więc Eumenida, która „jednym strasznym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swemi nogami“: przydzielił poeta naturze młodszéj Lilli właściwości całém niebem tamtéj przeciwne. Zamknął w jéj piersi uczucia wdzięczne, miękkie, tkliwe, prawdziwie niewieście — uczucia właśnie w tym stopniu zmuszające do miłościwego współczucia, ile natura tamtéj tylko chłodny obudza podziw. Wizerunek ten dziewicy cichéj i łzawéj wykończył Juliusz z całą miłością artysty. Wymarzył sobie tę prawdziwą Antygonę słowiańską, nad nagrobkiem gdzieś w Szwajcaryi kiedyś widzianym, ze starożytnego Rzymu jeszcze epoki datującym, który mu teraz stał przed oczyma ducha, jakby był materyalnie obecny. W krótkich ale powiedziałbym magnetycznych wyrazach skarży się tam jakaś młoda męczennica

pogańska na nielitość przeznaczenia swojego. „Julia Alpinula tu leżę — nieszczęśliwego Ojca nieszczęśliwa córka — bogów awentyńskich kapłanka. Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam. Nieszczęśliwie umrzéć w losach jego było. Żyłam lat XXIII“... Nowsza filologicznego skeptycyzmu krytyka dowiodła niedawno temu, że ten napis grobowy należy do apokryfów. Mniejsza o to! Napis może sobie być podrobiony: — pomysł jego jednakże nie przestanie dlatego być pomnikiem autentycznéj, bo prawdziwéj poezyi. Z niewielu dat téj lapidarnéj kroniki, jak widmo wyziera powieść strasznego jakiegoś zajścia. Żywsza wyobraźnia dosnuć tu sobie potrafi cały poemat poświęcenia i miłości, tragicznie kontrastującéj z ciemném tłem czasów, które pochłonęły tę białą postać dziewicy, zabitéj w swojéj wiośnie tak rychłéj. I nasz poeta z téj wymownéj, choć w słowa tak skąpéj skargi, z tego jęku właściwie nie nad sobą, ale jedynie nad ojcem, wywołał pomysł swojéj idealnéj Słowianki. Żeby wydobyć na jaw cały urok téj melodyjnéj duszy, przeciwstawił niewieścią jéj potulność — spiżowéj grozie starszéj córy Derwida. Róża jest kapłanką bogów rodzinnych, a Lilla — to już chrześcijanka — to piérwsza nawrócona w Słowiaństwie! Tamta — już z natury surowa, ponura, duchem wyłączna, w sobie saméj zamknięta, zdolna myślą dźwignąć z posad całe arkanum państwa swojego ojca, a bez zmysłu dla cierpienia jednostek: a ta gibką swoją postacią, jak bluszczu zielonego gałązka, przeznaczenia swojego szuka jedynie około siebie; z uśmiechem na twarzy, ze łzą miłości w oczach zawisa białemi ramionami u szyi ojca, braci, siostry co jéj w dzieciństwie zastępowała matkę, i tylko nato żyje, żeby dni drugich umilić, rozjaśnić, szczęściem umaić, dopóki można; żeby je okupić śmiercią swoją, gdy tego trzeba. O losy narodu, jako ogółu, nie pyta. Przyszłości — nie zna. Przeznaczeń — nie bada. Żyje w obecności — i to jéj wystarcza; pragnie szczęścia — dla każdego z osobna. Świat się do niéj uśmiecha — poznała miłość, jest zaręczoną: ale ta nadzieja szczęścia na ziemi nie więzi jéj jednak do ziemi. Pragnie żyć, lęka się śmierci — a jednak bez wahania niesie życie swoje w ofierze, byleby ocalić tych których kocha, od zguby.

Rzecz jasna, że z pomiędzy wszystkich osób wprowadzonych w ramy dramatu, Lilla Weneda ma najwdzięczniejsze i najrzewniéj nastrajające zadanie. Jéj rola głównie sobie współczucie widza ujmuje. To też jeżeli która z tych pojedynczych postaci, to ona właśnie mogłaby być nazwaną bohaterką tragedyi. Rzeczywiście jednakże herosem sztuki naszéj jest cały lud Wenedów, o losy którego ostatecznie tu chodzi. W nim głównie poeta uobecnił i uwidomił tragiczność idei, która mu tu dała natchnienie. Nie ma zaiste rzewniejszego obrazu ani tragiczniejszego widoku, nad konanie szlachetnego narodu, jeżeli na konania tego przyczyny złożyły się rozliczne momenta z własnéj jego winy wynikłe, nie będące jednak taką skazą na obliczu jego duchowém, żeby sumienie widzów, na ten straszny dramat patrzących, nie miało im mówić, że to kara nieboska, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf nie idei, ale potęg tylko doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie z szczęśliwéj dla nich okazyi... Takiegoto konania tragicznym wizerunkiem mieli być w téj kreacyi Wenedzi. Czy nim są? o tém możnaby sądzić różnie. Mnie się zdaje, że obraz rzeczy téj nie jest w dziele naszém zupełny. Autor zaniedbał wykończyć go z tą plastyką artysty i z tą historyozoficzną mądrością myśliciela, jakiéjby tu koniecznie była potrzeba. Odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnéj Wenedów. A zapomniał skreślić dodatnie, nawet i teraz jeszcze, strony ich charakteru. Przynajmniéj nie wyrzeźbił ich z tą wymową skądinąd właściwą jego utworom, iżbyśmy czuć mogli nie tylko całą wagę i całą prawdę, ale i całą ironią skargi, włożonéj w usta ostatniego z rodu Wenedów na końcu sztuki. Jest nim Polelum, stojący już na stosie, ażeby umrzéć na grobie swojéj ojczyzny. Spieszą ku niemu dwaj spadkobiercy puścizny pozbawionéj swego dziedzica, jak gdyby nieśli ocalenie dla plemienia, które właśnie skonało. Lech woła: stójcie, bo ja przynoszę wam życie! Gwalbert głosi: stójcie, bo ja wam wiarę przynoszę. Wtedyto wypowiada Polelum te słowa, tłómaczące całą dążność tragedyi, i zarazem stawiające jakoby na piedestalu pomnikowéj w dziejach wielkości pokolenie owo, w dramacie pokonane:

— „Boże, patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego! Patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska!“...

Widzimy więc, że cała ta sztuka odsłania uprawnienie Wenedów i w owéj jeszcze porze do bytu, tylko zatém porównawczo, względnie, pośrednio, t. j. o tyle tylko, że w porównaniu z nimi Lechici duchowo i fizycznie, w indywiduach swoich i w obyczajach, w rodzinie i po za jéj obrębem, wyglądają jak karłowate jakieś i pełne ułomności postaci. Ale własne, dodatnie i wprost przemawiające do wyobraźni zalety społeczności Wenedów pozostały po za ramami obrazu, co w każdym razie doniosłość téj kreacyi jako tragedyi osłabia i bynajmniéj nie przyczynia się do wydobycia na jaśnią istotnego w niéj założenia.

Bądź jak bądź, zamiar taki autora, jako zamiar, dostatecznie jednak z dzieła wyziera i wątpliwości nie podlega, że główna rola spoczywa tu na tym właśnie czynniku. Ponieważ wszakże niepodobno było poecie z artystycznych przyczyn rozwinąć akcyi dramatu na tém jedynie tle działań i cierpień zbiorowéj osoby, jaką jest naród: musiał tedy osobę tę moralną pozostawić w idealnéj głębi obrazu, a zapełnić przestrzeń jego konkretną działaniem pojedynczych osób, o ile takowe najpełniéj i najwybitniéj wyobrażają stan ducha swego narodu. Osobami takiemi są głównie obie córki Derwida. Starsza działa w miarę charakteru, jaki jéj przydzielono, przedewszystkiém mając na oku cały ogół narodu. O losy jednostek, chociażby sercu najbliższych, nie pyta. Przygotowuje czyn ostatni Wenedów, przepowiadany z dawna w wróżbach jéj objawionych w sposób że i tak i owak, jak wszystkie wróżby na świecie, może być wykładany. Ani się zbytecznie ku ufności skłaniając, boć zna usposobienie społeczeństwa swojego, ani też nie rozpaczając stanowczo o tém wszystkim, co przyjdzie: rozsyła harfiarzy swoich na wszystkie pokolenia i zwołuje cały naród do walki. Jeśli ocalenie nie jest jeszcze z rzeczy przechodzących wszelki zakres możności, to ona siły do niego w Wene-

dach rozbudzi i zmusi ich do odniesienia zwycięstwa. Jeżeli zaś jest już rzeczą konieczną, żeby plemię to w własnéj swojéj dziedzinie przyjęło na się jarzmo obcego służebnictwa i zakończyło dzieje swoje sromotą: to niechże raczéj ginie i skona, byle całe, byle na polu chwały, z orężem w ręku, biorąc do grobu z sobą świadectwo, że uczyniło w obronie swojéj, co mogło. Wtedy odwet za to zabicie narodu będzie poruczony przyszłości, choćby najdalszéj. Pomsta przyjdzie, choćby ją spłodzić miały zmarłych popioły... Taka jest rola i taki kierunek działania Róży Wenedy.

Tragiczność roli téj w tém jest widna, że chodzi o przeprowadzenie czynu, do którego braknie żywiołów w społeczeństwie. Jestto walka z fatalizmem, przebój żywotności w jednostce z ociężałością i bezduchem ogółu. Na takich sztandarach imię idei nieśmiertelnéj jest wypisane. To ich prawo. Ale nie ma komu nieść tych sztandarów. To ich niemoc.

W zupełnie innym kierunku idzie działanie drugiéj córy Derwida. Lilla wyobraża żywotność idei słowiańskiéj w rodzinie. Jéj ideałem — szczęście osób najbliższych sercu. Gdyby można było żyć dla ideału tego, nie pytając o to, co się tam daléj dzieje w narodzie: nie wchodziłaby pewnie i nasza bohaterka w żadne zawikłania z zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale związek między rodziną a społeczeństwem jest nadto ścisły! Po wszystkie wieki iści się owo proste a tak głębokie słowo Wajdeloty, powiedziane o Walterze u Mickiewicza: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“... To też i w obecnéj tragedyi miłość rodzinna prowadzi doraźnie do podjęcia boju na zewnątrz. Jest to bój dziewicy, bój prowadzony o wybawienie tylko trojga pojedynczych osób z niewoli, bój nie na oręż, ale raczéj na rozum i na przebiegłe serce, ale zawsze bój straszny: i kończy się równie tragicznie, jak cała walka Wenedów.

Lilla podejmuje na się zadanie, wyprosić z jeństwa ojca i braci, których wzięto w niewolę już w piérwszéj z Lechitami potyczce.

„Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O pobłogosław ty mi siostro moja —.

I wy mi starzy ludzie błogosławcie!
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!
O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie —
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżéj lata:
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —
A wtenczas płaczcie wy biednéj dziewczyny!“

W tych kilku wierszach zawiéra się cały przebieg téj roli. Jest to rzeczywiście walka słabéj gołąbki z sępami, które tylko uznają racyą szponów swoich drapieżnych. Smutna, choć wzniosła walka miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią... Pomysł téj właśnie części dramatu należy niezawodnie do najcelniejszych jego piękności. Tém bardziéj też żałować tego należy, że wcielenie pomysłu tego w szczegóły, że przeprowadzenie rzeczy w pojedynczych ustępach, dalekiém jest od tego, żeby miało zaspakajać pod każdym względem.

Lilla przybywa do Gwinony z zamiarem ujęcia jéj sobie pokorą. Przy pomocy Matki Bożéj, któréj za radą Gwalberta ślubuje czystość dziewiczą, spodziewa się Lilla Weneda, że potrafi skłonić nieprzyjaciół do prośby, z jaką przychodzi. Przybywa na nieszczęście za późno. Ukazują jéj ojca — już z wyłupionemi oczyma! To ją wprawia w oburzenie najwyższe. Ufna w opiekę Bogarodzicy, która (jak jéj to św. Gwalbert zapewnił) za ślub uczyniony czystości stoi po jéj stronie, daje nieoględnie wyraz uczuciu, jakie w niéj wre, i zapowiada żonie Lechowéj, że ta cała wściekłość przeciwko bezbronnemu jéj ojcu okaże się bezsilną, gdyż potrafi ona go wydrzéć z ręki oprawców, choćby i trzy razy wymyśliła Gwinona dla niego śmierć najokropniejszą... Gwinona złośliwie bierze dziewczynę za słowo. Przyrzeka puścić Derwida na wolność, jeżeli Lilla rzeczywiście tego dokaże, co tak chełpliwie wyrzekła, i potrafi na przekorę wszystkiemu co nastąpi, wybawić trzy razy ojca od śmierci. Z tego wywięzuje się dla Le-

chitki pochop do wymyślania po trzy kroć najwyrafinowańszych okrucieństw na zagładę oślepionego więźnia, a dla Lilli konieczność trzykrotnego udaremnienia tych usiłowań. Otóż więc w szczegółowém przeprowadzeniu tegoto założenia, zapełniającém w każdym razie większą połowę sztuki, upatrywać można jakby sprawdzenie własnych słów autora w przedmowie mimochodem rzuconych o sobie samym, że ile tylko razy przyjdzie mu zetknąć się z rzeczywistemi rzeczami, to opadają mu skrzydła. Wcielenie genialnego pomysłu, środkami artystycznéj techniki, w materyą zdarzeń i zawikłań pomiędzy ludźmi — to należy w zawodzie poety niewątpliwie do rzeczywistych rzeczy. To też w ustępach, w których się powyższego pomysłu szczegółowe przeprowadzenie zawiera, okazuje zdaniem mojém dramat niniejszy najsłabsze swoje strony.

Piérwsze wskazanie na śmierć Derwida już samo przez się jest zgoła nieodpowiednie warunkom środków scenicznych. Zawieszają starca na drzewie, za siwe jego włosy, nie zbyt wysoko po nad poziom, lecz tak iż stopami ziemi nie tyka. W téj postawie ma pozostać tak długo, dopóki albo nie umrze, albo przez córkę — bezbronną i bezsilną — nie zostanie wybawiony od śmierci... Autor sam czuł niepraktyczność artystyczną tego pomysłu, i przeto usunął widok ten, nawet samym oczom niemiły, po za kulisy, a na scenie daje widzieć tylko cień wiszącego Derwida. Niewiele to jednak rzeczy pomaga! Nie dość na tém. Przychodzi do ocalenia starca z téj napowietrznéj pozycyi w taki sposób, że jeden z synów jego zmuszony zostaje, wielce problematycznym, bo o sto kroków wymierzonym rzutem ostrego topora, przeciąć tę krótką smugę włosów w odstępie właśnie między głową a gałęzią, na któréj Derwid wisi. Myśl tę poddaje sama Lilla Weneda. Rzut się wprawdzie udaje, ale jakaż to scena okropna!.. Otóż właśnie okoliczność, że rozpaczliwa ta próba była przez Lillę samą poddana, odbiera rzeczy znaczenie, jakieby miała, gdyby to był wymysł pochodzący ze strony udręczycieli. A remiscencye, zawsze w razach podobnych niekorzystne, które się tu każdemu czytającemu mimowolnie nasuwają, remiscencye mówię

z historyi Tella, i skądinąd zbyt znanéj i spożytkowanéj już nawet i w zakresie poezyi — psują do reszty wartość całego tego ustępu.

Drugi zamach na życie Derwida, udaremniony przez jego córkę (osnowa aktu III), wikle się w jeszcze gorszych niewłaściwościach. Na rozkaz Gwinony zostaje starzec wrzucony na spód jakiejś zapadłéj wieży, zapełnionéj jadowitymi wężami. Ma tam przez nie zostać pożarty. Lilla dowiedziawszy się o tém, porywa za harfę cudowną ojca swego i biegnie do owéj wieży. Równocześnie przysyła też i Matka Boska Gwalberta świętego na ratunek ojca i córki.

„Idź, bo stary Derwid kona!
Córka jego, mój gołąbek,
Z bolu umiera!..“

Te słowa usłyszał Gwalbert od objawiającéj mu się Bogarodzicy i pospiesza więc Derwidowi na pomoc. Po drodze wyprawia prawdziwie pocieszne a niepotrzebne zupełnie sceny, które go tylko kompromitują. Nie dziw też, że przybywa po czasie. Pomimo tego Derwid jednakże zostaje ocalony! Lilla grając na harfie, wywabiła węże z głębi wieży na wierzch do siebie, tak iż stanęły w krąg koło niéj wyprostowane, „jak morska fala wzdęte nad dziewczyną.“ A ojciec jéj na spodzie wieży, nietknięty, mógł sobie zasnąć spokojnie.

Otóż nie wiedzieć, jak sobie cały ten ustęp tłómaczyć. Jeżeli wybawienie Derwida było dziełem harfy cudownéj: to na cóż to całe, tak wiele słów kosztujące, a tak niezdarne współdziałanie w tém przedsięwzięciu i Gwalberta świętego? Jeżeli zaś łaską Bogarodzicy rzecz dokonana: to jakież wtedy znaczenie harfy? i czemużto w takim razie nie przychodzi do rzeczywistego uwolnienia starego króla Wenedów? Wrzucają go bowiem zaraz potém do innéj wieży, i to wraz ze świętym Gwalbertem (!) gdzie obaj głodem zamorzeni być mają... Bądź jak bądź, czy przyjmiemy jedno, czy drugie: zawsze to wyratowanie Derwida okazuje się być aktem cudu jakiegoś. A dramat cudów, zwłaszcza takich, nie znosi. Ustępowi temu braknie tedy na wszelkich wa-

runkach prawdopodobieństwa. Jestto jakby obrazek ładnie ukoloryzowany, ale bez żadnéj poprawności rysunku. —

Podobnie nie wytrzymuje krytyki i trzecie wybawienie od śmierci (w akcie czwartym). Gwinona powzięła zamiar zamorzyć tedy więźnia swojego głodem. Dwa dni już upłynęły, i nie wziął Derwid żadnego do ust pokarmu. Przychodzi przed Gwinonę Lilla, z wieńcem białych wodnych lilii na głowie, cała w łzach się rozpływając, pokorna — i otrzymuje pozwolenie widzenia się z ojcem przed tą śmiercią, teraz już nieuchronną. Idzie do więzienia i — nakarmia Derwida owemi liliami, w które była ubrana. Lilie te bowiem można spożywać i służą one za pokarm ludowi téj okolicy, na czém się nie spostrzegła Gwinona. Owoż wygrany więc i ten trzeci zakład z Lechitką! Podstęp przyodziany w pokorę zwyciężył nad okrucieństwem. — Przeprowadzenie tego ustępu w dramacie należy do najpiękniejszych części... jeżeliby chodziło o przecudne wiersze i o niezrównane w rzewności swojéj wyrazy (np. cała początkowa scena aktu IV). Jeżeli jednak chodzi i o coś więcéj jak o wyrazy i wiersze: to powiedzieć trzeba, że to pozór, że to złuda wybawienia od śmierci, ale nie wybawienie istotne. Lilla tu tylko spłatała figla, sztuczkę, ale nic więcéj. Człowieka wskazanego na zamorzenie głodem, nakarmić raz: to jeszcze nie jest zabezpieczenie go od śmierci z braku pokarmu! Gdyby Gwinona potrzymać chciała trochę dłużéj Derwida w owéj ciemnicy podziemnéj: coby jemu pomogły owe lilie na raz jeden zjedzone?

Do tego tym razem jednakże na szczęście nie przychodzi. Zaszło zdarzenie tymczasem, które okrutną Gwinonę nastraja trochę łagodniéj dla tych jéj ofiar. Syn jéj Lechon został przez Wenedów schwytany i jest trzymany w niewoli. Ażeby go wybawić od śmierci, która mu tam zagraża, i wydobyć na wolność: Gwinona przyznaje Lilli i to więc trzecie zwycięstwo jako szczęśliwie dokonane, w skutek czego Derwid będzie tedy wypuszczony z jéj mocy. Ale ażeby się zapewnić co do powrotu swego syna, stawia Gwinona teraz nowy warunek: albo Lilla, albo harfa

Derwida pozostanie jeszcze w jéj rękach — dopóki Lechon żywy i cały nie powróci do domu... Wielkiéj piękności jest ustęp ten dramatu, gdzie się Derwid waha, kogo zostawić Gwinonie, córkę czy harfę? Od téj harfy zawisło ocalenie jego królestwa! Nie wybrać jéj, nie przenieść jéj nad córkę: to tosamo, co zgodzić się na zagładę narodu. A przenieść? cóż się stanie w takim razie z najmilszém jego dziecięciem? Znane mu przecież okrutne téj Skandynawki instynkta! Prześliczne jest miejsce, gdzie się i w sercu Lilli odbywa walka — między życzeniem, ażeby ojciec wybrał harfę, a obawą, że usłyszy, iż jest więc przecież coś na ziemi, co mu droższe nad Lillę! —

Na żądanie Lilli saméj, rzecz się kończy na tém, że onato pozostanie w ręku Gwinony! Odprowadzi tylko ojca do domu, a potém dobrowolnie odda się sama w jéj ręce — za harfę. Jeżeli wróci z Lechonem: to i harfa i córka zostanie zwrócona Derwidowi. Jeżeli wróci bez Lechona: natenczas — Natenczas harfa wróci wprawdzie do rąk króla Wenedów. Ale córka jego podlegnie losowi, jaki jéj zemsta matki zabitego syna naznaczy. Ten układ Gwinona i mąż téjże przyjmują. Derwid wraca do swoich. Wypuszczają na wolność i św. Gwalberta, który (nie wiedzieć właściwie na co) razem z Derwidem był trzymany w więzieniu.

Gdzie się wielkie sprawy ważą między dwiema ostatecznościami, z których żadna w danym razie nie jest przez się niepodobieństwem, tam nieraz drobnostka najmniejszéj wagi szalę przechyla. Zwyczajnie daje ona przewagę stronie, która i bez tego większe miała nadzieje. Bo komu się już nie wiedzie, na tego się i przypadek nawet sprzysięga. Taką to drobną małością między czynnikami naszéj tragedyi jest osobistość Ślaza. Chciał w nim poeta, jak w przedmowie nadmienia, wyobrazić „mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa“. Przyczepił rolę jego do głównéj akcyi w sposób nadzwyczaj luźny. Ślaz popełnia w ciągu sztuki różne niedorzeczności, ani szkodliwe, ani też nie pomocne niczyjéj sprawie. Jaki cel tego? trudno odgadnąć. Chodziło chyba o to, ażeby były ustępy pocieszne i humorem

owiane między okropnościami — jedno zapewne z następstw studyów Słowackiego nad dramaturgią hiszpańską. Nie powiem, żeby cała ta rola Ślaza była jedną ze stron szczęśliwych Lilli Wenedy. Owoż zaczepia się działanie téj figury do toku właściwego działania — w istotny sposób — w jedynéj tylko scenie. Na nieszczęście przypada to na tę chwilę właśnie stanowczą! Przed powrotem jeszcze Derwida z niewoli, przychodzi w obozie Wenedów do rozstrzygnienia o losie Lechona. Na widok podléj bojaźni tego młodego Lechity, wzgardliwie i wspaniałomyślnie zarazem postanawia Róża Weneda... darować mu życie i wypuścić na wolność! Wtém przyprowadzają na scenę Ślaza, który właśnie został pojmany jako szpiég lechicki, za jakiego go uważają. Szpiegiem on wprawdzie nie jest; ale jakże tu tego dowieść Wenedom, że on nie sprzyja Lechitom i że tu nie przyszedł na to, żeby szpiegować? Ażeby się wydobyć z trudnego położenia, zaczyna Ślaz rozpowiadać kłamliwe wieści. Opisuje zmyślone przez siebie zamordowanie Derwida i Lilli, jako okropności, na które patrzał. To doniesienie zmienia pierwotne postanowienie co do losu Lechona. Okrucieństwo Lechitów żąda odwetu: więc Lechon ginie! Zaledwie się to stało: przybywają na scenę Derwid i Lilla — po Lechona, żeby w zamian za niego wydobyć z rąk Gwinony ową harfę, przy któréj graniu zapowiedziały wróżby ostatnie zwycięstwo Wenedów...

Tak więc samym przypadkiem ostatnie nadzieje Lilli w niwecz obrócone zostały. Co zrobiła dotąd, jest niczém! Widzi się zmuszoną wrócić w moc rozjuszonéj Gwinony — po harfę, i żeby dotrzymać danego słowa.

Następuje, co musiało w danych okolicznościach nastąpić. Następuje i więcéj jeszcze. Gdzie bój między plemionami o śmierć lub życie, tam wszelkie układy z wrogiem tragicznie się kończyć zwykły dla téj strony, która w nie wierzy. Takato wiara jest w roli Lilli Wenedy, od początku aż do samego końca, jéj winą, jéj obłędem — choć obłędem szlachetnym i wzniosłą winą. To też zostaje za nią ukarana okropnie. Zostaje ukarana nie tylko śmiercią, ale i wiarołomstwem. Gwinona odsyła Derwidowi w cedrowéj skrzyni od harfy — za córkę jego, którą w napadzie

mściwości bezlitośnie zamordowała — nie harfę, ale... ciało zamordowanéj!...

Wśród najzaciętszego boju, do którego tymczasem w skutek starań Róży Wenedy przyszło i który się między Wenedami a Lechem odbywa, jak było przepowiedziano, w nocy, przy bijących piorunach... w chwili gdzie szale zwycięstwa wprawdzie chwieją się jeszcze na obie strony, lecz już zaczynają się chylić coraz widoczniéj na korzyść Lechitów — w chwili spotęgowanych zatém pragnień Wenedów, żeby usłyszeć cudowne przepowiedziane głosy z złotéj harfy królewskiéj: przychodzi do owéj kolosalnéj sceny, w któréj Derwidowi zamiast harfy — ciało jego Lilli podają. Nic okropniejszego, nic poetycznie prawdziwszego nad owę scenę! Jestto rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do zemsty i do życia poruszyć, którą tu gra rozpacz konającego ojca, kładącego ręce swoje na martwém ciele, na złotych włoskach, na zgasłych różach ust tak niewinnie zamordowanego swego dziecięcia! Takąto pieśń przepowiedziały więc wróżby, jako ostatnie tony, które wydobędzie z cedrowéj skrzyni ręka starca ociemniałego. Jeżeli czém, to też właśnie tą pieśnią mogliby najdzielniéj wskrzesić ducha swego Wenedzi do zwycięstwa, gdyby... były jeszcze w ich sercu jakie iskry życia i ducha.

Ale życie duchowe plemienia tego należy już do przeszłości, która niepowrotnie minęła. To też widok ów, zamiast zgalwanizować nawet trupi organizm, zabija w Wenedach otuchę do reszty. Ustami zaprzysięgają zemstę, ale schylają karki swoje pod miecze, „które ich rąbią, jak trzodę“. Widzenie Róży Wenedy, oglądane dniem wprzódy, iści się całkowicie. Cała ludność wytępiona. Jutrzejsze słońca wznijdzie już nad mogiłą narodu. Młody wódz, ostatni z plemienia, staje na stosie i znajduje dobrowolnie koniec w płomieniach. Pozostaje przy życiu tylko Róża, wróżka — jakby uosobienie światodziejowéj Nemezy, cierpliwie a jednak tęsknie wyczekującéj odwetu od czasów, co przyjdą kiedyś.

„Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,

Lepiéj niż sto tysięcy wroga,
Lepiéj od Boga!“

Jak tę zapowiedź przyszłości zamierzał autor rozwieść i uiścić w dalszych dramatach? to bezpośrednio nie jest wiadomém. Pośrednią jednakże odpowiedź na to daje Król-Duch.

— Zdaje mi się, że w powyższém dotknąłem już wszystkich prawie szczegółów, mających istotne znaczenie w składzie tego dramatu. Na zakończenie niech mi będzie wolno dołączyć tu tylko jeszcze jednę ogólną uwagę. Niewątpliwie należy Lilla Weneda do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacyi sprawia w myślącym czytelniku imponujące wrażenie i wytrzymuje porównanie z każdém dziełem pierwszego rzędu. Jeżeli pomimo tego nie śmiałby z nas żaden pewnie zaliczać tragedyi téj do skończonych arcydzieł: to przyczyna tego w stanowisku poety i w całym sposobie jego poetyckiéj praktyki. I w Lilli Wenedzie widzimy się aż zbyt często w tém położeniu, że godząc się na pomysł, nie przystajemy na jego wcielenie; że przyklaskując intencyi (którą właściwie tylko odgadujemy), utyskujem albo nad niedość plastyczném téjże intencyi przeprowadzeniem, albo nad jednostronném i zbyt jakoś wyłączném wypowiedzeniem takowéj. Juliusz pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, imaginacyą. Jego logika — nie byłato rozumowa, reflexyjna, więc prawdziwa logika. Stądto u niego zawsze między ideałem a cielesném wyrażeniem tegoż ideału — przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkiém coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika otwarte wszędzie pole szerokie, granice tego pola niedojrzane okiem cielesném. Stądto w płodach jego zawsze jakaś irracyonalność, dla któréj trudno je przekładać że tak powiem z języka poezyi na język rozumu, na język zwyczajnéj w ścisłym sensie logiki.

Stanowisko, które tu określamy, jestto skutek doprowadzonéj do ostatnich swoich kresów zasady romantyzmu, którego typem najwybitniejszym był w poezyi naszéj właśnie Słowacki.

Tak np. żadną miarą nazwać nie można dość plastycznie przeprowadzonym pomysłu owych harf w rękach Wenedów,

które im daje poeta jako ich tradycyjną, plemienną własność, na zasadzie wzmianek o tém w bizantyńskich kronikach. Wnikamy w jego intencyą — pojmujemy z niéj wiele: ale nie dociekamy wszystkiego, gdyż się rzecz w niektórych scenach gubi w głębinach symboliki — zamkniętéj siedmioma pieczęciami! Poeta ma tu na oku raz stósunki ówczesne, to znowu dzisiejsze stósunki nasze. Przywięzuje do harf to znaczenie poezyi jako najwyższéj potęgi w narodzie: to znowu myśl, że to broń mdła i bezsilna przeciw ostrzu i przeciw wadze żelaza! I tu jest prawda, i tam jest prawda: — ale jakże te dwie prawdy związać ze sobą? Związaćby je można, ale tego nie uczynił poeta.

Przykład jednostronnego i wyłącznego, a zatém ostatecznie fałszywego wcielenia myśli w sobie może prawdziwéj mamy w całéj roli owego typu chrześcijańskiéj idei, jaką w téj sztuce jest Gwalbert święty. Rola to dziwnie niejasna! W przedmowie czytamy: — „Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych... Lecz o biada! o losy! — Słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze jeden lud kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę.“ — Gdyby to założenie przeprowadzone było przez dramat w taki sposób, iżby każdy krok działania Gwalbertowego takie właśnie w widzach wywoływał wyobrażenia: byłaby to jedna więcéj z niepospolitych zalet niniejszego utworu. Ale czy istotnie jest tak oddana Gwalberta rola w Lilli Wenedzie? Zdaje się raczéj, jakby tu było autorowi chodziło o odsłonienie wszędzie niemocy religii w obec prądu rzeczy dziejowych. Toczą się one swoim torem. Krew się leje — zbrodnie i okrucieństwa mnożą się bez końca — niewinne ofiary padają pod brzemieniem swych cierpień. A interwencya religijnéj idei przybywa zawsze tak nie w porę, tak bezsilnie, tak na drobiazgi tylko wpływając, a nie dotykając rzeczy ważniejszych — że to na śmieszność zakrawa! Rzeczywiście też święty Gwalbert — mimo jasnéj aureoli, która jakby był z obrazka zdjęty otacza jego głowę promieńmi — odgrywa w dziele tém rolę głównéj figury komicznéj. (Ślazowi bowiem ani tego zaszczytu przyznać nie można). Jakież to suche i nieserdeczne u niego pojmo-

wanie cierpień ziemskich ze stanowiska wiary! Jakaż obojętność na mord publiczny narodu, byle tylko religia nie wyszła przy tém bez jakiego takiego zysku!.. Czy zaś ta poziomość osobistości Gwalberta spada tylko na niego, czy na samą ideję, którą on wyobraża? — z tego się autor bynajmniéj nie spowiada. Chcielibyśmy chętnie wierzyć, że tu chodziło tylko o skreślenie nieudolności osoby! Czy temu jednak możemy wierzyć, patrząc jak rzecz jest w dziele przeprowadzona?...

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Druga połowa r. 1842 i następne lata aż do 1848. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się koła jego zwolenników. — Stósunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niéj autora Przedświtu. — W r. 1842 Słowacki przystępuje do koła — jego korespondencya z matką i z Krasińskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stósunków — Stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — scysye i utworzenie sobie osobnego kółka.

Nim przystąpię do osoby naszego poety i stósunków jego w ciągu roku 1842: zmuszony jestem w tym rozdziale dotknąć nasamprzód pewnéj ubocznéj okoliczności, która w czasach owych ważną odgrywała rolę pomiędzy wychodztwem polskiém, o ile takowe gromadziło się w Paryżu. Sprawa ta zrazu poety naszego nie dotyczyła wcale; miała jednak niebawem zwrócić i jego umysł ku sobie, a następnie zadecydować głównie o kierunku dalszego jego życia i działania aż do samego końca.

Mówię o rzeczy niemiłéj, bolesnéj, upokarzającéj — o Towiańszczyźnie.

W siedm miesięcy po objęciu katedry słowiańskiéj przez Mickiewicza, w miesiącu lipcu 1841 r., stawił się przed nim człowiek aż dotąd nikomu prawie w Emigracyi nieznany i oświadczył mu, że przybywa z polecenia bożego z kraju i ma do niego posłannictwo. Oznajmił mu, że się poczyna nowa era ludzkości; że nadeszły czasy nowéj Ewangelii, dni zmiłowania i litości bożéj — przedewszystkiém nad nami, a pośrednio przez nas i nad resztą narodów...

Mickiewicz Towiańskiemu uwierzył... uznał w nim proroka,

jeśli nie zbawiciela. Od téj chwili można było uważać doktrynę i sektę Towianizmu za zawiązaną.

Nie mam zamiaru opowiadać tu w wyczerpujący sposób o wszystkich zdarzeniach, tworzących że tak powiem zewnętrzne dzieje tego smutnego w życiu wychodźców naszych ustępu. Moją rzeczą jest tu tylko rzucić kilka ogólnych spostrzeżeń o znaczeniu i o naturze Towianizmu, o ile się takowy odbił na obliczu ówczesnéj naszéj literatury emigracyjnéj. Nie mam wprawdzie bynajmniéj uroszczenia do nieomylności w sądach moich o Towiańskim i jego apostolskich robotach. Wiem, że jeżeli w czém, to w téj rzeczy bardzo mylić się mogę. Patrzę bowiem na tę sprawę z oddalenia i co do miejsca i czasu; patrzę na nią może i przez szkła sztuczne, które przeistaczają rzeczywistą barwę przedmiotu. Rozumiem przez to te wszystkie różnych osób broszury, z których na ich wiarę czerpię o tém wiadomość. Lecz z drugiéj strony mam też tę znowu korzyść po sobie, że nie tylko znam materyały przeciw Towiańszczyźnie, ale i niektóre za nią świadczące, a przynajmniéj z niéj saméj wyszłe. Takimi są właśnie pisma J. Słowackiego, pochodzące z téj doby jego życia, pisma nader rozmaitéj treści i formy, nieogłoszone nawet w pośmiertném wydaniu, a już z powodu saméj swojéj objętości żadną miarą nieobojętne. Mogę tedy porównywając jedne źródła z drugiemi, starać się jeżeli nie o co więcéj, to o równowagę, o sprawiedliwość pośrednią. I zdaje mi się, że jestem co do tego punktu w każdym razie dalekim od uprzedzeń stronniczych.

Powiedzmy coś przedewszystkiém o osobie samegoż sekty założyciela. Jedni, t. j. zwolennicy jego, uważają go za posłańca bożego, za męża nie tylko działającego w najlepszéj wierze, ale i będącego w rzeczywistém posiadaniu objawień udzielonych jemu w nadprzyrodzony sposób od Boga. Drudzy znowu go okrzyknęli za oszusta albo w najlepszym razie za marzyciela na umyśle obłąkanego. — Po któréjże tedy stronie jest prawda?

Mnie się zdaje, że właściwie po żadnéj. Obłąkanego w zwyczajny sposób umysłu nie jest bynajmniéj Towiański! Przeciwnie — mądry, przebiegły, wyrachowany to człowiek! Z drugiéj strony nie wątpię też i o tém, że co czyni, czyni z przekona-

nia. To go jednak żadną miarą nie oczyszcza od ciężkich przewinień, jakich się — dodaję śmiało: z świadomością względem narodu swego dopuścił.

Bywają czasem pomiędzy ludźmi natury, w których szczera wiara i najobłudniejszy podstęp dziwnie się łączą z sobą ku wzajemnéj pomocy. Wyraz łaciński: pia fraus wybornie tę szczególną dwustronność serca ludzkiego wyraża. Człowiek taki chce dobrego i rzeczywiście wierzy najmocniéj w to wszystko, co rozgłasza. Ale ażeby jeszcze bardziéj poprzéć sprawę, na korzyść któréj wystąpił, ucieka się do sztuczek i zmyślonymi, świadomie urojonymi szczegółami rzecz uzasadnia. Zdaje mu się, że działać tak... nie jest rzeczą niepoczciwą: bo wszakże to (wedle jego mniemania) chodzi o prawdy takie, które muszą odnieść zwycięstwo, które się pod każdym warunkiem powinny stać artykułem wiary powszechnéj.

Wyznaję wprawdzie, że co do mojéj osoby, nawet możności wewnętrznéj tego rodzaju wiary ja nie pojmuję. Bo gdzie wiara prawdziwa, tam też — zdaje mi się, byćby powinna i nieograniczona ufność w siłę i tryumf téj prawdy, którą się głosi. Na cóż jéj jeszcze pomoce sztuczne, na podstępnych sposobikach oparte? Prawda boża kłamstw ludzkich na sprzymierzeńca nie potrzebuje, ażeby się stać czynem i ciałem. Z tém wszystkiém tak doświadczenie jak dzieje niezaprzeczenie tego jednak dowodzą, że w każdéj religii i w wieku każdym zdarzały i zdarzają się takowe nadzwyczajne zjawiska w świecie psychicznym. Mahomet np. był jednym z takich fanatyków kalkulujących. Możnaby i dzisiaj niejednego między nami doszukać się takiego, gdyby się tylko dobrze obejrzéć. Owoż i Towiański zdaniem mojém jest z tego rodzaju ludzi.

Głównym punktem wyjścia w genezie duchowego jego rozwoju było usposobienie jakieś mistyczne, połączone z wielką pochopnością do marzycielstwa. Młodym jeszcze będąc, jak powiadają, bliskim był zupełnéj utraty wzroku. Odgrodzony przez czas kalectwa od wrażeń i zetknień z zewnętrznym światem, zamknięty w wnętrzu własnego tylko jestestwa, a przytém przyciśnięty świadomością, że jest ciężkiém zagrożony nieszczęściem, znalazł

on w tym wyjątkowym stanie aż nadto sposobności do rozwinięcia w sobie tych skłonności do jakiejś extatycznéj zadumy, które snać już mu były wrodzone. Późniéj wyzdrowiał. Ale excentryczność i wiara w przeróżne przywidzenia chorobliwéj wyobraźni, które on nazywał wizyami i seryo za takowe uważał, już się u niego przemieniła w drugą naturę. I powiększała się z laty do tego stopnia, że go w kraju, na Litwie, wielu podobno uważało za człowieka o pomieszanych zmysłach. Nawet podobno z tego powodu miał on czas jakiś przebyć w szpitalu jakimś. Obłąkanie jego nie szkodziło wszakże nikomu, to go też niebawem wypuszczono na wolność i nie ograniczano jéj w niczém. Zresztą potoczne życie szczególnego tego człowieka niczém się nie różniło od innych. Urzędował sobie, jak drudzy; był regentem przy jakimś sądzie powiatowym na Litwie, późniéj gospodarzył na wsi, we własnéj majętności; ożenił się, miał dzieci kilkoro, słowem — był to co do swego zachowania się zewnętrznego, co się zowie „porządny, praktyczny człowiek i obywatel“. Od udziału w wypadkach r. 1831 trzymał się z dala i nie miał zwyczaju mieszania się do żadnéj polityki. Jak się wyrażał, miał on ostrzeżenie z góry, od Matki Boskiéj, że się te roboty niedobrze skończą. To też nie tylko sam nie należał do niczego, ale i innych starał się powstrzymywać. A jako nie przesadzał więc w zapędach patryotycznych, tak też wolnym był od zbytecznéj żarliwości i w rzeczach religijnych. W téj mierze obojętność jego dochodziła nawet do tego stopnia, że przez cały ciąg lat 20 przed przybyciem swém do Paryża, zupełnie podobno zaniedbywał spowiedzi.

Pomimo tego wszystkiego, człowiek ten przez całe życie miał jednak ciągle do czynienia z cudami i widzeniami, a odbierał objawienia, które, jak rozumiał, przychodziły mu z nieba. Myśl cała jego zajęta była religią; ale nie w taki sposób, ażeby ją wykonywać, lecz ażeby jéj dopełnić i poprawić. W tym przedmiocie — w kraju jeszcze będąc, pracował on i rozmyślał bezprzestannie. Czytać musiał bardzo wiele, najrozmaitszych książek, a mianowicie mistycznych. X. Semeneńko widzi w doktrynie jego wyraźne ślady studyów nad magią i nawet nad kabałą żydowską. Wiele także się podobno zajmował i magnetyzmem. Godzi się

wnosić, że przyswoił on sobie znajomość i wypadków główniejszych w zakresie niektórych istotnych umiejętności w ich nowoczesnym rozwoju; choć z drugiéj strony widać i to jak na dłoni, że nie jego to pole! Rozumowa i naukowa strona w rozwinięciu Towiańskiego musiała w ogóle być nad wszelkie wyobrażenie zaniedbaną. Podstawy i zdolności naukowéj u niego nie ma. Pojąć coś jasno, wyrazić z precyzyą, w trafnych i naturalnych wyrazach — to nie jego rzecz! Słyszał więc o niejedném, co badania umiejętne w ostatnich czasach wykryły, otarł się o jakieś wypadki nauk; ale snać przyszedł do nich dorywczo i pojął je bałamutnie. Ani zatém nie rozumie dróg, któremi się w sposób należyty do twierdzeń takich przychodzi, ani też jasno istoty ich nie przenika. Wie jednak, że dzwonili, chociaż nie wie, w którym kościele...

Pod wpływem takich tedy okoliczności usnuł sobie Towiański na Litwie jeszcze rodzaj nowéj religii. Nie podejmuję się, jak to wyżéj już powiedziałem, odtworzyć wizerunku tego nowego systematu dogmatów. Powiem tylko, że charakterystyczném doktryny Towiańskiego znamieniem zdaje się być w ogóle dążność stworzenia czegoś, coby stanęło niejako w pośrodku między tą nauką, jaką daje kościół, a stanowiskiem nowoczesnych rezultatów, a raczéj kierunków umiejętności, które pod niejednym względem odstępują od rzeczy w kościele za pewniki uznanych. Chodziło mu tedy o zapełnienie tego że tak powiem rozstępu pomiędzy wiarą a wiedzą dzisiejszą, do jakiego pod tym i owym względem w postępie wieków przyszło. Zamierzył zaś tego dokonać łatanym, eklektycznym sposobem. Co mu się podobało z wypadków wiedzy, to brał za pewnik i podnosił do wysokości dogmatu. Resztę zaś nauki odrzucał z pogardą „jako mądrość świata tego," jako wymysły „ziemi" i dumy ludzkiéj. W takiż sam sposób przebierał i pomiędzy artykułami objawienia chrześcijańskiego. Jedne z nich przyjmował, jak są; drugie wykładał po swojemu i tylko je pod tym zatrzymywał warunkiem; a trzecie — milcząc mądrze i skromnie — usuwał na bok, jakby ich wcale nie było. W taki więc sposób powstało coś, co niby godziło z sobą te dwa odrębne światy pojęć i wyobrażeń duchowych, co miało zastąpić i wia-

rę i wiedzę, i religią i mądrość świecką; co miało zbliżyć do siebie tak prostaczki jak mistrze świata tego i stawić ich wszystkich jako zastęp kierowany jedném poczuciem, jedną ideą, jednym popędem — zastęp, przed którym niczém są wszelkie potęgi ziemskie — niezwyciężony, bo milionogłowy, a jeden...

Jeżeli z jednéj strony, oceniając dążność tego pomysłu, nie można mu nie przyznać pewnego sensu a nawet i godziwego celu: — to z drugiéj dziwić się tylko należy nad sposobami, którymi spodziewał się Towiański dokonać swego zamiaru. Bo i cóż to było, co on ludziom w zamian przynosił za to wszystko, co im odbierał?

Spytajmy naprzód: byłaż to wiedza, a raczéj, byłże to owoc wiedzy? Byłaż to rzecz, któraby ludziom zastąpiła ich wyrozumowane pewniki? — Bynajmniéj! Doktryna jego zbyt była skażona marzycielstwem, żeby obóz wyłącznie kierujący się myślą, był go mógł przyjąć za swego. W jego mętném pojmowaniu wszystkiego, o czém bądź prawić zaczynał, a bardziéj jeszcze w jego arcyniezgrabném tłómaczeniu swoich urojeń — obóz ten widział jedynie nieudolność nieuka i jako takiego też go traktował.

A w tym samym znowu stopniu zastęp wiary, hierarchia, kościół — nie mógł nic innego w nim widzieć, jak chyba tylko sekciarza. Wprawdzie Towiański sam dawał się zawsze za najwierniejszego syna kościoła. Nie przyznawał i nie przyznaje się pono dotąd, żeby w czém zbaczał od tradycyjnéj nauki chrześcijańskiéj. Z tém wszystkiém daremne i tylko wybiegliwe sąto wszystko zapewnienia! Wątpię, żeby on wierzył sam temu — bez przenośni i bez tak zwanéj restrykcyi mentalnéj. Księża Zmartwychwstańcy dowiedli mu jak na dłoni, że dogmata jego nie są dogmatami kościoła. Nauka Towiańskiego potępiona też została przez stolicę apostolską, jako herezya.

Założyciel nowéj religii nie uznaje wprawdzie tego potępienia i na przekorę temu wszystkiemu, co się stało od czasu jego wystąpienia, ciągle się widzi w jedności z kościołem. Pochodzi to stąd jednakże jedynie, że uważa się względem chrześcijaństwa, jak takowe jest reprezentowaném przez kościół, w takim stósun-

ku, w jakim się miał Chrystus do starego zakonu. Chrystus nie na to przyszedł, ażeby dawny zakon obalić, lecz ażeby go dopełnić i wytłómaczyć. Podobnie i Towiański żyje w przekonaniu, a raczéj urojeniu, że dopełnia i wykłada tylko dawną naukę kościoła, że ją w swoję doktrynę wciela i podnosi, nie zaś obala ani jéj przeczy. Stąd też to zatrzymuje sekta jego wszystkie katolickie symbole, wyrażenia, godła, obrzędy i praktyki; ale im prawie zawsze poddaje nowe znaczenie i wyciska na nich piętna taką pieczęcią, która nie ma żadnéj wspólności z katolickim kościołem.

Rozważmy wreszcie, w imię czego czyni to wszystko Towiański? — Na mocy objawienia i posłannictwa danego sobie z góry. Że zaś chodzi tu o nie mniéj ani więcéj, jak o przeistoczenie tego porządku rzeczy w religii, któréj założycielem był Chrystus: więc się Towiański stawia w roli nowego zbawiciela i mesyasza, choć nie ma odwagi nazwać się nim wręcz i otwarcie.

To powiedziawszy o samym Towiańskim i o duchu jego doktryny, spojrzmy teraz na okoliczności, pośród jakich takowa wprowadzona została w życie.

Wystąpienie Towiańskiego jako proroka niedopiero w Paryżu przyszło do skutku. Jeszcze mieszkając na Litwie zaczął on napomykać o swojém objawieniu i posłannictwie. Tu jednakże nie szczególnie się jemu wiodło. Udało mu się wprawdzie znaleść kilku takich, co w niego uwierzyli i zostali jego uczniami. Należeli do liczby takowych malarz Wańkowicz i doktor Gut, szwagier Towiańskiego. Ci mu też i za granicę w religijnych celach jadącemu towarzyszyli, nie chcąc odstępować już mistrza. Z tém wszystkiém grono zwolenników w kraju jeszcze pozyskanych było nadzwyczaj szczupłe. Oprócz dwóch powyżéj wymienionych i chyba rodziny własnéj reformatora, która apostolstwo jego może brała na seryo, nikt więcéj podobno w kraju nie dał się wciągnąć w tę sprawę.

Wypadło zatém próbować szczęścia w innych prowincyach, a w najgorszym razie na Emigracyi. Jakoż wyjechał Towiański z domu podobno około r. 1837 i najpiérw się pojawił w Poznaniu.

Było tu staraniem jego pozyskać dla sprawy swojéj przedewszystkiém... głowę całéj hierarchii w Księstwie, Arcybiskupa Dunina. Lecz Arcybiskup po niewielu już konferencyach przeniknął człowieka, jako marzyciela, a w każdym razie katolika wątpliwéj prawowierności i wzbronił mu dalszego przystępu do siebie. Trzeba więc było szukać sobie gdzieindziéj takiéj powagi, pod któréjby skrzydłami dały się krzewić z pomyślnością plany ukartowane. Za taką wybrał sobie teraz Towiański generała Skrzyneckiego w Bruxelli. Pojechał do niego, zawiązał z nim stósunki i zrazu była wszelka nadzieja dobrego powodzenia, sprawił bowiem pewno wrażenie na generale, kiedy się przed nim opowiedział wysłańcem bożym do niego! Dla Skrzyneckiego to też napisana była owa „Biesiada“, w któréj rzucił Towiański ogólny zarys swoich pojęć religijnych, kładąc przez to niejako piérwsze podwaliny do dzieła. W dalszych stósunkach jednakże nabożny i ściśle po katolicku myślący generał przekonał się o bałamutnéj dążności całéj owéj misyi nieznanego sobie człowieka i zerwał z nim.

Teraz dopiéro przyszła koléj na Mickiewicza. Nie powiodło się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym: może się powiedzie (pomyślał sobie Towiański) z największym z polskich poetów. Powaga Mickiewicza naówczas stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Po zajęciu katedry słowiańskiéj imię jego nabrało nowego blasku — i miało znaczenie nawet we Francyi. Idźmyż zatém do niego! Zyskajmy sobie Mickiewicza, a wszystko nasze...

W roku 1841 w miesiącu lipcu przestąpił po raz piérwszy Towiański progi mieszkania poety. Tym razem próba powiodła się nad wszelkie spodziewanie! —

Zdaje mi się, że kto tylko zastanawiał się nad duchem poezyi Mickiewicza i nad jego życiem wewnętrznem, ten się ze mną zgodzi na to, że łączyły się w tym genialnym człowieku jakby dwie zgoła odrębne natury. Zazwyczaj byłto mąż głębokiéj myśli, trzeźwo poglądający na rzeczy — organizacya duchowa zdrowa, realna, zdolna zdać sobie świadomą sprawę ze wszystkiego, co tylko czynił. Takim go też widzimy w jego listach, których zbiór

zamieszczono w obu ostatnich dzieł jego wydaniach, a prócz tego też tu i owdzie po pismach peryodycznych. Ale Mickiewicz miewał w różnych chwilach żywota swego tajemnicze jakieś podrywy i zachwyty, które go przenosiły w stan taki, że tracił niejako z oczu wszystko, co jest rzeczywistém, i wznosił się duchem do excentrycznych krain extazy. Wtedy nie w sensie retorycznéj przenośni, lecz literalnie przestawał być poetą, a był wieszczem; z artysty przeistaczał się w narzędzie poezyi, nieświadome tego co czyni. Bywał w razach takich czasem duchem jasnowidzącym, niekiedy... marzycielem nie biorącym za nic odpowiedzialności na się.

Tak np. Grażyna, Walenrod, Pan Tadeusz itp. — to były dzieła stworzone w normalném usposobieniu. Oda do młodości, Dziady, a zwłaszcza Dziadów „Część trzecia“ — to owoc natchnienia, wyższego nad świadomość artysty. Co się Dziadów tyczy, jest dowiedzioném, przyznaném przez samego poetę, że są tam ustępy, których zupełnego znaczenia on sam nie umiał sobie wyjaśnić.

W podobnie wyjątkowém usposobieniu zostawał Adam od czasu ponownego przybycia swego do Paryża z Lozanny. Zajęcie katedry rozbudziło w nim życie ducha w najwyższéj sile. Rehabilitacya że się tak wyrażę i apoteoza napoleońskiéj tradycyi i napoleońskiéj idei, dopełniona aktem sprowadzenia ciała cesarza z wyspy św. Heleny, na rozkaz samego króla, i to właśnie w czasie, kiedy Mickiewicz miał zająć nowe to stanowisko, rehabilitacya ta mówię sprawy, która u poety naszego stanowiła zawsze artykuł wiary, nie mało się też przyczyniała do nastrojenia jego ducha na jakieś tony mistyczne.

Miewał on w owym czasie przywidzenia, które uważał za widzenia, za objawienia rzeczy, jakich zdaniem jego nie było dano zwyczajnym ludziom oglądać. Te widma extatycznéj fantazyi tak dalece nabierały w jego oczach znaczenie przedmiotowego bytu, że je poczytywał za kształty, za ciała — nie przez siebie stworzone.

„W miesiącu grudniu (1840), dnia nie pamiętam (tak pisał o sobie sam Mickiewicz w szesnaście miesięcy późniéj do

Skrzyneckiego), kiedy oglądałem przygotowania do exekwii za Napoleona, miałem w dzień biały widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle; i uczułem że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki. Chciałem go opisać, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy i dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży, i uznałem prawdę widzenia"... (z listu z d. 23 marca 1842).

Tesame prądy wstrząsały też Mickiewiczem już w chwili owéj improwizacyi na wieczorze u p. Januszkiewicza.*)

W ciągu roku 1841 przyczyniło się do utrzymania Mickiewicza pod ciągłym wpływem mistyki zapadnięcie żony jego w stan najopłakańszy ze wszystkich, jakie tylko dotknąć mogą rodzinę, w stan obłąkania umysłu. Wypadła potrzeba śród zajść najboleśniejszych wysłać ją z Paryża na wieś do jakiegoś zakładu zdrowia — z małą nadzieją, żeby było rzeczą podobną uchylić to nieszczęście w zupełności i na zawsze.

Człowiek przywalony nieszczęściem skłonny jest zawsze dawać wiarę cudowności, gdzie tylko się z nią spotyka; a jeżeli kto, to Mickiewicz był prawdziwie nieszczęśliwy w tym czasie.

---

*) Z okazyi tego wieczoru tak się wyraził Mickiewicz w tymże liście do Skrzyneckiego, który w całości przytoczono w Przeglądzie Poznańskim 1858 r. Tom XXV, półrocze I, zeszyt 2.

„W roku przeszłym kilkudziesiąt Polaków dawało mi ucztę. Czułem się w wielkiém podniesieniu ducha i powiedziałem im, „że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania i zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeśli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowicka, który będzie dla nas prawem żywém, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami"... Nie pamiętam, pisze daléj Mickiewicz, słów poezyi (improwizacyi), ale ta była ich treść; zaklinałem, żeby ją pamiętali. Wielu już zapomniało. Kiedy Z. (Zan?) Stefan przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił. Ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do téj wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o X. Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani"....

Owoż takito zbiég przypadkowych a dziwnych okoliczności mieć tu należy na względzie, ażeby pojąć, że taki człowiek jak Towiański był zdolny wpływ wywrzéć na Mickiewiczu i podbić ducha jego pod panowanie swoje. Zresztą były prócz tego wszystkiego i inne jeszcze przyczyny, dla których łatwo było Towiańskiemu wkraść się w zaufanie poety. Albowiem zdaje mi się, że nic prawdziwszego, jak co powiedział Krasiński o stósunku dwóch tych ludzi pomiędzy sobą: — „Pan Adam — to olbrzym, Pan Jędrzéj — to magnetyzer, co obudził olbrzyma. To zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę śpiącą w łonie męszczyzny zapalają“ (obacz Wyjątki z listów str. 209). — Rzeczywiście! Właściwym twórcą tego, co dziś Towianizmem zowiemy, byłto sam raczéj Mickiewicz. Doktryna Towiańskiego — to tylko odbłysk i udogmatyzowanie tego wszystkiego, co w różnych chwilach w kształcie urwanych pomysłów jak przelotne iskry przechodziło przez głowę porwanemu prądem natchnienia poecie.

Kiedy się np. czyta „Część trzecią Dziadów,“ utyka się co kart kilka na miejscach, które mimowolnie przypominają towianizm. Tasama dziwna niechęć przeciwko wiedzy, zdobytéj rzetelną pracą, na korzyść jakichś mistycznych i gotowych skądsiś pewników; tasama wiara przesadna w siły wewnętrzne pojedynczego człowieka; tasama mesyaniczna dufność w wyjątkową wszechwładzę ludzi, z urodzenia przeznaczonych do władztwa nad resztą społeczeństwa; tesame zachcenia despotycznego zwierzchnictwa w świecie duchowym; tosamo wreszcie przeczuwanie człowieka, który nas przyjdzie zbawić — słowem mesyanizm. Nie brak na miejscach podobnych i w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego. —

Owoż przekonaniem jest mojém, że zagłębianie się w znaczeniu takich urywkowych napomknień w dziełach Mickiewicza, niepoślednią czasu swego odgrywać musiało rolę w genezie pomysłów Towiańskiego. Natchnienia Adama jeżeli nie rzuciły piérwszego zarodu w myśli tego marzyciela, to przyczyniły się w każdym razie do znakomitego posunięcia go na drodze, po któréj szedł. Cały system jego marzeń — byłoto tedy tylko rozwinięcie i dodać można: spaczone, rozmazane rozwinięcie niektórych wieszczo i mi-

stycznie rzuconych słów Mickiewicza. Pomimo jednak niezręczności w ich powiązaniu, było oczywiście pewne pokrewieństwo wyobrażeń pomiędzy nimi, które wzajemne porozumienie się ułatwiało.

A najwięcéj je ułatwiło nakoniec rozmyślne i obliczone podéjście dobréj wiary poety, jakiego się Towiański zaraz na samym wstępie dopuścił. Użył bowiem wszelkich sztuczek, ażeby go już w piérwszéj chwili przekonać, że to człowiek boży, że to ów przewidywany dawno przezeń zbawca społeczeństwa przyszedł dom jego nawiedzić.

Przedewszystkiém więc powitał go po staropolsku imieniem bożém, tak jak to było przepowiedziano w Dziadach:

„Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcéj niźli oni umie;
Poznasz, bo cię powita piérwszy w imię boże,
Słuchaj, co powie“...

Potém, w dalszéj rozmowie, przeszedł na własną przeszłość poety i wyłożył mu, co w własnych jego dziełach mogło być dla niego niezrozumiałém. Wyrażenie w Dziadach:

„On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę,“

zastósował do siebie, boć i on w młodości przez czas jakiś był pozbawiony wzroku. „A imię jego czterdzieści i cztery“ wytłómaczył w taki sposób, że znaczy to hufiec złożyć się mający z czterdziestu czterech mężów wybranych, który stanie na czele nowéj budowy kościoła i społeczeństwa.*) Wiarę Mickiewi-

*) Rzeczywiście zaraz potém uformował się zastęp najwyżéj w hierarchii Towianizmu położonych zwolenników téj sekty w liczbie czterdziestu czterech. Kiedy w r. 1842 rząd francuski wydalił Towiańskiego z Paryża, najzaufańsi uczniowie jego podali do ministra rodzaj protestacyi czy też ubolewania swego nad tém rozporządzeniem rządowém, dając świadectwo nieskazitelnym Towiańskiego postępkom przez cały czas bytności jego we Francyi. Akt ten, datowany z d. 7 sierpnia 1842 r. podpisany jest przez 43 męszczyzn i 2 kobiety. A zatém, gdyby do tych 43 podpisujących doliczyć jeszcze samegoż Towiańskiego, który oczywiście musiał należeć także do grona przodujących, jako jego najwyższy zwierzchnik, byłby zba 44 Kobiety, jak się samo rozumie, stanowiły osobny żadana lic a tego się tu nie liczą.

poczet i dl

cza w Napoleonizm zużytkował w taki sposób, że mu oznajmił, iż wcieleniem nowém ducha Napoleona jest on sam właśnie (Towiański); że zatém posłannictwo jego na tém zależy, ażeby dzieło przez Cesarza poczęte prowadzić daléj i ostatecznie wykonać. Nakoniec oświadczył, że nie tylko dana mu jest moc żonę jego uzdrowić, ale i wyjawić mu najskrytsze zajścia z jego życia upłynionego. Jakoż opowiedział Mickiewiczowi takie zdarzenia z jego przeszłości, o których (jak się późniéj sam poeta wyraził do Franciszka Szemiota) nie mógł wiedzieć nikt, chyba tylko Bóg jeden.

Co do téj okoliczności, wyjaśniło się późniéj, po śmierci już poety, że się oto tak rzeczy miały. Mickiewicz razu jednego, w młodości jeszcze, rozgadał się był o tych niewiadomych nikomu zajściach swojego życia w zaufaniu przed Odyńcem. Było to, kiedy wspólnie podróż odbywali po Niemczech i Włoszech. Następnie Odyniec, do kraju powróciwszy, komuś trzeciemu, czy też może nawet samemu Towiańskiemu, mieszkającemu wtedy jeszcze na Litwie, opowiadał o tém wszystkiém; tak iż nie trzeba było na to żadnego cudu, ażeby to wiedzieć. Mickiewicz w ciągu czasu zapomniał, że kiedyś przed Odyńcem spowiadał się z swoich tajemnic; wziął przeto wiadomość o nich u Towiańskiego za rzecz objawioną jemu sposobem nadprzyrodzonym.

Samo nawet uzdrowienie Mickiewiczowéj, lubo jest jedyném zdarzeniem w całéj téj Towianizmu historyi mającém rzetelne pozory cudowności, daleko więcéj okazuje ostatecznie w Towiańskim wprawnego psychologa, niż cudotwórcę. Pojechali obydwaj, on i Mickiewicz, do choréj; pomimo oporu lekarzy odebrali ją z zakładu i zabrali ze sobą. Przybywszy do Paryża, kazał jéj Towiański w charakterze proroka, w jakim był już wtedy znany i przez nią, klęknąć na ziemi, klęczącą zgromił surowo za grzechy, a potém kazał jéj powstać i iść do spowiedzi. Poszła i — powróciła zupełnie uzdrowiona.

Przyczyny obłąkania były snać tylko psychiczne. Targnąwszy silnie za wyobraźnię, przywrócił jéj jedném skinieniem szczęśliwie zastósowaném tę równowagę umysłu, któréj jéj zwyczajne leki nie zdołały przywrócić.

Takie to więc były okoliczności, skutkiem których obałamucony został zdrowy sens wielkiego naszego poety do tego stopnia, że w Towiańskiego uwierzył. Znając je, dziwić się już nie można, że mógł pisać w kilka miesięcy potém do Skrzyneckiego:

„Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tém. Nie wspomnę o drobnych w młodości rzuconych w świat pieśniach (Romantyczność — Oda do młodości); późniejsze dzieła, a mianowicie Księgi Pielgrzymstwa i Dziadów część III świadczą, żem to co się dzieje, przeczuwał...

...Widzisz także, że uzdrowienie mojéj żony nie było powodem mojéj wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowa Andrzeja, który jéj nie widział był, ogłosiłem krewnym, że będzie zdrową. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zaklęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełném pomięszaniu, w kanikułę, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojéj żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę — wracam dziś z rekollekcyi, którą odbyłem u XX. Jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu P. N. Sakramentu to piszę“... (z listu z d. 23 marca 1842 r.) *)

Skoro tylko udało się Towiańskiemu mieć Mickiewicza po sobie: dalsze zabiegi nie spotykały już na żadne trudności. Osoba Adama dawała dostateczną rękojmię, że co rozgłaszano, nie było ani oszukaństwem ani szaleństwem. A na skłonności już gotowéj do poddawania się takim wpływom, pomiędzy emigrantami naszymi nie brakowało. W ogóle bowiem wiara jakaś mistyczna we wszystko, co tylko cudowne i tajemnicze — byłoto jedno z celniejszych znamion społeczeństwa naszego téj generacyi, jak się o tém przekonać można, spojrzawszy na literaturę naszę owego czasu. Było to naturalne następstwo położenia narodowego...

Nie będę kreślił wywodu dalszych przejść, jakie sprawa ta krok za krokiem przebywała. Poprzestanę na wzmiance, że piérw-

*) List ten, i drugi podobny, dano w całości w Przeglądzie Pozn. rok 1858, tom XXV. str. 162 i n.

szymi, których na zwolenników zjednano, byli Sobański i poeta Górecki Antoni. Ten jednakże niezadługo zmiarkowawszy, że rzecz nie jest tak prawdziwemu kościołowi i jego nauce wierną, jak się to w piérwszéj chwili zdawało, odczepił się od wszelkiéj spółki z Towiańskim. W ogóle ludzie silniejszéj wiary w duchu ściśle katolickim wyjątkowo chyba przyłączali się do grona, które się zawięzywało. Z téj też przyczyny i Zaleski, choć zagadnięty owym prześlicznym wierszykiem Mickiewicza: „Słowiczku mój“ — odpowiedział wprawdzie dumką niby potakującą i ułożoną na tę samę nutę, ale jednak nie dał im się zwerbować na zwolennika. Inni poeci, śmielszéj myśli, niecierpliwsi w wyczekiwaniu lepszéj przyszłości, jak np. Goszczyński, dali się złudzić stanowczym zapowiadaniom bliskich zdarzeń cudownych. Z wojskowych przyłączył się najrychléj i najgorliwiéj do Towiańskiego pułkownik Różycki. Reszta adeptów rekrutowała się najwięcéj pomiędzy Litwinami, ci bowiem i skłonnością swoją do mistycyzmu i stósunkami osobistymi najwięcéj byli zbliżeni do Mickiewicza. W przeciągu roku, od chwili piérwszego pojawienia się Towiańskiego w Paryżu aż do czasu, gdzie go z Francyi policya paryska wydaliła, uformowała się przeto gromadka dość liczna Towiańszczyków, jak ich już odtąd nazywano.

Teraz zwróćmy uwagę naszę na Słowackiego i obaczmy, jaki był jego stósunek do tego wszystkiego, co się wtedy działo wśród emigracyi?

Samotne i nieraz przykrości pełne życie jego w Paryżu, usposobienie z natury melancholijne, tęsknota do kraju, wrodzony pociąg do wszystkiego co excentryczne — wszystko to mogło z góry wzniecać żywą obawę, ażeby się ta zaraza nie czepiła i jego ducha. Szczęśliwym trafem było wszelako coś, co go na czas jakiś zabezpieczało od tego niebezpieczeństwa. Tą prezerwatywą były niesnaski z Mickiewiczem! Sama ta niechęć do swego antagonisty wystarczała, żeby nie dać mu widzieć w złudném świetle roboty, w któréj tenże był ostatecznie głównym czynnikiem. To też przez przeciąg czasu dość długi nie widać w listach

Słowackiego ani śladu, żeby był miał przywięzywać jakie wyższe znaczenie do tych cudów i proroctw, tyle wtedy sprawiających wrzawy między Towiańszczykami. Przeciwnie, usposobienie jego było wówczas więcéj towarzyskie i światowe, niż kiedykolwiek.

...„Ja, co dawniéj lubiłem samotne wieczory (donosił w ciągu piérwszéj połowy r. 1842), teraz już sam wysiedzieć nie mogę. Nuda mię ogarnia — nie wystarczam sobie wieczorami, jak dawniéj, kiedy w świeczce mojéj paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...

...„Posłałem Ci moje wizerunki — twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiédz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancyą, jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się aby mię zwykłe memu zajęciu się zaniedbanie kiedyś nie owładło. Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, który mi oszczędza niepotrzebnych wydatków. Najczęściéj chodzę czarno, ale nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą. Zawsze tak staram się być ubranym, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie; a nigdy tak, aby wiedziano, żem się wystroił umyślnie. Taka jest moja polityka co do ubioru.—Nie jestem wcale tłustszy niż byłem; ale jestem zupełnie weselszy. Jakby po walce z ludźmi odbytéj, używam pewnéj spokojności i to mi się w uśmiechu maluje. Muszę Ci także wyznać, że może tracę więcéj, niżby należało. Ale cóż robić!“ itd.

W tymże samym prawie czasie musiał Słowacki pisać coś o Towiańskim do Krasińskiego. Listu tego wprawdzie nie mamy; ale z odpowiedzi Krasińskiego, znalezionéj między papierami Juliusza, można sobie zrobić wyobrażenie, o co mniéj więcéj mógł być Zygmunt zapytywany. Odpowiedź rzeczona zasługuje na przytoczenie. Była pisana d. 27 października 1841 r. z Monachium.

„Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie — w cudotwórców prawie nigdy; nie znam zaś próżności próżniejszéj nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów. Nie pochodziż to nieco z téj urzędo-namiętnostki, tyle zawsze burmistrzującéj w naszych sercach? — W Piśmie — księga proroków następuje po księdze królewskiéj; w dziejach bieżących tosamo się objawiło. W sferze niby to widomej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt — nazwa miasto rzeczy — blichtr miasto istoty — słowem królewskość. W sferze niewidomej, w kościele, w poezyi — awansowano na proroków. Jest to także stopień — dignitas. I znowu tu,

jak tam, tytuł wprost rzecz samę skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści — wyniknęła komiczność! — Co za wiek, Julu! — co za świat! — co za koléj zgubna porywająca wszystkich do otchłani — nie Dantejskiéj, ale stokroć głębszéj, bo stokroć dalszéj od zmartwychwstań nieba; chcę mówić — do otchłani śmieszności! — Za dni moich widziałem dzieci — ponure — dzikie — jeszcze ssące pierś mamki, a już recytujące wiersze byrońskie i piszczące usteczkami pełnemi mleka: „To piołun!“ — Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawiedliwienie się przed niemi, jak Hiob niegdyś — jak Faust późniéj — i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapełniających serca ludzi imieniem swojém — a potém idących na starość do św. Pelagii i głupstwa, brednie, próżnostki same drukujących! — orłów, co w słońce patrzeli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczki. — Widziałem za dni moich, acz nie długich — zbłaźnienie wszystkiego — i zaczyna mi smętno być w duchu. Tém się jedynie pocieszam, żem zda mi się, doszedł ukrytéj sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki: tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy; kiedy duma wbrew przeciwnie jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. — Kto dumny, ten i pokorny zarazem — a duma połączona z pokorą stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory — to próżność, pokora bez dumy—to podłość.—Na pozór tylko sprzeczne to władze duszy — a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może!...

...„Teraz mój drogi Julu, o Tobie słów kilka. Ucz się patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości, unikać wszelkiéj — nie zapadaj w niemoc, bo niemoc nie jest pokorą — ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić — bo takie przekonanie nie jest dumą. — Bądź dumny a pokorny! — Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym — lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, któréj za podstawę dałeś piersi swoje...

...„Ty wiesz, żem Cię kochał zawżdy — Ty wiesz, że Cię kocham — może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę.“

Pomimo takich przestróg, zajść musiała jednak już w ciągu miesiąca lipca następnego roku (1842) w Słowackim stanowcza zmiana...

Nie umiem opowiedzieć, jakie w szczególności zdarzenie dało do tego powód, że się zbliżył do niego Towiański, czy też on do Towiańskiego. Dość że od owego czasu począwszy, usposobienie naszego poety, co tylko jeszcze tyle światowe, zmieniło się zupełnie, a sądy jego o tém wszystkiém, co się działo około Mickiewicza, ustąpiły miejsca innym wyobrażeniom. Piérwszym objawem tego zwrotu w pojęciach był list pisany do matki dnia 2 sierpnia (1842), zawierający ustępy, do których dawniéj nigdy nic podobnego nie pisał.

...„Co do mnie, wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie. Już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy — zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nademną. Wszystko to podobném jest do snu i do marzenia, i wytłómaczoném być nie może...

...„Świat glansowanych rękawiczek i woskowanych posadzek zupełnie zniknął z oczu moich, bo cóż z niego można wydobyć? Jestto próżny teatr dla igrających myśli — dla słów ulotnych: a mnie trzeba dziś być wewnętrznym człowiekiem — ile można, doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić“... *)

W następnych listach, co miesiąca już teraz pisywanych do matki i do Januszewskich (wuj Juliusza wrócił z wygnania właśnie pod koniec r. 1842), coraz więcéj znajdowało się już takich zwierzeń mistycznych. Przerażały one matkę poety. Wieści o zawiązanéj sekcie Towiańszczyków doszły były tymczasem aż na Wołyń i niemało w całym kraju obudzały zdumienia. Pani Becu nie pojmowała tego stanu, jaki wiał z tajemniczych wyrazów, kreślonych ręką jéj syna. Kiedy to wszystko, co jéj teraz pisał o sobie, porównywała z doniesieniami, które zaledwie 3 lub 4

*) Jak wiadomo, Towiańszczycy żyli w nadziei, że chwila ich powrotu do kraju już niedaleka. Dlategoto i Słowacki tylko jeszcze owę zimę miał przepędzić w Paryżu. Zmienił więc swoje mieszkanie roczne na tymczasowe i zamieszkał wtedy *rue Ponthieu* Nr. 30.

miesiące piérwéj otrzymywała jeszcze z rąk jego, a w których aż do dziwnéj jak na poetę drobiazgowości posuwał się czasem Słowacki w opisywaniu np. swego ubioru, swojéj predylekcyi do bócików lakierowanych, do „żółtawo - blado - białych“ rękawiczek, których jedynie jak powiada używał itd. to ta sprzeczność między jéj synem ówczesnym a obecnym taka była uderzająca i nagła, że matka w głowę zachodziła rozmyślając, coby to wszystko znaczyło. Zapytywała go z boleścią, z niedowierzaniem, z nieśmiałością, czyby i on miał także należeć „do tych jasnowidzących?“ Badała go, czy nie zamyśla zostać księdzem? czy zaszło co nadzwyczajnego w jego położeniu zewnętrznem? czy go nie spotkały jakie straty? czy mu nie grozi coś, co go trwoży? czy zdrów? „czy mu czoło nie pała?“ dlaczego listy jego takie niezrozumiałe?..

Przypuszczenia takowe drażniły i zasmucały Juliusza. Oto, co jéj odpowiadał na takie zapytania:

...„Zasmuciłaś mię bardzo, pisząc mi z trwogą i z pewném niedowierzaniem, myśląc żem ja się jasnowidzącym oddał i w sny ich uwierzył. Nigdy nie byłem tak nisko, żeby mię lada kto mógł wziąć za głowę. Ale drgnięciu wewnętrznemu ducha bożego uwierzyłem, i słowom prostym a bożym dałem się przekonać.“ — — — „Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać się nowéj, wielkiéj pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają nas wynajdując różne fałsze, i stawią nam różne przeszkody. Wiele więc może próżnych ech dojdzie do Ciebie. Więc jeżeli mi nie uwierzysz, będziesz się smuciła, myśląc, żem się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na któréj mię witano. Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują. Ale ja wiem, że mię Bóg nie opuści; bom ja także nie opuścił żadnéj pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niéj, i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcéj wnętrzem najczystszego czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie na Rossie*) i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje“...

„Przebacz mi najmilsza, że tak piszę; ale wiédz, że piszę

*) Mówi to o ojcu swoim Euzebiuszu Słowackim.

po spowiedzi i po przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył; bo rozumni wypędzają nas z domu świętego, oskarżając o walenie domu tego przedtém i teraz, a boją się o siebie i nie widzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie jego prawdziwe w czystości i pokorze“... (z listu z d. 17 listop. 1842).

...„Są położenia, że trzeba z miłości własnéj zrobić ofiarę, t. j. nie ukrywać się z niczém i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością. Otóż dokompletowałem siebie czynem. To jest, spotkawszy mego przeciwnika (Mickiewicz) na wyższém stanowisku, podniesionego ku prawdzie prawdziwie bożéj, już nie w jezuityzmie — podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem. Jesteśmy—ja, on i jeszcze trzeci... równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie. Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne. Nie miéj więc, o droga, żadnéj bojaźni o mnie, bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mnie nienawidzieć nie może. Bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem, i muszą to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcéj moich słów nie słyszeli“... (z listu z d. 18 stycznia r. 1843).

...„Nie tracąc chwili odpisuję, abym Cię wyprowadził z trwogi i uspokoił; bo pojmuję ile Cię taki straszny domysł zatrważać musi. Nie, nie zostanę nigdy księdzem! Onito Faryzeusze miłość udający obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po któréj tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło“... itd. (d. 18 marca 1843).

Wstrzymuję się od wypisywania miejsc takich więcéj. We wszystkich listach ich pełno. Natomiast staje się korespondencya Słowackiego od tego czasu nad wszelki opis ubogą w szczegóły o życiu jego potocznem i zewnętrznem. Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Nic go już na nim nie zajmowało. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie około pojęcia Boga, Ojczyzny, przyszłości rodu ludzkiego, słowem około zagadnień doktryny; i nie było nic ważniejszego dla niego, o czémby matce donosił, jak ten ciągły rozbiór tych niewielu mistycznych pojęć, około których się cały Towianizm kręci. Przy tém ją jednak ciągle zapewniał, że się czuje bardzo szczęśliwym.

„Uleciał smutek odemnie, powiadał jéj, i wpuścił więcéj niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota — mniéj zachceń ziemskich, a więcéj prawdziwéj żądzy dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcéj mocy, tak że mię ludzie zaledwie poznają. Widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych, i to mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata.“ (z listu z d. 18 marca 1843).

Czasem mu matka robiła wyrzuty, że ją samemi tylko zbywa rozumowaniami, a nic rzeczywistego nigdy nie donosi o sobie. W takim razie odpisywał jéj, jak np. d. 12 sierpnia 1844:

...„Dlaczego Ty droga chcesz szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy: odpowiedziałbym w taki sposób, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, niedostaje. Albowiem jeśli szczęściem jest zabawa — téj ja nie znam; jeśli pieniądze — tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniéj niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym Ci opisał droga, życie moje zewnętrzne, Ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu mojém... możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że Ci dziecko twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli Ty prawdziwie szczęścia mego żądasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, żem jest pełen jakiejś wnętrznéj radości, która się czasem aż w głosie moim, tonem śpiewu przebija — jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrachu śmiejące się, bo pewne opieki. — Pytasz mię droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja Cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potém głośno mówią: daliśmy jadła i słudzy nasi pożarli je... Albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem upoiwszy je z palących kielichów — i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takiém jadłem wiązać ludzi, aby więcéj nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi. Dla wiadomości twojéj jednak powiem, że i na

tamtém święconém byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc że przeszłość jadła, aby żyła"...

— W ciągu tego samego czasu korespondował też Słowacki, jako już Towiańskiego zwolennik, i z Krasińskim. Widocznie było gorącém życzeniem jego, ażeby dla sprawy nowéj doktryny pozyskać tę potęgę duchową. W listach tych znajdują się wydatniejsze, aniżeli w koresponencyi do matki, zarysy tego jak on sobie słowa Towiańskiego tłómaczył. Jestto zatém jedno z ważniejszych źródeł do wyrozumienia, o co ostatecznie Towiańszczykom chodziło. Źródeł takich bardzo mało pozostało. Im więcéj bowiem osoby po za tą sektą będące były pochopne do rozgłaszania rozmaitych wieści o zajściach, które się wewnątrz koła takowéj działy, tém uporczywsza była niechęć w tych ostatnich powierzania drukowi jakichkolwiek wiadomości o wewnętrznych tegoż koła stósunkach albo dogmatach. Jak wiadomo, Biesiada, a raczéj dwie Biesiady — jest bowiem jedna z r. 1841 (dla Skrzyneckiego pisana), a druga ogłoszona 1845 p. t. „Biesiada z bratem Karolem" (Różyckim) — stanowią jak dotąd jedyne drukiem rozpowszechnione dokumenta Towianizmu, wydane z samego łona téj szkoły. I z tych atoli dokumentów, choć były ułożone przez samego Towiańskiego, został jeden, t. j. owa Biesiada rychlejsza, w następnych latach o tyle unieważnionym i niejako odwołanym, że Towiański przeciwnikom swoim oświadczył, iż ją pisał jedynie dla wyż wymienionéj osoby, a nie dla wszystkich — i w celu, ażeby ją ustnym dopiéro wykładem własnym uzupełnić, nie zaś żeby każdemu służyło prawo wysnuwania z niéj wniosków swoich.

Choćby zatém z tego już tylko powodu, że to nowy a autentyczny materyał do wewnętrznych dziejów téj sekty, poczytuję za stósowne przytoczyć tu kilka wyjątków z rzeczonéj, skądinąd nieco monotonnéj korespondencyi.

W piérwszym tedy z listów pisanych w téj epoce do Krasińskiego (d. 14 grudnia 1842) — tak się Słowacki odezwał:

...„Otóż wiédz, że jest człowiek, który rozwięzuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony — wpajając w nie królewskość mocy — łącząc

z Bogiem, a to wszystko prostą, ożywczą, bożą siłą — jednem słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności bożéj... A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gotowi, przyjmą ją — a ci, na których czas nie przyszedł, odrzucą — a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienia i serca do krwi rozdarte!.. Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat naszego Kopernika... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stanęło: a on już sam w obserwatoryum swojém od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty. Ale gdybyś ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych lasów wyciągnął z myśli bożéj wszystko i wszystko odtworzył na nowo, z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie ludzkością: — wziąłbyś go pewnie za Pana i za przewodnika“...

...„Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrąg Ciebie stoją, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam i przyjść nam z legionem twórczo-duchów w pomoc. Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, i ja — choć już wśród was bez życia i ruchu — będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nademną“...

...„Poganizm cały krzyczy i jeszcze występuje do walki. Palcem posągowym pokazuje wszędy formy swoje — zasłania się niemi i teraźniejszéj chwili tylowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął; ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litosnym panem, że jego Dyany były mi kochankami, a jego trwałość — prawie wiecznością... Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym a nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historya. W Anhellim ją na końcu przeczułem i oprócz Anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszystko się sprawdziło“...

Na to zagadnięcie niezwłocznie nastąpiła odpowiedź. Odpowiedzi téj między listami wprawdzie nie znaleziono. Z piérwszych słów atoli drugiego listu, który zaraz potém napisał do Krasińskiego Słowacki, daje się wnosić, że odpis Zygmunta ułożony być musiał jakoś dyplomatycznie, ani nie przecząc, ani nie potakując.

Początek rzeczonego listu jest taki:

„Kochany mój! Twój list apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele — jak różyca różnokolorowa,

przez którą patrzy słońce — ale roztęczowane, niepewne! Odgadłeś kilka kształtów: i w wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedym mu o liście Twoim mówił, widziałem że mistrz taksamo tłómaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami...*) Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie?"...

W dalszym ciągu napotykamy jeszcze jeden ustęp godny zastanowienia:

...„Każdego z nas inaczéj uderzyło Mistrza słowo i z innéj struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokornem kole braci układa do harmonii. Co do mnie, najmocniéj mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jest jedno. — Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli bożéj na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. — Praca więc powinna się zacząć w nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia — zlewać go — spiorunować w sercu: a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. — Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczy — niech przemówi do ciebie twarzą pogodną, wnętrznem uczuciem siły nieśmiertelnéj, mocą magnetyczną wyższości prawdziwéj: — a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch, z Boga wetchnięty w organizacyą, ma misyą bożą, to jest przebicie się przez materyą, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty — aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! — Uczucie to skończonéj, wypełnionéj misyi zaczyna nową drogę ducha wyłamanego już z materyi, uwolnionego z organizacyi. — Wierzymy więc w niedopełnioną pracę ducha i w łańcuch żywotów, które podług téj skazówki wyduchowiania się uważane, są Ewangelią dowiedzione. — Wierzymy w narodowości, to jest w solidarne misye duchów powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością; a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktowém uczuciem téj odpowiedzialności; a poświęcenie się za nią nie jest

---

*) To miejsce służyć by mogło pod pewnym względem za komentarz do tego ustępu Króla Ducha, który jest dany w rapsodzie Iszym pieśni Iszéj strofie 17.

szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym, tak jak to materyalne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny.—Wierzymy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się duchem odpowiedzialni za ducha. — A tak utworzywszy sobie świat wnętrzny i zrozumiawszy go, stworzył się nam szereg cnót nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesyonałach nie były słyszane...

„Wszystko to jest proste i nie do rozumu twojego, ale do serca twojego pisane. Lecz powiédzże, czy sercom nie trzeba było takiéj wiary? takiéj religii?— Czy ta myśl, że duch — już skończywszy misyą i rozwiązany z organizacyi — jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze pozostałe w pracy, nie tworzy ci najcudowniejszéj kolumny świętych pańskich, którzy muszą podszeptywać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby wypełnienie misyi narodowych przyspieszyły?... Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonią między duchowemi pracami a boleściami ciał, które są chłostą niby bożą i przymusem i nauką duchów. Jednéj plagi, jednéj choroby nie ma przysłanéj napróżno. Narody wydają się jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. Historya, ta męka ciał, staje się nauką duchów; wszystko się wyjaśnia: Bóg się pokazuje z każdéj mgły, z każdéj chmury. Taka więc jest ta metempsychoza, o którą nas księża katoliccy oskarżają“... (List ten, długi bardzo, datowany jest z d. 17 stycznia 1843 r.). —

Teraz dopiero nastąpił odpis (z Rzymu d. 26 stycznia 1843), o którego treści można dać bliższą wiadomość, jestto bowiem jeden z owych listów dziesięciu. Co w nim szczególnie uderza, to jakaś dziwna wyrozumiałość Krasińskiego na obłąkanie całego tego grona w Paryżu, chociaż je był rokiem pierwéj z takiém oburzeniem potępił.

Oto kilka ustępów z rzeczonéj odpowiedzi:

...„Czemuż się tak żegnasz na wieki z pięknością pogańską? Czemu myślisz, że nieśmiertelne umrzéć potrafi? — W arcydziele Pana nic nie ginie, wszystko coraz żywiéj żywie, wznosi się i wzmaga! Nowa, pełniejsza od wszystkich poprzednich poczyna się epoka. Nazwieszli ją królestwem bożém, czy przyjściem Ducha św., czy jeszcze inaczéj: — to pewna, że ona być musi epoką nieznaną dotąd — życia czyli czynu! Czyn albowiem, rzeczywistość, życie — to cél, ku któremu ostatecznie wszelkie poprzednie

przygotowanie się garnie. Natura stąpała ku człowiekowi — historya stąpa ku ludzkości. Dwie sfery przygotowawcze przebiegliśmy dotąd; każda z nich wzięła na się rozwinięcie jednéj z jednostronnych części składających całość czyli życie. — Piękność czyli prawdę kształtu pojęło pogaństwo; prawdę czyli piękność myśli, chrześcijańska era upłyniona od dni chrystusowych. A czémże czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności?“ itd. *)

...„Więc owszem ja ci mówię, że gdy tak prawdziwie pojmujesz czyn, tak głęboko wzdychasz doń, to wcale się nie odsuwasz od tego, co nieśmiertelném z świata piérwszego ludzkości pozostało — od piękności! Przeciwnie, ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd tylko idealną prawdą była, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko; a czémże kształt prawdy, jeśli nie piękność? Zatém dążysz ku piękności nie już tylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i mierze wierszowéj, ale ku piękności żywéj, ku najwyższemu stanowisku piękności“...

W dalszym wywodzie wykłada Krasiński swoję własną teoryą o ludzkości i składających jéj organizm narodowościach, jako niezbędnych członkach téj harmonijnéj całości, w sposób jak w przedmowie do Przedświtu. I w końcu ten system swéj wyobraźni przysądzając Towiańszczykom, zamyka rzecz w następujących słowach:

...„O to kusicie się bracia moi — to waszém jest usiłowaniem! I błogosławieni jesteście za to, żeście piérwsi pojęli to i postarali się to uczynić! Ale pamiętajcie, że wszechstronność piérwszą cnotą waszą być powinna; że nic nie odrzucać — niczém nie gardzić, ale wszystko wywyższać — wszystkiemu miejsce dać, a piękniejsze i lepsze — powinniście! — O! zaklinam was: nie zwężajcie się jako cząstka świata — ale rozszerzcie się jako całość świata! — Bądźcie pełniejsi miłości od tych, którzy twierdzą, że ich rzemiosłem jest miłość! Nie intolerancyą walczcie intolerancyę! Owszem, wszystko pojmijcie, wszystko pochłońcie — bądźcie jako kopuła, co ziemię widnokrężnie opierścienia. — Miasto gołębicy dawnéj, chciałbym by dziś

*) Cały powyższy ustęp prawie żywcem jest wzięty z Cieszkowskiego Historyozofii.

taki błękit uznany został za symbol Ducha świętego! Niechże i waszych działań będzie on symbolem!“

A zatém, jak widzimy, Krasiński ostatecznie nic więcéj nie znalazł do wytknięcia mistycznéj owéj doktrynie, jak tylko ten fanatyzm, tę wyłączność bezmiłośną i jednostronną, tę do najwyższego stopnia posuniętą intolerancyą, jaka znamionowała i słowa i postępki Towiańszczyków, od Mickiewicza począwszy aż do najbezmyślniejszego szeregowca téj szkoły, we wszystkich ich zetknięciach z światem zewnętrznym.

Ta teoryczna pobłażliwość autora Przedświtu dla Towiańszczyzny nie wystarczała jednak bynajmniéj Słowackiemu, który go pragnął do obozu tego przeciągnąć. Z téj przyczyny korespondencya zobopólna się przedłużyła i nadal, ale w taki sposób, że w wyrazach Słowackiego coraz dotkliwiéj przebijać zaczął „pewien kwas melancholijny“ przeciwko człowiekowi, którego dawniéj tyle uwielbiał. Na uwagi cierpkie, wstępnym bojem sobie czynione, Krasiński odpowiadał życzliwie i z miłością, lecz je odpiérał jednakże. Wreszcie się ta rozmowa listowna między nimi urwała... Potém nastąpił (w tymże roku, w jednym z miesięcy latowych) ślub Krasińskiego z Branicką — a następnie napisany i ogłoszony został „Ksiądz Marek“.

Nie można samemu tylko przypadkowi tego przypisać, że się w tym poemacie znajdują rzeczy, które boleśnie dotknęły Krasińskiego. Są tam wyrażenia i zajścia, ubliżające rodzinom, z których tenże albo pochodził albo z niemi był połączony. Uraza musiała być tém żywsza, że nie można było niewidzieć, że tu wyraźnie o to tylko chodziło, żeby dokuczyć. Uszczypliwości są po większéj części naciągnięte i w kolorach mocno przesadnych; a to, co się bezpośrednio do Krasińskich odnosi, nazwać należy nawet bezwarunkowo niesprawiedliwém, zwłaszcza że dzieje barskiéj konfederacyi bynajmniéj do tego nie dawały powodu.

Ta publikacya położyła na zawsze koniec serdecznym stósunkom pomiędzy Słowackim a Krasińskim. Zerwały się one od owego już czasu, a nie dopiéro w skutek wiersza „Do Autora trzech Psalmów“, jak to zazwyczaj sobie wyobrażają. W późniejszych latach podali sobie wprawdzie obaj poeci raz jeszcze

ręce do zgody; ale była to już tylko... przyjaźń łatana i chłodna — jak się to opowie w swojém miejscu.

Ażeby zakończyć już ten rozdział sprawie Towianizmu wyłącznie poświęcony, dodaję jeszcze słowo o zachowaniu się Słowackiego względem saméjże szkoły, któréj był uczestnikiem. Bynajmniéj nie należy sobie wystawiać, że to był bierny tylko i potulny wykonawca zleceń mistrza swojego, albo powolny potakiwacz słowom lub też uchwałom drugich. Owa sprężysta samodzielność, owa „odśrodkowa siła negacyi“, którą mu przyznał był już Krasiński w owéj rozprawie swojéj z r. 1841, podsycana wrodzoną a teraz okolicznościami spotęgowaną drażliwością umysłu, dawała się i w téj życia jego epoce czuć wszystkim z jego strony przy lada sposobności. Mianowicie zgoda z Mickiewiczem żadną miarą nie była bezwarunkową i długotrwałą.

W piérwszéj chwili uwielbienie jego dla Towiańskiego nie miało granic. Pod jednym wierszem, który jako numer V znalazł miejsce w tomie Iszym Pism jego pośmiertnych na stronie 71, napisał był takie wyrazy bezpośrednio do niego skierowane.

„Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem swojém i zapowiedzeniem sprawy bożéj, ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejowi Towiańskiemu,

niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia Sprawy Bożéj, ofiaruję i poświęcam, — narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcéj jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił.“ —

Ale już krótko po wyjeździe Mistrza z Paryża, znalazł się Słowacki w konieczności wystąpienia z powszechnego i jedynego jeszcze naówczas koła Towiańszczyków i założenia frakcyi własnéj, osobnéj. Powód zdarzenia tego nie jest mi wprawdzie wiadomy; ale nie wątpię, że do tegoto zajścia odnosi się następujący

urywek z listu, którego początek znalazłem na ulotnéj kartce pomiędzy luźnymi papierami poety:

„Piszę do Ciebie, Bracie Andrzeju, abym Ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem téj tajemnicy obciążywszy samego siebie; abym nie mógł być w żaden sposób przez Ducha Twego oskarżony przed Bogiem, jako odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorszenia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o Tobie świadczących przyjąłem; w dobréj wierze połączyłem się z uczuciem ich — w czystość Twoję zawierzyłem, wiernym byłem — w postępkach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojéj pomocnym Tobie — w usłużeniu Sprawie piérwszym — w cielesnym koła porządku ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było. Wystąpienie moje z koła ciche, a Tobie bynajmniéj nie uwłaczające wywołało z Ciebie sąd pismu powierzony, w którém ducha mojego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu“ — — — (dalszego ciągu nie ma).

Podobnych śladów częstych nieporozumień między Słowackim a resztą koła, mógłbym przytoczyć i więcéj. Są nawet protestacye formalne z jego strony przeciwko jakimś krokom czy też zamiarom Mickiewicza i jego zwolenników, których już dzisiaj dokładnie się dorozumieć nie można z powodu tajemniczości' w jakiéj się wszystko tam odbywało pomiędzy nimi. Oto jeden z ciekawszych dokumentów tego rodzaju.

„My niżéj podpisani, którzyśmy stanęli przy sztandarze sprawy Bożéj, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siły ku zbawieniu Ojczyzny naszéj...

„Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli koło nasze ku tym idealnym absolutnym celom, na których wszelka różnica czasem i charakterem między narodami położona ginie...

„Nie oskarżając bynajmniéj przewodników koła o złą wolę, ale z sumienia naszego czyniąc krok według nas potrzebny i konieczny...

„Zostawiamy odpowiedzialnymi przed Bogiem i przed narodem oweto nasze przewodniki za dalsze ich postępowanie. Sami zaś nie odbierając sztandarowi prawdy i miłości serc i sił naszych, powierzamy obronę“ — —

Dalszy ciąg téj protestacyi jest wydarty w książce, w któréj się mieści, zawierającéj w sobie różne notaty Słowackiego. Ale zaraz na trzeciéj stronie daléj w tymże raptularzu jest koncept listu, który choć jest bez daty, oczywiście odnosić się musiał do téjże okoliczności:

„Do koła całego tak nazwanych Towiańszczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza:

„Bracie Adamie!

„Przypominam Ci, że przyjęty za brata w kole Waszém przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał: w dniu 1 października 1834 roku“ (liczba oczywiście zmylona, zamiast 1844, albo może 1843) „listem do koła braterskiego pisanym nie wyrzekłem się bynajmniéj braterstwa, ale położyłem Veto z ducha polskiego — przeciwko dążności rosyjskiéj, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nienaszéj wiary i nienaszéj idei podyktowała.

„Przypominam, że jako pierwéj, tak i teraz Veto moje nie zdjęte z koła trwa na wieczność, a témsamém czyni nieprawnymi i bezskutecznymi wszelkie kroki, które koło w tymże duchu łączącym nas z Rosyą przedsiębierze.

„I żądam, aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed Cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w kole dla wiadomości.

„Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha Ojczyzny mojéj —

„W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyą, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat

Juliusz Słowacki.“—

Do któregoby czasu się to wszystko odnosiło, trudno bardzo dzisiaj odgadnąć. Wnoszę jednak z różnych okoliczności ubocznych, że dziać się to musiało 1844, albo co jeszcze prawdopodobniejsza, w r. 1845.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Ksiądz Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha.

Przystąpienie Słowackiego do koła Towiańszczyków wywarło wpływ przeważny na charakterze jego jako poety. Cały zawód jego autorski otrzymał odtąd inny kierunek. Tém zdarzeniem, życie jego na emigracyi wydaje się jakby przedzielone na dwie połowy. Między pracami jego z przed roku 1842 a potém, mało jest związku organicznego. Sąto dwa osobne działy czynności literackiéj, daleko bardziéj odgrodzone od siebie, aniżeli owe okresy rychlejszéj części życia, które przedzieliło w r. 1831 dobrowolne usunięcie się na wygnanie.

Piérwsze następstwo téj tak stanowczéj zmiany wyobrażeń, a raczéj tego zupełnego przewrotu wszelkich pojęć dawniejszych, okazało się w tém, że Słowacki prace swoje dotychczasowe od téj chwili bardzo mało już cenił. Co było już wydane, tego oczywiście nie było można cofnąć z obiegu. Ale co jeszcze leżało w tece, to też już w niéj i na zawsze miało pozostać!... To jest przyczyna, dlaczego wszystkie owe w poprzedzających rozdziałach jako fragmenty wymienione utwory Słowackiego, nie tylko nie zostały do druku i do rąk publiczności oddane, ale co gorsza, puszczone w poniewierkę, rzucone między niepotrzebne papiery, do tego stopnia na powolne wystawione były niszczenie, że największa ich część doszła rąk naszych zaledwie tylko w urywkach.

Zupełnie mylne byłoby przypuszczenie, że zatrata tylu wybornych rzeczy zaszła dopiéro po śmierci autora w skutek niedbalstwa spadkobierców, albo też, jak to niektórzy myślą, z powodu, że Słowacki w ostatnich chwilach życia miał żądać, ażeby część jakaś jego literackiéj pozostałości była wrzucona w ogień.

„Przeszłego życia mego nie żałuję — pisał do matki d. 18 marca 1843 r. — ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z któréj mi teraz łatwiéj postępować wyżéj. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym. Ale dzięki Bogu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całéj duszy mojéj; a to co zostało, nie będzie stracone“... „Módlcie się więc, aby Bóg jak najprędzéj raczył spełniać swoję łaskę dla świata i przybliżał czas odkwitu. Każda godzina bowiem teraz jest ważna, a lenistwo ducha grzechem jest“...

A zatém przypuszczał wprawdzie Juliusz, że między dawniejszemi jego dziełami niektóre może są woni prawdziwéj i przydatnéj oddychającym; lecz od téj pory zadanie swoje pojmował już inaczéj. Chodziło o to, aby to, co w nim zostało z ducha i nie było jeszcze straconém, jak najprędzéj się dokonało; każda bowiem godzina ważna! Nowe zatém przedsięwzięcia zwróciły na się całą jego usilność. A dawniejsze prace poszły na odstawkę — w zapomnienie...

Jedyny z utworów dokonanych już dawniéj, który został ogłoszony po przystąpieniu autora do Towiańszczyzny, byłto:

Książę Niezłomny Calderona. Paryż roku 1844. 12° str. 172.

Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu fantastycznych dramatów, osnutych na tle legend z przedhistorycznéj narodowéj przeszłości, zamiar ten poszedł obecnie w zapomnienie.

Dalsza praca nad Beniowskim postępowała wprawdzie swoim torem i po roku 1842, ale postępowała dorywczo i że tak powiem, targana coraz innym duchem, jaki wrzał wtedy w piersi poety. To jest przyczyna, dlaczego ten poemat przedstawia w drugiéj, niedawno ogłoszonéj części swojéj, postać tak chaotyczną, chociaż ustępy z osobna brane są nieraz niepospolitéj siły i piękności. Wreszcie w r. 1843, a najpóźniéj 1844, zosta-

ła praca ta zupełnie zarzucona. Natomiast pojedyncze pomysły, które podług pierwotnego planu miały wnijść w skład téj rozległéj kreacyi, a może też nawet i były już w niéj przeprowadzone, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Jeden z nich dotyczył chwili samego zgonu owéj proroczéj postaci, która tak wydatnie występuje w Beniowskim; drugi polegał na ubocznym epizodzie przygód rodziny Gruszczyńskich. Tak powstały dwa dramaty oddzielne: „Ksiądz Marek“ i „Sen srebrny Salomei“. Odpowiednie pieśni Beniowskiego uległy w skutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu; tak iż tylko dochowane mimo autora woli urywki, odszukane na ulotnych i luźnych kartkach, dostarczają świadectwa, że sceny te już i kiedyś dawniéj zaprzątały fantazyą Słowackiego — w odmienny sposób.

Ksiądz Marek był pisany w ciągu roku 1843, w miesiącach latowych, najpóźniéj w lipcu, — jak to wynika niewątpliwie z zestawienia okoliczności opowiedzianych w rozdziale poprzedzającym, ze wzmiankami niektóremi o tém w listach Słowackiego do matki. Wyjście z druku rzeczonego dramatu przyszło do skutku w listopadzie onegoż roku. Imię autora było wyrażone na samém czele tytułu:

„Juliusza Słowackiego **Ksiądz Marek.** Poema dramatyczne w 3 aktach.“ Paryż 1843. 12°, stron 158.

W piérwszych dwóch tygodniach tegoż miesiąca listopada (1843) zaimprowizowany został drugi ów dramat, który wyszedł z pod prasy dopiero w styczniu 1844, pod tytułem:

„Juliusza Słowackiego **Sen srebrny Salomei.** Romans dramatyczny.“ Paryż 1844. 12°.

W kilka miesięcy po wydaniu tego drugiego utworu znalazł Słowacki sposobność posłania matce przez znajomą osobę obydwóch tych ostatnich dzieł swoich razem; a wyprawiał je tém skwapliwiéj, że się spodziewał, iż je matka z radością powita i z dumą będzie odczytywała, jako dzieła, które zdaniem jego podyktowało natchnienie, do wysokości jakiego nigdy on się w dawniejszém swojém życiu jeszcze wznieść nie potrafił. Tymczasem przyjęcie książek tych przez panią Becu było zupełnie inne! Wprawdzie

nieznane mi są względy, pod którymi głównie dramaty te sprawiły niemiłe wrażenie na światłéj matce ich autora; listu jéj bowiem pisanego o tém (jako i żadnych w ogóle listów matki do syna) nie czytałem. Że uwagi jednakże udzielone Słowackiemu w rzeczonéj chwili o Księdzu Marku i Śnie Salomei musiały być niekorzystne i bynajmniéj nie zachęcające autora do dalszych kroków na takiéj drodze, o tém przekonywa jego odpis dany wtedy w odpowiedzi na owe uwagi matki. Byłto odpis niezmiernie długi, a jeszcze więcéj cierpki i prawiebym powiedział gromiący! Gorycz jego dochodziła do tego stopnia, że napisawszy go, sam Juliusz spostrzegł się wcześnie, że się w rozdrażnieniu za daleko posunął. Czując zatém niewłaściwość tonu, jakiego sobie tym razem względem matki pozwolił, nie oddał listu na pocztę, ale napisał inny, krótszy i spokojniéj ułożony; tamten zaś list pozostał u niego między papierami, z których go dopiero po śmierci poety porządkując wszystkie jego rękopisma wydobyto i jako ciekawy dokument dołączono do całego zbioru korespondencyi.

Ażeby wyrozumieć ówczesne, nad wszelki wyraz excentryczne usposobienie poety, uważam za stósowne przytoczyć z rzeczonego listu kilka dłuższych wyjątków.

...„Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów krwistéj organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energią. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk; a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest denerwującą muzykę Chopina.— Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało otrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jéj jednę lub drugą kuracyą. Lecz lękaj się obu dla ludzi zwiędłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzucą, a po koncercie Chopina część duszy własnéj utracą. I Ty droga moja — czuła — dobra — litośna — miłująca — siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całéj — wypłakawszy się napróżno, więc grzesznie — wypłakawszy się dlatego, bo Cię semitonami i dyssonancami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? — Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości — a dla człowieka prostego, z sercem — jest listem zupełnie

bez serca pisanym!... Ja także, droga moja, bardziéj teraz niż Ty otwartym być muszę, bo tu o duszę Twoję nieśmiertelną chodzi. Otóż powiem Ci, coś napisała. — Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moję zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak, jak dawniéj pisałem. — Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu, a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie; jeżeli więc prawdziwie (a Ty wiesz że bez winy własnéj) podupadłem: to powiédz mi, czy to do Ciebie należało, pokazywać mi, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mię w swoim eleganckim szopenowym salonie? — Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy że ta plotka, gorsza stokroć, niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegała po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona u niejednego niby szacunek mojéj osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi moich. — Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem — nie artykułami gazetowymi, ale samém wnętrzem pism moich. Ta plotka jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąt niebios: — a Ty mi ją, z całą świeżością, nową oddałaś w liście!... Cóż następuje? Oto rada, abym się nie spieszył z drukowaniem, a ochłonąwszy z gorączki odczytał utwor mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. — Pomyśl droga, jak ta rada jest złą i fałszywą! Więc Ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów? To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: — ach! teraz Adam pęknie z zazdrości — albo Szekspir wróciwszy z grobu omdleje: to w takim razie powinienbym być kontent z siebie?... Widziałem raz dziecinę, któréj na nowy rok bardzo ładne cacko matka kupiła; a ta, uniesiona radością — wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia byłato jéj przyjaciółeczka, dziécię uboższych rodziców, które tak piękném cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz pomyśl Ty, że natchnienie jest darem aniołów — i zrozum, jakim Ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moję z podarunku...

„Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego Ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a Ty sobie moję postać przypominasz... Powiédźże mi droga, jakże

ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami?— Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają! — Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe Ci nie miał niczego... Boga na świadka biorę, żem ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze że on nie z głębi Twojéj wyszedł, ale z téj nieszczęsnéj atmosfery smętnéj błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie! Lubicie, co wam nerwy rozczula — a wstręt macie do zdrowych pokarmów. — Widziałaśże Ty, żeby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiém, przez Chopina muzykę sprawioném, stał się lepszym — piękniejszym — litośniejszym, wyrósł na bohatera? — Jednę mi osobę zacytuj, a wyznam, żem nie miał racyi potępienia...

...„Jednak i ja nie jestem bez winy — bo winą moją jest użycie imienia świętego; a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedym pisał...*) Lecz i tu pomyśl Ty droga: gdybym ja napisał np. Indianę stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną — dwa razy splamioną — biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał Twojém imieniem — ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansowo-kwaśno-melancholiczną potęgą i sztuką drażnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał Tobie...? Rzekłabyś, że cud cudów!! Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, który je zmienia w anielskie?... Droga moja, pomyśl nad tém, nim potępisz którekolwiek z moich wyrażeń, nim je nazwiesz niewłaściwemi i nie po polsku!... A te nie po polsku — co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię? Zamiast powiedzieć krótko: kocham Cię — drukując tosamo muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie np. posiadasz serce twego syna? — To okrągło i pięknie! — Tak gadają i piszą umarłe narody! Piszą językiem, którego potém w mowie potocznéj użyć nie mogą. Taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata — patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb: wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute. Lecz wiérz

*) Widać matka Juliusza bynajmniéj mu nie dziękowała za to, że takiéj właśnie osobie, jak bohaterka w Śnie srebrnym Salomei, odważył się dać jéj imię chrzestne.

droga, że Włoch tensam listu napisać nie umie! Znajduje się w podobnym razie, jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka. — Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny — przeklinają eleganckie salony; a ja staram się inaczéj o wyprawienie za drzwi tego jegomościa — to jest daję wam w poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl, jak potrawę — ciepłą na stół podaje...

„Słowem, widzisz droga moja, że w tym liście Twoim ani razu nie byłaś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi zamyślonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się wewnętrznie uśmiecham... Inaczéj było z piérwszym listem! Był on prosto wypowiedzeniem uczucia Twojego serdecznego i był świętym dla mnie... Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś, a to marzenie było prawdziwie piękne! tak piękne, żem uczuł niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy podanéj mu do wykonania zatrwożony... Widzisz więc droga moja, że nie wtenczas, kiedy Cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, ja smucę się; ale wtenczas, kiedy Cię widzę za światem gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze! Bo za Tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy Tobie. Ale dla Ciebie wrócić — ani ojczyzna, ani sprawa boża mi nie pozwoli...

...„Biada duchowi Twemu, jeśli Cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódl się, i odczytaj go znowu — spokojnie i święcie. Odczytaj mówię, te wyrzuty Twoje i rady — i pomyśl, czyliby one mogły były dane być przez Chrystusa? Z tym jednym tonem ewangelicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja Ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani „Szwajcaryi“ ani innych osobistych poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym... Więcéj Ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego z rodziną już czytać umiejącą — za sto lat — w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie — szczęśliwy! — ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta Balladynę. Ten utwor bawi go jak baśń — a razem uczy go jakiejś harmonii i dramatycznéj formy. Bierze Lillę — tosamo. Mazepa trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz ujrzał Godzinę Myśli, albo Lambra —

i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego! Otóż dla tego chłopka jest Salomea — Ksiądz Marek — i Książę Niezłomny, ten Książę który mi kości wewnętrzne połamał — gdzie są pioruny poezyi, a z którym Ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza — nie melancholią, ale boleść obudza — nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi. — Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyą dla żywych ludzi... Kto piérwéj z taką poezyą przyjdzie, ja mu z wszystkich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżéj i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego nie ma, nie równaj mnie z nikim — ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką...

Matka poety załączyła była do listu, na który Juliusz obecnie odpisywał, nie wiem w jakiéj właściwie myśli, dwa wizerunki Najświętszéj Panny: jeden z nich był kopią jakiéjś artystycznie, wytwornym pędzlem wykonanéj Madonny i był przeznaczony dla Juliusza; drugi wyobrażał z całą prostotą obraz Matki Boskiéj berdyczowskiéj i był tu dołączony jako podarunek dla — Kirkora (w Balladynie). Do tychto więc dwóch obrazków ściągało się, co mówi autor w poniżéj przywiedzionym ustępie:

„Z listu Twego wypadł naprzód obrazek N. Panny — ale nie ten Twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojéj tragedyi posłany. O jakże mi widok téj prostéj Królowéj w koronie... z berłem w ręku i z maleńkim Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudém i smutném — w płaszczu który mi się wydał błękitnym, liliami złotemi uhaftowanym... jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym!... a napis: „Berdyczowska“ — tasama, która nademną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służył Bogu...*) o jak to wszystko mi łzy wydarło! Natychmiast w jednéj chwili te wszystkie wspomnienia — królewskość jéj — w tym sztychu nawet jakaś święta niemoc prostoty — uderzyła na mnie cudowną potęgą... A potém w liście Twoim druga... pięknie

*) To się odnosi do rzeczywistego wypadku, który się zdarzył kiedyś w dzieciństwie Słowackiego, kiedy on razem z matką odbywał jakąś podróż z Krzemieńca do Żytomierza i Berdyczowa.

ubrana, z dzieckiem rumianém, w któréj nic nie było świętego, tylko myśl Twoja i chęć Twoja i dotknięcie rąk Twoich. — Wieszże Ty, kto to jest Najświętsza Panna? Oto przez cztéry tysiące lat cała natura — wszystkie ludy przeczuwały, że raz przez kobietę rozmiłowaną w Bogu złamane będzie prawo natury najpiérwsze... Poeci przeczucie to zamieniali w kształt i ciągle o tém gadali; bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Stąd tyle Nimf greckich lub dziewic, które z Bogiem są zamężne. Wielkość tego przeczucia zatrważa — powszechność jego zadziwia! Otóż duch Najświętszéj Panny spełnił cud — i ludzkość cała jakby otrzymawszy to czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach...*) Jakiżto więc duch był wielki i zdolny cudownéj bożéj miłości, kiedy zaspokoił serca bijące przeczuciem od lat tylu, w tylu ludach! A ta Matka, ściśniona miłością bożą, z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne — ona jedna, która wiedziała, że miłością bożą ducha boskiego wywołała z niebios — i ten duch siedzi na rękach u niéj — dzieciątko małe, a już cierpiące nad światem!... Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłszy do lasu oliwnego, siadłem przy studni i czekałem, ażali mi się jaka postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącemi nie zjawi... Otóż nie podług Twego obrazka oczekiwałem czegoś podobnego do niéj — ale podług téj Berdyczowskiéj, tylko w tęczowych kolorach — z niebieską przezroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczém — ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia. A ja chciałbym, ażeby uczucie Twoje było srebrne, jak gołębica. Kirkor swój obrazek może nosić na piersiach podczas batalii — i po batalii leżeć z nim, cały krwawy, twarzą do Boga. A ktoby zobaczył, zapłakałby mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przyniesiona... Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi — ale nie odpowiada memu smutkowi i często bolesnéj twarzy... itd.

W tym sporze między matką a synem my czytelnicy dziś podobno będziemy musieli stanąć stanowczo po stronie pierwszéj; a możemy to uczynić z tém większą pewnością siebie, że i sam autor, już we dwa lata późniéj, z żalem i wstrętem wspominał—

*) Porównać z tém miejsce w Królu Duchu w tomie Pism pośmiertnych IIgim na stronie 203 i 204.

wprawdzie nie o obu utworach, których wtedy tak gorąco przed matką bronił, ale o Księdzu Marku. Przytoczę w jednym z dalszych rozdziałów dosłownie, co w téj mierze w r. 1846 Słowacki do Krasińskiego wyrzekł o owém dziele i o stanie duszy, który to dzieło spłodził. Tutaj zaś tylko dodaję, że jeżeli téj gorzkiéj krytyki nie rozciągnął wtedy autor nasz i do Snu Salomei, to tylko przeto, iż nie było przy owéj sposobności żadnéj do tego przyczyny, żeby mówić także i o owym drugim utworze. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął i o Sen Salomei: toby był przyznał pewnie i tutaj poeta „wątłość dzieła i nędzę zewnętrzną w wykonaniu“.

Rzeczywiście bowiem miała słuszność matka poety, kiedy twierdziła, że obydwa te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniéj pod piórem Słowackiego powstało. Sam już styl i zewnętrzna forma takowych okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnéj formie opowiadania. A jakie też nieraz dziwne jest ono opowiadanie! W ogóle dykcya tu przypomina rozbujałość poezyi wschodniéj. Jest ona jakaś nieunoszona i nieujęta jak powódź, a leje się dyalogiem wezbranym nad wszelkie karby prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztéry sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiéj figury perorującéj jednym tchem — bez przerwy ze strony ludzi, do których prawi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrzegać w żadnym z dawniejszych utworów autora Mazepy.

Może niejeden z czytelników zechce tę dziwną rozwlekłość tłómaczyć uwagą, że w owéj porze Słowacki szczególniéj zajmował się Kalderonem. Zasiadł do Księdza Marka wkrótce po dokonaniu przekładu El Principe constante. Wyobraźnia jego nastrojona więc była, że tak rzekę, na ton tego hiszpańskiego poety. — Nie chciałbym żadną miarą przeczyć temu, iż niejedna odrębność formy czy to Księdza Marka czy Snu Srebnego składaną być rzeczywiście powinna na karb tegoto wpływu. Aż do pewnego stopnia mogła niezawodnie ta bujność wyobraźni wysłowienia, ta przewaga opowiadawczych i li-

rycznych żywiołów nad ścisłą akcyą, równie być następstwem przejęcia się tradycyami sceny hiszpańskiéj, jak ów wiersz krótki ośmiozgłoskowy, którym obydwa te dramaty są ułożone, albo jak wreszcie ów podział Snu Salomei na „Zmiany“, w taki sposób że każda w akcie „piérwsza zmiana“ odpowiada scenie drugiéj według skądinąd używanéj praktyki, a „druga zmiana“ znaczy tyle, co trzecia scena itd. Mimo to wszystko nie sądzę jednak, żeby wszystko, co nas razi w tych Słowackiego pracach, dało się tłómaczyć samym tylko Kalderonizmem. Poeta nasz w owych latach nie mógł być naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest też niewątpliwie u niego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcéj, aniżeli u Kalderona; a raczéj — w téj ostateczności i przesadzie u Kalderona nie ma ich wcale!

Byłżeby Kalderon lub sam autor Lilli Wenedy dawniéj darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze był pokazał taki oto np. ustęp?

„Wtém, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip wężowiska,
Od kurhanów na kurhany —
Wiodąc świateł złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęcze;
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnéj pychy
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalie;
Jasna bo w niéj anielica
Ubrana jak na batalie
Z piekłem, w słoneczności lica
I w niewinności ubiory,
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnéj podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała.“ *)

*) Z aktu IVgo sceny piérwszéj Snu Salomei, str. 284 i

To wszystko jest jedno zdanie! jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stepy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohaterska natura, rycerz nie gawędzeniem wsławiony, ale dzielnością. Słowem: Sawa to mówi! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzecia sta wierszy dalszéj gawędy, ujętéj w zdania mniéj więcéj tegoż kalibru!

Żeby takie rzeczy pojąć — u Słowackiego — nie można się zaprawdę zaspakajać odwoływaniem do tych lub owych okoliczności literackich, jak np. do studyów nad Kalderonem. Byłto raczéj skutek przewrotu, jakiemu podległo całe stanowisko poety od piérwszéj chwili, kiedy do koła Towiańszczyków przystąpił. Byłto owoc — że tak powiem: jego nowéj wiary.

Od téj pory wyrobił on w sobie bowiem to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego rozumem, ale się staje jedynie za sprawą jego ducha. Duch zaś wedle niego — to istota najzupełniéj odrębna, będąca w ciągłym prądzie działania w wytkniętym ściśle kierunku. Ciało i cała osobistość człowieka, ze wszystkiemi nawet władzami umysłowemi — to tylko doczesny pobyt onego ducha, jakby naczynie, które on zapełnia, ażeby je po zużyciu rzucić i zamieniać po kolei na coraz inne. Ponieważ duch mieszkający w człowieku nie może w ciągu krótkiego życia dopełnić całéj misyi, dlatego po zgonie albo się rodzi napowrót w nowém jakiém ciele i ciągnie daléj pracę poprzednich żywotów, albo też jako duch niezrodzony i niewidzialny okrąża głowy ludzi mających w sobie pokrewne duchy i wpływa swoją potęgą na nich, ażeby im do ostatecznego spełnienia swojego posłannictwa dopomóc. Im więcéj tedy człowiek się poddaje tajemniczemu pchnięciu czy to tego ducha, który przez niego działa, czy też owych duchów, które go okrążają: tém pewniejszym być może, że to co działa, jest jego obowiązkiem istotnym. Przeciwnie, im więcéj polega na sobie samym i na własném swojém zastanowieniu, im więcéj ufa swojéj w trudzie i znoju pozyskanéj wiedzy i bierze

---

285 wydania lipskiego. Nie jestto bynajmniéj miejsce szczególnie upatrzone, lecz wzięte na chybi-trafi.

rzeczy, jak to mówią, na rozum: tém więcéj właśnie przez to stawia oporu owym wyższym nieśmiertelnym natchnieniom, a tém samém tém więcéj błądzi i grzeszy...

...„Wystaw więc sobie — są słowa poety naszego wyrzeczone w liście do matki z d. 28 lipca 1843 — że duch każden ma swoję misyą na ziemi; że duch każden zawięzuje stósunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną misyą miały i o dokończenie jéj dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z nimi, a one wtenczas nam dają natchnienia, i według naszéj wiary i czystości coraz wyraźniéj je mówią do serc, a potém nieraz do uszu i do oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami — i to jest obcowanie świętych, którego księża nie mogli nam wytłómaczyć, to jest wlać go w wiarę naszę. O! uczuj to droga i wypracuj, a obaczysz, w jakiéj my wielkiéj rzeczypospolitéj żyjemy; obaczysz dla czegom ja po morzach wędrował i po pustyniach błądził, a nigdy mi się nic złego nie stało. Bo wiedziały duchy, że ja w swoim czasie może będę potrzebny“... itd.

Przyjąwszy tedy powyższe założenie za dogmat, miał poeta nasz to przekonanie, że kiedy chodzi o dobitne a skuteczne przelanie w ludzi tego co im potrzebne jest wiedzieć, czy to za pomocą mowy czy pisma: starać się trzeba o jak najzupełniejsze poddanie całego swego jestestwa téj bezpośredniéj mocy ducha, co działa przez nas, a o jak najdalsze od współdziałania usunięcie tych wszystkich władz naszych własnych, któreby kontrolować może chciały to co się czyni z ducha. Będąc tedy autorem, im się bardziéj pisze na oślep, jednym tchem, duszkiem: — tém lepiéj!

Z téjto przyczyny znajdujemy często takie oto wyrażenia w jego korespondencyi:

„Droga moja! trudność mam wielką w pisaniu tém; albowiem nie jest to pisanie i uwiadomianie Ciebie, ale przelewanie ducha, który mię ożywia, w Twojego ducha“... (d. 18 marca 1843).

...„Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcéj ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, żywić Ciebie i rozmiłowywać w Bogu i przywiodło do celu, nie katując mię cieleśnie, ale łagodnie prowadząc *(sic)*. On staremu memu duchowi,

co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktowie przypomina z dawnych żywotów, pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co za mną idą... Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą. Ale cóż robić! Ty dobra, Ty miłą jesteś wielu dobrym duchom tych, co już poszli ze świata; będziesz więc miała wielu tłómaczów i tych, którzy prawdę potwierdzą"... (d. 28 lipca 1843).

Zastósujmy to, co tu w liście czytamy, do dzieł poetycznych Juliusza: a będziemy mieli wytłómaczoną całą zagadkę. Pisał on wszystko w téj porze, że tak powiem, jednym pędem, nie zastanawiając się wcale nad tém, co pisał i jak pisał. Nawał pomysłów i obrazów, cisnących mu się w gorączkowo usposobionéj wyobraźni pod pióro, uważał za przysłane sobie z ręki wyższéj i nie przebierając robił użytek ze wszystkiego. A napisawszy — nie śmiał już nic wykreślić ani odmienić, ponieważ poczytywał to sobie za podyktowane niejako z góry. Nie był Słowacki tedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym; ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie w dłoniach czegoś drugiego, coby trudno było sprowadzić do jakiejś nazwy.

W najdosłowniejszém zatém znaczeniu uważać można obydwa te dramaty jego ostatnie za prawdziwe improwizacye. Były to improwizacye i ze względu na dykcyą, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne — i ze względu nawet na pomysł. Boć i nad tą wewnętrzną stroną kreacyi nie rozmyślał on już odtąd zbyt wiele. Przyszła mu jakaś idea na myśl — uczuł w sobie, jak się zwykł był wyrażać, jakby mocne pchnięcie od Boga do pracy: porywał tedy za pióro w piérwszém natchnieniu i tak — bez artystycznego obmyślenia inwencyi — rosły postaci i zdarzenia pod tém piórem jego rozbiegłém, aż dzieło stanęło całe. Rozumie się, że nie kto inny, tylko poeta je stworzył; ale sprawy on z nich sobie ani zdawał ani chciał zdawać. Nie sądził bowiem, żeby i to jeszcze należało do niego.

...„Teraz Ci powiem, droga moja (pisał d. 30 listopada 1844 r.) że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem, skąd przychodzą, i dokąd idą; ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy z światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą. Widzisz Ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał: odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłemi a przyszłemi zwycięstwami być powinna. W kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo... W innym rodzaju, ale nie mniéj dziwny wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy. Oto w istocie w rok potém pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie — nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. A dla mnie jest niby rzeczywistą krytyką przez jakieś duchowe władze krwawemi literami napisaną. Mniejszych mnóstwo mógłbym Ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor — tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi (w Balladynie), że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby zbawcę itd. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?... Rzeczy te małe, uważane dowodzą, że spełniamy jakąś misyą; że nas trzeba było, kiedyśmy byli; a nie będzie, jak nie będzie potrzeba"...

Po tém wszystkiém, com powiedział, rozumiem, że nie będę się potrzebował tłómaczyć przed czytelnikiem, dlaczego nie uważam za stósowne podejmować właściwego rozbioru Księdza Marka i Snu Salomei. Są to rzeczy, któreby rozbioru szczegółowego wcale nie wytrzymały. W Księdzu Marku znajdują się niewątpliwie tu i owdzie (a szczególnie w akcie I) ustępy genialnie napisane i takiéj siły, że małoby który utwor dawniejszy — nie tylko Słowackiego, ale któregokolwiek z najznakomitszych poetów naszych, potrafił okazać w składzie swoim coś podobnego! Ale całość kompozycyi i ogólne autora założenie żadną miarą myślącego człowieka zaspokoić nie mogą. Czytałem przed kilku laty

jakiś nibyto rozbiór tego dramatu, napisany przez jakiegoś bezimiennego, który o nim sądził inaczéj *). Argumenta owéj krytyki niestety nie zdołały mi otworzyć oczu na osobliwe piękności, jakie w nim autor szanowny upatruje! Zdaje mi się, że trzeba szczególnego bałwochwalstwa dla geniuszu Juliusza, ażeby posunąć się aż do wyrzeczenia słów, że „głęboko pomyślany i mistrzowsko rozprowadzony jest ten dramat". Byłbym niemało wdzięczny autorowi, gdyby krótko a węzłowato raczył wypowiedzieć ów pomysł, który mu się w Księdzu Marku wydawał tyle głębokim; i gdyby nie w luźnych słowach, ale w sposób właściwy chciał wskazać objawy upatrywanego w nim mistrzowskiego przeprowadzenia. Możebyśmy przy téj sposobności usłyszeli jakie nowe ideje estetyczne, któreby nam przyniosły nowe kryterya piękności w sztuce... Że w Księdzu Marku trafiają się tu i owdzie potężne szczegóły, to sam z góry przyznałem. Takowe jednakże nigdy się z sobą nie kleją i nie tworzą w połączeniu takiego ogólnego obrazu, któryby czytelnika zachwycał i podnosił... Ksiądz Marek ma skądinąd tę jeszcze niepospolitą zaletę, że czuć w nim pęd bezpośredni natchnienia i surową wiarę pisarza w to wszystko, co wypowiada. Widać też i obecność utajoną na dnie serca poety, pewnéj żywotnéj myśli, o któréj na jaw z wielkim trudem wydobycie mu chodzi. Myśl ta wszelako zaledwie się snać dopiero była zrodziła w otchłaniach jego ducha. On jéj sam nawet jeszcze twarz w twarz nie ogląda! A i my ją w dziele jego zaledwie odgadujemy. Nie przyszło bowiem do tego, ażeby idea zamieszkała w całéj osnowie dzieła i była przeprowadzoną jak prąd elektryczny przez wszystkie jego włókna i części.

W ogóle trzebaby być choć do połowy Towiańszczykiem, ażeby mieć zdolność pochwycenia całéj intencyi autora. Wszystko tu bowiem polega na przypuszczeniach, na które, jeśli się nie jest w tym wirze pojęć, wcale przystać nie można. Każdy krok w postępie dramatu polega na interwencyi władz nadzmysłowych. Od

*) Obacz nieboszczkę Turowskiego Niewiastę (r. 1862 Nr. 13 i następne).

cudownego wystrzału z działa, kiedy ksiądz Marek Krasińskiego do pozostania w Barze na początku sztuki namawia, aż do śmierci bohatera w samym jéj końcu, wszystkie prawie sceny sąto cuda! a co gorsza, cuda nieuzasadnione ze stanowiska poprzednich działań. Takie powiązanie zdarzeń, taka logika faktów — to już sfera, w któréj człowiekowi być zaczyna duszno i straszno i tak nieswojo, jak na cmentarzu o północnéj godzinie.

— „Sen Srebrny Salomei“ nierównie więcéj ma okrągłości i wykończenia, aniżeli utwor poprzedni. Mimo to jednak i tutaj ostateczny zamiar autora nie jest tak jasny, iżby sam przez się uderzał w oczy. Na piérwsze spojrzenie zdaje się to być tylko prosta udramatyzowana powiastka o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobném dopiero w skutek różnych nieszczęść i trwóg krajowych, jakie przeszły ludziom ówczesnym nad głowami. Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta romansem dramatycznym — a więc niejako powiastką, romancą. Z tém wszystkiém przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencye głębsze, które ze sprawą tych dwojga małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa narodowego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną, że tak powiem, na piérwszym planie, a temi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te ideje, te wieszcze przekonania poety, te sądy o społecznych narodu naszego winach, fatalnościach a w najdalszéj perspektywie wreszcie nadziejach były więcéj sformułowane i artystycznie wcielone; gdyby nakoniec nie było ze strony formy tyle powodów do protestacyi: — byłoby to jedno z najznaczniejszych arcydzieł naszych. Byłby to pomnikowy wyraz wieszczéj teodycei ducha polskiego! Ale właśnie téj pewnéj ręki, téj dokonanéj myśli artysty i filozofa nie widać w Śnie Salomei! Są tu tylko zarody i błyski genialnego pomysłu; ale do rozprowadzenia tego pomysłu i postawienia go na jaw wszem wobec i każdemu z osobna — na nieszczęście nie przyszło! Migają się tedy tylko od czasu do czasu przed oczyma naszemi złudne skazówki, w myśl których idąc, zdaje nam się,

że potrafimy podążyć w ślady za pędem ideału poety. Ale każda taka skazówka przez krótką tylko chwilę wiedzie do celu, a niebawem potém zawodzi. Albo ją bowiem zgoła tracimy z oczu, albo też doprowadza nas ona do takich punktów widzenia, że patrząc z nich na to co się daléj otwiera, nie radzibyśmy szli dłużéj tąsamą drogą; zdaje nam się bowiem, że błądzimy po jakimś labiryncie, z którego nie ma wyjścia...

Dlatego też jeżeliby się miało określić etyczny sens Snu Salomei, trzebaby treść dramatu do połowy prawie zapomnieć. Tylko bowiem z oddalonego spojrzenia na całość téj zawiłéj i przeładowanéj kreacyi można odważyć się do robienia wniosków o głównéj intencyi jéj autora. Niejednoby też dopiero trzeba nadłożyć, a i niejedno jako niepotrzebne i zawadzające usunąć, jeżeliby miał stanąć przed nami czysty i cały pomysł poety.

— Po ogłoszeniu Księdza Marka i Snu Salomei Słowacki nie ustawał w ciągłéj pracy to nad tym, to nad owym przedmiotem. Nowe wyobrażenia, które wstrząsały całém jego jestestwem, nasuwały mu coraz dalsze widoki i zażegały go do coraz innych przedsięwzięć. Chodziło o poetyckie na jaw wydanie tego wszystkiego. Rzecz była trudna nad wszelki opis. Najoderwańsze pojęcia, najmglistsze filozofematy, najniklejsze błyski w genialnéj lecz chorobliwéj fantazyi, miały się przywdziewać w ciało i przetwarzać w kształty plastyczne. Najczęściéj kończyło się też na zamiarach, na planach, na samém tylko wreszcie zaczęciu dzieła. Już to niestósowność w samym wyborze przedmiotu, już przechodząca po za wszelkie granice sztuki przedmiotu tegoż rozległość, już nakoniec i samo to nieustające nasuwanie się coraz nowych projektów wytrącało poecie pióro z ręki nad rzeczami co tylko rozpoczętemi...

W następstwie tych wszystkich wyjątkowych okoliczności pozostało z téj epoki życia Słowackiego wiele pism różnych noszących wyraźne znamię jego usposobienia w tych latach. Jest między niemi znaczna ilość wierszy ulotnych i lirycznych, po większéj części teozoficznéj treści. Niektóre z nich świadczą wymownie o dawnéj sile tego genialnego poety, niektóre znowu giną zupełnie

w mglistościach mistycyzmu. Z téj też przyczyny zaledwie połowa tego, co się z lirycznych poezyi dało wyszukać w papierach po śmierci autora, mogło znaleść pomieszczenie w pozgonnym zbiorze dzieł jego.

Nie brak także i na dłuższych utworach, najczęściéj dramatycznego zakroju, które przypadają na one lata. Wszystkie pisma téj kategoryi doszły nas tylko w niewykończonych ustępach i urywkach, które zapewne nigdy nie tworzyły całości. Urywki te jednakże dochodzą niekiedy obszerności kilku set, a czasem kilku tysięcy wierszy.

Jest między nimi np. znaczna część jakiegoś dramatu osnutego na tle starodawnych dziejów Nowogrodu. Chodziło, zdaje się, o okazanie despotyzmu Mongołów nad spodlonymi książęty Rusi. Rzecz ta jest bez dokończenia, obejmuje wierszy 628. Jest pisana pod wpływem tradycyi kalderonowych, owym dyalogiem długim i przeobfitym, któryśmy już wytknęli przy innéj sposobności. Nie zdawało mi się, żeby dzieło to zasługiwało na ogłoszenie; w tym stanie bowiem, w jakim ono pozostało, małoby kogo osnową swoją zajęło. Nad wszystkiém góruje tu mistyka i niezrozumiałość.

Do pism tegoż rodzaju i czasu odnoszę fragment liryczno-dramatyczny, który zamieściłem w piérwszym tomie mego wydania pod napisem **Poeta i Natchnienie**. Ze stanowiska ówczesnéj doktryny autora, natchnienie nie znaczy podniesionego stanu duszy człowieka, ale istotę odrębną, która go okrąża i jest osobnym duchem. Dał mu tu autor nazwę Atessy. Utworowi niniejszemu nie można odmówić pewnego wdzięku i artyzmu w oddaniu; chociaż podobać się tylko mogą poszczególne ustępy, a całość jest niezrozumiała. Niezrozumiałości téj nie to przyczynę stanowi, że fragment nie tworzy większéj całości, ale że nam tak zupełnie braknie klucza do otworzenia sobie i wglądnięcia w ten cały świat mistycznych wyobrażeń i przypuszczeń, wśród jakich w owym czasie żył wyobraźnią i wiarą swoją Słowacki. Cała treść utworu, o którym tu mówimy, ściąga się do przeszłych żywotów, jakie autor w najodleglejszych epokach przypisywał sobie jako przebyte

przez siebie. Trzebaby przeto te wszystkie marzenia jego ówczesne znać szczegółowo, żeby rozumieć urywkowe aluzye do nich odnośne, których taka obfitość w tym poemacie. A to jest rzeczą tém bardziéj niepodobną, że tego rodzaju marzenia ciągle się w duchu Juliusza przeistaczały, jak się to wykaże dowodnie w rozbiorze Króla - Ducha.

Pozostały też fragmenty z nader rozległego jakiegoś przedsięwzięcia, którego przedmiotem miał być **Zawisza Czarny**, ten rycerz bez trwogi i fałszu, słynny w ciągu panowania Władysława Jagiełły. Jestto utwor dramatyczny z rodzaju rzeczy nieprzeznaczonych dla sceny. Zawiązek sztuki stanowi zwycięstwo Jagiełły nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Zachowanie się obłudne cesarza Zygmunta względem króla polskiego, zdaje się, że miało posłużyć za tło dla dalszéj osnowy. Wplata się też do tego i romans jakiś. Ale piérwszorzędną potęgą z ducha i sprężyną wszystkich zdarzeń, które się tylko tam dzieją, jest w tym poemacie Zawisza, osobistość tajemnicza, głęboka, nieodgadniona, słowem mesyaniczna —coś nakształt księdza Marka w zakresie konfederacyi barskiéj, lub Wernyhory pośród scen rzezi humańskiéj.— Stan rękopisu mieszczącego w sobie ten utwor daje wnioskować, z jaką trudnością połączony był dla autora, pracującego dawniéj z taką łatwością, ten trud wcielania w dramatyczne kształty poezyi, mętnych i niechwytnych pojęć nowéj doktryny. Niektóre części są przemazane po pierwszym rzucie i przerobione inaczéj, i to nie tylko po raz drugi, ale niekiedy i trzeci. Wreszcie całe założenie rzeczy snać się musiało autorowi uprzykrzyć. Porzucił co był napisał, i już potém nigdy nie tknął na nowo tego przedmiotu. Pozostało tedy kilka tylko już to dłuższych już krótszych ustępów, nie stanowiących ani całości ani ciągu. Gdyby je złożyć, zapełniłyby one razem kilka arkuszy druku. O planie zamierzonéj całości nie można sobie z tego utworzyć wyobrażenia. Co jest wykonane, okazuje myśl głęboką, ale pracującą pod brzemieniem czegoś chorobliwego. Dlatego też widziałem się zmuszonym wyłączyć poemat niniejszy z liczby rzeczy przeznaczonych do ogłoszenia.

Do tegoż czasu odnieść należy jeszcze jeden utwor takiejże formy i podobnéj osnowy. Mówię o poemacie fantastycznym, pełnym najśmielszéj cudowności, który nie wiem jakby mógł być najstósowniéj nazwany. Jednym z tytułów, jakie się nasuwają, mógłby być **Samuel Zborowski**. Jest to rzecz niewykończona, wielkich rozmiarów — obejmuje około 3 tysięcy wierszy; pomimo tego daleko tu jeszcze od ostatniego z tychże wierszy do końca. Autor zamierzał tu w poetyckiéj szacie ukazać fundamentalne pewniki swojéj wiary filozoficzno-społecznéj, jako je późniéj wyłożył w traktacie prozą pisanym, a zatytułowanym „Geneza z Ducha“. Wyprowadził zatém na scenę w „Samuelu Zborowskim“ i ludzi żyjących i duchy umarłych i fantastyczne postaci, wzięte już to z różnych mitologii pogańskich, już ze starego Testamentu. Chodziło mu nasamprzód o okazanie tego wątku twórczego (którym wedle niego jest duch), snującego się genetycznie a nieprzerwanie przez wszystkie stopnie i warstwy rzeczy stworzonych, od najniedoskonalszéj formy do coraz doskonalszéj, od najnieudolniejszego jestestwa do coraz wyższych w łańcuchu stworzeń organizacyi zwierzęcych, aż nareszcie do objawienia się wyraźnéj już duchowości w człowieku. A daléj zależało poecie także na stawieniu przykładu, jako i odtąd jeszcze duch nieśmiertelny, już w człowieku działający, nie zaprzestaje tego ruchu coraz wyżéj go niosącego, lecz zamieszkuje w kolei czasu coraz inne ciała ludzkie, szukając sobie form coraz dogodniejszych i doskonalszych. Przed oczyma tedy naszemi odbywają się w poemacie tym ciągłe przeistoczenia i metempsychozy, skutkiem których nieraz jedno i tosamo ciało służy coraz innym duchom za szatę, i odwrotnie jeden i tensam duch przybiera sobie po kolei coraz inne ciała za naczynie i narzędzie istnienia. Czytelnik wyrozumie, że już w skutek samego założenia, w skutek samego mówię przedmiotu, poematowi temu zbywać zupełnie musi na jednotliwéj i jednolitéj osnowie. Składa on się z kilku działów bardzo luźnie spojonych z sobą. Dwa między nimi są szczególniéj odrębne. Piérwszym z takowych jest wywód, dany tylko w kształcie opowiadania, a nie dyalogu, opowiadania mówię włożonego w usta istoty, która sobie wszystko to przypomina, czém kiedykolwiek

była. Wywód ten obejmuje wszystkie przemiany i koleje stworzenia przed przyjściem na świat człowieka, a zatém niejako kosmogonią czyli genezę przyrody martwéj i zwierzęcéj przed wyłonieniem z materyi kształtu ludzkiego. Główną rolę odgrywa w tych ustępach „Lucyper," który bynajmniéj nie występuje tu jako duch zły, lecz tylko jako duch zaprzeczenia i ruchu, a więc — że tak powiem — jako pierwiastek w zakresie natury „rewolucyjny i wiecznie wszczynający". Widząc w nim poeta ziarno wszelkiego postępu, czynnik nieznużonego prądu coraz wyżéj w stworzeniu, uważa go za przedwiekowy zaród ducha, który zanim zamieszkał w człowieku, stawał się po kolei wszystkiém, co tylko w świecie stworzonym istnie, więc wiewem atmosfery, wodą, kamieniem, płazem, itd. itd. Duch ten więc w taki sposób przewlekł się i przewił w tysiącu postaciach i jestestwach przez całe przyrodzenie. — Drugim epizodem, równie stanowiącym pewną całość odrębną, jest w tym utworze spór duchów ludzi, którzy za życia wyznawali wprost sprzeczne sobie ideje, wyznają je z równą wyłącznością i po za grobem i wytaczają ostatecznie ten proces odwieczny zasad przed najwyższą instancyą — przed sąd boży... Wprowadzony jest na scenę duch Samuela Zborowskiego i zapozywa przed trybunał samego Boga Jana Zamojskiego, oskarżając go o niesprawiedliwy i występnie zapadły wyrok śmierci, którego na nim kazał dopełnić. Zamojski—jak tylko może — usprawiedliwia swoje postępowanie. Powody jego zdają się być wielkiéj wagi. Ale w charakterze „Adwokata" Zborowskiego występuje zrazu znowuż Lucyper, a w dalszym toku wytwarza się z owego Lucypera samże poeta nasz, gorliwie przemawiający w obronie swego klienta, i ...Samuel wygrywa proces! Dlaczego zaś właśnie ten moment dziejów polskich obrał sobie autor na okazanie światodziejowego swego problematu, z tego się nie tłómaczy.

Przeczyć temu oczywiście nie można, żeby nie miał i w téj kreacyi uderzać w tém lub w owém miejscu potężny geniusz poety; całość jednakże smutne sprawia wrażenie! Bezład — zamęt — brak zupełny tak artystycznego układu, jako i jasnych pojęć — wszystko to zdradza, z jak mętnego stanu ducha dzieło niniejsze

wynikło. Wiersz i dykcya jest z rodzaju Księdza Marka i Salomei. Jak owe wywody kosmologiczne zdawać się muszą w oczach prawdziwego znawcy w tym zakresie umiejętności, bałamutną tylko bujnéj wyobraźni fantazmagoryą, tak też i wyobrażenia o dziejach naszych i o porządku polityczno-społecznym, rozwinięte w ustępie o Zborowskim — nie wytrzymałyby ani na chwilę historycznéj krytyki. Słowacki upatruje w Samuelu typ czegoś bardzo wzniosłego; widzi w nim narzędzie opatrznościowych zamiarów i twierdzi, że go Zamojski na śmierć wskazał nie tylko niesprawiedliwie, ale i ku niepowetowanéj szkodzie dla całego powodzenia narodu. Przez tento bowiem wypadek miał się bieg życia politycznego Polaków najfatalniéj skrzywić i cofnąć na kilka wieków... Co to jednak za wzniosłość i wielkość była w Zborowskim? i na jakich podstawach opiera się pewność poety, kiedy się tak stanowczo z zdaniem podobném odzywa? — na to w poemacie odpowiedzi nie znaleść.

Oczywiście w żaden sposób nie można było drukować rzeczy téj razem z innemi Słowackiego dziełami, które objęto w wydaniu lwowskiém.

— To są prace z owéj epoki w zakresie poezyi. — Więcéj jeszcze pozostało pism treści niby rozumującéj i teozoficznéj, prozą, pochodzących z tegoż czasu. Pomimo wielkiéj takowych ilości, i to są same prawie tylko rzeczy pozaczynane, urywkowe, ledwie wyjątkowo wydatniejszą całość tworzące.

Słowacki w owych latach, jak to widać ze wszystkiego, bardzo wiele musiał rozmyślać. Formułował i budował on sobie z wielkiém wysileniem jakiś powszechny system wiary i wiedzy. Chciał w nim ująć różne swoje pomysły w jednym wywodzie. Brak porządnego naukowego przygotowania, ubóstwo pozytywnéj wiedzy, mała wprawa w ścisłém myśleniu, niewielka znajomość życia, serca ludzkiego i tego toku, jakim idą sprawy na świecie — oto przyczyny, które sprawiły, że te usiłowania jego zupełnie mu się nie wiodły. Pomysły jego były czasem, choć bardzo rzadko, błyskami genialnéj intuicyi. Zazwyczaj były to jednak tylko luźne marzenia, dziwolągi filozoficzne, utopie społe-

czne... W każdym razie atoli przyznać należy, że pracował on w owéj porze umysłem ciężko i wiele. Czytał dzieła w różnych przedmiotach, zaciekał się w poszukiwaniach nad ostatecznemi kwestyami życia, biorąc w pomoc wszelkie nauki, zaglądając nieraz i do dzieł filozoficznych, nawet niemieckich, o ile takowe za pomocą tłómaczeń dla niego były przystępne.

W skutek takiego naprężenia umysłu nad przedmiotami więcéj naukowéj i praktycznéj natury, pozostało w papierach jego notat i najrozmaitszych studyów prozą pisanych z owego czasu tyle, że wnosić można, iż utwory poetyckie, o których co tylko dałem powyżéj wiadomość, stanowić musiały wyjątkowe chyba tylko Słowackiego zajęcie począwszy od roku 1842. Są to aforyzmy, sentencye, filozofematy, rozmyślania — w zakresie religii, znawstwa przyrody, mitologii, historyi i społecznych teoryi; wreszcie modlitwy, kazania (miane zapewne w gronie współwyznawców), listy dogmatyczne do niektórych osób w materyi przyswojonego sobie systemu, a czasem i dłuższe prace. Ostatnie pisane były zazwyczaj w formie dyalogu, na wzór Platońskich dyalogów, albo też w kształcie ewangelii i apokalipsy.

Z tych pism wszystkich użytku zrobić nie było można dla świeżo dokonanego dzieł pośmiertnych wydania, ponieważ są to rzeczy, jak się już powiedziało, bez początku i końca i nie doprowadzone też do tego choćby tylko stopnia jasności, iżby dobrze rozumieć można było, co chciał przez nie Słowacki ostatecznie powiedzieć. Pełno tam zawsze bowiem przypowieści, porównań, obrazów poetycznych, słowem najśmielszych rozpędów i zboczeń, które nibyto mają tém lepiéj kwestyą rozjaśnić, ale jéj nie rozjaśniają. Zabierają tylko miejsce, rzecz na tém nic nie zyskuje, a to, o co chodziło, tymczasem ulatuje z pamięci...

Jedna pomiędzy temi pracami, nieco późniéj zapewne wykonana, znalazła się w papierach w takim kształcie, że ją uważać można i za syntezę niejako wszystkich owych przygotowań zrazu daremnych i za wysłowienie ostateczne całéj wiary i wiedzy poety, na któréj sformułowaniu i przekazaniu potomności tak bardzo mu zależało. Napis tego utworu: „**Genesis z Ducha, Modlitwa.**“

Jestto rzecz wielkich rozmiarów, wypowiedziana uroczyście, w formie wyznania wiary, zwróconego ku samemu stwórcy wszech rzeczy, a zatém rzeczywiście w formie modlitwy.

Oto początek tego mistycznego traktatu:

„Na skałach Oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego; a jam się nagle uczuł w przeszłości Nieśmiertelnym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach.

„Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie—a jam*) był w Słowie.

„A my duchy słowa zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, iżeśmy sami z siebie z woli naszéj i z miłości naszéj wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

„Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyłeś od duchów, które obrały objawienie się w ciemności; i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z któréj Ty Panie odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla któréj wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

„Tu gdzie za plecami mojemi palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie przyśnione oczom Homera, tu gdzie odstrzelone słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągły głos pracującego na formę Chaosu; tu gdzie duchy tąsamą, co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota; nad temi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając: pozwól mi Boże, że jako dzieciątko wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojéj przeszłości.“...

Po takim początku, obejmuje dalsza osnowa Genezy z Ducha niejako przypomnienie pierwszych początków

*) Jam, nie ja; bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze. (Przyp. Słowackiego).

odwiecznéj istności świata, przypomnienie zaczerpnięte z wnętrza własnego ducha, który w tém wszystkiém uczestniczył. Jest to więc w kształcie dziejowéj opowieści, w kształcie platońskiéj anamnezy, obraz kolejnego przeobrażania się i doskonalenia planety naszéj, z tém wszystkiém co na niéj żyje i żyło.—Nie brak w tém dziele rzeczy, które bardzo pięknie i poetycznie pod względem formy rozpowiada poeta; jednakże nie można w niém niewidzieć też wielu marzeń i dziwnie przekręconych pewników naukowych. A główna myśl, którą odsłania jakby objawienie nowe, sobie dopiero odsłonione, nie jest i nie była już wtedy właściwie niczém nowém w nauce. Mówię tu o tém dziś już powszechnie uznaném założeniu, że wszystkie rzeczy i żyjątka w stworzeniu — od kamienia począwszy aż do organizmu człowieka — stanowią łańcuch nieprzerwany i jednotliwy. Wszystkie ogniwa tego łańcucha są to jakby stopnie coraz wyższego wyrazu téj siły twórczéj, która to wszystko wydobywa z niebytu, z łona materyi. Cała „Filozofia Natury“ Hegla (niemniéj zresztą w szczegółach bałamutna, jak i Geneza Słowackiego) jest już na téjże właśnie idei oparta.

„Genezę z Ducha“ uważał Słowacki za najcenniejsze dzieło swoje, za płód pracy najwięcéj zasługujący na ogłoszenie, ze wszystkiego co tylko kiedykolwiek napisał. Twierdzenie niniejsze opieram na następującéj okoliczności. Do manuskryptu, bardzo czysto przepisanego własną ręką autora, znajduję dodaną kartkę z następującym napisem: Genesis z Ducha, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał; zawiera bowiem Alfę i Omegę świata.“ Słowa te zanotowane zostały przez przyjaciela i nieodstępnego towarzysza poety w jego ostatnich chwilach, o którym w dalszych rozdziałach będzie jeszcze wzmianka osobna.

Dodał potém Słowacki do Genezy, w osobnym urywku, jeszcze i wykład ze swego stanowiska tych piérwszych chwil istnienia na ziemi rodu ludzkiego, których przypomnienia złożone są częścią w mitologii, częścią w księgach starego Testamentu. Bujne i to było pole dla marzącego umysłu! Od chwili jaśniejszéj

wiedzy dziejowéj, na progu wieków jakokolwiek oświeconych pochodnią historyi — rzecz się urywa...

Wszystkich tego rodzaju pism Słowackiego nie objąłem w wydaniu, które ażeby mogło być doprowadzone do skutku, koniecznie musiało być ściągnięte do jak najkrótszych rozmiarów i mieścić w sobie to tylko, co jeżeliby było przepadło, stanowiłoby prawdziwą stratę dla ojczystéj literatury. Zresztą uważałem jakby za wykroczenie przeciw cieniom mego poety, ogłaszać rzeczy, które ani jemu sławy ani czytelnikom pożytku nie zdawały się obiecywać. — Genesis z Ducha może być ciekawym materyałem do poszukiwań w zakresie Towiańszczyzny; ale do poszukiwań takich mało kto zapewne znajdzie w sobie ochotę. Ogół czytających szemrałby na wydawcę, gdyby się kosztem znacznie podwyższonéj ceny było w taki sposób powiększyło ilość tomów pośmiertnego wydania.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król-Duch — wykład piérwszych rapsodów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów“ — okoliczności chwili owéj towarzyszące — stósunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane.

Wszystkie prace w rozdziale poprzednim wymienione, prócz jednéj chyba Genezy z Ducha, zdają się samą swoją powierzchownością świadczyć o tém, że powstały pod wpływem, jak się Słowacki przy pewnéj sposobności wyraził, „piérwszego szału rozbudzonych ducha wnętrzności“. Nie było mi wprawdzie podobno, szczegółowo oznaczyć czasu, kiedy każda z nich mogła być napisaną; ale tyle będzie pewném, że przypadają one wszystkie na piérwsze lata owéj mistycznéj doby w jego żywocie. Ideje jego były wtedy jeszcze w nieustającym ruchu przekształceń. Sam on jeszcze nie pojmował się w tym nowym swoim względem wszystkiego, co wcielone i niewcielone, stósunku. Przechodziły mu przez myśl zagadnienia olbrzymie, myśli ogniste, które nie tylko dlatego nie dawały się z powodzeniem zużytkować artystycznie, że sobie z nich sam poeta nie umiał jasnéj zdać sprawy, ale że i zbyt rozległe to były pomysły. Każda sztuka, a zatém i poezya, wymaga pewnego ograniczenia, skoncentrowania, zawarcia tego, coby się rado w nieskończoność rozpłynąć, w pewnym ścisłym zakresie. Excentryczność przedmiotu najniebezpieczniejszym bywa szkopułem dla wszystkich przedsięwzięć poetyckich.

Po upływie pewnego czasu Słowacki choć trwał i nadal przy powziętym kierunku i bynajmniéj nie opuszczał sztandaru nowéj doktryny, jednakże przetrawił do pewnego już stopnia nowe swoje wyobrażenia i zaczął, że tak powiem, czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu okazywać artystę, artystę piérwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jeszcze i potém, ale już nie w téj gęstości, żeby wartość ich jako dzieł poetyckich miała cierpieć na tém dotkliwie. Owszem — zdaje się niekiedy, że ten lekki wiéw extatycznéj zadumy, ten tajemniczy odblask bezdennéj wiary i fantastyczności w autorze przydaje im prawie woni i wdzięku. Można się wtedy nie godzić na ostateczne następstwa, do jakichby uboczne intencye poety, zaledwie dostrzeżone w dziełach jego téj daty, prowadzić mogły. Ale też i nie można utworom tym zaprzeczyć — z ich stanowiska — niepospolitéj nieraz głębokości w pomyśle, a niezrównanéj z niczém siły w wysłowieniu i rzucie...

Do liczby rzeczy tego właśnie rodzaju nie wahałbym się zaliczyć mianowicie **„Rozmowy z Matką Mokryną“**. Nie wchodzę w to, czy wszystkie rysy tego obrazu są rzeczywiście wzięte że tak powiem z natury; wiadomo mi, że osoby niektóre, dobrze jak powiadają z całą tą sprawą obeznane, wytykają poematowi temu pod tym właśnie względem miejscami uchybienia; — biorąc wszelako utwor ten jako dzieło sztuki, któréj zadanie nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości niewolniczém nawet w ubocznych i najdrobniejszych szczegółach, lecz na ujęciu ducha zdarzeń, o które chodzi: zdaje mi się, że go można śmiało zaliczyć do arcydzieł w tym rodzaju poezyi. Z dawniejszych prac Słowackiego najwięcéj zbliża się do niego poemat o Ojcu Zadżumionych, jako podobny obraz strasznéj boleści i grozy. Objawy Towianizmu są w Rozmowie tak nieznaczne, artystyczny jéj układ tak prosty, a moc słowa taka potężna, że zaledwie uwierzyćby można, że to jest dzieło właśnie lat owych, a nie kiedyś rychléj stworzone. Że tak jednak jest, tego dowodzi najprzód sam czas wypadku, który dał powód do podjęcia tego przedmiotu, a po-

tém i ta okoliczność, że w rękopisie własnoręcznym poety, w którym się mieści piérwszy rzut tego dzieła, znajdują się w niektórych miejscach, pomiędzy jednym ustępem a drugim, różne — nienależące do osnowy poematu — odezwania do Boga, ułożone w najprostszych wyrazach prozą, jakie pisać po będących pod ręką papierach swoich było w owych dopiero latach zwyczajem i niejako potrzebą duszy naszego poety. Są to różne definicye dogmatów jego doktryny, aforystycznie wyrzeczone w formie modlitwy zwróconéj do Boga samego, jako bezpośredni wylew serca wzbierającego wdzięcznością, że mu jest daném mieć świadomość rzetelnéj prawdy. Miejsca takie, jak już wspomniałem, wprawdzie nie zostają w żadnym związku z poematem, o którym tu mówimy; ale dają podstawę do najpewniejszych wniosków o czasie, kiedy on powstał, i o usposobieniu ducha, którego był owocem.

Drugiém dziełem téj kategoryi, ale wykonaném zupełnie znowu w innym rodzaju, jest **Król-Duch**. Część początkowa poematu tego, nazwana „Rapsodem pierwszym“ została ogłoszona za życia jeszcze poety, w r. 1847 (rzeczywiście w końcu 1846) w Paryżu, bezimiennie, bez karty tytułowéj, w formacie wielkiéj ósemki, stron 24. — Były to tylko trzy pierwsze pieśni, stanowiące poniekąd odrębną całość. Wrażenia one na publiczności żadnego nie wywarły. Mało przez kogo przeczytane do końca, potępione jako dziwactwo, przeszły przez ogół prawie niepostrzeżone. Trudno bo też było z tego ułomku wyrozumieć istotną myśl poety i urobić sobie choćby jakiekolwiek wyobrażenie o całkowitém założeniu utworu. Byłto ustęp wprawdzie głęboko pomyślany, w pojedynczych działach z wielkiém dokonany mistrzowstwem i słowa i w ogóle artyzmu; lecz skądinąd tak oderwany i trudny wtedy jeszcze do zrozumienia, że nie mógł nie zdawać się zagadką wszystkim niewtajemniczonym w mistyczną autora doktrynę.

Tento zupełny brak udziału ze strony czytelników wstrzymał też zapewne Słowackiego od drukowania dalszych rapsodyi. I tak skończyło się na tém, że do niedawna publiczność nasza nie znała nic więcéj z téj olbrzymiéj kreacyi, jak tylko ów jeden rapsod;

i że do dzisiaj poemat ten cały prawie powszechnie uchodzi za rzecz, która się usuwa z pod wszelkiego rozbioru...

Słowackiego ciągłém marzeniem, od pierwszéj chwili przyjęcia doktryny Towianizmu, była myśl przyoblecenia nowych idei w szaty poezyi. Widzieliśmy w powyższém, jak wszystkie prace jego od r. 1842 począwszy, polegały na téj jedynéj dążności. Nie chodziło mu już odtąd o tworzenie ideałów fantazyi w zwyczajnym sensie; nie chodziło o artystyczne dokonywanie dowolnych założeń poetycznych. Chciał on podnieść znaczenie i zasługę poezyi daleko wyżéj. Miał to być jeden ze sposobów wieszczego objawienia światu istnéj, bezpośredniéj prawdy, t. j. tajnych dogmatów i tych wszystkich rzeczy zakrytych, których wypowiedzenie w innéj formie przewyższałoby może w ludziach zwyczajnych zdolność pojęcia takowych.

Poprzednie próby uczynienia zadość temu ideałowi — nie udawały się autorowi naszemu. Były to wszystko prace o tyle chybione, że osnowa, że tło i ramy zamierzonego dzieła nie były zdolne przyjąć w się i pomieścić całéj autora intencyi. Były to wszystko jakby naczynia jakieś kruche i szczupłe, niezdolne objąć w sobie wszystkiego, co w nich zawarte być miało. Dlatego też owe zbyt ciasne kształty paczyły się poecie pod ręką; wychodziły z pracowni jego albo jako monstra (X. Marek i Srebrny Sen), albo z niéj nie wychodziły wcale, lecz przed dokonaniem pracy nad niemi odkładane bywały na bok, i leżą dziś przed nami jak torsa potwornéj rzeźby, która szczegółami obudza podziw, a pomysłem odstręcza...

Wreszcie trafił Słowacki na przedmiot, który stósunkowo najwięcéj obiecywał założeniu jego dorównać. Założenie jego polegało tym razem na onym wiary jego artykule naczelnym, że społeczeństwo ludzkie, obrębem pewnéj narodowości objęte, jest prowadzone naprzód i coraz daléj mocą duchów wybranych, duchów większych, silniejszych... Każdy naród ma zatém swego niby anioła (może kilku aniołów — punkt ten bowiem nie jest u Słowackiego wypowiedziany jasno), który przez niego działa i przez go ku coraz większemu zbliżeniu się do celu, jaki jest narodowi

temu wytknięty. Działanie jednakowoż owego ducha, przesnuwając się przez cały ciąg dziejów narodowych, nie może być mierzone trwaniem jednego człowieczego żywota. Pokolenia ludzkie zmieniają się i nastają po sobie, jak liście na drzewach, opadające jesienią, a odrastające na wiosnę. Człowiek naczelny w narodzie, człowiek mający w sobie owego ducha-anioła, podlega oczywiście tymsamym prawom natury, co cały rodzaj ludzki. Misya wiekowa ducha, który w nim żyje i przezeń działa, nie może więc być dopełnioną w ciągu znikomego jego życia. Dlatego duch ten potrzebuje więc kilku żywotów, mając działać bezprzestannie; i przeto w kolei czasów odradza się to w tém ciele, to znowu w owém. Na pozór coraz inna osobistość dziejowa, jest on w gruncie rzeczy jednak zawsze tymsamym duchem-kierownikiem swojego społeczeństwa, tymsamym duchem nad duchami, tymsamym... „Królem-Duchem".

To tedy założenie swoje zamierzył Słowacki uwidomić na przykładzie dziejów ojczystych, wytłómaczonych i okazanych w tém świetle począwszy od piérwszéj chwili żywota Polski aż do dni ostatnich. Czyli innemi słowy: poeta nasz wprowadza tę przodującą dziejom naszym osobistość mistyczną, jako bohatera epopei; i z powodów, które niżéj odsłonimy wyraźniéj, z powodów nader ważnych, gdyż dotyczących saméjże osoby własnéj, osoby Słowackiego: kładzie całą opowieść trudów w tym szeregu wieków przebytych, całą opowieść téj nieśmiertelnéj kracyaty — w własne usta Króla-Ducha, zaczynając poemat od owéj strofy, zapowiadającéj ogólną treść tego cyklu rapsodów.

„Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
I wielkie duchów świętych wojny święte"*).

*) A więc się poeta identyfikuje z bohaterem swoim

W piérwszym rapsodzie (wydanym jeszcze r. 1847) odsłonił autor piérwszy doczesny żywot króla-ducha na tle samych społeczności naszéj zawiązków. Dalsze rapsody przedstawiają go w późniejszych jego żywotach, w coraz innych osobach, a zawsze w takich, że życie narodowe w każdéj epoce od nich jedynie odbierało główny pęd i ruch i kierunek ku przeznaczeniu swojemu.

Przypatrzmyż się teraz nieco bliżéj, jak ten pomysł jest wykonany w szczegółach.

W rapsodzie I mamy opowieść pierwszego wcielenia się król-ducha w postać narodową polską. Nie jestto bynajmniéj piérwsze zrodzenie się jego, jako ducha w ogóle. Jako odrębna wiekuista istota, istniał on już i przedtém. Lecz tych że tak powiem, przedsłowiańskich dziejów jego istnienia gdzieindziéj — poeta nie odsłania. Ukazuje go nam od razu w postaci Armeńczyka jakiegoś, który jako zmarłe już ciało złożony jest na stosie, ażeby być spalonym, a potém się odradza na nowo w indywidualności wenedyjskiéj, słowiańskiéj...

Armeńczykowi owemu było imię Her. I nazwę tę i cały pomysł przejął Słowacki od Platona. Plato na samym końcu najgłębszego ze wszystkich utworów swoich, na końcu dyalogu zatytułowanego „Rzeczpospolita“ zamieścił piękną i pełną znaczenia symbolicznego powieść o jakimś Herze, synu Armeniusowym z Pamfilii, który w walce za ojczyznę poległ i wespół z innymi zabitymi leżał przez dziesięć dni na pobojowisku. Dziesiątego dnia przyszli ludzie, ażeby trupy zabitych pogrześć. Psuły się one już wszystkie, tylko Hera ciało znalezione zostało w czerstwéj świeżości. Podniesiono wszystkich poległych z ziemi i z czcią wielką zawieziono do miasta. Dwunastego dnia złożono ciała na stosach, albowiem miały być spalone. Kiedy już przykładano ogień do stosa, na którym Her leżał, stało się, iż zmarły otworzył oczy i powstał. I zszedłszy ze stosu oznajmił ziomkom, że duch jego wyszedł był z ciała i był na drugim świecie, gdzie ludzi zmarłych sądzą i karzą i nagradzają — wedle zasługi. Ale kiedy stanął z kolei i on przed sędziami: powiedziano mu, że jemu tylko należy przysłuchiwać się i przypatrywać wszystkiemu,

co się tu dzieje. Albowiem ma on jeszcze wrócić do życia i być do ludzi na ziemi mieszkających zwiastunem z świata drugiego. Opowiadał tedy ów zmartwychwstały z stosu swojego, jako się odbywają sądy dusz zmarłych, jakie im wymierzane bywają kary, jaka ich czeka przyszłość dalsza i jak wreszcie, po upływie oznaczonego czasu, stawają one powtórnie przed potęgami tamtego świata, t. j. przed Ananką i trzema córami onéj, których wspólna nazwa jest Mojry, i które rządzą życiem ludzkiém. Tam tedy stają duchy owe w szeregu; a służebnice onych trojga pań zamogilnych kładą po przed nimi mnogość wielką wzorców i wizerunków żywota, tak żywota zwierząt różnych, jako i żywotów ludzkich. Następnie wstępuje czarodziej jakiś na podwyższenie i głosi: „Słuchajcie słowa dziewicy, córy Ananki, Lachezy! Dusze znikome, oto się poczyna nowy okres śmiertelnego waszego życia. Nie was los wybierać będzie, lecz wy same obierzecie los sobie. Przed kim piérwszy znak padnie, ten niech najprzód wybierze sobie żywot i dolę, od któréj się potém już nie potrafi oddzielić! Oto cnota jest tu do wzięcia! mniéj albo więcéj mieć jéj będziecie, w miarę ile ją cenicie albo ile jéj nie cenicie. Wina będzie po stronie tego, kto wybiera — bóstwo niewinne niczemu“... To mówiąc, rzuca mąż ów znaki, jakby losy z liczbami, po przed cały zgromadzonych dusz szereg. A każda dusza znak swój podnosi wedle tego jak przy niéj upadł, i po kolei, znakiem owym wskazanéj, przystępuje do wyboru sobie żywota z pomiędzy wszystkich owych wizerunków, które w wielkiéj mnogości zostały rozłożone przed niemi. Wybór takowy zawisł zupełnie od woli tego, który wybiera. Pomimo tego, bywa to widok i smutny i śmieszny i zarazem dziwny, jak dusze owe wybierają sobie żywoty powodując się najczęściéj wrażeniami, które z sobą przyniosły z téj strony grobu, z poprzedniego życia swojego. I tak, dusza Orfeusza — z nienawiści ku całemu rodowi kobiet — wybrała wizerunek życia łabędzia, ażeby się już nie rodzić z kobiety. Dusza łabędzia przeciwnie wybrała sobie żywot ludzki. Dusza Tamyrysa (poety) przeniosła nad wszystkie inne żywot słowika. Ajax silny, a jednak pokrzywdzony przez ludzi, zapragnął teraz życia lwa. Agamemnon, równie zniechęcony do ludzi, sięgnął

ręką po życie orła. Odysseus, po długich trudach walk i wędrówek wyleczony z żądzy sławy i pomny bolów, jakich z jéj powodu doznawał, chwycił z radością za wzorzec żywota w spokojnym zakresie prywatnego człowieka; a Atalanta, która już w poprzedniém życiu z tego słynęła, że jéj w biegu prześcignąć żaden zapaśnik nie zdołał, wybrała sobie żywot męszczyzny, atlety...

Kiedy zaś już każda dusza dokonała wyboru swego, udają się wszystkie razem na dolinę Lety, a idą w skwarze wielkim i spiece, albowiem na dolinie téj nie ujrzeć ani drzew żadnych, ani żadnego z płodów, które ziemia wydaje. I zasiadają pod wieczór nad tą cudowną rzeką, kojącą troski. Tu dusza każda wypić koniecznie powinna pewną miarę wody; a niektóre, ile rozwagą i umiarkowaniem mniéj się powodujące, wychylają jéj i więcéj, w skutek czego też potém zapominają na wszystko (i tak się potém odradzają, jakby nigdy przedtém nie żyły na świecie) Wypiwszy wodę ową, zasypiają wszystkie. Nadchodzi noc, godzina północna bije. Wtedy nagle poczyna się grzmot wielki i trzęsienie ziemi. A dusze w górę się rozpierzchują na wszystkie strony jak gwiazdy spadające, i każda kwapi się, kędy jéj przeznaczono urodzić się...

Owoż to wszystko widział na drugim świecie i opowiedział ziomkom swoim ze stosu ów Her z Pamfilii. O sobie samym zaś nie był w stanie powiedzieć, którędy i jakim sposobem wrócił do ciała. Tyle mu tylko było wiadomo, że jemu pić wody z Lety nie dano i że kiedy nagle z rana oczy znowu otworzył, ujrzał się już położonym na stosie. —

Taki jest w najgłówniejszych zarysach ów myt Platona, bardzo szczegółowo u niego rozprowadzony, który więc posłużył za punkt wyjścia dla „Króla-Ducha“. Jak widzimy, bardzo mało przejął z tego mytu Słowacki. Bo też zamiar jego był inny, jak Platona. Filozofowi greckiemu zależało na dokładném odmalowaniu tego, co Her widział na drugim świecie; a naszemu autorowi chodziło przeciwnie o dalsze losy samegoż Hera. Stądto zaledwie się w niektórych szczegółach i to ubocznych spotykają oni ze sobą. Rozmijają się zaś mianowicie w tym punkcie, że po-

dług mytu greckiego Her na stosie wrócił do życia, ażeby je wieść daléj w dawnych warunkach; Słowackiego zaś Her ciało swoje pozostawia na stosie i kończy tam już swój zawód ziemski. Ciało podlega płomieniom — dusza występuje z niego, aby ulecieć w nadziemską krainę duchów...

Dalsze koleje téj duszy są w poemacie takie:

Po wyjściu z ciała*), ujrzał się Her w owéj krainie Platona, „kędy dusze jasne jak brylanty, swe dobrowolne czyniły wybory“. Jednakże on, „z harmonią obeznany młodą własnego ciała“ (strofa VIII, w któréj jak i w innych strofach przecinkowanie ciągle błędne), t. j. świadom tego, że to ciało nieskazitelne i wiecznie młode, jakie miał wtedy czystym duchem będąc, najlepiéj harmoniuje z jego naturą: „nie chciał odmiany“ ani ciała ani doli ani żywota, i nie pragnąc niczego więcéj, jak żeby duchem i nadal już pozostać, nie czynił żadnego wyboru. Siadł tedy razem z drugiemi duszami nad brzegiem Lety, lecz wody do ust nie wziął. Same tylko rany swoje nią zmywał, ażeby straciły... pamięć boleści. Wtedyto ukazano mu — gdzieś w wielkiéj oddali — „we mgłach letejskiéj zapomnienia rzeki“ tajemniczy wid jakiś, zjawienie dziwnéj, z niczém nieporównanéj piękności, które „jak świt daleki“ uroczo przed oczyma jego wschodziło (strofa IX i następne). „Ani gwiaździce, co się w morzach palą — powiada w myśl bajecznych podań ludowych poeta — „ani tych gwiaździc jasność tajemnicza“ nie wywiera tyle trwogi na jestestwach żyjących w morza otchłani, ile jego przeraziło na razie to zagadkowe zjawienie. Była to niewieścia postać jakaś, piękności tak idealnéj, że się stworzoną być zdała jakby z blasków słonecznych, z barw tęczowych, z dźwięków niebiańskich...

„Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza,
Pod nią... jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły“...

---

*) Strofa V pieśni piérwszéj. W trzecim wierszu téj strofy powinno być: „A ni za ciałem płacząca daremnie“ zamiast „A le za ciałem“.

Dość było duchowi Hera raz spojrzeć na uroczą piękność tego widu idealnego, ażeby w sobie poczuć tajemny węzeł, jaki go miał wiekuiście z nim łączyć, i wiedzieć, że ta postać promienna — to odtąd już... „jego Umiłowana na wieki!“ —

Jeżeli który ustęp w całym poemacie obecnym sprawia czytelnikowi niepokonane trudności, to niezawodnie miejsce właśnie powyższe. Co też poeta rozumiał przez tę aparacyą tak mistycznie tu wprowadzoną?

W pierwszéj chwili nasunie się tu każdemu pewnie myśl, że będzie to zapewne druga podobna duchowa indywidualność opatrznościowa, jak sam bohater poematu, ale indywidualność niewieścia: równie jak tamten mająca przed sobą do spełnienia wielkie posłannictwo w wszechświecie; równie jak on przeznaczona przebyć cały szereg żywotów, które — z wyroku tajnych przeznaczeń — zapewne splatać się będą losami swymi z zawodem męskiego król a-duch a w przyszłości. Przypuszczenie to (czytając poemat daléj) zdaje się nabierać prawdopodobieństwa z téj mianowicie przyczyny, że córka Lecha Wanda, w tak obiecujący sposób wprowadzona w osnowę już pierwszéj pieśni, a po krótkiém zboczeniu w pieśni drugiéj, tak przeważne odzyskująca znowu znaczenie w całym tym pierwszym rapsodzie, mogłaby z wielkim pozorem słuszności być uważaną za takie właśnie d o c z e s n e wcielenie owego drugiego ducha, który jako niewiasta ma towarzyszyć na całéj przeznaczeń drodze głównemu bohaterowi poematu...

Przy bliższém rozpatrzeniu przypuszczenie powyższe przecież okazuje się mylném. Klucz ten mimo wszystkich swoich pozorów, nie otwiera żadnéj z zagadek, jakie się w dalszych spotykają rapsodach. Przeciwnie, tłómaczenie takie wikłałoby nas tylko w ciągłych sprzecznościach i prowadziło na bezdroża, żadnéj nie pozostawiające możności spotkania się z rawdziwym pomysłem autora.

Słowacki pisząc to dzieło, niewątpliwie surowsze i wznioślejsze podjął zamiary, jak opiewać metempsychozę dwojga duchów,

które na różnych końcach świata i w różnych epokach historyi spotykają się na to tylko ze sobą, aby przy innych nibyto ważniejszych misyach swoich, odgrywać ostatecznie... romans ze sobą na coraz inne sposoby!

Przypomnijmy sobie, że punkt wyjścia i cały początek „Króla-Ducha“ dokonany został pod wpływem platońskich wyobrażeń. Jedną z zasadniczych podwalin całéj doktryny Platona jest przypuszczenie, że my ludzie przynosimy ze sobą na ten świat gotową już i tylko przypomnienia czasem potrzebującą świadomość bezcielesnych pojęć i ideałów („ideæ innatæ“). Platon wyobrażał sobie, że człowiek przed narodzeniem swojém ogląda twarz w twarz owe wiekuiste pierwokształty wszystkich rzeczy stworzonych, a nawet i ideały żadnéj zmysłowości niezdolne, jak np. cnotę, męstwo itp. w ich czystéj postaci czyli w ich prawdzie bezwzględnéj. To właśnie też jest, co sprawia, że chociaż po narodzeniu naszém nie widzimy na ziemi nigdy już ani nadzmysłowych wyobrażeń ani ideałów, ale tylko same rzeczy znikome, doczesne, które będąc tamtych tylko kopiami i odciskami lichymi, są zawsze ułomne i niezdolne: — to jednak posiadamy pomimo tego w pamięci i wyobraźni naszéj jakąś świadomość téj najwyższéj piękności; zachowaliśmy w sobie jakieś poczucie tych prawd wiekuistych, których ojczyzną są same tylko sfery nadziemskie. —

Otóż jednym z takichto ideałów — wyższych nad wszelkie wcielenie, jedną z takich piękności — niedoścignionych od żadnéj z określonych piękności, jednym z takich „widów“ — widnych tylko dla oka ducha, nie ciała, jest właśnie i owa napowietrzna, świetlana postać, która się „we mgłach letejskiéj zapomnienia rzeki“ objawiła po śmierci duchowi Hera, jakby świtanie jakie dalekie. Jako duch, wyszły z ciała, znajdujący się właśnie w téj ideałów ojczyźnie, jest Her zdolnym „poznać z oblicza“ ów ideał niebiański, i ogląda go w całéj jego piękności. Ponieważ jednak ideał wszelki z natury swojéj nigdy w świecie rzeczywistym być odnalezionym nie może; ponieważ przy największém nawet zbliżeniu się do niego, daje się czuć

zawsze w życiu doczesném brak obecności jego zupełnéj: przeto też i bohaterowi naszemu śpiewają jakieś głosy nieznane:

„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
Jak sny, przez dobre duchy malowane;
Żywot — tysiącem żywotów zapłacisz,
A zawsze jednę tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema,
Tę jednę smętną ranę — że Jéj nie ma!

Ukazany mu przeto jest w mglistéj oddali cel przyszłego jego zawodu, widny w całéj swojéj apoteozie i chwale: ale zarazem i to mu zapowiedzianém zostaje, że ta piękność, ta skończoność, ta boskość tego celu wszystkich jego zapędów istnie tylko w wyobraźni i w tęsknocie, słowem w ideale; w żywotach zaś rzeczywistych, choćby ich przeżyć i tysiąc, czuć się będzie zawsze tylko to jedno — „że go nie ma“, że go się jeszcze nie osięgło, że tysiące przeszkód kładzie się w drodze, które ciągle pokonywać potrzeba, żeby się zbliżać do niego; słowem że go się tylko pragnie... zawsze nadaremnie!

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie —
Serce ci damy, ale spustoszeje!
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urągał w Bogu mających nadzieję“ itd.

Te zapowiedzi, te przestrogi nie zrażają jednakże króla-ducha od tego, żeby się puścić w ślady za tym uroczym obrazem przed oczyma jego zjawionym. „Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!“ powiada, i puszcza się w drogę, „choć strzały numidzkiemi ranny,“ choć niemający jeszcze pewności, co to jest, co go ku sobie tak ciągnie: czy śmierć, czy żywota dziwo, czy Irys? itd. (strofa XII).

Przystąpmyż teraz do drugiego pytania i powiedzmy: jaki to ideał i czego ideał ukazany został w téj bezwzględnéj piękności swojéj Herowi? Kto jest ta, którą mu wtedy w dalekim ukazano świecie, ażeby odtąd była jego Umiłowaną na wieki?

Jestto Ojczyzna, jeżeli wyraz ten weźmiemy w jak najszerszém i jak najwznioślejszém znaczeniu. Nie rozumiem przez

to ani saméj tylko ziemi rodzinnéj, ani państwa w jego doczesno-utylitarném znaczeniu, ani potęgi politycznéj, ani żadnego z osobna z tych tysiącznych włókien, które się składają na ten cudny w języku polskim wyraz, na to wzniosłe w duchu pojęć polskich słowo: Ojczyzna...

A jeżeli to czytelnikowi jeszcze nie wystarcza, określmy to jeszcze inaczéj. Oto wstaje w oddali przed oczyma Hera ideał Polski, t. j. niebiański obraz tego, co naród nasz jako zadanie państwa pojmuje i co sobie wyobraża przez ideał narodu. Staje przed oczyma jego Polska, jaką być ma wedle tego, co sobie o niéj marzą i co przez całą długość jéj przeszłości sobie o ojczyźnie marzyli jéj najszlachetniejsi i duchem najwznioślejsi synowie; a zatém cel ostateczny do którego dzieje nasze dążą; słowem ideał — w najdalszą przyszłość rzucony — takiéj ojczyzny-matki, takiéj ojczyzny-idei, jaka jest wszystkich marzeń i usiłowań naszych przedmiotem.

To zatém chciał powiedzieć poeta, kiedy mówi:

„Ukazał się wid — Piękność — córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy.

„Słońce lecąca trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
Szła nad lasami i leciała dołem
Nad chaty — jako komeciana miotła.
Tęcze ją ciągłém oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły-jaśminy i maki-korale. (strofa XVII)

Że tu nie podkładamy słowom poety myśli obcéj, do któréj by się nie przyznał, gdyby jeszcze był między nami: o tém dowodnie mogą się czytelnicy przekonać, jeżeli odczytają wiersz do K. Ujejskiego, rokiem tylko późniéj przez Juliusza pisany, któryśmy dali na str. 73 tomu I dzieł pośmiertnych. Znajdujemy w wierszu rzeczonym prawie tesame obrazy, a znaczenie ich tam już nie może być wątpliwém.

Pomiędzy aforyzmami prozą, które sobie zwykł był w owych-że latach Słowacki zapisywać do różnych kartek i zeszytów będących właśnie pod ręką: znalazłem w jednem miejscu ustęp, który warto tu przytoczyć na dowód, że mój wykład strofy powyższéj w Królu-Duchu wychodzi zupełnie z punktu widzenia autora. Powiada on tam, co następuje:

„Podobnie jak przed światem stworzonym było Słowo czyli duch, mający się formami objawić widzialnemi, podobnie poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla któréj następnie ludzie, w formę pewną téj idei właściwą skrystalizowani, pracowali. Z takichto idei powstawała pewna forma agregacyjna, i ta stanowiła narodowość. Ideje takie, wieńcom ognistym podobne, którymi się fortece oblężone w nocy oświecają, z całą pięknością ogni ulatujących nad narodami przelatywały i świeciły. — Wyobrażone nareszcie mniéj więcéj, usiłowaniem czynném rasy, dla któréj były stworzone, przechodziły w kształt; ducha piękności i prawdy oddawały formie; same zaś na niebiosach gasły i wyższym rewelacyjnym ideom miejsca ustępywały“...

Zataić wprawdzie tego nie mogę, że nasunąć się tu niejednemu może pytanie, czy raczéj nie objawia się przed oczyma Hera obraz mistyczny Bogarodzicy? Gdyż nie tylko skąd inąd jest przyjętém, w takiéj właśnie postaci ten najwyższy z ideałów chrześcijaństwa malować; ale i sam nawet Słowacki nieraz w tymże samym go przedstawiał obrazie. (Obacz np. dokończenie wiersza, zamieszczonego w tomie I Pism pośmiertnych, bezpośrednio przed wspomnianemi co tylko strofami „do Autora Skarg Jeremiego“) Z tém wszystkiém przypuszczenie takie w tém miejscu byłoby niewłaściwém. Jakże bowiem miałoby się stósować do Bogarodzicy wyrażenie:

„Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy“ (str. XVI)?

W takim razie nie byłby tu autor położył „jaką“, ale koniecznie „którą“. A cały wiersz poprzedni byłby wtedy zu-

pełnie niezrozumiały; boć matka Zbawiciela jest panią całego chrześcijańskiego świata, a nie jednego tylko ludu.

Jest zatém wprawdzie niezaprzeczoném, że Słowackiemu te dwa ideały, t. j. ideał całego chrześcijaństwa i ideał nasz narodowy, przed oczyma spływały, i że chcąc mówić o ostatnim, pożyczał form od pierwszego; ale to też już jest wszystko, co w tym kierunku przyznać możemy. Posunąć się choć krok jeden po za to przyznanie daléj — byłoby to tracić na zawsze z oczu ten punkt widzenia, z którego jedynie odsłania się ukryta myśl poematu.

W dalszych strofach kładzie poeta w usta bohaterowi swemu opowiadanie, że kiedy więc ujrzał oczyma ducha swego owę piękność idei, któréj w życie przeprowadzenie i wyrobienie dziejowe miało stanowić odtąd wiekuiste jego zadanie: natychmiast poczuł w sobie popęd do odżycia na nowo w warunkach stworzonego istnienia, czyli — co na tosamo wychodzi, uczuł w sobie potrzebę opuszczenia tych błogich krain letejskiéj beztreściwości i elizejskich odpoczynków po trudach, w którychto krainach zrazu tak gorąco pragnął pozostać już na zawsze, jako duch czysty —

„I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło..." (str. XVI).

„Więc czego woda letejska nie mogła,
To Ona swojém zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowo się wzmogła
Loty — i nowym buchnęła płomieniem. —
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem,
Opowiem.
Ja Her, powalony grzmotem
Nagle gdzieś w puszczy pod wieśniaczym płotem*)
Budzę się". (str. XIX).

*) W wydaniu lipskiém przecinkowanie błędne téj strofy sprawia, że wcale miejsca tego rozumieć nie można. Po „opowiem" powinien być punkt i zakończenie okresu. Po wyrazie „płotem" nie powinno być żadnéj interpunkcyi: i tak też to jest w pierwszém wydaniu, t j. paryskiém z r. 1847.

W strofie téj i następnéj opowiada bohater poematu, że kiedy więc dusza jego „przemogła znowu ciało i uczyniła je swoim wiernym cieniem,“ t. j. kiedy się znowu zrodziła w ciele: ujrzał się gdzieś — w lichéj chacie „pod płotem wieśniaczym, w dzikiéj puszczy“ dziecięciem biednéj kobiety. Kobieta ta wzniecała w nim już w latach jego najrańszych instynkt zemsty.

...„Straszna nademną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.
„Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita!
Ja jedna żywa, a ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i popioły,
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem,
Synu popiołów nazwany Popielem!“

Ażeby rozumieć tę strofę, trzeba sobie przypomnieć cały pomysł, przeprowadzony w Lilli Wenedzie. Z tym dramatem wiąże się cały ten rapsod „Króla-Ducha“ jak najściśléj i jest niejako jego epilogiem. Czytelnicy przypominają sobie, że Słowacki wyszedł w Lilli Wenedzie ze założenia, że przyjście Lecha i orszaku jego do Polski odbyło się jako gwałt i rzeź i bój doraźny na śmierć i życie z dawniejszą téj okolicy ludnością. Lechici zwyciężyli, zajęli siedziby nowe, ale nie prędzéj, aż je zamienili w cmentarz plemienia Wenedów, którzy tu przed ich przyjściem mieszkali.

Otóż z tego punktu widzenia tłómacząc strofę, o któréj wykład tu chodzi, jest rzeczą oczywistą, iż ową „Ojczyzną zabitą“, o któréj matka synowi swojemu mówi, nie może być co innego, jak plemię Wenedów. Samą zaś kobietą ową, czarodziejskie runy nad dziecięciem wygłaszajacą, jest oczywiście tasama postać, która się tam w dramacie nazywa Róża Weneda.

Cały pomysł obecnego rapsodu Króla-Ducha okazuje się zatém już gotowy w Lilli Wenedzie. Co się tyczy cudownego z popiołów zrodzenia Popiela, wypisuję z dramatu tego dwa miejsca, które to bliżéj tłómaczą.

Na końcu Prologu „Lilli Wenedy“, włożone są w usta Róży między innemi słowa następujące:

„Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią!
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mię zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
A łożem ślubném będzie stos rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,
Lepiéj niż sto tysięcy wroga,
Lepiéj od Boga!“

Drugie miejsce, które tu warto przypomnieć, znajdujemy w scenie piątéj Aktu III. (str. 285 wydania lipsk.)

Ma tam niezadługo przyjść do stanowczéj bitwy między Lechem a Wenedami. Goniec staje przed królem, mówi mu o strasznych przepowiedniach, które się szerzą między jego nieprzyjaciołmi, i wspomniawszy o innych znakach, jakie się ukazać mają, powiada:

„Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno!

GONIEC.

Ta czarownica z góry, zapowiada
Że po téj walce — martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy“. itd.

To cudowne zrodzenie się mściciela, zapłodnionego przez przodków swoich popioły, nie mogło tu oczywiście być przez poetę rozumianém literalnie. Symboliczne znaczenie tego wszystkiego jest jasne. Ponieważ jednak zdawać się niejednemu może, że ta stała przenośnia o zapłodnieniu Popiela przez popioły rycerzy,

zbyt mocnymi jest nałożona kolorami, żeby przez Słowackiego tylko figurycznie miała być rozumianą, a nie dosłownie: przeto wybaczy mi czytelnik jednę jeszcze uboczną tu uwagę.

Aż do pewnéj granicy wolno poecie dobierać sobie do wy powiedzenia subtelniejszych pomysłów, form i obrazów ze sfery, z jakiéj mu się tylko podoba. Kieruje nim samo jedno tylko poczucie pewnéj że tak powiem, miary i przyzwoitości poetyckiéj, bez względu na to czy nauka ścisła, np. medycyna, historya naturalna, fizyologia itd. gotowa będzie dać swoje na to wszystko potwierdzenie, co się w symbolicznym sensie jemu spodoba w granicach téj lub owéj naukowéj dziedziny wyrzéc. Nie chodzi tu nigdy o zupełną zgodność z najnowszymi badań naukowych rezultatami, ale tylko o prawdopodobieństwo, o pozór możności, że tak to jest. Owoż nasuwa się pytanie, czy Słowacki, w taki sposób wypowiadając ten pomysł, nie posunął się po za granicę owéj miary i stósowności, jakąśmy postawili za konieczny warunek trafności przyoblekania pojęć oderwanych w ks. tałty zewnętrzne.— Nie wątpię, że wielu rozstrzygnąć zechce to pytanie na niekorzyść autora naszego. Przenośnia jego wydawać im się będzie posuniętą za daleko. Pomówią go o mistycyzm, o wyobrażenia żadnéj nie mające wspólności ze stanowiskiem wyobraźni dzisiejszych ludzi.

Ażeby przecież zmniejszyć przynajmniéj ten zarzut, zauważyć muszę, że Słowacki i w tym nawet razie jest jeszcze na gruncie pojęć, jeżeli nie całego ogółu, to przynajmniéj wyobrażeń ludowych. Nie potrafię w téj chwili rozstrzygnąć, czy w zakresie gadek naszego ludu dałoby się znaleść coś takiego, coby się okazywało spokrewnioném z tém symbolicznie tu przez niego opowiedzianém pochodzeniem Popiela. Ale pomiędzy ludem czeskim przechowuje się powieść, która z jego pomysłem dziwnie rymuje. Przypomniał ją przed niewielu laty Frycz, w prelekcyach swoich miewanych w Pradze.

Lud czeski wierzy, że w czasie ostatecznego niebezpieczeństwa powstaną z martwych z pod góry Blaniku śpiący tam od wieków rycerze, stróżowie ojczyzny. Już dziś co chwila się oni w grobach podnoszą i zapytują jeden drugiego, czyli już pora?

Są to duchy poległych pod Lipanami Taborytów. Lud pojął, że tacy nawet bohaterowie nie mogą się obejść ani bez światła nowych idei, ani bez wodza. To też ażeby nie zatracili poczucia potrzeb i odrodzenia ojczyzny, wysyła świeżo pomarłe znakomitości z poselstwem nowych myśli do skalistych podziemnych mieszkań tych dawnych duchów. Co się zaś tyczy wodza, to legenda ludowa nie daje im za takiego ani żadnego z królów ani z cesarzów, lecz ponieważ wodzem duchów takich zwyczajny śmiertelnik być nie może, naznacza mu cudowne urodzenie.

Pewien grobarz miał córkę, która mu pomagała w pracy. Samotna często dziewczyna wymyśliła sobie żałobną a pobożną zabawę: sztucznie składała kości naśladując ołtarzyki, na których czaszki zastępywały lampy i kielichy. Mała dziewczyna podrosła już i wypiękniała; zdarzyło się wtedy razu pewnego, gdy z cmentarza po wodę wychodziła, że wyrwała się za nią czaszka z kostnicy i powoli toczyć zaczęła. Dziewczyna śmiała podjęła czaszkę, ucałowała, a zapytawszy: „czym cię na niewygodném położyła miejscu?“ o uspokojenie prosiła i na samym umieściła ołtarzu. Czaszka jednak od téj pory nie opuszczała stóp dziewczyny, wszędzie się za nią tocząc. Cud ten grobarza przestraszył; kazał czaszkę spalić, a proch połknąć córce. Nim rok minął, powiła ona syna, bohatera. Nowo narodzony dziecinne lata spędzał pod lipą u stóp Blaniku, rozmawiając z duchami śpiących pod górą rycerzy, na których wodza opatrzność go przeznaczyła...

Otóż widzimy, że autor nasz nie posunął się zbyt daleko po za obręb imaginacyi ludowéj, dobierając form zresztą cokolwiek dziwnych na wyrażenie pomysłu, który sam przez się nic innego nie znaczy, jak znane owo „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor!

Począwszy od strofy XXI daje poeta zarys żywota bohatera swojego, zrodzonego z ostatniéj z rodu ujarzmionego, w ubogim stanie, bez świadomości tego wszystkiego, co z duchem jego zaszło przed urodzeniem i co ma stanowić zadanie działań jego w przyszłości — począwszy od lat jego najrańszych. Jestto rzeczywiście wdzięczny przedmiot, głęboko po-

myślany, z psychologicznego punktu widzenia prawdziwie zajmujący. Mamy przed sobą naturę, z własnéj rdzeni ducha swojego wzniosłą i między najczystszymi duchy wybraną. Gdyby to od niéj jedynie zależało, żywot jéj ziemski byłby pewnie równie szlachetny, równie idealny, jak był ów pęd duszy Hera nad brzegiem Lety zwrócony ku najwznioślejszemu ze wszystkich ideałów. Ale człowiek przychodząc na świat, staje się od razu zawisłym od całego brzemienia okoliczności ubocznych, tradycyi dziedzicznych, stósunków miejscowych, jakie zastaje już gotowe w domu, w rodzie swoim, w społeczeństwie na którego łonie się zrodził, nareszcie w wieku i dążnościach swojéj epoki — słowem, rad nie rad musi przyjąć ten spadek nieodzowny przeszłości, te wszystkie zaległe długi i do spłacenia i do ściągnięcia, jakie mu przekazują owe coraz szersze koła i sfery, w obwodzie których żyć mu wypadło. Działają tedy na ducha jego najrozmaitsze potęgi, działają nań czynniki to obce, to pokrewne z jego najwnętrzniejszą naturą: i tych dopiero suma i waga ostateczna stanowi owę siłę, jaka nas wiedzie przez rozłogi naszego życia temi lub owemi drogami, nieraz wbrew naszym lepszym instynktom. Instynkta nasze są w téj wędrówce niezawodnie najważniejszym czynnikiem. Ale i tamten, że tak powiem, fatalizm okoliczności ma wagę nieobliczoną.

Owoż taksamo ma się rzecz i z bohaterem naszego poematu. Do ducha jego, jakim go widzieliśmy na początku pieśni, przylegają już w saméj chwili zrodzenia jego inne potęgi, potęgi doczesne i miejscowe. I ten dopiero zlew i wiekuistéj dążności i doczesnych porywów — tworzy całą odrębność jego indywidualizmu jako człowieka, jako Popiela. — „Sam jeden jesteś, mówi do niego matka,

„ale cię przymioty
Ojców napełnią, a ja dam dwa duchy:
Na prawo stanieć jeden Anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
Ci dwaj — ty trzeci, i mój głos, jak grzmoty
Pędzący w zemstę“... (strofa XXI).

To też nie dziw, że pomimo takiéj świętéj przeszłości w duchu i mimo postanowienia puścić się w ślady za takim ideałem, jak go mieliśmy odmalowanym na wstępie dzieła: król-duch, ów niegdyś Her, o poranku pierwszego żywota swojego powiada, że

„Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką zdrada!
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada...
Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje — pada —
Czasem tumanem na pierś moję runie,
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.“ (str. XXII)

Strofy XXIV aż do XXXII stanowią ustęp odrębny, względem rzeczy głównéj poboczny: autor daje w nim zarys stanu ówczesnego społeczeństwa polskiego pod względem intellektualnym i obyczajowym, za panowania Lecha. *)

Podobnie epizodycznego tylko znaczenia jest następujący zaraz potém ustęp drugi (od strofy XXXIII — XXXVII).

Właściwa akcya poczyna się dopiero od strofy XXXVIII. Pomijając zdarzające się tu i owdzie, w téj części poematu, zawiłości w szczegółach, których podejmowanie wyczerpujące rozszerzyłoby dzieło moje daleko po za rozmiar, jaki mu dać zamierzyłem: o głównéj osnowie robię tylko to spostrzeżenie, że zwyczajem swoim odstępuje Słowacki i tutaj od tradycyjnych form, w jakich przekazuje nam przeddziejowe czasy nasze historya, i przeprowadza znane o Popielowych nad Polską rządach podanie w sposób zgoła niezawisły od kronikarskich o tém powieści. Bohater jego rapsodu, jako biedak w wieśniaczéj zrodzony chacie, a potém niby przybłęda jakiś z dalekiego gdzieś świata — poczyna zawód swój od najniższego szczebla: jest zrazu na dworze

*) W ciągu ustępu tego poprawić trzeba w strofie XXX (str. 431 wyd. lips.) pomyłkę drukarską: „Część ducha“ — na „cześć ducha;“ bo inaczéj bezsens z tego powodu całą myśl robi niezrozumiałą.

Lecha tylko pachołkiem. Ale choć na tak podrzędném stanowisku, cele jego odrazu sięgały wysoko.

„Jam oczy groźne miał i ręce czynne
I uwiązany cel do wież wierzchołka.“ (strofa XXXVIII)

Niejedno—niepewne wprawdzie i mętne—przypomnienie z wyjątkowéj jego przeszłości niosło myśl jego daleko... w podziemi głębie, w zaświata krańce. Świat obecny cichością swoją i niezmiennym brakiem wszelkiego ruchu dręczył go i zdawał się urągać jego myśli płomiennéj. Mściwość kłóciła go ciągle z ludźmi i z losem. Mimo to jakaś ręka niewidzialna usuwała przed nim wszystkie zawady na świecie. Czego tylko zażądał — wszystko się działo. I wiodło mu się szczęśliwie. Wstępował na coraz wyższe stopnie dostojeństw w kraju. Wyszedł na wodza — został prawą ręką i ulubieńcem książęcia — siadł najpierwszym „wojewodą złotym“ nad Gopłem. Wsławił się ze zwycięstw odniesionych nad nieprzyjacielem postronnym. Zjednał sobie serca całego rycerstwa. Aliści przypadkowe zdarzenie, przewidziane wprawdzie dawno wyrocznią, ale dokonane mimo woli a nawet mimo wiedzy Popiela, aczkolwiek jego ręką — ściągnęło na niego podejrzenie — o bunty i nienawiść panującego! Z wojewody i pogromcy w stu bitwach, przyszło mu wrócić do pierwotnego nicestwa. Jako więzień, niewinnie posądzony, został wtrąconym do kaźni Lecz i teraz siła jakaś niewidzialna, opiekująca się jego losem, nie przestała być mu pomocną. Ręka własnéj córy królewskiéj (Wandy), otworzyła bramy jego więzienia. Ujechał — tajemnie — w świat daleki, grożąc podniesioną prawicą światu odwetem za krzywdę tak niezasłużenie doznaną. A tém namiętniéj zemsty téj pragnął, że był sam jeden i jeszcze wtedy bezsilny...

Na pieśń drugą, bez porównania łatwiejszą do rozumienia, przypada główna waga w całym rapsodzie. Jest to część dzieła wykonana z całém mistrzostwem właściwém Słowackiemu. Dziwna siła wieje tu z każdego pociągu pióra! — Puściwszy się Popiel w strony świata nieznane, bezludne, dzikie — spotyka na jakiémś miejscu pustém hufiec Germanów, zwycięsko wracających z wyprawy przeciw rzymskim legionom. Byli liczni, mówi poeta, jak

gwiazdy na niebie, a straszni jak piorun, kiedy niebo odmyka. A jednak skoro ich tylko spostrzegł, wiedział on naprzód, że zostanie mężów tych wodzem; że to będzie dla rąk jego narzędzie, przez które świat wytnie, jeżeli zechce. I stało się, jako przewidział. Tłumy te zbrojne po krótkiéj walce wszystkich przeciwko jednemu, poznały, że „był jak piorun, gdy lasy druzgoce.“ Okrzyknęli go Kiejzarem swoim... Po różnych przewagach i podbojach, których dokonywał to tu, to owdzie na czele plemienia tego: wtargnął on wreszcie w kraj swoich ojców, w dziedziny księcia Lecha. Był ostrzegany przez wszystkie władze elementarne, ażeby granic onych nie tykał: na przestrogi żadne on atoli nie zważał. Wtargnął zatém do Polski i rozpoczął bój, który zapowiadał zagładę wszystkim kraju tego mieszkańcom. Lech nie żył już wtedy; panowała nad narodem dziewica, córa jego — tasama, która mu otworzyła furty więzienia i dała konia, ażeby przed niebezpieczeństwem uchodził. Po bezskutecznym oporze, po wielu bitwach przegranych — przyszli przedniejsi dostojnicy polscy do obozu nieznanego sobie i z osoby i nawet z imienia herszta najezdców. W imieniu królowéj swojéj oświadczyli mu gotowość okupienia przymierza z nim ofiarami, jakichby tylko żądał. Prosili go — mówi poeta

„o pokój, i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę“...

Zwycięzca uniesiony pychą, odprawił posły owe szyderczo. Obiecał im mir żądany i łaskę, lecz pod warunkiem, którego przyjąć nie mogli, gdyż był upokarzający i boleśniejszy, niż ostrze miecza.

„Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina! Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą!

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnéj księżyca
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwyca:
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie, jak gołębica

I wyprosiła usty różanemi
Co chce — niebiosa całe, czy pół ziemi"... (str. XXII i n.)

Z takąto odpowiedzią odeszli obydwaj wojewodzi do Wandy. Nie powrócili już więcéj.

Następującéj zaraz potém nocy pożałował Popiel tych słów zuchwałych i obelżywych. Ażeby cofnąć, co mu duma w usta włożyła: nazajutrz, zaraz za świtu, cały w zbroi żelaznéj, podążył sam jeden ku zamkowi Wandy nad Wisłą. Zatrąbił u bram — zostały mu otworzone. — „Idź do królowéj, rzekł smutnemu wojewodzie, który go wpuszczał do zamku, i powiédz „że mi słów moich wczorajszych szkoda" —

„Zanadto ostre pokazałem lice!
Niech mi królowa wasza jasna, młoda
Naleje czarę, podniesie przyłbicę:
A może łatwo ten rozkaz wykona
Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona"...

W milczeniu przyjęto te słowa jego. Poprowadzono go na niedaleki brzeg rzeki — ten był cały zapełniony tłumem narodu. Tam ujrzał Wandę, ale już wydobytą z topieli, martwą, położoną na stosie...

Cały ten epizod, zaledwie tu naznaczony w zarysie, przeprowadzony jest po mistrzowsku. Zespolenie mytu o Rytygierze i Wandzie z podaniem o Popielu, w taki sposób że działa w nich obydwóch jedna i tasama osoba, odstępuje wprawdzie od dziejowego przekazu; lecz zyskuje na tém prawdopodobieństwo podania o dobrowolném rzuceniu się Wandy w Wisłę. Zresztą i przez to pomysł ten się zaleca, że daje rzecz z nowéj strony, a podobno z poetyczniejszéj. —

Po tém wszystkiém czeladka Wandy przystąpiła do oboru nowego księcia. Zebrały się roki walne — i pod wpływem téj dziwnéj ironii losu, która tak często iści się w świecie, skończyło się na tém, że okryto purpurą lechową tego właśnie, z którego powodu się Wanda rzuciła w topiel. Dawny pachołek ostatniego książęcia siadł więc wreszcie na tronie polskim i rozpoczął

owo panowanie okrutne, którego groza żyje dotąd w podaniach narodowych.

Dokończenie pieśni drugiéj i prawie cała pieśń trzecia zapełniona jest opisem najsroższych, najwyszukańszych męczarń, jakich się ta demoniczna natura od téj chwili dopuszczała na narodzie sobie podległym. Co tylko zapamiętały dzieje o rzymskich imperatorach albo o późniejszych dręczycielach rodu ludzkiego z rodzaju Iwana Groźnego, wszystko to zgromadził autor w ramach panowania bohatera swojego. Opis téj tyranii pod względem artystycznym jest niezrównanéj siły i barwy. Jedno tylko przy tém wszystkiém nie dość dobitnie zdaje się być dokonaném. Oto niełatwo jest dociéc, dlaczego się ten duch wybrany i o całą nieskończoność wyższy nad ludzi zwyczajnych plamił takiemi okrucieństwami?

Rozpatrzywszy się w całém założeniu téj części poematu i łącząc w jedno wszystkie do tego się ściągające, a rozpierzchłe po różnych miejscach w nim napomknienia: można wprawdzie dać na to zapytanie zupełnie wystarczającą odpowiedź; zawsze wszelako żałować trzeba, że punkt w utworze tak ważny potrzebuje dopiero komentarza i co gorsza, mógłby być nawet przedmiotem sporu.

Żeby myśl autora odgadnąć, zupełnie na bok tu usunąć należy podnietę zemsty. Matka wprawdzie wpajała mu w ducha myśl zemsty, kiedy był jeszcze dziecięciem. Mimo tego jednak nie z tego powodu pastwił się Popiel teraz nad tym narodem, że tenże obarczony był winą zagłady plemienia, z którego on pochodził. Opowiadanie poety, w całéj téj części dzieła, niczém a niczém nie potrąca o to uczucie; i nic się też tu zgoła takiém ogniwem nie łączy z tém wszystkiém, co poprzedziło. Co większa — znajdujemy tu jeden punkt, który stanowczo nawet obala podobne przypuszczenie. Wszakże wśród różnych okrucieństw swoich posuwa się Popiel wreszcie i do téj zbrodni, że własną matkę z lasów zwleczoną siepaczom swoim każe rzucić w płomienie — z całą zresztą wiadomością, że ta ostatnia z rodu Wenedów niczém przeciwko niemu nie zawiniła! (strofa LV i następna).

Powody działania jego nie wynikały przeto ze stósunku ras przeciwko sobie zwróconych, ani też z żadnych powodów osobistych. Wynikały one raczéj z najogólniejszych, że tak powiem, światodziejowych względów: z potrzeb wieku, w którym Popiel żył, i z natury całéj epoki, jaka wtedy trwała nad światem.

Były to czasy zastałe, ciekące zwolna, w głuchéj zanurzone pomroce, na którą nie spadały jeszcze ani pierwsze nawet błyski przedświtu dziejów, cywilizacyi, religijnych objawień — słowem wszystkiego, co przyjść dopiero miało w przyszłości. Na pozór — byłto stan błogi.

„Do gwiaździc morskich tajemniczéj jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiéj waśni
A miał z jabłoni swéj napój i cienie“...
(strofa XXIV Iszéj pieśni).

Lecz dla energii ducha, który nato tylko w tém społeczeństwie się zrodził, ażeby je popchnąć naprzód, byłto rodzaj bytu nieznośny.

„Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą klątem“. (str. XXXIII).

„I nic! — Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi!
(str. XXXIV Iszéj pieśni).

Kiedy się bohater poematu wyniósł już na przywódcę owego hufca Germanów, z którym przebiegał i nękał ludy ościenne, zależało to od jego już tylko woli, zamącać i przerywać tę głęboką ciszę epoki. Ale od owéj chwili zaczął mu się dawać czuć inny znów niedostatek.

„Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach
Człowiek-duch — pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda.
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,

Które panują takim chwilom świata,
Trwożą jak pianie kurów u Piłata.

„Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją,
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny.
Przed rannym strachem niebiosa ciemnieją,
Więcéj wychodzi gwiazd na błękit siny —
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzéć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójce — czy słucha?..“

(strofy XVI i XVII w IIgiéj pieśni).

Podnosi tu autor, jako więc znamiona przeddziejowego bytu narodów: owę ciemność i próżnię i nudę duchową, która umysły przygniata, jak strach jakiś całe napełniający powietrze, i tylko być może przyrównaną do długiéj a strasznéj nocy, o któréj wiadomo że się kiedyś skończy, ale co po niéj przyjdzie, niewiedzieć! Sumienia lękają się owéj godziny brzasku, niezadługo już nadejść mającéj. Znaki, które tę godzinę zwiastują, przerażają jak piorun i trwożą jak „pianie kurów u Piłata“, które przypomniały Piotrowi, że się Boga swojego zaparł. Tak w naturze jak w świecie moralnym, im bliższy jest czas poczęcia się brzasku poranka, tém noc zdaje się być ciemniejszą, tém więcéj rodzi się zbrodni z jéj łona — „ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją“; tém większa nakoniec gotowość w społeczeństwie, postąpić sobie jak Piotr i zaprzéć się ducha bożego.

Owoż tento stan nieznośny, ten stan trapiący całe społeczeństwo, ten brak zupełny wszelkiego moralnego punktu oparcia... to jest to, w czém upatruję bodziec do czynów, jakie autor w poemacie bohaterowi swemu popełniać każe. Ojczyzna nasza w owym czasie religijnych objawień jeszcze nie miała. Były jakieś obrzędy, jakieś kapłaństwa, jakieś dorywcze, mętne przypomnienia wyobrażeń przyniesionych z kolebki jeszcze narodów, z nad brzegów Gangesu.

„Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, nakształt złotego upiora
W lasach powstanie...“ (str. XXIX w pieśni Iszéj).

Ale te mdłe błyski zapomnianéj dawno religii nie mogły wystarczać potrzebom społeczeństwa. Było tedy — jeżeli nie w narodzie — to przynajmniéj w jego panującym pragnienie, ażeby się ta noc straszna i długa skończyła wreszcie. I stądto powziął Popiel postanowienie — zmusić niebo do objawienia prawd swoich, jeżeli je ma, i jeżeli bóstwo w niém jest...

„Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo, tak jak w tarczę z miedzi;
Zbrodniami przedrzéć błękit i otworzyć
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady.
(str. XLII w pieśni II).

Doświadczyć tedy i przekonać chce się ten nieokiełznany żadném jeszcze moralném wędzidłem mocarz zwierzęcego dziejów okresu — czy czuwa wyższa jaka sprawiedliwość i opieka boża nad światem, czy też przeciwnie jest to pole bez właściciela, po którém wolno sile mocniejszego pławić się we krwi bezkarnie. Jeżeli z niebios patrzy oko jakie na ziemię: to go Bóg obliczem swojém w zapędzie zbrodni powstrzyma. A jeżeli go ani obliczem swojém nie przerazi, ani nawet nie ostrzeże żadnym znakiem na niebie: —

„To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tém straszniejszy — że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.“ (str. XLV).

Przez długi czas umacniało go wszystko już w przypuszczeniu, że co się tu dzieje na świecie, nikogo nie obchodzi tam w górze. Wysyłał gromadami całemi najniewinniejszych na stosy; cały swój dowcip zużywał na wymyślaniu najwyrafinowańszych katuszy. A niebiosa? — niebiosa ciągle na to wszystko spoziérały w milczeniu.

...„Niebios błękitnych framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche — obojętne“... (str. XLVII).

Myślał, że przynajmniéj nocy jego powinnyby być pełne niepokoju i trwogi; rozumiał, że dnie — „jak nocy bez gwiazd“ będą dla niego czarne i kłócone jękiem tych ofiar po całym kraju z rozkazu jego ginących... Ale i tego nie było. Nocy jego były ciche — spokojne; dni mu płynęły, jak dawniéj.

I nic! — Ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć — z bożą wzgardą“. (str. XL)

Jednakże miała ta nierychliwość rządów bożych trwać przecież aż do pewnéj tylko granicy. Dopóki Popiel pastwił się tylko nad ciałami; dopóki duchom (jak się poeta w str. LIV wyraża), kruszył tylko „łódź i wiosło“: dopóty znosiły nieba tę tyranią jego cierpliwie. Lecz właśnie przeto posunął on się i daléj jeszcze. Widząc nadaremność usiłowań nad zbadaniem tajemnic, dla odchylenia których puścił się taką drogą; podrażniony odkryciem, że nie ma w niebie nikogo, coby dbał o sprawy ludzkie, a jeśli jest, to chyba jemu urąga, kiedy nie odpowiada jego wyzwaniu: z rosnącą namiętnością — z szałem, jaki tylko poddać może oburzenie i mściwość, zaczął broić teraz już przeciw naturze i przeciw duchowi. Chodziło mu już tylko jakby o ukazanie w całym blasku, owéj nicości i nędzy podobnego ustroju świata! Kiedy więc w tym kierunku doszedł aż do owego kresu, że oddał na mękę i śmierć matkę własną; kiedy potém wysłał siepaczów przeciwko Świtynowi, „którego, jak sam powiada, kochał i szanował jak ojca“ (str. LXVI); kiedy nakoniec dopuścił się morderstwa i na natchnionym z ducha harfiarzu, na nieulęknionym, choć cichym i wiernym i upodobanym Bogu Zoryanie: — wtedy dopiero ukazały się na niebie wreszcie owe znaki ogniste, na które czekał... Właśnie w chwili, kiedy i z dumą tryumfatora i zarazem z rozpaczą sieroty — w poczuciu i władzy żadną nieścieśnionéj granicą, i całéj nędzy swojéj moralnéj — zawołał do towarzyszów:

„Nic niema na niebie!
Ja sam, jak Pan Bóg, będę sądził siebie!
. . . . . .

Tę noc na ucztę! Jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców!“
(strofa XXV i XXVI w pieśni III)

w téj dopiero chwili obwieściły mu znaki owe na niebie, że niebo zlękło się o świat i kładzie koniec jego bezprawiom.

Owoż takieto, zdaje mi się, były powody, dla których poeta, pomimo tego że tak idealnie stawił wizerunek bohatera swojego przed wnijściem tegoż w żywot cielesny, dał mu potém przeżyć ten żywot w taki sposób zbrodniczy. Z tego też tylko punktu widzenia daje się wyrozumieć, co w jedném miejscu mówi król-duch o sobie:

„Lecz co dziwniejsza — że tak próchniejący,
Taki upadły i taki zużyty,
Czasem się czułem, jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity...
(strofa LVIII w pieśni II).

Na tensam wykład całego pomysłu naprowadzają wreszcie i wiersze w jednéj z ostatnich strof całego tego rapsodu, w których Popiel powiada:

„Taki był koniec mojego żywota
Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,
Którzy nie doszli, w czém była istota
Czynów? w czém wyższość od rzymskich Herodów?
Nademną była myśl słoneczna — złota!
Do niéj moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto... itd.

Szedł więc przez życie zbrodniami, ale szedł w górę — do ideału i wiódł społeczność swoję w przyszłość. Że najniższe wschody w téj drabinie wiodącéj w górę były „okrwawione i ciemne“, to nie było winą człowieka. Było to wynikiem wieku. Zresztą naród i skądinąd jeszcze potrzebował téj szkoły. Od tegoto dopiero bowiem też czasu zaczęli synowie téj ziemi umieć i żyć i umierać. „Trwoga śmierci“, „miłość życia“ — nawet za cenę, jakiéj to życie nie warto — wymazane zostały od owego

czasu począwszy ze słownika narodowego! Sąto u nas już tylko wyrazy tłómaczone z obcych języków!..

„Idźcie! Już więcéj nie jesteście sługi
Mojéj wściekłości, lecz rycerze twardzi!
Kupiłem naród krwią — i nad jéj strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
(str. XXXIII).

„To też przezemnie ta ojczyzna wzrosła...
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie . . . . . .
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła
I duch jéj święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe; lecz com ją wycisnął
Pod krwią, tém zawsze zwyciężył, gdy błysnął!“
(str. XL).

Powyższy rapsod był pisany, jak z różnych względów daje się wnosić, w roku 1846. Kiedy wychodził z druku, były już ukończone i dwa dalsze rapsody, czego dowodzą różne skazówki spotykane w dotyczących manuskryptach poety. Ponieważ do ogłoszenia rzeczonych dwóch rapsodów bezpośrednio po ukończeniu takowych nie przychodziło, a autor od pracy dalszéj nad poematem tym nie odrywał się: w prostém tedy następstwie tego bywało nieraz, że niezadowolony późniéj ze sposobu, jak to lub owo w pierwszym rzucie wykonał, w dalszych latach zmieniał często plan poematu całego. Co pociągało za sobą konieczność przerabiania coraz inaczéj części dawniéj już ukończonych.

Nad jednym z dalszych rapsodów (nad tym, który w edycyi mojéj otrzymał nazwę trzeciego) znaleźliśmy w autografie położoną owę odezwę do Polski, którąśmy z zmianą jednego wyrazu zamieścili na czele całego dalszego ciągu Króla-Ducha, t. j. znaleźliśmy takie słowa:

„Polsko! Ofiaruję ci rapsod drugi Króla-Ducha. Pierwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — ten się wlecze jak wół, pracowitym krokiem“... itd.

Okoliczność ta upoważnia do wniosku: najprzód, że była ta odezwa widać pisana w chwili, gdzie autor zabierał się już do ogłoszenia i téj przynajmniéj części dzieła swojego, czego późniéj przecież zaniechał; daléj, że było myślą jego naówczas, pozostawić w tece na zawsze i nigdy nie publikować téj pieśni, która w wydaniu naszém dana jest jako rapsod drugi. „Drugim rapsodem“ miało się nazywać opracowanie owéj legendy o Piaście, które stanowi obecnie trzeci rapsod. Tego samego dowodzi i urywek „Planu Króla-Ducha“, dany na końcu lwowskiego tomu IIgo, a niezawodnie napisany w tymże czasie; w tym planie bowiem także nie ma żadnéj wzmianki o tamtéj części poematu.

Z powodu, że mimo tego wszystkiego nawet i w owym znowu czasie nie przyszło do oddania rzeczonéj części dzieła do druku, stało się że i ten kształt rapsodu o Piaście i Ziemowicie podlegał w dalszych latach nowemu znowu przelaniu. I takie koleje przechodziły prawie wszystkie ustępy szczególnego tego w rodzaju swoim utworu. Prawie zawsze autor, jak ze wszystkiego wynika, odkrywał w nich jakieś niedostateczności czy to pod względem wykonania, czy samego nawet pomysłu; i dlatego nieraz całe partye, a jeszcze częściéj mniejsze ustępy wstawiał i przestawiał coraz inaczéj.

W skutek tego autograf Króla-Ducha, w tym stanie, jak go znaleziono po zgonie Słowackiego, przedstawia prawdziwy stos najróżniejszych papierów. Postać tego, co one w sobie mieszczą, jest chaotyczna nad wszelkie wyobrażenie. Są w nich i pierwsze rzuty i wszystkie kolejne przerobienia — bez skazówki, co autor ostatecznie za odrzucone, a co za poprawione uważał. Nie przypuszczając oczywiście poeta, żeby nie miało być dano jemu samemu kiedyś uporządkować tego bezliku dopisów, odmian, poprawek i coraz innych redakcyi, nie widział potrzeby dawać w rękopisie swoim skazówek, po którychby i ktoś drugi potrafił się oryentować w tym labiryncie. Dlatego na jednéj i téjsaméj nieraz karcie są strofy tuż po sobie następujące, lub też pisane obok na marginesie, które mimo to nie mają ze sobą żadnego związku, ale się odnoszą do najrozmaitszych pieśni. W braku zewnętrznych znamion, któreby o tém ostrzegały, że to rzeczy różno-

rodne i niespójne ze sobą, sam sens tylko wewnętrzny daje niekiedy odgadnąć, dokąd z nich która należy.

Wspominam o tém wszystkiém z dwóch przyczyn. Raz dla tego, że mi się zdaje, iż warto jest wiedzieć o tém, z jakąto sumiennością i jak mozolnie prowadził Słowacki pracę, przez którą spodziewał się zostawić narodowi trwałą pamięć po sobie. Powtóre mówię o tém dlatego jeszcze, ponieważ chciałbym wytłómaczyć czytelnikowi „Dalszego ciągu“ Króla-Ducha, dlaczego w wielu miejscach znajduje on tam tak nieszczelne i niezręczne połączenie ustępów, a nieraz i luki całe pomiędzy nimi pozostawione otworem. Nader często było tu prawdziwém niepodobieństwem uczynić zupełnie zadość wszystkim obowiązkom wydawcy. A i to niedostateczne z zadania wywiązanie się, jakie się osięgnąć dało, kosztowało i czasu i trudu nierównie więcéj niżby niejeden przypuszczał. Chodziło bowiem o zestawienie przed sobą wszystkich, po całym papierów stosie rozprószonych, a coraz innych redakcyi każdego poszczególnego ustępu; daléj o wybór téj właśnie wersyi, która się z jakiegobądź powodu najwięcéj ze wszystkich zalecała; a nakoniec o spojenie ze sobą tych wszystkich wybranych cząstek w jeden nierozerwany wątek, bez fałszowania myśli poety i nie pozwalając sobie odmienić ani wyrazu! Gdzie zatém już przez samego autora pozostawione były, że tak powiem, szczerby i wyrwy — do zapełnienia ich późniéj, w chwili ostatecznego wiązania wszystkich szczegółów w całość: tam oczywiście i teraz okazują się próżnie albo przykre przeskoki z jednéj materyi w drugą.

W ciągu tego zajęcia nieraz przypominały mi się domysły filologów o sposobie, jakim do skutku przyjść musiała ostateczna postać Iliady i Odyssei. Ale zadanie Onomakrita było wdzięczniejsze! Mógł on z rozlicznych rapsodyi składać ukończone całości; a nasze dzieło pozostanie na zawsze tylko fragmentem...

Teraz niech mi wolno będzie dołączyć kilka jeszcze uwag z osobna o każdym z rapsodów, stanowiących ogłoszony niedawno temu dopiero Ciąg dalszy poematu.

Rapsod drugi Króla-Ducha obejmuje pieśń tylko jednę. Ma za przedmiot: przedstawić koleje, jakie bohater poematu przechodził wyzuwszy się z ciała Popiela, i podlegając na drugim świecie różnym pokutom i próbom, zanim mu przyszło odrodzić się znowu na ziemi w nowym żywocie. Miał tu poeta przed sobą do zdobycia nieokreślone obszary wyobraźni. W ślady idąc Wirgilego i Danta, mógł był zaludnić te światy zagrobowe całym tłumem typowych istot, niegdyś żyjących na ziemi, a obecnie spłacających winy i zbrodnie żywota. Miał sposobność okazania wszystkich bogactw nieznużonéj i nigdy niewyczerpanéj swojéj fantazyi. Można się było spodziewać w téj części jego utworu tém dramatyczniejszego i fantastyczniejszego obrobienia przedmiotu, że i jemu samemu nie były obce, w dawniejszych przynajmniéj latach, chętki zapuszczania się myślą w te światy Styxem i mogiłą odgraniczone od naszego padołu. *) Z tém wszystkiém nie znajdujemy w rapsodzie tym nic zgoła, coby odpowiadało podobnym oczekiwaniom. Widocznie Słowacki odsunął stanowczo na bok od siebie wszystkie te pokuszenia, które wyzywać mogły do wysileń samę tylko wynalazczą imaginacyą poety. Nie chodziło mu bynajmniéj o zmyślenia, o artystyczne ale dowolne rojenie czegoś, coby tylko bawić mogło czytającego. Chciał jedynie to opowiadać, w co wierzył; i pozostał nawet w téj części poematu wiernym założeniu, jakiemu całe to dzieło swoje poświęcił.

Z téjto przyczyny, ile mi się zdaje, pochodzi, że cały opis cierpień ducha obarczonego winą na drugim świecie i to wszystko, co o pobycie jego tamże autor powiada, zbyte jest zaledwo trzynastu strofami. Są to tylko najogólniejsze i że powiem, ołówkowe rysy obrazu. Cały ostateczny sens rzeczonych 13 strofek, umieszczonych na samém czele rapsodu, mieści się oto w tych kilku wierszach:

O téj krainie żaden duch nie gada,
A nawet onych mąk pamięć utraca;
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
Niweczy ciało gorzéj, niźli praca,

*)Poema Piasta Dantyszka o Piekle.

Niż nędza, która wnętrzności wyjada,
Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca...
Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze
I od świtania w niéj... znów czasy liczę.
(strofa XI).

Począwszy od strofy XIV poczyna się też już opis właśnie owego „świtania w męczarniach“. Przysłane zostają do pokutnika naszego dwa duchy, które mu obwieszczają, „że grzechy jego zostały odpuszczone“ i że poruczone mu jest do spełnienia wielkie zadanie w przyszłości, zawsze w obrębie jego ojczyzny (strofa XIX). Ponieważ — dla dopełnienia reszty tych wszystkich przejść bolesnych, jakie mu za karę były odmierzone na tamtym świecie — bohater poematu jako duch, a raczéj upior przytomnym, a nawet współdziałającym i na ziemskiéj zdarzeń widowni także być musi przez czasu przeciąg niejaki: zstępuje zatém na ziemię i zjawia się jako widmo Popiela owym 12 wojewodom, którzy rządzili po jego zgonie nad Polską. Widok bezprawi, jakie się działy pod tych dwunastu rządami, i za panowania Popiela II, stanowi właśnie jedno z największych udręczeń téj duszy pokutującéj. Widzi on bowiem, że to wszystko złe dzieje się właśnie pod jego sztandarem, w jego imię, torem tradycyi od niego datujących w narodzie. — Począwszy od strofy 37, świt przebaczenia win jego zaczyna jaśnieć słoneczniéj: losy narodu przechodzą pod zarząd kmiotka owego z Kruszwicy, który sam jeden wtedy w ojczyźnie nosił w sobie owo Słowo narodu, które rozwinąć do zupełnéj pełni i blasku było ostatecznem króla-ducha zadaniem. Podług założenia poety, owym Piastem byłto nie kto inny, jak Zoryan, ów prorok i harfiarz spalony przez Popiela na stosie. Duch tensam, tylko — jak się autor wyraża: „na nowéj kwitnący łodydze“, t. j. odrodzony w innym żywocie.

Rządy Piasta i najbliższych z jego pokolenia były błogie, kojące rany narodu; ale były bez sławy, bez wielkości, bez rozgłosu. Były to pokorne i tylko potulne tony, wydzielone z téj świetnéj i bogatéj symfonii, która grała całym chórem za czasów Popielowych — mimo okrucieństwa, które jéj harmonią kłóciły. Bez względu na to — choć tak wielce zniżony i stłumiony został

nastrój téj społeczności kierowanéj ręką Piastów: bohater poematu, duchem już uniżony przed Bogiem, dobrze życzy temu rodowi na tron jego powołanemu i zlewa swoje błogosławieństwo na wszystkie hasła i postępki jego, na wszystkie drogi, któremi naród pod jego kierunkiem pójdzie, na całą tę pokorę, jakiéj znamię Piast dopiero na społeczeństwie wyciska; słowem na wszystkie włókna i atomy, składające całe jestestwo ojczyzny. Po ostatniém, po siódmém błogosławieństwie — „spojrzał Pan na ducha tego litośnie“ — i dał mu wreszcie usnąć po wiekowych trudach i mękach. Ten spokój i odpoczynek po strasznéj pracy — to największe szczęście, jakie czasami osięgają duchy wybrane.

„Niech nikt nie myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki — nad spoczynek!“

wyrzekł poeta nasz jeszcze w jednéj ze strof rapsodu piérwszego. Otóż dozwala Bóg teraz i temu znękanemu duchowi zasnąć z uśmiechem i z ciszą w myślach, wcieliwszy całe jestestwo jego w ojczyznę. I tak przeminął znowu wiek cały. Ani czuł bohater pieśni, jak wśród wiekowego tego snu i uśmiechu jego w ojczyźnie — owe zrazu tak czyste miody piastowe już znowu mącić i brudzić się zaczynały. W ciągu czasu, który wszystko niweczy, i te tradycye się więc zużyły! Chata kołodzieja z Kruszwicy, niegdyś nawiedzana przez anioły, „zwolna traciła swoje złote goście“ (strofa LVI). Więc wreszcie niepokój i rwanie się do życia znów króla-ducha zaczyna ogarniać; — i przyszła z wyroków bożych godzina, gdzie czynność jego na ziemi stała się koniecznością. Rodzi się jako człowiek śmiertelny — imię mu teraz Mieczysław I...

Aczkolwiek cały ten pomysł rapsodu — z punktu widzenia poety — dokładnie i z konsekwencyą jest przemyślany: — zaprzeczyć tego jednak nie można, że wrażenie, jakie sprawia na czytelniku, mniéj jest korzystne, aniżeli oczekiwanie, z jakiém go się bierze do ręki. Przeprowadzenie pieśni poprzednich jest szczęśliwsze. Więcéj tam jest ruchu, rozmaitości, zdarzeń przedmiotowych — słowem osnowy. Treść rapsodu drugiego, zamknięta

wyłącznie w subjektywizmie opowiadającéj osoby, sprawia: że ta część poematu wygląda jakoś i mglisto i ubogo. Ta też okoliczność zapewne była jedyną tego przyczyną, że autor w późniejszych latach odrzucił ten rapsod jako nie zasługujący na ogłoszenie; a natomiast postanowił doczepić do rapsodu ogłoszonego drukiem bezpośrednio ten rapsod trzypieśniowy, który w wydaniu lwowskiém zajmuje trzecie miejsce w składzie całego poematu, t. j. powieść wyłącznie za przedmiot swój mającą wspomnienia Piasta. Te kilka wzmianek, które koniecznemi się zdawały o zamogilnych losach bohatera, nieobecnego przez cały ten ciąg czasu na ziemi, miały być w rapsodzie tym rzucone już tylko mimochodem — w ustępach, gdzie się do tego nadarzała sposobność.

Teraz słów jeszcze kilka o waryantach tego rapsodu. Obrobień całkiem odmiennych „Rapsodu IIgo“ jest w ogóle trzy. Jedno daliśmy w texcie. Drugie obrobienie dołączyliśmy pomiędzy dodatkami na końcu II tomu dzieł Słowackiego pośmiertnych od strony 343 do 352. To „drugie obrobienie“ znalazłem w dwu odrębnych redakcyach, które się jednak w drobniejszych tylko szczegółach różnią od siebie. (Mniéj wykończoną redakcyą i nie doprowadzoną też do samego końca, dałem drukować w Dzienniku lwowskim Literackim Nr. 85 roku 1865, strona 797 i 798). Widoczną rzeczą jest, że podług tego „drugiego“ obrobienia, miała to być pieśń dołożona do rapsodu o Piaście jako jego dośpiéw; i rzeczywiście znachodzi się też nad lepszą redakcyą téj waryanty w autografie napis: „Pieśń dopisana“, któryto wyraz poeta następnie przekreśliwszy, położył natomiast tytuł: „Dokończenie“. — Trzecie nakoniec obrobienie było tylko częściami zaczynane i zawsze urywane wśród pracy: pozostały z niego tylko luźne ustępy, niełączące się w żadną całość. Cały szereg tych oderwanych fragmentów pozostawiłem w rękopisie, wyjąwszy trzy urywki szczególnie godne uwagi, które (na str. 352 — 359) są dołączone do Dodatku tomu IIgo.*)

*)Wszystko z pośmiertnych Słowackiego papierów, co tylko nie mogło znaleść pomieszczenia w tomach przezemnie wydanych, zosta-

Przystępuję teraz do rapsodu o Piaście, który w wydaniu lwowskiém nosi nazwę **Rapsodu trzeciego.** Wykładu wewnętrznéj jego osnowy dać nie zamierzam, raz dlatego że byłbym zmuszony zbyt długo zatrzymywać się w tym rozdziale nad tym jednym Słowackiego utworem; a potém i z przyczyny, że co w tym rapsodzie jest jasne i piękne i wykończone, (a nie brak mu na ustępach skończonéj, posągowéj nieraz piękności): to wyrozumie każdy czytelnik i bez mego komentarza; co zaś jest oczywistą tylko allegoryą mistycznych pojęć, to zbyt jest trudném do tłómaczenia przy zupełnym braku klucza do tych wszystkich symbolicznych wyobrażeń w nim rozwiniętych. Całe np. przedstawienie Pychy słowiańskiéj, wykradzenie przez nią ducha Ziemowitowi, pobyt jéj i czarodziejstwa przez nią dokonywane na górze Zober, Wodan — są to wszystko figuryczne jakieś pomysły, w które nam niepodobno jest prawie do rdzeni wniknąć — w duchu autora. Mógłbym o tém wprawdzie udzielić moich myśli; nie wiem jednak, czyby podmiotowe moje zdanie o tych ustępach było rzeczą dla kogo pożądanę. Pomijając zatém zupełnie wykład rapsodu trzeciego, poprzestanę na udzieleniu tu kilku tylko szczegółów o stanie, w jakim się ta część Króla-Ducha w papierach pozostałych Słowackiego znalazła, i o liczbie waryantów tego rapsodu.

Rapsod niniejszy znalazł się opracowany niemal całkowicie, a zawsze inaczéj — cztery razy. Jedno obrobienie, na trzy podzielone pieśni, znalazło pomieszczenie w texcie drukowanéj edycyi. (Dodano mu tam jednak początek, jako też i zakończenie, wzięte z innych waryantów. Obacz stronę 201, 206 i 225). — Drugie obrobienie, w jednéj tylko pieśni objęte, ale zawierające zupełną całość — nie bez wielkich zalet artystycznych — dałem prawie całe między waryantami stanowiącymi Dodatek do tomu II, od str. 360 — 368. (Opuściłem tylko jego początek i koniec, jako mało odmienne od tego, co zostało wzięte do textu. Środek zaś cały rapsodu, będąc i najwięcéj odrębny i wy-

---

ło za zezwoleniem rodziny poety złożone w Bibliotece Ossolińskich. Może kiedyś zrobi kto jeszcze i z tego jaki użytek.

bornie oddany, odbity jest cały na rzeczonych stronicach). Te dwie redakcye zdają mi się być ostatnie. Wnoszę o tém z tego mianowicie, że „drugie obrobienie“, jak je tutaj nazywam, znalazło się już przepisane na czyste ręką samego autora; przepisywanie „pierwszego“ podobnież było przez niego samego zaczęte, ale już od siódméj zwrotki zastąpił tu poetę w kopiowaniu młody jego przyjaciel Szczęsny F. Ten odpis wspólny obu przyjaciół zdaje się być późniejszym od powyższego; a więc byłaby to redakcya najpóźniejsza ze wszystkich i dlatego też jéjto właśnie dałem pierwszeństwo nad innemi). — Trzecie obrobienie także się dzieli na 3 pieśni, ale w nich i rzecz sama i cały sposób przeprowadzenia takowéj odstępuje najzupełniéj od wszystkich innych redakcyi. (Król-duch wcielony tu jest w Wodana). Obrobienie to w całości dałem oddrukować w lwowskim Dzienniku Literackim r. 1865 Nr. 83—85. Pierwsza zaś pieśń jego, jako najwięcéj wykończona i z różnych względów najbardziéj godna uwagi, znalazła prócz tego jeszcze miejsce i w wydaniu dzieł Słowackiego między waryantami danymi na końcu II tomu, str. 368—379. Ta „trzecia“, jak ją nazywam, redakcya zdaje się być najrychlejszą ze wszystkich. — Czwartém nakoniec obrobieniem możnaby nazwać ten cały bezlik urywkowych ustępów, rozproszonych po różnych częściach całego rękopisu, który zwolna powstawał w ciągu lat kilku. Ustępy te żadnych całości nie stanowią, obejmują jednakże niekiedy po kilka i kilkanaście zwrotek. Z téjto kategoryi waryantów wzięty jest wstęp i zakończenie, doczepione do rapsodu trzeciego, jak takowy wstawiony został do textu.

Tylokrotne przerabianie jednéj i téjsaméj rzeczy wskazuje na szczególną trudność przedmiotu. Stanowiła ją ta okoliczność, że w ogóle rapsod ten w budowie całego poematu zajmuje jakieś wyjątkowe położenie. Podczas gdy zdarzenia w innych rapsodach objęte składają się na żywoty króla-ducha i jako własne jego czyny są też opowiadane zawsze przez niego samego: w tym rapsodzie rzecz jest o Piaście i jego rodzinie, z którą bohater poematu nie tylko nie miał żadnéj wspólności, ale nawet nie żył wtedy na ziemi, kiedy się to wszystko działo... Otóż była tu dla poety trudność w tém, że się nie nastręczała żadna osoba,

którąby była mogła być snadnie użytą za opowiadającą owe piastowe legendy. Włożyć rzecz i tutaj w usta królowi-duchowi — to miało swoje znaczne niedogodności. A dać tę powieść od siebie, jako po prostu od autora — tego Słowacki nie mógł już z téj bardzo prostéj przyczyny, że z założenia całéj niniejszéj kreacyi i z najgłębszéj, posuniętéj u niego do dogmatyzmu wiary, identyfikował osobę własną z bohaterem dzieła swojego i nie w innym sensie przesuwa w niém wątek całych jego dziejów mistycznych, jak że to jest własna jego odwieczna przeszłość, własna jego coraz się powtarzająca palingeneza, aż do obecnego żywota, w którym mu wypadło iścić posłannictwo swoje w roli poety i walczyć z szatanami epoki — na polu myśli, potęgą słowa...*)

Rapsod czwarty, zatytułowany Miecz a Sława, łączy się bezpośrednio z rapsodem drugim, jako jego najwłaściwszy ciąg dalszy. Legenda o Piaście w trzecim rapsodzie rozrywa z pewną niedogodnością tę ścisłą łączność. — W nowym tym rapsodzie daje poeta wizerunek dalszego znowu żywota swojego bohatera. Duch Popiela otrzymawszy przebaczenie od Boga za to wszystko, co zgrzeszył, rodzi się jako człowiek na nowo i zostaje wcielony w osobistość Mieczysława I. Znów tedy prowadzi daléj opatrznościowe swoje nad Polską posłannictwo w osobie panującego. Wartość czterech pieśni, na które się rapsod ten dzieli, nie zawsze ma się do siebie w równym stósunku. Dwie pierwsze pieśni są bez porównania i więcéj wykończone i treściwsze, aniżeli obie ostatnie. Młodość Mieczysława — jego ślepota — postrzyżyny i odzyskanie wzroku prześlicznie to wszystko jest opisane. Z wielkim także wdziękiem przeprowadzona jest opowieść o swadźbie, o przybyciu do Polski i zaślubieniu Dobrawny czeskiéj. Nie bez zalet niepospolitych

---

*) Ktoby się chciał dowodnie o tém przekonać, niech z sobą porówna następujące miejsca w różnych rapsodach Króla-Ducha: W Tomie II strony 202 strofa IV. Strona 204 str. XI. Strona 254 i 255 strofy XXXI—XXXV. Strona 265 str. LXXIV. Str. 268 strofa X. Strona 288 strofa III. Strona 289 strofa IX. Strona 327 strofa VI Strona 337 strofa II i IV. Strona 356 strofa I.

jest i dalszy ustęp, w pieśni trzeciéj, traktujący o rozmaitych wrogach, którzy się równocześnie walą na państwo Mieczysławowe. Ku końcowi pieśni rzeczonéj natchnienie poety słabnie, a raczéj przemaga tam znowu owa mglista mistyczność, gubiąca się w abstrakcyach przyswojonéj doktryny. Widzenie Mieczysława, mające za przedmiot całe dzieje powszechne, nie może zająć czytającego. O ile jest podobném do rozumienia, nie przechodzi granic najzwyczajniejszych wyobrażeń i graniczy prawie z trywialnością. O ile zaś usuwa się z pod możności wykładu, nie może mieć dla nikogo żadnego zgoła znaczenia. Jeszcze gorsze wrażenie sprawia osnowa pieśni czwartéj, w któréj Dobrawna długo i szeroko swoje znowu opowiada wizye Mieczysławowi. Wizye te prawie całkowicie nazwać należy dla czytającego zagadką. A zagadka ta tém więcéj sprawia w tém właśnie miejscu niesmaku, że następuje tuż po ustępie takiejże treści, nuży zatém jednostajnością. Sam koniec pieśni czwartéj ma znowu rzewne strofy i głębokie nieraz pomysły.

Waryantów w granicach i tego rapsodu okazała się liczba niemała, lecz właściwie tylko w zakresie saméj pierwszéj pieśni. Odmiennych opracowań téj pieśni, gdybyśmy z nich takie tylko tutaj liczyli, które przynajmniéj połowę całéj pieśni wynoszą, wykazaćby można s i e d e m. Gdyby zaś zliczyć krótsze odmianki, znachodzące się jako luźne, z kilku tylko złożone strofek urywki, rozrzucone po całym rękopisie: to liczba ta okazałaby się trzy razy większą. Sąto kawałki wielkich niekiedy zalet; odnoszą się to do tego miejsca, to do owego. Różnią się pomiędzy sobą tylko sposobem wyrażenia i w ogóle formą — nigdy zaś rzeczą. Niepodobno z nich jest atoli złożyć całości. Text piérwszéj pieśni, zamieszczony w wydaniu mojém, obejmuje w sobie — o ile się to tylko uczynić dało — zestawienie najlepszych poszczególnych waryantów, jakie tylko się znajdowały w tych tak licznych opracowaniach. — Dalsze pieśni tego rapsodu okazują się już więcéj z pierwszego rzutu. Pieść d r u g a miała tylko w jedném miejscu pierwotnie przez kilka oktaw inne r z e c z y s a m é j przeprowadzenie, które autor potém przekréślił i odmiennymi szczegółami zastąpił. Obie pieśni o s t a t n i e znalazły się w brulionie bez ża-

dnych przeróbek i zdają się też być w ogóle zgoła niewykończone. Tak np. koniec pieśni drugiéj i początek trzeciéj traktują w podobny sposób rzecz zupełnie tęsamę; coby być oczywiście nie mogło, gdyby ta część poematu była otrzymała wykończenie należne. Wydawca musiał to wszystko, jak się samo rozumie, wstawiać w text w téj postaci, jak ją w autografie znalazł — choć nie bez świadomości, że niejednemu ustępowi brakuje związku z całością, jasności i ogłady...*)

W **Rapsodzie piątym** spostrzegamy króla-ducha w nowym znowu żywocie. Duch niegdyś Popiela, późniéj Mieczysława, przychodzi na świat i teraz znowu jako władca narodu, powołany do posunięcia przeznaczeń jego o krok daléj ku wytkniętemu ojczyźnie naszéj przez opatrzność celowi. Imię mu teraz Bolesław Śmiały. — Rapsod ten obejmuje pieśni cztéry, nie jest jednakże ukończony. Zdaje się, że rzecz ta zaledwie doprowadzona została do połowy; urywa się bowiem wątek poematu już na wskrzeszeniu z martwych Piotrowina przez Stanisława świętego. Równie też i każda z czterech jego pieśni z osobna wzięta przedstawia tylko pierwszy rzut kompozycyi, któréj zupełnie zbywa na tém, co nazywamy ostatnią ręką. Wnosząc z różnych niewątpliwych skazówek, twierdzić można na pewne, że pisane to wszystko być musiało w ostatnich miesiącach, jeżeli nie tygodniach życia

---

*) W dalszym ciągu, po powyższym rapsodzie, rozpoczął był Słowacki osobną pieśń, w któréj ukazany w szczegółach być miał bezcielesny byt ducha Mieczysława I od chwili jego zejścia ze świata, a równocześnie z temi pozgonnemi jego dziejami miał być dany i wizerunek rządów i przewag w narodzie polskim syna jego, Bolesława Chrobrego. W tymto rapsodzie miał znaleść pomieszczenie ustęp ów o słupach wbijanych w Dnieprze, który z małemi zmianami obecnie okazuje się doczepiony przy końcu piérwszéj pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym. Część tę poematu autor dość już daleko był posunął; pomimo tego następnie pomysł jéj cały jednak odrzucił. Zbyt fragmentaryczna pieśni téj postać nie dozwalała udzielić z niéj wyjątków w drukowaném wydaniu. —

poety. *) Śmierć zatém tak wczesna była jedyną tego przyczyną, że cały ten dział poematu pozostał w kształtach istotnie pierwszéj improwizacyi, która zapewne ani już nawet odczytana nie była przez autora, zostawszy w pośpiechu i zamęcie rzuconą tak na papier, jak się zarysowała w pierwszém jego natchnieniu. Stądto znajdujemy w całym tym rapsodzie przy potężnych nieraz ustępach, w porywający opowiedzianych sposób — strofy częstokroć niezwiązane ze sobą, dla niedość zaokrąglonéj budowy zdań bardzo trudne do rozumienia, oddane tokiem zawikłanym, urywkowym i tylko jak przez gazę pomysł poety wydającym na zewnątrz. Pismo nader niewyraźne i wielokrotnie w jedném i témsamém miejscu przemazywane w wszelkich kierunkach — i w wierszach i nad wierszami — przywodziło też niekiedy niemal do rozpaczy wydawcę...

Oczywistym zamiarem Słowackiego było, przeprowadzić w taki sposób cały wątek dziejów ojczystych, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszém zawsze miejscu, albo na tronie, albo na inném skądinąd tak podniosłém w sferze duchowéj stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na całe powodzenie społeczeństwa narodowego.

Gdybym miał wyrzéc ogólne zdanie moje o tém całém dziele ostatniém Słowackiego, powiedziałbym: że sądzić je wypada z dwóch odrębnych zgoła punktów widzenia.

Jako wyraz doktryny, jako pomysł oparty na wierze w przechodzenie duszy z jednego ciała w drugie — jest to przypuszczenie, którego trudno uważać za coś więcéj, jak za senne tylko marzenie. Myśl taka sprzeciwia się i wszystkim warownie stoją-

*) W różnych miejscach manuskryptu tego rapsodu znachodzą się między strofami textu wtrącone urywkowe ustępy testamentu Juliusza. Wiadomém jest, że pisał on testament swój krótko dopiero przede śmiercią — już w r. 1849. A zatém w pierwszych miesiącach roku owego mógł też być dopiero i ten rapsod pisany.

cym artykułom wiary naszéj i naczelnym wypadkom wiedzy dzisiejszéj. Solidarność pewna przeszłości z obecnością nie daje się zaprzeczyć, to prawda. Odsłania się ona widocznie w ciągu pokoleń poszczególnych rodów a rodów, odsłania się i w toku powszechnych dziejów, toż w tradycyi narodu. Wnukowie są z dziadami złączeni pewną niewidzialną wstęgą i krwi i dążeń, i cnót i wad. Ale ażeby zrozumieć to wszystko: nie potrzeba do tego takich mistycznych kluczów. Że założenie Słowackiego w tym poemacie miało w sobie coś sprzecznego ze wszystkiém, czego się tylko tknęło, to już i w tém się okazuje, że praca ta poecie od ręki nie szła. Biedził on się z dziełem tém bardzo, przez lata całe — i nie umiał sobie z niém nieraz prawie dać rady. Mimo pozoru dogmatyzmu i wiary, z jaką przedmiot traktował, chwiał on się ciągle w najgłówniejszych pomysłach, a mianowicie co do tego wcielania się duchów w żywoty ludzkie. I tak Piast w jedném opracowaniu był mu wcieleniem ducha Lecha, w innéj redakcyi znów ducha Zoryana (harfiarza), w trzecim wreszcie rzucie (wziętym do textu) niema on z nikim innym wspólności. Podobnie i sam bohater poematu, Król-Duch, to się staje Wodanem (synem Piasta), nim mu wypadło następnie zrodzić się w osobie Mieczysława; to znowu przepędza ów czas w krainie zaświatowéj, nie będąc wcale śmiertelnym przed swojém zrodzeniem się jako Mieczysław I. Widać w tém wszystkiém jedynie czynność excentrycznéj fantazyi, przybierającéj mimo to pozory jakiejś intuicyi proroczéj z uroszczeniami do nieomylności, których nic zgoła nie usprawiedliwia....

Lecz to jest sąd o Królu-Duchu wydany z jednego tylko z dwojga owych stanowisk, o jakich nadmieniłem powyżéj. Obok strony dogmatycznéj, ma kreacya ta także i stronę drugą — artystyczną. Jako przeprowadzenie całego szeregu obrazów, zdjętych z kilkowiekowego żywota Polski, i jako poczet wizerunków najwydatniejszych osobistości w obrębie dziejów i podań naszych — niezaprzeczenie poemat ten miałby wielkie znaczenie, gdyby był dokończony i wykończony. W tym stanie, w jakim pozostał, zaleca on się tylko mistrzowskiém obrobieniem niektó-

rych chwil narodowéj przeszłości, a nadto zmusza nieraz do podziwu i językiem znakomitéj dzielności! Język ten smukły, gibki, zwięzły, a zawsze muszkularny stanowi też główną poematu tego ozdobę. Mógłby on przywieść do zazdrości niejednego z poetów, mających skądinąd prawo liczyć się do celniejszych pisarzy naszych!

Teraz wspomnę o innéj pracy Słowackiego, która o tyle się wiąże z poematem powyższym, że z jego tylko powodu została prawdopodobnie podjętą. Przypada ona albo na czasy, kiedy Juliusz Króla-Ducha zaczynał, albo też właśnie go rozpocząć zamyślał. Mówię o Przekładzie kilku ustępów Iliady. Przepyszny to jest przekład! Jeżelibyśmy mieli kiedykolwiek czytać Homera z oną lubością, z jaką go niegdyś czytali Grecy, albo z jaką my dzisiaj naszego Pana Tadeusza czytamy: to tylko chyba w taki sposób musiałby on być spolszczony. Może w tém przyczyna tego, że Słowacki co do wyrazów szczegółowych wcale się oryginału nie trzymał. Nie przekraczał on wprawdzie nigdy granicy sposobu i nastroju starożytnego. Ale w obrębie rzeczonym raczéj Homera parafrazował, aniżeli przekładał. Z tém wszystkiém co to za wysłowienie! jaka dzielność i dosadność wyrażeń! Wiersz wspaniały, pełen wagi i kolorytu, obfity w zwroty potoczne, a jednak wiejący bohaterską potęgą! Z tych urywków więcéj wyrozumieć się daje, że to pisał człowiek genialny, niżeli z niejednego własnego jego utworu! Nie jestto wprawdzie sposób, w duchu którego życzyćby należało w ogóle, ażeby pisarze nasi spolszczali obce, a zwłaszcza starożytne kreacye. Na téj drodze bowiem bardzo łatwo uronić wszelkie znamiona pierwotnego charakteru oryginału. Ale czytając te Słowackiego ustępy, chętnie każdy, jak sądzę, powie mu: *Tibi soli!* i nie pożałuje, że i w taki sposób choć kilka tylko prób téj prastaréj poezyi ukazano w naszym języku.

Nie sądzę, żeby miał był zamierzać kiedy Słowacki zająć się przekładem całéj Iliady. O Homera pewnie mu tu nie chodziło. Nie tłómaczył go też z oryginału i niewątpliwie ani nawet nie prze-

łożył nic więcéj, jak tylko tyle, ile się właśnie na tych kilkunastu kartkach po śmierci jego znalazło. Najprawdopodobniéj było to tylko jedno z przygotowawczych studyów do poematu o Królu-Duchu. Chodziło poecie o dobranie sobie najwłaściwszego toku i tonu językowego, a więcéj jeszcze o dobór odpowiedniego przedsięwziętemu dziełu rodzaju wiersza i rytmu. W rękopisie Króla-Ducha znaleźliśmy jako waryanty nieraz całe ustępy, w innych formach wiersza pisane, jak w tych oktawach jedenastozgłoskowych, w jakich ostatecznie najbardziéj lubił wylewać natchnienia swoje Słowacki. Otóż wnosić się godzi, że między innymi przyborami, jakie się robiły przed rozpoczęciem dzieła, rozczytywał on się i w Homerze, tym protoplaście wszystkich epików. A porwany urokiem i pięknością kilku celniejszych ustępów, powtórzył je po swojemu w brzmieniu swojéj mowy ojczystéj. —

— Wszystkie wymienione aż dotąd prace Juliusza, po roku 1842 powstałe, mają to między sobą wspólnego, że nie noszą na sobie wybitnego znamienia czasu. Skądinąd bywa to uważane za piętno wyższych utworów poetyckich, że takowe — bezpośrednio lub pośrednio, potakując albo przecząc—dążnością swoją towarzyszą zazwyczaj chwilowemu usposobieniu społeczeństwa, w łonie którego powstały. Słowacki w latach owych zostawał względem ogółu narodowego w wyjątkowym stósunku. Natchnienia jego płynęły z źródeł sobie tylko właściwych. Doktryna jego nie przystawała wcale do powszechnego poczucia. Płody jego poetyckie téj doby nie mogły tedy mieć związku z potrzebą chwili i jak wnosić można, nie miały też nawet ani przeznaczenia być tak zaraz oddane do rąk narodu. Z drugiéj strony — od czasu wydania Snu Salomei (1844) przestał i kraj już przywięzywać wyższe znaczenie do jego publikacyi. Mało kto wtedy już troszczył się o to, co tam pisze, co wydaje Słowacki. Przesłoniła go od narodu owa gęsta chmura mistyki, w jakiéj utonął...

Wyjątkowo jest jeden tylko wiersz pochodzący z lat owych, a bijący przeważnie tętnem chwili, co go wydała. Była to smutna chwila w niedawnych naszych dziejach — jedna z poprzedniczek klęsk lutowych roku 1846. Przypadkowa okoliczność wyrwa-

ła wtedy poetę naszego z medytacyi, w jakich był zatopiony, i zwróciła uwagę jego na stósunki dnia bieżącego. Spojrzał na nie, źle je pojął — i rzucił kilka strof między otoczenie swoje najbliższe, któreto strofy stały się głosem, posłyszanym doraźnie przez cały naród. Głos ten niestety skompromitował autora. Zaszły niebawem wypadki, które zadały fałsz jego hasłom, jego przestrogom i wróżbom, wygłoszonym z wszelkimi pozorami wieszczego natchnienia...

Ażeby zrozumieć, jak mogło przyjść do napisania owego wiersza przeciwko Krasińskiemu, trzeba się myślą przenieść w ówczesne okoliczności.

W czasie między 1840 a 1846 dochodziła zaciętość w postępowaniu skrajnych stronnictw emigracyjnych najwyższego szczytu swojego. Zaraz w roku 1831 zaczęto sobie wzajemnie wytykać grzechy popełnione w ciągu powstania. Społeczeństwo nasze rozpadło na obozy. Dały się słyszeć zasady, przedtém nigdy tak stanowczo nie wygłaszane. Były one wielkiéj doniosłości na przyszłość; były nie mniéj ważne i co do sądów o całéj dawniejszéj narodowéj przeszłości. Przyzwano bowiem przed siebie blade postaci przodków i zapytano je, że tu użyję słów poety:

„Zaco życie — w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?“...

Analiza taka przeszłości wynikała wprawdzie z kolei rzeczy. Była potrzebna, mogła być użyteczna. Dobrych także owoców można się było spodziewać z tego podniesienia nowych idei, w imię których ożywiło się poczucie ducha narodowego. Niejedna jednostronność, tak w postępkach jak w zamysłach, mogła przez to być usunięta; niejedno uroszczenie na niczém nieoparte mogło teraz być uchylone; niejeden niedostatek w sprawach powszechnych mógł zostać zastąpiony niezużytym i świeżym jeszcze materyałem działania nadal. Lecz jeśli te korzyści miały były być osiągnięte,

to nieodzownym tego warunkiem był jasny i rozumny spokój ducha zapuszczającego się w trud takich robot, a niemniéj też miłość słuszności i prawdy, większa nad miłość swego obozu. Na nieszczęście, cnoty te nie były przymiotem ludzi ówczesnych. Zabrano się do dzieła z zapałem, lecz był chorobliwy to zapał, który przy ciągłych protestacyach ze strony innych obozów aż nadto rychło wyrodził się w namiętność i fanatyzm i terroryzm, prawdziwie godny XVII wieku. Rozbiór przeszłości narodowéj pod wpływem takiego ducha nie wydał żadnych pożądanych owoców. Zaczęto przeszłość krzywdzić — obecność zakłócać — przyszłością grozić. Siła i zacność ducha narodowego ucierpiała na tém wszystkiém nierównie więcéj, aniżeli na stratach materyalnych roku 1831...

Najjaskrawszym i najszaleńszym może wyrazem całéj téj zaciekłości wersalsko-poatierskiéj były dwa dzieła, pod przybraném nazwiskiem Prawdowskiego właśnie wtedy w obiég puszczone. Jedno miało tytuł: „O prawdach żywotnych narodu polskiego.“ Bruxella, 1844; drugie: Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego“ Paryż 1845. Książki te były napisane w celu praktycznym, prowokacyjnym. Ogłaszały zasady, żadnéj wspólności nie mające z nazwami, których brzękiem się zasłaniały. Nie były to bowiem ani prawdy, ani żywotne, ani wreszcie demokratyczne! Był to już raczéj zamach ojcobójstwa względem przeszłości własnéj — akt zerwania wszelkich węzłów tradycyi. Wszelka miłość nazwana tu została słabością, powaga hipokryzyą, umiarkowanie zdradą. Pół narodu wydziedziczano z czci i odtrącano od posługi krajowéj. A wśród tego wszystkiego hałaśliwie zapowiadano, że nadeszła chwila stanowcza, godzina czynu...

Przeciwko takim dążnościom, a przedewszystkiém z powodu obu książek rzeczonych, wystąpił w r. 1845 z Psalmami swymi Krasiński, które wydał pod odpowiedniém sytuacyi nazwiskiem, pod imieniem przybraném Spirydyona Prawdzickiego.

Mówiliśmy już w jednym z rozdziałów poprzedzających o powodach niechęci, jaka wtedy miała miejsce od niejakiego czasu między Krasińskim a Słowackim. Mógł się przyczynić do większego jeszcze zrażenia Słowackiego ku Krasińskiemu i Przedświt, ogłoszony w roku 1843.

Znajduje się tam niejedno, co Słowackiego niepomału zadziwiać mogło w ustach, nie tak dawno jeszcze temu, autora... „Komedyi Nieboskiéj.“ Stanowisko zajęte przez Krasińskiego w Przedświcie było bardzo bliskie drugiéj skrajnéj ostateczności. Tylko mimowolny nacisk, bardzo zresztą naturalnéj u niego opozycyi przeciw centralizacyjnym jak je wtedy nazywano robotom, mógł tu wieszcza naszego popchnąć aż do wyrzeczenia pomysłów, tak wątpliwéj oto trafności, jak np. następujące:

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!
. . . . . .
„Łaska boża
Nas wegnała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!“
. . . . . .
„My umarli pośród świata
Z świętéj do świata miłości!“ itp.
. . . . . .

To są zdania, które niepodobno żeby nie miały się wydawać... bardzo problematycznemi w oczach każdego, komu tylko milsza prawda szczera, choćby bolesna, aniżeli pocieszająca się w biedzie próżność narodowa i miłość własna! —

Słowacki nie należał do żadnego obozu politycznego, i nie miał nigdy w niczém żadnéj wspólności z robotami Centralizacyi. Lecz i w jego przekonaniu było to już niejako dogmatem wiary, że się w narodzie naszym grzeszyło i błądziło dawniéj w niejedném, co na przyszłość koniecznie odmienić, naprawić, powetować należy. Duch przeszłości — a duch przyszłości: były to rzeczy zupełnie różne w oczach poety naszego. A kiedy widział, że téj prawdzie oczywistéj, dziejami kraju naszego, dzisiejszym sta-

nem naszym społecznym tak niewątpliwie popartéj, już nawet i Krasiński zaczyna przeczyć bezwarunkowo: to go to koniecznie musiało drażnić w namiętny sposób i wzbudzać w nim uczucia, jakich się doznaje przy każdém bolesném a niespodzianém rozczarowaniu. Zniechęcony, zgorzkniały — zwątpił od owéj chwili do reszty w niepokalaną czystość natchnień dawnego przyjaciela.

Otóż w takiémto będąc przez cały ciąg czasu owego względem niego usposobieniu, ujrzał w r. 1845 wydane trzy piérwsze Krasińskiego „Psalmy Przyszłości.“ Nie bacząc na to, że autor Psalmów pod niejednym względem odstąpił tu od skrajności stanowiska, chwilowo tylko zajętego w Przedświcie; nie zwróciwszy na to uwagi, że sama np. strofa następująca:

„Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten Jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiekże jaki, z czystém czołem
Krzyknąć może: „jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran?...“

nie rozważywszy mówię, że to samo jedno przyznanie już wystarczało, ażeby każdego przekonać, iż wieszcz ten podniósł się tu natchnieniem na wysokość, któréj nie dosięgają żadne samolubne uprzedzenia stronnicze: nie zrozumiał, nie dostrzegł, nie umiał ocenić Słowacki w Psalmach Przyszłości tego wszystkiego, co w nich rzeczywiście było wieszczego. Uczepił się natomiast wyrazów, które — jak ów wiersz z przyciskiem wyrzeczony w Psalmie miłości: „Hajdamackie rzućcie noże!“ — miały w jego oczach znaczenie protestacyi przeciw katastrofie, do któréj się właśnie gotowano natenczas. Wziął to za objaw wstrętu przeciw wszelkiemu ruchowi, któryby prowadził do przetworzenia danych stósunków. Naprężenia w społeczeństwie, już gotowego w niektórych częściach kraju, Słowacki nie znał. Zamętu fatalnego w umysłach nie przypuszczał. Sprężyn w działaniach gotujących się do czynu nie oceniał. Z wysokości zawrotnéj tych mistycznych

kontemplacyi, w których się od dawnego czasu kołysał, spojrzał na rozterk stronnictw — i nie umiał w nim niczego takiego dostrzéc, coby usprawiedliwiało taką zgrozę u drugiego poety. Dla Słowackiego wszelki ruch w społeczeństwie był pożądany. Wierzył w wszechmoc i w wszechobecność potężnych duchów, spełniających misye swoje za pośrednictwem żyjących osób. Wierzył, że co tylko się stanie i z jakiegokolwiek punktu wyjścia wyniknie, prędzéj czy późniéj zbliży korab wieków do wytkniętego mu portu — mniejsza o to, pod czyim sterem, w imię jakich godeł i nawoływań ta żegluga przez wzburzone fale społeczne będzie odbyta. Słowacki lękał się tylko jednéj rzeczy — martwoty, zastoju, nieruchomości...

Pod wpływem takiegoto więc usposobienia, natychmiast po ukazaniu się Psalmów, napisał z goryczą i z szyderstwem ów wiersz namiętny, wymierzony przeciwko Krasińskiemu, w którym obok najszczytniejszych zalet artyzmu, obok niejednego miejsca napisanego w wielkiém ducha podniesieniu, napotykamy tyle rzeczy jaskrawych i niesprawiedliwych, a w każdym razie... wypowiedzianych nie w porę...

Same okoliczności czasu owego i forma wystąpienia tego przeciw Psalmom Przyszłości sprawiły, że opinia publiczna przyjęła ten głos Juliusza, jako ujęcie się za zaczepionym obozem. Każdy wedle przekonań i usposobień swoich to się z tego cieszył, że się autor Beniowskiego do zastępu „ludzi czynu“ przyłączył, to razem z Przeglądem Poznańskim płód ów z ubolewaniem najżywszém „Herostratowską pieśnią“ nazywał. Tymczasem wiersz obiegał z rąk do rąk w coraz liczniejszych odpisach, do druku bowiem nie był oddany. (Wyjście jego nastąpiło dopiero w r. 1848, a i wtedy nawet bez wiedzy autora).

Niezadługo doszła o nim wiadomość do matki autora. Pani Becu, rozżalona, skwapliwie napisała do syna, karcąc go za to, że przyjaciela zaczepia.

Oto, co jéj odrzekł na to Słowacki:

„Jeżeli mnie zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to Ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciągle

i krwawo, abym na to oboje zasłużył. Lecz jeżeli będziesz pytać o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha: na to Ci odpowiem, że serca są w ręku Bogu, a ja mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjacioły. Nikogo nie obrażam. Ale praca moja tysiące ludzi obrazić może. Dla takich to rzeczy mocniéj niż kiedykolwiek boleję nad rozłączeniem naszém. Czas płynął — jam może szedł naprzód prędzéj, niż ludzie idą, niż nawet Ty sądzisz, że iść mogą. Bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam jak przeze mgły pokazał.“ itd.

To było pisane d. 2 lutego 1846 r. Z taką więc pewnością siebie, z taką ufnością w właściwość stanowiska, jakie chcąc nie chcąc był zajął, mówił o tém Słowacki na kilka dni tylko jeszcze przed rzezią galicyjską.

Tych dni kilka upłynęło, i katastrofa nadeszła. Wypadki, jakie z sobą przyniosła, nie były wprawdzie bezpośrednim wynikiem działań stronnictwa, potępionego przez autora trzech Psalmów. Z jakiéjkolwiek jednak strony dany był do tego popęd, jakiekolwiek okoliczności, przez nikogo nieprzewidziane, przyczyniły się do tego, że ten pożar społeczny, w zarodach dawno tlejący, buchnął teraz właśnie żywym płomieniem i tak daleko rozlał niezbrodzone fale krwi i zagłady: — wrażenie pierwsze było zawsze tego rodzaju, że dążność wiersza, o którym tu mówimy, zwróciła się, szczególniéj w pierwszéj chwili, najfatalniéj przeciwko jego autorowi. Lud, tak wysoko postawiony w owéj wieszczéj improwizacyi, zajął rolę zbrodniarza i bratobójcy. Szlachta zajaśniała blaskiem jeśli nie nowéj zasługi, to w każdym razie nowego, a niczém niezasłużonego cierpienia. Jéj losy ukazały się na nowo jako zlane nierozłącznie z losami saméj ojczyzny. Śmiałe, z proroczém uroszczeniem rzeczone twierdzenia poety, jakoby z owéj strony nic nie groziło porządkowi towarzyskiemu, okazały się marzeniem złudném i fałszem! Wszystkie roboty, wszystkie kierunki, przeciwne stanowisku Psalmów Przyszłości, podległy teraz potępieniu nieodzownemu. Krasińskiemu nawet przeciwnicy jego nie mogli teraz już odmawiać smutnéj w tym razie, lecz zawsze chlubnéj i świetnéj nazwy — prawdziwego wieszcza przyszłości.—

Wtedyto wśród upokorzenia, jakiego doznał, pożałował Słowacki wszystkiego, w czém przeciw Krasińskiemu zawinił! Zarzuty, które mu dawniéj robił, rozchwiały się teraz w nicość. Stanął przed jego oczyma Zygmunt — w téj postaci, z tym pociągiem magnetycznéj sympatyi, jak kiedyś dawniéj, jak w Rzymie, „w willi róż“... Nie tyle jeszcze przykro mu było, że napisał ów wiersz przeciwko Psalmom jego zwrócony. Wiersz ten nie był drukowany, nie miał nigdy być ogłoszony; mógł w porę jeszcze zostać stłumionym i może nigdy (tak sobie wtedy tuszył Słowacki) do wiedzy Krasińskiego nie dójdzie. Tém bardziéj zato darować sobie nie mógł ustępów niektórych w Księdzu Marku. Bądź jak bądź, mówiło mu sumienie, że co się źle zrobiło, to naprawić należy.

Wtedyto więc niewątpliwie napisał do Krasińskiego ów list bez daty, który w pierwszym rzucie znaleziono w pozostałych jego papierach i z którego tu przytoczę kilka ustępów. Jak zobaczymy, usprawiedliwiał się w nim Słowacki tylko za Księdza Marka. O drugim zaś wierszu owym nie mówi wcale, choć przypadek dziwny zrządził, że koncept listu tego był pisany właśnie na kartach, mieszczących w sobie pierwszy rzut „Wiersza do autora Trzech Psalmów,“ już to na marginesach, już poprzek pierwszego pisma.*)

„Dzisiaj był u mnie Gaszyński (taki początek listu). Mówił mi, że w liście Twoim dopytujesz się o mnie. A gdym rzekł, iż sam w ostatnim liście zerwałeś ze mną korespondencyą, żegnając mię:**) obiecał uwiadomić Cię o mojéj przyjaźni. I wyszedł mówiąc, iż za 10 dni list od Ciebie mieć będę.

Postanowiłem ten list Twój uprzedzić; do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jéj. Kochałem Cię, jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był, kochałem Ciebie.

Szczerze teraz — Wiem, dlaczego nie piszesz, a sam nie wiem, czy pisać możesz. Jeżeli twój duch stoi na wysokości właściwéj jemu, powinieneś kochać mnie i szanować; jeśliś dotąd cielesny jest z centaura, z orła i z lwa, jako

---

*) Ta jedynie okoliczność ułatwia też właśnie domysł, kiedy list, o którym tu mówimy, mógł być pisany.

**) To się odnosi do zajść pomiędzy nimi w roku 1843.

ów człowiek Platońskiéj republiki, powinieneś jak centaur stratować, jak orzeł wszponić, jak lew rozerwać; a ja powinienem Ci się oprzéć jako Ecce Homo dzisiejszy, to jest ducha wyraziwszy ciałem, nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni. Przed Tobą wszakże, jedynym moim w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha podnosił nieraz i stroił, muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły niebieskie dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętnéj więc rzeczy dotknę — tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności, chcąc koniecznie wytłómaczyć się — nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała — ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei: wpadłem bezmyślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrałem księdza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennéj nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszéj głupocie, podobnie ja aż po napisaniu dramatu obaczyłem wątłość dzieła i boleśniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły.— Po napisaniu więc aż, spostrzegłem się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednéj strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny—jest formą, z któréj będą się rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy duchem świętym nalewali. Jako poemat, zrujnuje sławę twoję u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, — właśnie dla głupstwa a jakiejś niewinnéj form przezroczystości leje ogień w jéj ducha i zwycięża ją jedną może tajemniczą magnetyczną zgłoską — a kochankowi daje królestwo. Wydaj więc na wiatry list twój — zgub się jako autor — jeżeli co więcéj masz poświęcić, poświęć...

Odpowiedziałem: więcéj poświęcić! sto razy więcéj!...

A one: — „Co?“—

Odpowiedziałem: Jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnéj naturze; jest człowiek, który — jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnéj myślałem, tom sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskiemi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. — Teraz to wszystko muszę... Co duchy? —

Była godzina, iż zamilkły. A ja sam z własną wolą zostawiony — wybrałem... Wiesz, co wybrałem. Duchów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną, ja za nią odpowiadam.

I tak będzie zawsze. — Ile razy mi przyszło między pełną chatą a samotnością i potrzebą wyższą wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem co muszę. —

Teraz nawet czynię, co muszę. Bolesne rwanie się tego listu świadczy Ci, — ale Ty jesteś wielki duch boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać — byłoby grzechem przeciwko duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar, ja Ci dopomagam...

Na Boga i wszystkich świętych pańskich! kochać mię możesz, a szanować nawet powinieneś; bo wiesz, iż jako człowiek odpowiadam za pisma moje całą osobą moją ludziom ciała. Ale przed Tobą więcéj, niż to — bo jako duch staję i padam... To wszakże nie dlatego, żebym jako człowiek-duch czuł się winnym, ale przez myśl, iż Ty może— nie rozumiejąc i nie wiedząc, a myśląc o mnie, cierpisz najgorszą z mąk — tłómaczącą się Tobie krzykiem: ach! czemużem go kochał?..

...Bez miłości prawdziwéj nic nie pisz, bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział: nie tylko Ci to z ducha wymazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwięzujący. Sumieniem wszystko trzeba rozwiązać"... itd.

W takito sposób stósunki życzliwsze znowu się rozpoczęły pomiędzy nimi. Krasiński odpowiedział uprzejmie i rękę sobie podaną ścisnął. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim samym wyraził.

...„Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu. Najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów. W téj bójce między życiem a śmiercią świata, nie dziw, że dziwy się rodzą"...*)

Sam zaś Słowacki tyle matce o tém pojednaniu donosił:

---

*) Do kogo i kiedy to było pisane, nie wiem. Biorę to bowiem z drukowanego zbioru korespondencyi Krasińskiego. Tyle tylko tam powiedziano, że list był datowany z Nicei w r. 1846.

... „Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym, jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego. Mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić... teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i cząstką mego szczęścia szczęśliwi“... (z listu z d. ? sierpnia — 1846).

To wyrównanie osobistych niesnasek nie mogło oczywiście oszczędzić Słowackiemu goryczy, jakiéj doznać musiał, kiedy we dwa lata późniéj (w r. 1848) ujrzał ogłoszone dwa nowe Psalmy Przyszłości, a w piérwszym z nich, w „Psalmie Żalu“, znalazł zwróconą przeciwko sobie, surową, choć poważną i ze wszech miar sprawiedliwą odprawę.

Więcéj jeszcze przykrości sprawić mu musiała niedyskretność lipskiéj Księgarni Zagranicznéj. Bez woli i nawet bez wiedzy autora, pozwoliła ona sobie w tymże czasie wydrukować wiersz ów jego przeciwko Krasińskiemu, i to jeszcze na domiar złego z niezliczoną ilością błędów, przekręconych wyrazów, koszlawych rymów i tym podobnych odmian pierwotnego textu, bałamutnych przełożeń całych ustępów poematu na takie miejsca, do których nie należały, przeistoczeń nawet myśli poety w najfatalniejszy sposób — słowem z bezlikiem bezsensów wszelkiego rodzaju, odbierających wierszowi temu całą wewnętrzną wartość. Małéj téj broszurce, bezimiennie w świat puszczonéj, dano napis:

Do Autora Trzech Psalmów przez *** Lipsk, nakładem Księgarni Zagranicznéj. 1848. 12°, str. 20.

W téjże postaci odbito rzecz tę powtórnie w r. 1861 na samym końcu cztérotomowego zbioru dawniejszych dzieł Słowackiego, któryto zbiór Brockhaus w Lipsku, bez niczyjego upoważnienia, a zatém w nieprawy sposób, sobie tylko samemu zyski z tego zagarniając, a nibyto chęcią przysłużenia się literaturze polskiéj powodowany i stąd prawa do wdzięczności nawet narodu naszego sobie roszczący, z niepospolitém co do poprawności textu niedbalstwem ogłosić nie wahał i nie wstydził się... Dopiero lwowskie wydanie Pism pośmiertnych, z polecenia krewnych

i spadkobierców poety dokonane, przyniosło wiersz rzeczony w autentycznym i prawdziwym układzie. *)

*) Z powodu mylnych szczegółów o przyjściu do skutku owego wydania „Wiersza do autora trzech Psalmów“ z roku 1848, udzielonych przez pana Cypryana Norwida w bujnie ułożoném choć drobném pisemku jego „O Juliuszu Słowackim,“ widzę się tu w konieczności dopisać, co następuje:

Pan Norwid podaje wiadomość, jakobyśmy to publiczne ogłoszenia wiersza, o którym mówimy, zawdzięczać mieli p. Edmundowi Chojeckiemu. Pan Chojecki miał być razu pewnego z wizytą u Słowackiego i trafił właśnie na taką chwilę, w któréj poeta rzucał w płomień płód ten swojéj gorączkowéj fantazyi. Wyrwał tedy z ognia co prędzéj p. Ch. rękopis na zagładę wskazany i wziąwszy go do siebie, kazał go niedługo potém przy zdarzonéj sposobności w Lipsku oddać do druku.

— Daruje mi szanowny autor, że się ośmielę powiedzieć mu otwarcie, iż snać zażartował sobie ktoś z niego, udzielając mu do dzieła jego tę prawdziwie mytycznéj wiarogodności bajeczkę. Gdyby publikacya lipska była przyszła do skutku w taki sposób, jak tu podano: to oczywiście byłaby ona tak odbita w druku, jaki był rękopis, a rękopis nie byłby mógł być pofałszowany, skoro miał pochodzić z rąk bezpośrednich samego poety! Tymczasem niech tylko kto porówna wiersz rzeczony w tym autentycznym kształcie, jak go ukazuje wydanie lwowskie z r. 1866, z bałamutną jego redakcyą w edycyi lipskiéj: a przekona się, że wyrazów i nawet zdań całych jak najbezmyślniéj poprzekręcanych jest w redakcyi téj przynajmniéj tyle, ile w utworze całym jest wierszy; nie mówiąc już nic o całkowitych ustępach albo zupełnie wypuszczonych, albo też danych w kolei niewłaściwéj, to jest takiéj, że co miało nastąpić późniéj, idzie naprzód, a co miało dane być pierwéj, następuje gdzieś o kilka dopiero stronic zapóźno. Takiego nieładu nie mogło oczywiście być w manuskrypcie owym wrzuconym w ogień. Jeśli to był odpis na czyste, to nieładu w nim być nie mogło tém bardziéj. Jeżeliby to zaś miał być brulion: to go mam właśnie przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego oddrukowano wiersz ten w mojém wydaniu, jestto właśnie dopiero pierwszy rzut jego, z licznemi wprawdzie mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych pomyłek, które wytykam — i bez żadnych też śladów... płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez p. Chojeckiego.

Ja mam z ust wiarogodnych zupełnie inną wiadomość o dziejach wydania tego z r. 1848. Manuskrypt, z którego je zrobiono, przywiozła do Księstwa Poznańskiego z Paryża pani Łubieńska, autorka powieści Niedowiarek — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza,

— Oprócz powyższych utworów poetyckich, napisał też Słowacki i wydał w owym czasie dwie broszury prozą, treści poniekąd politycznéj. Jednę z nich t. j. list „Do Księcia A.“ (Czartoryskiego) zamieściłem w wydaniu Pism pośmiertnych w tomie Iszym. — Rzecz ta wyszła bezimiennie — w Paryżu — bez oznaczenia roku, w którym została wydana. Że jednak wynikła z pióra naszego poety, jest rzeczą pewną w obec notat i rachunkowych jego zapisków, w których o téj publikacyi jako swojéj wspomina. Drukowana ona była na samym początku roku 1846, co także z rzeczonych notat wynika. Powód, dla którego została napisana, nie jest mi wiadomy.

O exystencyi drugiéj broszury mam wiadomość tylko ze wspomnianych co dopiero jego zapisków, w których zanotował Słowacki, że ją wydał i także w owym roku. Ma mieć ta broszura napis: „O potrzebie Idei“. Mnie się z nią dotychczas nigdzie spotkać nie zdarzyło.

Natomiast zrobić tu muszę uwagę, że są też niektóre rzeczy, przypisywane naszemu poecie, które nie pochodziły od niego. I tak wyszedł w Lesznie, w roku 1852, pod jego jakby imienia i nazwiska literami początkowemi, utwor prozą:

„Sen, pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta z pozostałych rękopismów po ś. p. J. S“. — Że to

---

któremu, jak widać, musiał rzecz tę przynieść ktoś trzeci, i to oczywiście ktoś taki, który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichéj i słabéj — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora. Od pani Ł. dostał odpisu tego wiersza młody naówczas literat poznański Rychard B., któremu utwor ten do tego stopnia się podobał, że w nim bezsensów nie dostrzegał i nie miał miru, dopókiby się nim nie podzielił z całą publicznością. Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich, na osławiony Sejm niemiecki do Frankfurtu właśnie wtedy jechać zmuszonych, potrafił p. B. przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się późniéj o tém, kto bezpośrednio spowodował ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to niemiłe i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło już być odrobione.

jest dzieło Z. Krasińskiego, to dziś już pewnie jest powszechnie wiadomém.

Oprócz tego pojawiły się bezimiennie, jeszcze w r. 1845 w Paryżu, dwa arcy niemądre i nietrzeźwe wyroby rymotwórcze, jak się zdaje, oba jednego wierszoklety, które w niepojęty dla mnie sposób Przegląd Poznański (r. 1845, IV, str. 390 i n.) czasu owego przysądził Słowackiemu w wyrazach tak stanowczych, jakby już żadnéj co do tego nie było wątpliwości. Tytuł tych niezdarnych robót jest taki:

„Dwa Akty". Paryż 1845. *)

„Szymon Konarski, poema dramatyczne. Obraz I: Śmierć X. Trynkowskiego". Paryż 1845.

Mogę z całą pewnością wyrzéc twierdzenie, że z temi ramotami Słowacki nie miał nic do czynienia. Nie pisał ich, i nie mógł ich pisać; co też każdy zrozumie, kto tylko je z zastanowieniem przeczyta.

---

*) Nie wiem, czy nie do téjto publikacyi robi Słowacki alluzyą w wierszyku danym na str. 92 tomu Igo mego wydania.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczęsny F. — Wiosna r. 1848 — „Konfederacya“ — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Usposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicyi na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament“. —

Przechodzę w tym ostatnim dziela mego rozdziale do potocznego życiorysu poety i chciałbym w nim zamknąć wizerunek tych wszystkich zdarzeń z ostatnich chwil jego życia, które w nim ukazują nie już pisarza, ale człowieka. Zdarzeń takich wprawdzie nie potrafię wiele wymienić. Słowacki w latach owych nie miał prawie wcale téj potocznéj strony żywota. Żył głównie myślą, mniéj ciałem — i więcéj z Bogiem niż z ludźmi...

Cóż Ci mam donieść o sobie? (pisał był do matki jeszcze w r. 1845, d. 15 października). Moje oczy, zupełnie od świata oderwane, a daleko gdzieś zwrócone—moje uszy, ciągle wielkich powiewów bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały i nie słyszały nic domowego. Z téj strony prawie człowiek nie jestem“...

...„Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja niegdyś dziecko niepohamowane — teraz żyję, jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było — ani krwi — ani żądzy — ani chęci — ani zawrzenia — ani wybuchu. Uśmiechać mi się nawet z ludzi niewolno. Trzeba wszystko zrozumieć — przyjąć — ukochać — ożywić — przemienić... i Bogu na ziemi pokazać pracę Anielską“... (z listu z d. 14 grudnia 1846).

... „Droga Matko moja! Zmieniła się moja natura. Jako ciało, ani z rozkoszy żadnéj ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć. Spróbowałem tego ostatniego rwaniem okropném zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeć mi się nie chciało — tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne. Z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że np. kilka dni temu, byfsztyk był z piaskiem, a ryba nieświeża — więc obiadem mi była filiżanka rosołu i kawałek chleba i piwo. Obiad zaś taki 5 złotych mię kosztuje, bo go jem u siebie; bo wolę nic nie jeść, albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać włócząc go po publicznych traktyerniach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mięszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czém gorszém... (z listu z d. 22 stycznia 1848).

Pod wpływem takiego usposobienia płynęło Słowackiemu życie w czasie tym zmienionéj (jak się wyrażał) jego natury, jednostajnie i prawie bym powiedział ascetycznie. Zapełniał je tylko pracą. Rozmyślał, rozpamiętywał, czytał bardzo wiele i w najrozmaitszych przedmiotach. Rzeczywistego pożytku ten pracowity tryb życia jednak nie sprawiał. Cała praca bowiem odbywała się w zaklętém kole doktryny, która wszystko, czego się tylko tknął Słowacki, przemieniała w mistykę.

Tę jednostajność pożycia urozmaicały tylko coroczne wyjazdy do wód morskich, które weszły w stały zwyczaj u Słowackiego począwszy od roku 1843. Za nadejściem miesiąca sierpnia opuszczał zazwyczaj hałaśliwe mury stolicy i wyruszał do Pornic, małéj mieściny położonéj nad samym Atlantykiem. Ocean był szczególniéj sympatyczny dla niego.

„Między tém morzem a mną, powiadał, jest tajemniczy jakiś związek, sympatya — i ta musi być prawdziwa; albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacyi czytając Walterszkotowego Pirata, to jest szare, skaliste, okryte chwastami,— natura obca ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem— a wśród téj natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały... Czasem motylek,

za którym biegałem nad Wilenką — zupełnie taki sam, a gdym go obejrzał, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana... Czasem pliszka nad morzem, zupełnie do téj podobna, do któréj niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem — słowem nigdzie od wspomnień uciéc nie można, nigdzie od łez i tęsknoty... A ta cała natura — gdybyś Ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna! otoczyła mię skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia... Jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niéj zapomniał; jak zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnieniu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy"... (z listu z d. 2 Października 1843).

Drugą rzeczą, która umilała poecie życie, były to stósunki jego już to utrzymywane listownie, już osobiste z przyjaciołmi. Jak zawsze, tak i pod koniec życia nie wielu on ich liczył. Jedną z osób, zajmujących niepoślednie miejsce w tém szczupłém gronie osób kochanych przez Słowackiego, był p. Wojciech Korneli Stattler, znany zaszczytnie malarz i profesor niegdyś krakowski. Poznali i zaprzyjaźnili się oni ze sobą jeszcze we Włoszech. Potém znajomość ta zrobiła się jeszcze ściślejszą, kiedy Stattler w r. 1843 odwiedził Paryż. Od owego czasu korespondowali ze sobą. Śladem téj serdecznéj życzliwości pomiędzy nimi jest kilka listów Juliusza pisanych między 1844 a 1848 do p. Stattlera, których odpis — dzięki uprzejmości tego znakomitego artysty — posiadam. Jest ich wszystkich sześć. Szczególniéj zajmującym i charakterystycznym jest list z porządku trzeci. Pisał go Słowacki właściwie nie do samego artysty, lecz nibyto do syna jego, który mu się wtedy właśnie narodził i któremu w dowód i na pamiątkę téj przyjaźni ojca z poetą naszym, dano na chrzcie także imię Juliusz.

Ścisłe także i bardzo przyjacielskie były stósunki Słowackiego z naszym K. Ujejskim, a to począwszy od r. 1847, w którym ten znakomity, choć wtedy dopiero poczynający poeta spędził miesięcy kilka w stolicy Francyi. W owymto czasie napisany był do niego ów wiersz prześliczny Juliusza, któryśmy wcielili do zbioru lirycznych jego poezyi. Korespondowali ze sobą i w późniejszych latach.

Równie dobrze położonym w sercu Słowackiego był także Ludwik Norwid rzeźbiarz. Zbliżała ich do siebie równość dążeń, wyobrażeń i jak sądzę należenie do jednéj i téjsaméj frakcyi w kole niegdyś zawiązaném przez Towiańskiego. O téj ścisłości stósunków z Norwidem świadczą dwa wiersze liryczne do niego napisane, które są zamieszczone w tomie Iszym Pism wydania lwowskiego.*)

Nikt jednakże podobno nie byłby się mógł w latach owych poszczycić takiém serdeczném przywiązaniem i zaufaniem ze strony Słowackiego, jak Szczęsny Feliński, obecnie Arcybiskup warszawski—w owym czasie świeckiego jeszcze stanu. Liczył on wtedy lat dopiero około 24. Przybył do Paryża z końcem roku 1847, w zamiarze ukończenia tu nauk. Uczęszczał do Sorbony i do Collège de France, bywając przedewszystkiém na kursach historyi i filozofii. Poznał się ze Słowackim na początku r. 1848. Wysoki wtedy nastrój ducha Juliusza — życie surowe, wyłącznie poświęcone jednéj, w celu ostatecznym tak szlachetnéj dążności — i marząca exaltacya takie sprawiły wrażenie na tym młodym umyśle, że przylgnął do niego całém sercem i duszą. Od owego czasu aż do ostatniéj godziny życia był już Szczęsny najmilszym powiernikiem i nieodstępnym poety towarzyszem. Niejedno dzieło jego z pomiędzy wydanych w zeszłym dopiero roku znalazłem przepisane ręką Szczęsnego, pod bezpośrednim nadzorem autora. Niejeden pomysł wykonać się mającego utworu przemarzyli oni tam pewnie obydwaj wspólnie. W listach Słowackiego do matki często bardzo dają się spotykać wzmianki o tym młodym człowieku, będące wymownem tego świadectwem, ile on go musiał kochać i cenić.

„Szczęsny jest ze mną (pisał do niéj np. d. 28 marca 1848 r.) Jest on czystym brylantem i skarbem moim. Prawdziwie mi takiego potrzeba było“...

... „Ukochany to jest chłopiec — już z chłopca człowiek! Wszyscy go tu ukochali szanując — postępki jego anielskie — wiedza rozkwitająca — stanie się kiedyś chwałą naszą“... (z listu z dnia 25 sierpnia 1848).

---

*) Przez pomyłkę dano im tam napis: „Do L. Nabielaka“. W rękopisie były tylko litery: Do L. N., co źle na razie zrozumiano. Nabielaka wtedy nie było wcale w Paryżu.

Zresztą należało i w tym czasu okresie do najgorętszych życzeń Słowackiego — równie jak w pierwszych latach jego pobytu na emigracyi, ażeby się zobaczyć kiedyś z matką kochaną, choćby raz jeszcze w życiu. Zaraz po powrocie z podróży jego wschodniéj — było to ich obojga ciągłém marzeniem. Były w tym widoku robione w różnych latach różne projekta. To się zjechać mieli gdzie we Włoszech, to w Dreźnie, to w innych miejscach. Zawsze jednak aż do téj chwili zamiarom tym stawały w drodze jakieś nieprzezwyciężone przeszkody. W ostatnich miesiącach roku 1847 zapadło wreszcie przedsięwzięcie stanowcze, że się zjechać mieli oboje za nadejściem przyszłéj wiosny w Karlsbadzie.

...„Od wczoraj (pisał d. 2 grudnia 1847 r.) przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Karlsbadu. Na wiosnę więc spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjedziemy się tam gdzie Ty zechcesz, i czas jakiś ze sobą pomieszkamy... O! gdyby nie ten kraj, w którym się znajdujesz, a którykolwiek inny! Jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dyliżansu. Bo ja tensam, który niegdyś — słysząc żeś Ty chora, we dwa dni przyleciałem do Ciebie i w nocy zastukałem do furtki — i u babuni na sienniku ranka doczekałem. Pamiętasz?.. Zimę tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiéj niż inne zimy przebędę“...

Upłynęło od czasu owego listu półtrzecia miesiąca. Zbliżała się wiosna, pamiętna wiosna 1848! Ani syn, ani matka nie przewidywali wypadków, jakie ta wiosna złudna i rychła — pod każdym względem przedwczesna — przynieść miała ze sobą. Projekt powzięty stał niewzruszenie.

...„Wiosna się zbliża — spodziewam się, że w Kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Wielkiego mizeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś Ty na świat wysłała — który był dumny i niezupełnie godny Twojéj miłości. Zobaczysz droga moja, że ze mną teraz spokojniéj czas płynie, a domek, który ja zamieszkam, cichszy jest, niż inne... Ufam, że mi to lato z Tobą w części spędzone sił doda; bo mówię Ci, żem smutny. A ta zima bardzo mi złą była. Nie mam nic, w czémby mi teraz ludzie pomogli“...

To było pisane d. 13 lutego r. 1848.

W jedenaście dni po tym liście, zaszły wydarzenia paryskie. Ludwik Filip zniknął z stolicy. Lud paryski na placu Bastylii spalił tron króla episyerów. Dały się słyszeć okrzyki: wolność, równość, braterstwo! Rzeczpospolita zajęła miejsce dawniejszego porządku rzeczy. Na barykadach stanęły masy, z bronią w ręku i wyzywając do walki, co jeszcze wczoraj było potęgą. Za przykładem Paryża poszły niebawem i inne stolice: Neapol, Rzym, Wiedeń, Berlin. Zdawało się, że się postać Europy przekształca...

Już w dniu 20 Marca rozpoczęły się ruchy w Poznańskiém. We wszystkich sercach, pragnących odmian, zaświtała nie już nadzieja, ale pewność pożądanéj przyszłości.

U Słowackiego myśl zobaczenia i połączenia się z matką zaczęła się od téj chwili malować w żywszych kolorach. Przyczyniało się do tego niemało i przeniesienie się około tegoż czasu całéj jego rodziny z Wołynia do Galicyi w okolice Lwowa. Tytułem spadku po dalekiéj krewnéj, która właśnie w latach owych zeszła ze świata, wzięli pp. Januszewscy i p. Becu w posiadanie wieś Ubień, położoną pod Jaryczowem. Więc już teraz mógł się Juliusz spodziewać, że nic nie przeszkodzi jego życzeniu, ażeby się złączyć ze swymi.

„Oto może wkrótce (pisał d. 28 marca) już nie tylko zjadę się z Tobą, droga moja, ale połączę się z Tobą dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów...

...„Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę — każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy moim czynnościom nadaje. Choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mię jednak ku Tobie przybliża.

„Cudowna to dla mnie wiosna! Może pączki, które się na drzewach w wioseczce Teofila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego rodzinnego będą nasycone i napełnione. Może Hersylia kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mię w progu chateczki swojéj. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie! Wspólnie pracować będziemy — byle nowéj matce naszéj nie być ciężarem. — Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno“!..

Wzmianka w powyższym liście o obowiązkach i trudach, od których nie sądził Słowacki żeby mu się godziło uważać za zwolnionego, nawet pomimo tego co zaszło, powoduje mnie do dołączenia tu słów kilku, celem wyjaśnienia, jakiéj natury były zajęcia jego w tym czasie. Brał on wtedy czynny udział wśród nowego, gwarliwego, namiętnościami i zapałem kipiącego życia Emigracyi nagromadzonéj w Paryżu. Wystąpienia jego nosiły oczywiście zawsze piętno owéj idealnéj, lecz niepraktycznéj dążności, w jakiéj raz na zawsze się zawarł. Choćby projekta jego i zostały były przyjęte, choćby rady jego były i najpomyślniéj w czyn zamienione: skutek działań i wtedy byłby się okazał taki sam, jaki nastąpił. Ale poecie się zdawało, że od formy, że od godła, od nazwy — zależą nieobliczonéj doniosłości następstwa.

Dnia 19 marca zebrała się pewna ilość pozostałych jeszcze wtedy w Paryżu Polaków i zamierzała zawiązać klub narodowy. Słowacki stanął pomiędzy nimi i przemówił przeciw wszelkim formom zagranicznym, jako nieprowadzącym do celu. Natomiast przedłożył obecnym projekt zawiązania raczéj Konfederacyi, gdyż taka tylko forma odpowiada duchowi społeczeństwa naszego i posłużyć może za model dalszéj organizacyi na wielką skalę, w samychże granicach kraju. — „Albowiem — mówił im — w formowaniu kryształu pierwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, zachowuje już ten kształt i tę formę, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno i wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości... Pamiętajcie, że formy nasze dawne — sąto żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały“... Z tego textu była powiedziana cała ta mowa, która też następnie i wyszła z druku w osobnéj broszurce pod tytułem:

Głos brata Juliusza Słowackiego do zgromadzonych i w Klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowéj formy konfederacyjnéj. (19 marca 1848 r.) bez karty tytułowéj, 8° stron 8.

O dalszych losach tego projektu podał niedawno temu, w jednem z pism lwowskich czasowych, przy ubocznéj okoliczności, bezimienny pewien świadek naoczny rzeczonéj sceny, wiadomość w następujących wyrazach:

„Każdy z obecnych drgnął duchem do słów Juliusza i zapalił się myślą do rzeczy, która wzbudzała pamięć wielkich poświęceń i świetnych czynów barskich konfederatów — i pod takiém wrażeniem rozeszliśmy się z tego zebrania.

„Zimniejszy atoli pogląd na sprawę naszę i zbadanie ogólnego usposobienia emigracyi, która już wtedy rozbita niemal na atomy, szumiała tylko bezładną burzą — przekonanie, że myśl zawiązania konfederacyi, potrzebująca organizacyjnych pierwiastków, nie zdoła się już przyjąć wśród anarchicznych żywiołów i usposobień — to wszystko zebrane razem, ochłodziło wkrótce zagrzane dusze Juliusza słowami, i uznano niepodobieństwo przeprowadzenia konfederackich form...

„Lodowe jednak głosy rozwagi nie zdołały przecież zziębić ognistéj Słowackiego fantazyi. Mimo nich spróbował on urzeczywistnienia swego pomysłu, a zebrawszy się w ściślejszém kółku z czterema bezwzględnymi zwolennikami konfederackiéj idei, którzy gorąco a bez obejrzenia się na okół do niéj przylgnęli — akt konfederacyi spisali i wraz z odezwą ogłosili go drukiem...

„Że zaś ten mały zawiązek konfederacki w Paryżu nie miał dalszéj przyszłości: więc dla rozwinięcia jego, postanowił Słowacki szukać punktu oparcia na ziemi wielkopolskiéj, gdzie już w formujących się obozach wrzało do walki.“ itd.

Owoż takito był powód, że nie do matki, jakbyśmy może oczekiwali, pospieszył Juliusz niedługo potém z Paryża, ale w Poznańskie. Przybył do Poznania około 10 kwietnia. Znalazł gościnne przyjęcie, na cały czas pobytu swego w tém mieście, w domu pp. Bukowieckich. Były to już dni natenczas, gdzie się nadzieje wielkopolskie zaczynały mieć ku schyłkowi. Zjechał był właśnie do Księstwa generał pruski Willisen, jako rozjemca królewski między obozami powstańców a wojskiem pruskiém. Komitet narodowy działać, a przynajmniéj kierować sprawą już prze-

stał. Przystępywano właśnie do ułożenia tak zwanéj jarosławieckiéj konwencyi. Krwawe, rozpaczliwe potyczki pod Książem, Miłosławiem i Wrześnią miały niezadługo nastąpić i można je było już wtedy przewidywać. W takich okolicznościach — samo się rozumie, że o konfederackim projekcie trudno już było myśleć marzycielowi naszemu. To też bawił ciągle w Poznaniu mało gdzie z domu wychodząc, mało komu się udzielając, ile że i siły jego bardzo już były nadwątlone w tym czasie, choć téj myśli o niknącém zdrowiu swojém nigdy nie lubił przypuszczać. Oczekiwania jego okazały się zawiedzione z wielu względów. Nie tracił jednak jeszcze nadziei. Jeszcze d. 24 kwietnia pisał oto do matki w wyrazach dających wnosić, z jaką otuchą spoglądał w przyszłość.

„Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając ten list z Poznania. Ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina; że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach... Jestem tu na gościnie, w domu jakby rodzinnym przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo mi tu wypadnie zabawić, a Ty najdroższa wiesz, że dłużéj niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę spieszył i kierował się tak, abym jak najprędzéj u Ciebie stanął. O! jakże spragniony jestem tego łóżka, które mi Ty sporządzić każesz, gdzie się położę jako z długiéj pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec. Jak blisko ta chwila? nie wiem, bo mam obowiązki, od których tylko sam Bóg uwolnić mnie może. Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione... Wkrótce jednak spodziewam się czuć rękę Twoję na głowie mojéj. Wesela się spodziewam i radości w domu Waszym.“ itd.

W dniu 29 kwietnia, nazajutrz potém i w dniu 2 maja zaszły bitwy decydujące w miejscach powyżéj wymienionych. W tychże dniach rozwiązał się komitet narodowy poznański. Partyzanckie oddziały po różnych punktach Księstwa staczały — każdy na własną rękę — utarczki z pojedynczemi komendami wojsk pruskich. Już w pierwszych dniach maja miały miejsce sceny takie, jak w Stęszewie, w Buku i Kcyni. Mierosławski zdał dowództwo nad obozami w inne ręce i ...„ulotnił się“ z pola działania. Z Berlina przybył z nieograniczoném pełnomocnictwem, a gro-

żném względem prowincyi usposobieniem gen. Pfuel. Ogłoszono prawo doraźne. Rozpoczęły się aresztowania na wielką skalę. Pobyt w Poznaniu osób takich, jak Słowacki, stawał się z dniem każdym coraz mniéj pewnym...

Wtedy też on — po całomiesięcznéj bytności w stolicy Księstwa — opuścił Poznańskie i przeniósł się do Wrocławia. (Najął tam sobie mieszkanie na Neue Schweidnitzer Strasse No 3, na drugiém piętrze, dzwonek na prawo). Było to jakoś w połowie maja. Usposobienie jego w tych czasach malują następujące miejsca w liście do matki:

„Od kilku dni jestem w Wrocławiu, tak blisko Ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać Ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne, a serca tyczące się zostawiam Bogu, który mnie prowadzi i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwą z Tobą przebytą wynagrodzić mnie zechce...

... „Ja tu jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne — serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają.

... „Miesiąc ten życia mojego pełny cudów. Spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga we wszystkiém. Napełniony życiem, rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem (?). Wola się moja z dopuszczenia bożego pełniła (?)...

... „Postępowanie ludzi oświeconych w mieście waszém (we Lwowie) jest straszne i ściągające na was okropne nieszczęścia. Dałbym wiele za to, żebym Cię teraz wiedział w dawném Twojém siedzącą miasteczku... Teofila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał na jutro, a nic nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach jak dzieci, słuchające natchnienia i wichru bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie...

... „Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moję metrykę i dowiodła, że jako syn Twój

mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna, i spodziewam się, że się stanie niepotrzebną“... (z listu z d. 14 maja).

W cztéry dni późniéj i ta ostatnia iskra nadziei, która mu wtedy jeszcze świéciła, zagasła. Już teraz nie przypuszczał, żeby mu miało być daném odwiedzić swoich w ich wiejskim domku. Zaczął się lękać, ażeby zamiast zbliżyć się do nich — nie był raczéj przymuszony znowu się od nich oddalić. Pisał tedy w takich wyrazach:

„Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę Cię jednak najdroższa Matko! jeżelibyś się na to odważyła, abyś siadła do dyliżansu i choćby na kilka dni tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla Ciebie a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkiém bezpieczeństwem. Widzieć się z Tobą, byłoby dla mnie wielkiém szczęściem w tych czasach, w których mię wiele rzeczy boli i udręcza. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo Twoje i mieć w pocałowaniu Twojém świętém ochłodzone czoło moje!.. Choćby więc na tydzień, przyjedź; a ja Cię będę czekał w dzień oznaczony na drodze żelaznéj i postaram się dla Ciebie o mieszkanie“... (z listu z d. 18 maja).

Wszystkie te listy, począwszy od poznańskiego, były wysyłane do Lwowa, gdzie Pani Becu bawiła przez cały ten czas, i adresowane poste restante. Nieszczęście chciało, że się na poczcie o listy takie matka Juliusza wcale nie dowiadywała. Nie mając zaś od tak dawna żadnych wiadomości od niego, zachodziła w głowę, co się z nim dzieje. Niepodobno jéj było pisać do niego, nie wiedziała bowiem, dokąd pojechał z Paryża.

Juliusz tymczasem z swojéj strony nie pojmował znowu tego tak uporczywego milczenia matki. Wysyłał do niéj z Wrocławia, różnemi drogami, pod coraz innym adresem, list za listem, zaklinając o najspieszniejszy przyjazd — wszystko nadaremnie! Ani na obydwa wyżéj już wspomniane listy wrocławskie, ani na dwa inne jeszcze, zaraz po nich wyprawione jeden za drugim, odpowiedzi się żadnéj nie mógł doczekać. Co się działo w sercu jego, wystawić sobie można, zważywszy zwłaszcza że lada godzi-

nę przewidywał, że mu przyślą władze miejscowe rozkaz wyjazdu. Tymczasem d. 9 czerwca (po całomiesięcznem więc nadaremném wyczekiwaniu w Wrocławiu) otrzymuje niespodzianie od Stattlera z Krakowa doniesienie, że matka jego przebywa ciągle we Lwowie; że jest od przeszło 3 miesięcy bez żadnéj o nim wieści; że się dręczy wielce i smuci, nie mogąc się z nikąd niczego o nim dowiedzieć.

Natychmiast tedy, za pośrednictwem Stattlera, ponowne powtórzenie prośby swojéj jéj posłał błagając, żeby ani godziny nie tracąc, przyjechała uścisnąć go raz jeszcze i pobłogosławić mu na to nowe tułactwo, które go czeka. Tym razem dopiero list rąk jéj doszedł i odniósł skutek.

W kilka dni potém dożył więc Juliusz chwili, której pragnął tak gorąco i od tak dawna. Mógł się rzucić do nóg kochającéj, stroskanéj matce. Mógł się przed nią wyspowiadać ze wszystkich zawodów smutnego życia, które spędził opodal od niéj...

Ale to wzajemne ich szczęście niedługo trwało. Pani Becu wybrała się wprawdzie w podróż z postanowieniem, żeby albo wrócić do Ubienia razem ze synem, albo też — gdyby miały temu stanąć w drodze nieusunione zawady, zamierzała spędzić w jego towarzystwie to całe lato w jakiém miejscu kąpielowém w Niemczech lub Austryi. Jednakże twarde czasu tego okoliczności i twardsza jeszcze od nich nielitość ludzi zniweczyła owe widoki. Jeszcze w ciągu tegoż miesiąca czerwca przysłano tak matce, jak synowi rozkaz ze strony władzy miejscowéj, ażeby natychmiast opuścili Wrocław i kraje pruskie i wracali każde z nich w stronę, z któréj przybyli. Było tedy — po tylu latach rozłączenia, po tylu usiłowaniach, zawsze nadaremnych, zjechania się gdziekolwiek — całego ich pobytu w Wrocławiu najwięcéj jeżeli tydzień jeden. Rozstanie było tém boleśniejsze, że go nie osładzała nadzieja, żeby się wkrótce, żeby się kiedykolwiek jeszcze w życiu znowu mieli zobaczyć. Boć matka była już w latach sędziwych, a zdrowie Juliusza widocznie dogorywało, a nad tém wszystkiém malowała się przyszłość polityczna w barwach, odbierających wszelką otuchę.

Juliusz jednak silił się pocieszać matkę przeczuciem rychłego znowu zbliżenia się do niéj, choć pewnie sam wątpił o możności dotrzymania téj obietnicy.

...„Dziś w sobotę (pisał do niéj nazajutrz po jéj odjeździe, było to zaś w ostatnich dniach miesiąca czerwca 1848) — „a zatém o dzień jeden prędzéj, niżem się spodziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów bawićbym dłużéj nie mógł. Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała, i patrzyłem w twoje biedne puste okienka. Twojéj tam główki ciekawéj nie było... Biedna Ty — i biedny ja! — Dziś o piątéj wieczorem jeszcze daléj od Ciebie odjadę. Ale ufaj w Bogu i ufaj memu bolesnemu sercu, że się do Ciebie znowu przybliżę... Bądź zdrowa najdroższa — — — Strasznie tu byli rozgniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć pozwolili. Teraz każą natychmiast ruszać. Dobrze, że się to pierwéj nie stało...

Jak przed 17 laty, tak i tym razem podążył poeta nasz z Wrocławia prosto do Drezna. Tu się zatrzymał tylko dzień jeden, który mu się teraz dziwnie nudnym wydawał. Potém już nigdzie się nie zatrzymywał po drodze, zboczył tylko do Ostendy. Chciał się orzeźwić morską kąpielą i (jak się wyraził) zebrać ducha przed powrotem do téj Francyi, która bynajmniéj go nie nęciła ku sobie. Kąpiele jednak nie bardzo mu posłużyły w tym roku. Parę też tylko tygodni spędził w Ostendzie. Już w końcu lipca znalazł się znowu w smutném i samotném mieszkaniu swojém paryskiém.

... „Mieszkanie to (pisał d. 1 sierpnia 1848) z niskimi sufitami, zdało mi się dziwnie maleńkie i ciemne. Szerzéj mi było i przestronniéj w waszych stronach! Miletus mój (sługa Słowackiego od lat kilku, Francuz) dobry i zawsze jednakowy. Przyjaciele moi niezmienni w niczém; ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno! Nie wiem, czemu energii zwyczajnéj odzyskać nie mogę. Może to Ty, droga moja, popsułaś mię Twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną? Któż mi Ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni?..

„Zawsze się lękałem, żeby Ci na oczach stanąwszy nie być boleścią i dni Twoich nie zatruć. Wszystko największe spełniłaś! Zwycięstwo Twojéj miłości nademną jest

zupełne. Nic nie ma we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach Twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła!“

— Za powrotem do Paryża uważali po Juliuszu znajomi i przyjaciele, że był jakoś dziwnie zmieniony. Serce jego było do głębi rozbolałe na to wszystko, co w kraju widział i co wrzało wtedy dokoła na wielkim świecie. Poeta okazywał się odtąd w obejściu swojém codziennėm coraz więcéj drażliwym i rozstrojonym, ale też i podniesionym duchownie na wysokość, do jakiéj ludzie normalnych usposobień rzadko się wznoszą.

W ogóle mógł to każdy z czytelników moich sam zauważyć, czytając te ostatnie rozdziały: że Towianizm dla Słowackiego pod jednym względem nie był bez pewnéj korzyści. Wprawdzie sławie jego autorskiéj zaszkodził on nieskończenie. Literackie zasługi, jakich się piśmiennictwo narodowe sprawiedliwie spodziewać mogło po téj olbrzymiéj zdolności, zmniejszyła ta obłędna doktryna o dobrą połowę. Mimo jednakże téj zgubności pod względem umysłowym, mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta: człowiek pod owym wpływem mistycznego wzniesienia ducha niewątpliwie skorzystał. W życiu praktycznėm, w zamiarach, w sposobie i kierunkach działania, słowem: etycznie Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Moralnie podniósł się wyżéj, niż za najlepszych czasów poprzednio upłynionego życia...

W poprzedzających rozdziałach nie zwracałem nigdy czytelników moich uwagi na moralną wartość postępowania osoby któréj działaniu autorskiemu głównie jest poświęcone to dzieło Usilnie i umyślnie starałem się utrzymać pod tym względem na stanowisku zupełnéj przedmiotowości. Względem człowieka, którego życie już zgasło, a którego pamięć drogą jest narodowi względem pisarza, którego własne, poufne, prywatne i bynajmnié nie dla wiadomości całego świata kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materyał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doraźnych, surowych sądach i niejako zaocznie. Obowiązkiem moim było z jednéj strony złożyć wizerunek jego osobistości z rysów autentycznych, z szczegółów

ile tylko być mogło rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy nimi istotném. Z drugiéj wszelako strony uważałem i to sobie za powinność, ażeby w tém zestawieniu wizerunku poety wynikało ostateczne o nim zdanie, jako o człowieku, ze samych tylko czynów jego, nie zaś z tych zwierzeń listowych. I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tegoż zdania raczéj drugim, nie sobie... Po tém wszystkiém jednakże, co aż dotąd się powiedziało, zdaje mi się, że wolno mi już będzie zrobić to spostrzeżenie, że było niewątpliwie w dawniejszém życiu Słowackiego, w jego charakterze niejedno, co nie zupełnie rymowało z tą olbrzymią zdolnością poetycką, któréj błyski podziwiamy w jego kreacyach. W ogóle jeżeli kto, to autor Beniowskiego służyć nam może za przykład i za dowód wymowny, że i genialni ludzie nie są bezwarunkowo stawieni po nad poziom zwyczajny. I oni ostatecznie nie są czém więcéj niestety, jak tylko jednostkami ułomnego rodzaju, do którego wszyscy przynależymy..

Takie wrażenie sprawia na nas osobistość Słowackiego aż po rok 1842. Za przystąpieniem do koła Towiańszczyków, wiele bardzo pod tym względem u niego się odmieniło. Wstąpił w niego jakiś duch wyższy, który go już nie opuścił, chociaż się niebawem od Towiańszczyków odstrychnął i na własną rękę rozwijał sobie doktrynę. Było w ciągu całéj téj życia jego epoki niezawodnie coś, co nam mimo wszelkiego obłędu imponuje w jego obliczu. Wielka surowość zasad, bezinteresowność do dalekich posunięta granic, obojętność najwyższa nie tylko na wygody i dolegliwości cielesne, ale nawet i na wszelkie błahe względy potocznego i zewnętrznego żywota... miłość ku ludziom gorąca, głęboki duch ofiary, chętne przestawanie na małém, gotowość do wyrzeczenia się najsłodszych pociech życia. Zauważać się daje w tym duchu odtąd nieraz i siła nawet, dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniéj braku hartu i woli. Uderza w nim niekiedy nawet pewien praktyczny realizm, przedtém obcy najzupełniéj idealnéj jego naturze...

W ostatnich chwilach życia odbiło się to wszystko najwydatniéj w wewnętrznéj fizyonomii poety. To też znajdujemy w jego

korespondencyi z czasu owego liczne ustępy, szczególniéj pod tym względem uderzające.

Żądała np. razu jednego od niego matka (było to w sierpniu 1848), ażeby jéj przysłał znaczniejszą jaką ilość odlewów gipsowych znanego medalionu Oleszczyńskiego, a to w celu rozpowszechnienia takowych. Oto, co jéj wtedy na to odpisał:

„O medalionach pamiętam, ale szczerze Ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę; jeden mam tylko — trzebaby odlewać wielką liczbę — trzeba żeby się snycerz na to zgodził, a on nie wiem gdzie. Nie żądaj Ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłości w ludziach nie znających mnie. Bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpychać. Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie Stattlera lepiéj mnie teraz przedstawia“...

...„O spokojność i miłość proś dla mnie Boga, abym w ofierze i pracy wytrwał, a nie dał się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasyi duchowi, który mnie nieraz do walki ze światem podmawiał... Cóż robić? Duchy narodu niezdolne są wielkich, z ducha przedsięwziętych czynów — oglądają się na obce rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią. Ja cierpię także — ale inaczéj — cierpię, że jeszcze się nic nie zaczęło“... (z listu z d. 25 sierpnia 1848).

...„Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojéj, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrem świecących. A że nie jestem bez miłości sprawiedliwéj, dowiodę Ci kiedyś, przyjechawszy do domku Twego“... (z d. 9 października 1848).

...„Podobno to mój Teofilu (mówi do wuja) nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie umiłowanych, ale tylko miłych znajomych. Stąd wysadzaliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacye — z książek i podróży czyniliśmy coś nakształt kłaków i tém zapychaliśmy próżne serca i głowy napotykanych ludzi. Oni też nas ogłaszali za dobrych bardzo lekarzy nud—głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czém lepszém zapełniona nie była, a nakoniec z czasem zapominali o nas. Inaczéj dziś z tymi, których nkochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez-

żadnéj grzeczności w wyrażeń administrowaniu. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak twoich nowych sąsiadów. Nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha twego uderzaj ich silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości — a choćby na czas nieprzyjacielem nawet twoim. Obaczysz Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potém we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serca rzucają"... (z listu z d. 4 marca 1849).

Jakże to wszystko odbija od zdań Słowackiego w dawniejszych listach!

Podobnie też inaczéj, jak niegdyś, sądził on wtedy o dziełach swoich i o całéj swojéj autorskiej przeszłości.

..."Przez 5 lat (pisał do Stattlera d. 25 grudnia 1848 r.) pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki téj pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe to są ziarenka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomóc, aby wyrosły i kłoski swoje prosom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest, niż praca moja umarła — która już w foremkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się... poezyą moją."

Kilka miesięcy przed napisaniem słów powyższych posyłał był Słowacki cały zapas dawniejszych nierozprzedanych publikacyi swoich na ręce matki do Lwowa, ażeby po cenie zniżonéj dostawiła je księgarzowi. Przy téj sposobności taką wyrzekł o dziełach swoich uwagę:

„Przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszerowi. Chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarnek czystego zboża dać moim miłym na siejbę. Wolałbym, aby niektóre z nich nigdy były nie wyszły. A następną edycyą robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych moich poematów zatracić*)....

*) Ponieważ o drukowanych a niedokończonych rzeczach tu mowa, stósować się zatém to może tylko do Beniowskiego. Nie odno-

Nadto wysoko ważę teraz Ducha polskiego. Wstyd mi wielce melancholii bajrońskich — strach, aby one nie zaraziły innych! Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, poślę wszystkie żądane książki“... (z listów z d. 1 i 12 sierpnia 1848). —

Do téj zmiany, jak widzimy, istotnéj i stanowczéj w wyobrażeniach poety przyczyniało się też niepomału i rosnące w nim coraz bardziéj uczucie, że go siły fizyczne zaczynają opuszczać, że pasmo życia jego się zrywa... Zdrowie Słowackiego nie było nigdy czerstwe. Był on słabowitym przez całe życie. Zarody piersiowéj choroby można było w nim spostrzegać już na kilkanaście lat przede śmiercią. Przywykły jednak od dzieciństwa do mniéj pomyślnego stanu pod względem zdrowia, nie bardzo zważał on na to. Owszem prawie we wszystkich listach chwalił się zwykle przed matką, że czerstwość sił, co się zowie, mu dopisuje. Od roku 1843 spędzał co roku kilka tygodni nad oceanem w Pornic i używał z dobrym skutkiem morskich kąpieli. Ale to też już było wszystko, co dla zdrowia swego czynił. Pomocy zaś lekarskiéj nawet w razie gwałtowniejszéj potrzeby używać nie lubił i podlegał pod tym względem przesądom, które były w związku z jego mistycyzmem.

... „Nie znam żadnego doktora (pisał np. d. 22 stycznia r. 1848 do matki) bo w nich nie wierzę — i nigdy ich nie używałem. We wszystkiém uzdrawia mię duch mój wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu. Przekonałem się nawet, że ile razy cieleśnie chciałem sobie jakiém lekarstwem prostém dopomóc, to zawsze po chwilowéj uldze była potém reakcya ducha, który zdawał mi się mówić: Zwątpiłeś we mnie, przeniosłeś nademnie ducha rośliny — pijże teraz ciągle rumbarbarum i bądź sługą dekoktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w domku ciała“...

W r. 1846, zaraz po wypadkach lutowych galicyjskich, zaniemógł był dość niebezpiecznie. Słabość nie trwała długo, mu-

---

szą się zaś żadną miarą powyższe autora słowa do Króla-Ducha. Owszem, Słowacki pracował nad nim właśnie w owych miesiącach, w których wyrazy te kreślił, i jak niżéj zobaczymy, przywięzywał do niego większe znaczenie.

siała jednak być ciężka, kiedy już wtedy Słowacki układał, jak to widać z pozostałych notat w jego papierach, niektóre ustępy mające znaleść miejsce w jego testamencie. Powróciwszy do zdrowia, w następujący sposób wspomniał o tém w liście owym do Krasińskiego, którym zawiązał z nim na nowo stósunki przyjacielskie.

„Możeś słyszał, żem mocno był chory. Teraz jestem zdrów do czasu — a żyję, póki chcę. To mi Bóg zostawia. W rękę mi dał nić żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze“...

W następnych latach używał zdrowia, a przynajmniéj wystawiał sobie, że go używa. Kto go jednak w r. 1848 widział w Poznaniu, temu się myśl nasuwała mimowolnie, że to człowiek, którego — jeżeli nie dni, to miesiące są policzone... Kąpiele w Ostendzie zamiast go pokrzepić, sprowadziły mu mocny katar piersiowy. W tym stanie powrócił do Francyi. Listy jego paryskie z tego roku zawierały wprawdzie znowu doniesienia o jak najlepszém zdrowiu. Ale go parła jednak jakaś dziwna tęskność do swoich. Nie mógł się już teraz wcale odegnać myśli powrócenia do kraju, pod jakiemibądź okolicznościami, choćby w najgorszym razie miało to być na kilka tylko tygodni. Miało to przyjść niezawodnie do skutku znowu na przyszłą wiosnę.

... „Z najwyższą radością (pisał d. 9 października r. 1848) wybieram się do Was na wiosnę. Wszystko tak urządzam, abym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka“...

Za nadejściem zimy, stan zdrowia się pogorszył. Szczególniéj w styczniu i lutym (1849) cierpienie stawało się coraz dotkliwszém. Myśl zbliżającéj się śmierci nieraz nawiedzała już Słowackiego. Zaczynał wątpić, żeby mu Bóg dozwolił doczekać się owéj wiosny już niedalekiéj, która go miała wrócić rodzinie, matce...

Listy jego z tego czasu znamionuje pewien zwrot myśli ku rzeczywistości. Dawniéj idealista, marzyciel — lubił teraz Słowacki najwięcéj mówić i wypytywać się o realne stósunki życia tam w kraju. Rozmyślał nad nimi, oceniał je, dawał rady jak działać potrzeba, żeby to, co w nich złego, na lepsze się odmie-

niło. Rady te czasem są niepraktyczne, niekiedy znowu w wysokim stopniu zasługują na to, żeby się zastanowić nad niemi. W każdym razie jest to charakterystyczném w życiorysie tego poety, że zaczął od lekceważenia i niemal wzgardy realizmu żywota, a skończył uznaniem daleko posuniętém znaczenia tegoż realizmu.

Oto na przykład, co pisał w ostatnim z listów swoich do wuja Januszewskiego:

„Proszę Cię, Teofilu kochany, opisz mi, jakim sposobem uprawiasz teraz rolę twoję — wiele gruntu masz — na jakie zasiewy najwięcéj rachujesz? Gdzie przedajesz twoje zbiory? Bardzobym był ciekawy wiedzieć sposób twego gospodarstwa i mieć wyobrażenie doskonałe tego, czém jest teraz wieś w waszych stronach. Sentymentalności wszystkie mało mię obchodzą. Życie ziemskie jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności, którego duch używa dla dopełnienia misyi swojéj, zajmuje mnie. Dlatego nie przyjemnościami i tak nazwaną poezyą sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach, które Cię jako człowieka obchodzą; a ja — widząc Cię szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny udział w twoim smutku lub weselu i pomogę sercu memu w téj miłości, która bez rzetelnéj podstawy ludzkiéj i bez opromienienia bożego jest tylko głupstwem i półtonem uczuciowym — na nic Aniołom i ludziom“...

Najwięcéj zaprzątały myśl jego wtedy trudności, jakie się w Galicyi począwszy od r. 1846 pojawiły w stósunkach między ludem wiejskim a dworem.

... „Boże Narodzenie przeszło (pisał jeszcze w r. 1848, pod koniec grudnia). W wieczór dnia tego byłem samotny i myślałem o Was w lepiance Waszéj. Chciałem nawet pisać do Was. List wasz ostatni, zrozpaczony o wioszczaném Waszém położeniu, mocno mię zasmucił. Rozbierałem je w sobie głęboko — czułem je boleśnie; bo wiem, coto jest, mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wytężonych. Wszakże ufam, że się to opuszczeniem przez Was wioseczki nie skończy.

... „We wszystkiém chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić; trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczy-

zna i królowanie szlachty polskiéj jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludzi zyskała. — Ja mieszkam pięć lat w domu jednym, a pewny jestem, że portyer, który mi służy, po mojéj śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem Ciebie, Filu, gdybyś na mojém miejscu mieszkać przyjechał; i miałby zaraz dla Ciebie nadskakujące nogi. A wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście!? — Któż winien? — Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serca tych ludzi na wieki. Kto wam miłości ludzkiéj nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa".

...„Myśląc, jak jabym sobie poradził, będąc w Waszém położeniu, myślałem sobie tak: (a przebaczcie mi, jeżeli w tém dziecinne moje pomysły). Myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem — co jest wielką łaską i dane bywa tylko duchom utrudzonym, którym Bóg wypocząć pozwala... Gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy mojéj, a nie dał nic więcéj: — starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę. Nie mając już ludzi pańszczyznę robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz przez nadanie gruntów gospodarzom został jeszcze uboższym niż przedtém. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtorasta złotych, karmieni przez pana, służyliby mi wiernie i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moję — rzeską i dobrze życzącą. Nierazbym z nimi słodko wieczór przepędził przy ognju, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i A wkrótce — sam choć słaby — wywijając rękami tyche. ludzi, ująłbym i objął całą rolę swoję. Nie na szerokość jéj, ale na dobrąbym uprawę rachował. Nie na wielość jéj, ale na dobrąbym uprawę rachowałbym łożyć bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystkobym łożył. A tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moję czeladkę i nie potrzebując już — mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczéj — widząc mnie słabym, a wewnętrznie rozgniewanym—coraz gorzéjby się pode mnie podsuwali"...

W parę dni po napisaniu tych uwag i wyprawieniu listu, w którym je znachodzimy, odebrał Juliusz z domu nowe utyskiwania nad daremnością wszelkich usiłowań zawiązania jakichkolwiek stósunków znośnych z ludem wioski, w któréj krewni i matka jego mieszkali. Dała im do tych utyskiwań sposobność tażsama właśnie wilia Bożego Narodzenia, o któréj była wzmianka w danym powyżéj wyjątku z korespondencyi poety. Wraca tedy do tego punktu Słowacki raz jeszcze w liście, który do nich pisał d. 22 stycznia (1849), i taką ich zagaduje uwagą:

„W dzień Wilii czułem Wasz smutek — czułem Was w domku Waszym. Teraz widzę, jakeście rozesłali po chatach jadło — i siedzicie samotnie, oczekując czyli się nie nawrócą ku Wam serca ludzi. O! nie—nie nawrócą się te duchy! ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mleko maków, miodem zasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nieotchnięte, tak aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, siostro moja droga, nie przynęcisz ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiéj naszéj naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. — Znałaś miłość dziewiczą, panieńską. Miłość zawsze jest jednéj natury. Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przeklęctwo wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to: a nawet choć bić będziesz kijem, ludzie kochać Cię będą... I owszem, jeszcze mocniéj nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką — wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć: a gdy to czyniąc nie czujemy w sobie żadnéj wyższości osobistéj, tylko miłość rozważną i ojcowską. O braterstwie gadają teraz ludzie, i źle gadają. Bo od Ojcostwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie. — Mocno, mocno chciałbym być z Wami! Wypowiedziałem nawet mieszkanie moje w téj nadziei, że można będzie Was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie niby lekarstwo na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym Was obaczyć i z Wami pożyć potrzeba — a raczéj powiem chce się — tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów,

gdzie mi było obszernie, wolno i lubo. Za miskę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cieleśnie w niedostatku przycierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z Wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w któréj belce, staruszce matce domku Waszego"...

Uderzającém, jak na Słowackiego, jest jeszcze następujące zdanie jego, powiedziane do p. Januszewskiego (w liście z lutego r. 1849). Chodziło o pytanie, jakby najlepiéj użyć jakiegoś kapitału, który mieli w gotowiźnie, czy go ulokować w papierach czy obrócić na zakup gruntu.

„Co do kupna i przykupna ziemi, najmocniéj się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżającego się najbliżéj do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego — i w wolności połączonéj z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach — a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały. — Panowie nasi najwięksi ziemni są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że ich w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się nimi. Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, które za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących. Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawią niby na gwiazdach, z których znowu na ujarzmiciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz — a twéj miłości zadość uczynić. — Mówię więc: kawałek ziemi miéj — i to nie wioskę, ale folwarek bardzo obfity i zamożny. Jeżeli trzeba kilku jeszcze takich folwarków, zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę — ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek, ani sądź iż to jest pewne w dzisiejszych czasach. Owszem najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś...

„Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na długo w cielsku i w krwi

i w głupocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzien wolności.“ —

Lecz wróćmy do osoby autora tych listów. W pierwszych więc miesiącach roku 1849 słabość jego wzmagała się coraz bardziéj. W lutym i marcu podlegał już Słowacki częstym krwiotokowym atakom, które siły jego nad miarę wycieńczały. Łudził się wprawdzie jeszcze nadziejami niekiedy i przypisywał to swoje osłabienie najwięcéj skutkowi wiosny wczesnéj i słońca gwałtownego. Mimo to jednak już w końcu lutego uznał za potrzebne spisać wolę swoję ostatnią. Czynności téj dopełnił podług wszelkich formalności w razie takim przepisanych. O zrobieniu testamentu uwiadomił listownie tylko wuja Januszewskiego, zobowięzywał go jednak do sekretu o tém przed matką.

...„Kilka dni temu (pisał do niego) byłem mocno bardzo krwią zaatakowany. Teraz zamknęło się ujście i żywot mój w łono powrócił; ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od was wziąć, a na inne, może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem — i teraz, wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z wami zostać mi kazano. —

„Zrobiłem będąc chory testament — krótki, z dwóch paragrafów. W piérwszym zostawiam wszystko, co mam, i przekazuję wszystkie prawa moje... Matce i Tobie Teofilu, mianując Was wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi. W drugim paragrafie czynię exekutorem testamentu, względem moich paryskich pozostałości, przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, p. Charles Petiniaud...

„Gdybym był umarł, już byłbym z Wami. A tak, trzeba mi będzie jechać do Was — a mam nadzieję, że pojadę...

List ten był pisany d. 4 marca (1849). Byłto ostatni list Słowackiego...

Równocześnie dał znać o sobie też i Szczęsnemu, który całą owę zimę spędzał w Monachium. Dokończał właśnie studyów swoich w uniwersytecie tamtejszym. Niezwłocznie po odebraniu niedobréj téj wiadomości, Szczęsny z Monachium do Paryża podążył i stanął na miejscu jeszcze przed końcem tego miesiąca.

Od téj chwili nie odstąpił już przyjaciela aż do samego zgonu.*) Przy pierwszém powitaniu zagadnął go Słowacki takiemi słowy: „Dobrze, żeś przyjechał. Nie będę tak samotny w ostatnich chwilach, bo już wszystko się kończy. Pan Bóg mnie wzywa do siebie“. — Następnych dni mało już mówił o swojém zdrowiu i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno, w dzień jednak był rzeźwy i czynny, jak dawniéj. Pierwszego kwietnia powiedział Szczęsnemu, że w nocy tak mu źle było, że dnia nie spodziewał się dożyć. Pytał, czy nie zna jakiego ubogiego, któryby chciał sypiać u niego. Szczęsny ofiarował mu sam usługi swoje. Nie przyjął ich jednak, za powód to podając, że mu zajęć jego nie chce przerywać. Zresztą mieli jeszcze później pomówić o tém. „Wreszcie — dodał — może mnie Bóg i tak jakoś przeniesie.“ — Nazajutrz mówił Szczęsnemu, że zaczął przepisywać jeden z niewydanych jeszcze swoich poematów, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Szczęsny mu zaproponował, żeby mu dyktował, co też przyjął. I tak napisali jednę pieśń; ale i to Słowackiego męczyło, tak iż resztę odłożyli na późniéj.**)

---

*) Tu dołączam wiadomość, że pod bezpośredniém wrażeniem smutnych dni, które wtedy razem przebył z Słowackim, i jako naoczny świadek wszystkiego, co się w dniach owych działo około niego, spisał Szczęsny zaraz po śmierci poety ostatnie chwile jego. Rodzina Słowackiego, dla któréj wspomnienie owo było pisane, udzieliła go w lat kilkanaście potém jednemu z pism peryodycznych warszawskich, które też ustępy niektóre z niego ogłosiło w kolumnach swoich. Szczegóły te służą mi teraz za źródło, według którego podaję prawie dosłownie, co odtąd następuje w texcie.

**) Przejrzawszy pozostałe papiery, jestem w stanie z wszelką pewnością powiedzieć, coto był za utwor, o którym mowa. Był to rapsod jeden z Króla-Ducha, rapsod ze wszystkich najwięcéj wykończony, osnuty na podaniach o Piaście i Ziemowicie. Jest między papierami pośmiertnymi rękopis, z kilku arkuszy listowych zszyty; na pierwszéj zeszytu tego stronicy położył poeta tytuł poematu taki: „Z Króla-Ducha — Księgi Legend“. Snać dawał więc rzeczy téj napis jakby całości oddzielnéj i oderwanéj, zwątpiwszy już o możności wykończenia całego utworu. Potém następuje 6 strof ośmiowierszowych, własną autora ręką kreślonych. Tu się pismo Słowackiego urywa. Strofa siódma i wszystkie dalsze już są pisane ręką Szczę-

Kiedy miał Szczęsny już odchodzić do siebie, polecił mu Słowacki, ażeby poszedł pytać się księdza, czy będzie mógł przyjść z Sakramentami do niego. Zlecenie to Szczęsny wypełnił. Kiedy dnia następnego przyszedł do Juliusza, zapytując, kiedy się chce spowiadać, zastał u niego przyjaciela jego Petiniaud, który od czasu choroby codziennie Słowackiego odwiedzał. Ten mu powiedział, że chory bardzo źle noc przepędził; a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątéj zemglał i zdawało się, że już skończył. Na zapytanie Szczęsnego, jak się czuje, odrzekł Słowacki, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo niedobrze. Przyzwano księdza. Ten pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. — Tymczasem Juliusz widząc przytomnych w rozrzewnieniu, wziął Szczęsnego za rękę i głosem przerywanym, lecz spokojnym rzekł te słowa do niego: „Powiedz mojéj matce, że nic do niéj nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś jakby na pożegnanie, wspomnienie jéj odebrałem, i z myślą o niéj umieram.“ Po chwili milczenia, wzniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił daléj: — „Wiara w nieśmiertelność ducha i sprawiedliwość bożą jest wielkim darem Stwórcy nam udzielonym! Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość bożą, bo ją pojmuję; i tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stósownie do zasługi, nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką go dziś oddaję w ręce Stwórcy. — Wszak prawda? ciągnął daléj, obracając mowę wprost do Szczęsnego: Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze: przyjmiesz wolę bożą spokojnie i z godnością, jaka nieśmiertelnemu duchowi przystoi.“ — Wtém ksiądz wszedł; a kiedy po odbytéj spowiedzi ofiarował mu przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnéj mocy i ukląkł na łóżku, potém przyjął ostatnie nama-

snego, jak o tém na pewne twierdzić mogę, dobrze znając ówczesny kształt jego pisma.

szczenie, z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnéj twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie było można oderwać wzroku od tego oblicza cudownie pięknego świętém zachwyceniem. Po chwili takiego wewnętrznego skupienia wyciągnął ręce do przyjaciół i z łagodnym uśmiechem powiedział: — „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta. Myślałem często o tém, czy też téj łaski dostąpię.“ — Potém wypił trochę gorącéj herbaty i prosił, żeby go zostawili samego, gdyż chciał spocząć. Wyszli przytomni do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte, i widzieli, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, by to nie był sen ostatni, znowu otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i przerywany. Widząc, że nie śpi, przytomni weszli do jego pokoju: prosił o trochę wina czerwonego. Podano wino, ale je już z trudnością przełknął. Potém kazał Szczęsnemu przynieść książkę, z któréj mu w wilią dnia owego dyktował; i pokazywał mu, w jakim porządku potrzeba daléj przepisywać. Ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmiechem: „Wszystko to głupstwo“... Potém prosił, żeby go posadzić w innéj pozycyi, a kiedy to uskuteczniono, powiedział, zawsze z uśmiechem: „Może to w tém położeniu śmierć mię zastanie“... Zamilkł, ale ciągle spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o któréj godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął ręce i zrobił znak, że chce wstać. Lecz zaledwie go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drżeć poczęło — oddech jego był coraz cięższy — coraz powoli słabł — oczy na wpół się zamknęły i mgłą zaszły. Nacieranie skroni i pulsu eterem nic nie pomogło. Powoli oddech ustał — serce bić przestało — wszystko się skończyło — już nie żył.

Było to dnia 3 kwietnia 1849 r. Liczył poeta wtedy lat cztérdzieści niespełna.

We dwa dni potém wiózł wóz skromny zwłoki zmarłego do kościoła św. Filipa du Roule, a stąd na cmentarz Montmartre. Nie było mu tedy dano spocząć w tym śnie nieprzespanym na miejscu, na którém dawniéj, w pełni jeszcze żywota swego, ma-

rzył nieraz, że spocznie kiedyś na wieki. Miało to być w ojczyźnie, na cmentarzu krzemienieckim, pod cieniem znanéj czereśni, która tam grób dziada i babki jego ocienia. — Orszak żałobny, postępujący za trumną, składał się z małéj garstki samych tylko rodaków, po większéj części współtowarzyszów w tułactwie. Adama Mickiewicza nie widziano pomiędzy nimi. Nad grobem nie odezwało się żadne słowo ostatniego pożegnania na tę daleką drogę wieczności. Ponure milczenie przerywały tylko grudki obcéj ziemi, które z głuchym stukiem z rąk przyjaciół spadały na wieko trumny...

W kościele akademickim św. Anny w Krakowie, w pobocznéj nawie po lewéj stronie, wzniesiony jest skromny nagrobek Juliusza Słowackiego. Wystawiła mu go strapiona matka.*) Położono na nim jako napis następujące wyrazy:

Pamięci
Juliusza Słowackiego
syna Euzebiusza
urodzonego w Krzemieńcu
zmarłego w Paryżu,
który walkę poezyi
ku odrodzeniu się ducha i
uczucia ludzkości
po chrześcijańsku
w dniu 3 kwietnia 1849 r.
zakończył
w żalu nieutulona matka
poświęca. —

Lepiéj aniżeli te słowa określają cały charakter życia i działania Słowackiego strofy przez niego samego krótko napisane przed zgonem, pod napisem:

---

*) Nadmieniam dodatkowo co do p. Becu, że przeznaczone jéj było żyć jeszcze po stracie syna lat 6. Zakończyła życie w miesiącu lipcu 1855 r.

„Testament mój".

Żyłem z Wami — cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i daléj idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojéj lutni ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny stérał moje lata młode,
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojéj biednéj ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I téj, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biédę...
Jeżeli będę duchem, to im się pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!..

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?.. taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionéj łodzi,
I tak cicho odlecieć — jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi. —

BIBLIOTEKA NARODOWA

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM ZAWARTYCH.

strona

ROZDZIAŁ X.

Druga połowa roku 1837 i cały 1838. — Przybycie do Liworno — kwarantana — smutna wiadomość z domu. — Poeta osiada we Florencyi — przywiązane do miasta tego wspomnienia Danta — towarzyskie stósunki. — Wiersz „Do Księgarza“ — Poema Piasta Dantyszka o piekle — „Podróż na Wschód.“ — Znajomość z księżną Survilliers — mania muzykalna we Włoszech. Niespodziewany epizod w życiu — p. Aniela M. — Sonety. — Zygmunt Krasiński w Florencyi — korespondencya Słowackiego z matką na czas dłuższy przerwana — wyjazd jego do Francyi. — Na kilka miesięcy przedtém druk Anhellego, jako też Poematu o Piekle. — Rozbiór krytyczny Anhellego 1

ROZDZIAŁ XI.

Rok 1839 i 1840. — Poeta osiada w Paryżu i wydaje Trzy Poemata, toż Balladynę. — Korespondencya z Krasińskim. — Kilka słów mimochodem rzuconych o wartości wydania „Wyjątków z listów Z. Krasińskiego“. — Słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, Słowackim i Cieszkowskim. — Stósunki Juliusza z matką zawięzują się na nowo. — Życie jego w Paryżu — stósunek do Emigracyi — Amnestya. — Wychodzi z druku Mazepa i Lilla Weneda. Powstają nowe dzieła: Krakus — Wallenrod — Beatryx Cenci — dramat Beniowski i niektóre pomniejsze rzeczy, to wierszem, to prozą pisane 40

strona

ROZDZIAŁ XII.

Zdanie o wierszu „W Szwajcaryi“—uwagi o Wacławie— granica aż do której służy poecie prawo traktowania historyi podług swojéj fantazyi. — Myśl autora w „Ojcu Zadżumionych“ — niewłaściwość wykładu dzieł poetyckich z allegorycznego punktu widzenia—Mazepa: dawniejsze sądy o tym utworze —jego wprowadzenie na scenę— jego rozbiór. Niejednokrotna nad nim praca odbija się w jego budowie — brak tragiczności w roli głównéj daje powód do mylnego pojmowania dramatu. Rzut oka na Szekspirowego Otella — na Lira. — Cechy i konieczne warunki charakteru bohaterów tragicznych — z tego punktu widzenia rozbiór roli Amelii. Konkluzya o wartości całego dzieła. 66

ROZDZIAŁ XIII.

Rok 1841 i pierwsza połowa 1842go. — Stósunek między Słowackim a Mickiewiczem. Słowackiego zdanie o Panu Tadeuszu. — Mickiewicz profesorem w Lozanie. W r. 1840 otrzymuje katedrę w Collège de France w Paryżu. Wieczór artystów i poetów — improwizacye — wymówki. Nowa niechęć z okazyi ofiarowanego Mickiewiczowi puharu — bezimienny artykuł w Tygodniku Poznańskim— odpowiedź w Trzecim Maju — Beniowski. Wrażenie téj publikacyi — dalsze takowéj następstwa — pojedynek. Artykuł Krasińskiego w Tygodniku Poznańskim burzę poniekąd ucisza. — Wracają spokojniejsze stósunki— otucha i rezygnacya — czynność autorska wzrasta. Dalszy ciąg Beniowskiego — Niepoprawni — Złota Czaszka — Książę Niezłomny. . . . 101

ROZDZIAŁ XIV.

Rozbiór Balladyny. — Skąd pochop do podjęcia pomysłu takiéj tragedyi? Analogie z tragikami starożytnymi — o ile duch wieków naszych przedhistorycznych żyje w płodach wyobraźni ludowéj? „Maliny“ A. Chodźki i „Lilie“ Mickiewicza. — Główne ideje w Balladynie — jak się takowe zbiegają w ostatecznym węźle dramatu? Znaczenie ustępów fantastycznych — jaki ich związek z całością sztuki? Rzut oka na „Sen Nocy Letniéj“ Szekspira. Rozbior charakteru bohaterki dramatu — rozwój jéj roli — kolej działających na jéj wolę pobudek. Analogie Balladyny z Lirem Szekspira — zapożyczenia z Makbeta. — Ogólne zdanie o téj sztuce. 137

strona

ROZDZIAŁ XV.

Rozbiór Lilli Wenedy. — Dany w niéj obraz zawiązku w Słowiaństwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowéj? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa“, wskazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiéj jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum-Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na któréj dramat osnuty. Czy jéj wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi. 178

ROZDZIAŁ XVI.

Druga połowa r. 1842 i następne lata aż do 1847. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się koła jego zwolenników. — Stósunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niéj autora Przedświtu. — W r. 1842 Słowacki przystępuje do koła — jego korespondencya z matką i z Krasińskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stósunków — stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — scysye i utworzenie sobie osobnego kółka. 203

ROZDZIAŁ XVII.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Ksiądz Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha 233

ROZDZIAŁ XVIII.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król-Duch — wykład piérwszych rapso-

strona

dów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. — Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów“ — okoliczności chwili owéj towarzyszące — stósunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane. . . 260

ROZDZIAŁ XIX.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczęsny F. — Wiosna r. 1848 — „Konfederacya“ — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony.—Przymusowe rozstanie.—Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża.—Usposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicyi na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament“. 319

Dla wypadków upłynionego lata, zapowiedziana w pierwszym tomie przedpłata na to dzieło nie mogła przyjść do skutku.

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARÓD. IM. OSSOLIŃSKICH.
Pod bezpośr. zarządem uprzyw. dzierżawcy Alex. Vogla.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018575987

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
2015810
T.2